

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1989

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 450

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0118-5

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

ROZMOWY O BRACIACH

Z PROF. ROMANEM SZPORLUKIEM

JERZY JASTRZĘBOWSKI: — *Na przelomie października i listopada kilka narodów Europy środkowo-wschodniej świętowało 70-tą rocznicę niepodległości. Trwał koncert bałtycki. Natomiast nie słysząc było, aby śpiewano Szczęśliwa Ukrajino, nie widać było flagi żółto-błękitnej. Dlaczego, Panie Profesorze?*

ROMAN SZPORLUK: — Ukrainy nie należy porównywać z krajami bałtyckimi. Estonia, Łotwa i Litwa utraciły niepodległość stosunkowo niedawno. Ukraina — to jest terytorium i naród bez podobnego historycznego zaplecza. Ukraińcy walczą o zachowanie swego języka. O pamięć. Poza tym sytuacja polityczna na Ukrainie — nawet w obecnym okresie *pieriestrojki* i *głasnosti* — jest całkowicie odmienna. Kierownictwo KP Ukrainy jest zdecydowanie przeciwne ukraińskiemu odrodzeniu i całkowicie neguje interesy narodowe. Istnieje alternatywna elita, która może objąć duchowe przywództwo narodu. Jest to elita kulturalna: członkowie Związku Pisarzy, innych związków twórczych, nawet niektórzy partyjni działacze ze sfery kultury. Oni reprezentują „bałtycki” punkt widzenia. Lecz ci ludzie nie kontrolują aparatu władzy, nie mają dostępu do steru.

J.J.: — *Wybiegniemy wyobraźnią naprzód: kiedyś trzeba się będzie Ukraińcom z Polakami porozumieć. Czy wśród Ukraińców dojrzała już świadomość potrzeby takiego porozumienia?*

R.S.: — Co do tego nie mam absolutnie żadnej wątpliwości. Czasami mi się zdaje, że inteligencja Kijowa, Charkowa, Lwowa

stoi na znacznie wyższym poziomie intelektualnym i dojrzałości politycznej aniżeli ukraińska emigracja.

J.J.: — *Stawia Pan środowiska inteligentkie Lwowa i Charkowa na jednym poziomie?*

R.S.: — Ten odłam inteligencji charkowskiej, który wypowiada się na tematy narodowe, w niczym nie ustępuje lwowiakom pod względem intelektualnym i politycznym, choć liczebnie jest o wiele słabszy. Ci ludzie rozumieją, i dają wyraz zrozumieniu, że otwarcie na Polskę i historyczne porozumienie z Polakami jest ważne dla zachowania przez Ukrainę tożsamości narodowej. Oczywiście, czy Ukrainę spotka na tej drodze powodzenie czy klęska, to już nie od Polaków będzie zależało. Przetrvanie narodu ukraińskiego zależy w głównej mierze od samych Ukraińców. Lecz inteligencja ukraińska rozumie już, że Polska jest wielką nadzieją Ukraińców. Jest jedynym z większych narodów ościennych, dla którego Ukraina jest problemem politycznym, nie zaś policyjnym. Polacy mogą Ukraińców nie lubić, ale ich dostrzegają.

J.J.: — *Czy zastarzałe stereotypy Polaka-wroga, czy stare mity narodowe nie przeszkadzają Ukraińcom w dążeniu do porozumienia?*

R.S.: — Mówiąc o przyszłym porozumieniu, mam na myśli konkretne osoby i środowiska ukraińskie. Otóż w świadomości ludzi oraz środowisk, o których coś niecoś wiem, dawne stereotypy antypolskie ustępują stereotypom polonofilskim. Ci ludzie wykazują tendencję do idealizowania Polaków. Widoczne jest to zwłaszcza wśród lwowskiej inteligencji...

J.J.: — *Panie Profesorze, mówię uczonemu ukraińskiego pochodzenia, że trzeba się dogadać bez względu na to po czyjej stronie granicy jest Lwów, a on mi na to, że owszem, dogadać się trzeba bez względu na to, po czyjej stronie granicy pozostanie Peremyszl. No to jak tu się dogadać?*

R.S.: — Polacy i Ukraińcy mają dużo cech wspólnych. Między innymi jedni i drudzy bardzo kochają Lwów...

J.J.: — *... a Ukraińcy dodatkowo bardzo kochają Przemyśl...*

R.S.: — Naturalnie. W związku z tym wydaje mi się, że w kwestiach terytorialnych trzeba sprawy postawić absolutnie jasno: podejmowanie decyzji i wygłaszanie deklaracji w sprawach granic

nie należy do literatów, uczonych, studentów i turystów. Jak wiadomo z historii, o sprawach granic decydują inni ludzie w innych okolicznościach. Mówmy o tym w terminach niepolitycznych i raczej nie z punktu widzenia właściciela nieruchomości. Pomyślmy o miastach takich jak Lwów, Kraków, Praga jako o spuściznie kulturalnej Europy środkowo-wschodniej, która jest wspólna naszym narodom. Nie myślmymy o Lwowie lub Przemyślu jako o działce budowlanej, której jest się lub nie jest właścicielem i którą można sprzedać, kupić lub wyprocesować. Gdy dojdziemy do tego stanu świadomości, zrozumiemy dlaczego Czesi nie denerwują się, gdy Niemcy mówią o Pradze jako o mieście również niemieckim. Dla Żydów Wilno jest jednym z najważniejszych historycznych ośrodków kultury żydowskiej, kochają je jako miasto żydowskie, ale nie słycać jakoś, aby je chcieli odbierać Litwinom lub, poprzednio, Polakom.

J.J.: — *We Wrocławiu władze PRL zarejestrowały Towarzystwo Przyjaciół Lwowa, Polskie Towarzystwo Historyczne żąda rewizji pozostałej we Lwowie części zbiorów Ossolineum, oficjalny tygodnik Polityka publikuje nekrolog legionistki — Orlecia Lwowskiego. Jak takie posunięcia rozumieją Ukraińcy?*

R.S.: — Zależy to od klucza, jakiego się do odczytania tych posunięć użyje. Mogą to rozumieć jako wychodzenie władz PRL naprzeciw nastrojom społecznym, jako wewnętrzną polską grę polityczną, również jako kompensację urazów narodowych narosłych od czasu rozbiorów. Na pewno jest to usiłowanie rządu, aby spotkać się z nastrojami społecznymi. Według innego klucza — i ten prawdopodobnie przeważa — te posunięcia są naturalnymi krokami w kierunku normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Ufam, że już wkrótce członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa będą mogli swobodnie jeździć do Lwowa i do innych miast Ukrainy i swobodnie odwiedzać polskie kościoły i cmentarze. Tak samo wycieczki ukraińskie powinny swobodnie odwiedzać Polskę, i to nie tylko Przemyśl — również Warszawę, Kraków, itp.

J.J.: — *1 listopada minęło siedemdziesiąt lat od rozpoczęcia walk, które do historii Polski przeszły pod nazwą Obrony Lwowa. Co 1 listopada 1918 roku oznacza dla Ukraińców?*

R.S.: — Oznacza jedną z najważniejszych dat w historii narodu. To była pierwsza od połowy XIV wieku próba uzyskania własnej państwowości przez ludność terenów znanych obecnie jako Zachodnia Ukraina.

J.J.: — *Od XIV wieku?*

R.S.: — Tak, od inwazji króla polskiego Kazimierza Wielkiego, od czasu aneksji Rusi Czerwonej przez Polskę. 1918 rok ujrzał rozpaczliwą próbę odbudowy po 600 latach własnej państwowości zgodnie z deklaracją prezydenta Wilsona o prawie narodów do samookreślenia. Ukraińcy chcieli to prawo zastosować w praktyce. Polska przeszkodziła. Przeszkodziła i stało się to tragicznym wydarzeniem również w historii Polski. Pierwsze zbrojne walki Polaków w momencie odzyskiwania niepodległości były skierowane przeciwko narodowi, który od setek lat był zawsze w o wiele gorszej sytuacji od Polaków. Proszę pamiętać: przeciwko Niemcom Polacy wystąpili 11 listopada, przeciwko Ukraińcom już 1 listopada...

J.J.: — *... bo też Ukraińcy wywiesili swe flagi narodowe i ogłosili utworzenie swego państwa we Lwowie, który Polacy uważali za polskie miasto.*

R.S.: — Ukraińcy ogłosili to na terytorium, które uważali za swe historyczne ziemie. Oczywiście, kłopot w tym, że Polacy myśleli prawie tak samo. Lecz kto miał rację? Kiedy Polacy dzień czy dwa dni wcześniej ogłosili swoją państwowość w Krakowie, Ukraińcy przeciwko nim nie występowali...

J.J.: — *... bo też w Krakowie nie było Ukraińców...*

R.S.: — Oczywiście, tak. Ale Ukraińcy uważali, że Galicja Wschodnia była ziemią etnicznie ukraińską, a więc — ich narodowym terytorium.

J.J.: — *Pomińmy na moment ich ówczesne poglądy na ten temat. Co Pan z dzisiejszej perspektywy może o tych ziemiach powiedzieć: czy były to ziemie ukraińskie?*

R.S.: — Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Proszę Pana, zdumienie mnie ogarnia, gdy Polacy owe tereny jeszcze dziś czasem nazywają Małopolską Wschodnią. Jakż to Małopolska? Przecież Kazimierz Wielki zajął Ruś Czerwoną! Przecież w I Rzeczypospolitej Lwów przez wieki był stolicą województwa ruskiego! Z czyjej to łaski województwo RUSKIE zaawansowało do rangi Małopolski? Nazwa „Małopolska Wschodnia” została sfabrykowana z motywów politycznych w wieku XX...

J.J.: — *Polski autor nazywa wojnę polsko-ukraińską zasadniczym*

punktem zwrotnym w dziejach obu narodów i jednym z kluczowych, a nadal niedocenianych dramatów w dziejach nowożytnej Europy. Dlaczego?

R.S.: — Pamiętam artykuł Stefana Kieniewicza sprzed lat bodaj dziesięciu, w którym pisał, że konflikt polsko-ukraiński o Lwów był brzemienny w dalekosiężne skutki. Zgadzam się z tym poglądem całkowicie. W wyniku zwycięstwa wojsk polskich i całkowitej okupacji Galicji Wschodniej do lipca 1919 roku uniemożliwiono utworzenie państwa ukraińskiego, które w 1919 roku miało jeszcze duże szanse na to, aby odepchnąć zarówno bolszewików jak i białych Rosjan przynajmniej za Dniepr. Dramat ukraiński lat 1918/1919 polegał na tym, że ten naród stał twarzą w twarz z dwiema historycznymi siłami, które od wieków odmawiały mu prawa do narodowej egzystencji. Po upadku Galicji Wschodniej petlurowska koncepcja sojuszu polsko-ukraińskiego nie miała poparcia w społeczeństwie ukraińskim, ponieważ wymagała rezygnacji z ziem uważanych za rdzennie ukraińskie. Zresztą Polacy nie traktowali Petlury na serio. Gdyby nawet wojna polsko-bolszewicka 1920 roku przybrała korzystniejszy dla Piłsudskiego i Petlury obrót, Ukraina zostałaby satelitą, kolonią Polski.

J.J.: — *Po dwudziestu latach nadeszła następna wojna. Niemcy hitlerowskie początkowo pozwalały Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów odbywać zjazdy w Krakowie, lecz po zaatakowaniu swego sowieckiego sojusznika już po dwu-trzech miesiącach rozbiły OUN. Powstała Ukraińska Powstańcza Armia. W jakim celu utworzono UPA?*

R.S.: — Potrzebuję całego roku wykładów, aby wyjaśnić to, co Pan próbuje zamknąć w paru zdaniach. Co innego OUN, co innego UPA. Sama formuła pytania sugerowałaby odpowiedź: kto tam w Berlinie lub Krakowie usiadł za biurkiem i powiedział: — Aha, jutro tworzymy UPA! Tymczasem źródeł UPA należy szukać w okresie pierwszej okupacji w latach 1939-1941. Już wówczas grupy młodych ludzi szły do podziemia, zdobywały broń, walczyły z władzą sowiecką. Gdy w lecie 1941 roku okazało się, że w niemieckich planach wschodnich nie ma miejsca na żadne polityczne partnerstwo z Ukraińcami, nawet w formie protektoratu, przywódcy ukraińscy stawiający na kartę niemiecką znaleźli się w fatalnej sytuacji. Jedni dali się wywieźć do obozów koncentracyjnych, inni szli do podziemia i stopniowo przejmowali kierownictwo nad istniejącymi już grupami, którym później nadano zbiorczą nazwę UPA. Ich koncepcją była walka zarówno z Niemcami, jak i z Sowietami.

J.J.: — *A z Polakami nie...?*

R.S.: — Oczywiście z Polakami też. Proszę pamiętać, że w świadomości ogółu Ukraińców po wrześniu 1939 roku tereny etnicznie ukraińskie przestały być częścią Polski, a ich ukraińscy mieszkańcy przestali być obywatelami polskimi. Tymczasem w świadomości Polaków i w polityce państwa polskiego, włącznie z podziemkiem polskim na tych terenach, granica traktatu ryskiego z 1921 roku pozostawała w mocy. Konflikt między tymi stanowiskami był nie do uniknięcia. Tragedia polega na tym, że w tym konflikcie ucierpiała — i to strasznie — polska ludność cywilna. W rezultacie UPA nie wygrała wojny z Niemcami i Związku Sowieckiego też nie pokonała, natomiast skutki jej działań zaważyły najsilniej właśnie na stosunkach z Polakami i to się odczuwa do dzisiaj.

J.J.: — *Czy Ukraińcy mordowali Polaków?*

R.S.: — No, chyba nie ma wątpliwości, że pewni Ukraińcy mordowali Polaków.

J.J.: — *Nie ma też chyba wątpliwości, że nie wszyscy Ukraińcy popierali ten aspekt działań UPA. Do kogo metropolita Andrij Szeptycki kierował swe rozpaczliwe wezwanie „Ne ubyj!”?*

R.S.: — Przede wszystkim było to potępieniem działań eksterminacyjnych prowadzonych przez Niemców, lecz również potępieniem tych Ukraińców, którzy brali udział w eksterminacji Żydów. Przypuszczam, że mogło być skierowane też do tych, którzy mordowali Polaków. Lecz proszę pamiętać, że wezwanie Szeptyckiego było również potępieniem wzajemnej rzezi w społeczeństwie ukraińskim. W tym czasie trwała brutalna walka między zwolennikami Melnyka i Bandery. Było to doprawdy *bellum omnium contra omnes*, przy upadku wszelkich zasad moralnych. W tym kontekście akcja Szeptyckiego była czymś bardzo odważnym i jednoznacznym.

J.J.: — *Czy metropolita Szeptycki był Ukraińcem?*

R.S.: — Metropolita Andrij Szeptycki był Ukraińcem. Urodził się Polakiem, jako Roman Szeptycki był za młodu Polakiem, po wstąpieniu do klasztoru obrządku grecko-katolickiego przybrał imię Andrij i stał się Ukraińcem.

J.J.: — *To Polakiem lub Ukraińcem można się stać?*

R.S.: — Normalnie nie można, z wyjątkiem Ukraińców stających się Polakami i odwrotnie. W przeszłości czasem wystarczało zacząć chodzić do innego kościoła, aby zmienić narodowość. Decyzje takie zapadały w świadomości, w sumieniach ludzi. Nie można im takiego prawa odmówić.

J.J.: — *Panie Profesorze, czy pewni Ukraińcy nadal nienawidzą Polaków?*

R.S.: — Uprzedzenia antypolskie, czasem posunięte do instynktownej nienawiści, nadal istnieją w pewnych środowiskach lecz, moim zdaniem, dotyczy to już niemal wyłącznie części starszego pokolenia na emigracji. Nie spotkałem się z tym na Ukrainie. Najgorsi fanatycy to ludzie z pogranicza narodowego, z terenów etnicznie mieszanych.

J.J.: — *Co im Polacy zrobili?*

R.S.: — Różni ludzie mają różne wspomnienia, pamięć polskich krzywd. Dla jednych była to pacyfikacja ich wioski, dla innych służba w wojsku, dla jeszcze innych więzienie lub przykrości w szkole. Kłopot polega na tym, że na podstawie przeżyć osobistych pewni Ukraińcy w dalszym ciągu myślą o Polsce jako o wrogu. Ich reakcje są niewspółmierne do akcji strony polskiej, jeżeli oceniać je w szerszej perspektywie, a w chwili obecnej są zupełnym anachronizmem. Ale postawmy sprawę jasno: ci ludzie, nienawidzący Polaków — a moim zdaniem jest ich o wiele mniej, niż niektórym Polakom się wydaje — w gruncie rzeczy nie są Ukraińcami w rozumieniu terytorialno-politycznym. To są ludzie z pogranicza ukraińsko-polskiego, ich realną Ukrainą jest powiat lub województwo, z którego pochodzą. O prawdziwej Ukrainie pojęcia nie mają. Ci ludzie nie rozumieją, że gdyby nawet podliczyć wszystkie podłości, jakie Polacy popełnili w ciągu tysiąca lat swych kontaktów z Rusią i Ukrainą, to i tak nie stanie to w żadnej proporcji do zagłodzenia milionów chłopów ukraińskich i do wyniszczenia tysięcy inteligentów ukraińskich. A w te sprawy już kto inny był zamieszany, nie Polacy byli temu winni.

J.J.: — *Panie Profesorze, czy Armia Krajowa mordowała Ukraińców?*

R.S.: — Mnie przy tym nie było. Lecz można przeglądać nekrologi z tych lat. Niech Pan poczyta sobie nekrologi w *dziennikach Krakowski Wisti* i *Lwiński Wisti*. Pouczająca to lektura.

Czy zabójstwa Ukraińców stanowiły część przygotowań do zbrojnego starcia polsko-ukraińskiego, którego spodziewano się po upadku Niemiec i Rosji — bo takie przecież były założenia strategiczne polskiego podziemia w latach 1942-1944? Byłoby dobrze, gdyby jakiś historyk zajął się tym tematem. Dla mnie ważniejszą i pilniejszą sprawą jest wyświechtanie tego, co stało się z Polakami na Wołyniu — mam na myśli kobiety, dzieci, starców, którzy poginęli z rąk ukraińskich. Tego rodzaju czynów nie można w żaden sposób usprawiedliwiać ani „równoważyć”. Byłoby bardzo smutne, gdyby naród ukraiński uchylał się od odpowiedzialności moralnej za zbrodnie, jakie niektórzy jego członkowie popełnili w czasie wojny. Sprawa jest zresztą głębsza, niż wielu Polakom się wydaje. Ukraina weszła w wojnę jako społeczeństwo zdziesiątkowane, z wyniszczoną niemal całą inteligencją. Polityka sowiecka w latach 1939-1941 a potem niemiecka pogłębiły demoralizację. Czy można się dziwić, że w czasie wojny mordowano? To właśnie jest dla mnie problemem: ciężka choroba społeczeństwa, które poddano takim próbom, a które i tak zawsze było słabsze od polskiego. Ale i takie — właśnie takie! — społeczeństwo musi mieć odwagę potępienia zbrodni własnych synów.

J.J.: — *Pan o tym mówi całkiem obiektywnie? Nie czuje się Pan zaangażowany w sprawę jako Ukraińiec? Czy Pańskiej rodziny żadna przykrość z polskich rąk nie spotkała?*

R.S.: — Przykrość? Można to i tak nazwać. Ja po raz pierwszy w wieku dwudziestu trzech lat, w roku 1956, od kolegi ojca z czasów ich wspólnej młodości dowiedziałem się o „przykrości”, którą mu Polacy — pewni Polacy — wyrządzili po wzięciu go do niewoli w wojnie polsko-ukraińskiej o Lwów w 1919 roku. Ojciec nigdy o tym wydarzeniu z nami nie mówił. I ja po powrocie do domu ojcu nic nie powiedziałem. Pan jest nie tylko pierwszym Polakiem, lecz pierwszym człowiekiem, który się o tym ode mnie dowiaduje. Czy to ciąży na moim stosunku do Polaków? Chyba nie, bo z drugiej strony ja sam i moja rodzina dużo zawdzięczamy Polakom, innym Polakom. Ale przecież nikt nie może mówić, że jest całkowicie obiektywny. Ja również mam swoje poglądy, preferencje, no i chyba również uprzedzenia.

J.J.: — *Na ukraińskim cmentarzu w Kanadzie widziałem groby ludzi zastużonych. Stylizowane krzyże wojskowe, skrót 1 U.D., co na polski przekłada się jako SS-Galizien. Ukraińska elita niepodległościowa?*

R.S.: — No nie, to już jest niesłychany skrót myślowy i zbędna dramatyzacja. Zacznijmy od tego, że pod koniec wojny dywizja *Galizien* została oficjalnie przekształcona w Pierwszą Ukraińską Dywizję armii — stąd litery U.D. Jednostkę tę alianci traktowali jako normalną formację wojskową, nie zaś oddział SS.

Jednak moim zdaniem sama koncepcja *SS-Galizien* była tragicznym nieporozumieniem i strasznym błędem politycznym. Przecież w 1943 roku, gdy dywizję tworzone, nie było już żadnych wątpliwości, iż Niemcy nie są sojusznikiem Ukrainy. Nie przyjmuję usprawiedliwień ludzi, którzy tłumaczą, że dywizja została utworzona w przewidywaniu rychłej klęski Niemców i wybuchu nowej wojny światowej. Ci ludzie myśleli o powtórzeniu sytuacji z 1918 roku, chcieli powtórzyć przykład *polnische Wehrmacht*, chcieli mieć *ukrainische Wehrmacht*, siłę gotową do walki z Sowietami o Kijów, a z Polakami o Lwów. Lecz ta koncepcja była z politycznego punktu widzenia nie do obrony, ponieważ Niemcy żadnych koncesji Ukraińcom nie czynili. Pogodzenie się z etykietą SS w 1943 roku było czystą głupotą. Wszyscy już wówczas wiedzieli, że co innego *Wehrmacht*, co innego SS. Natomiast nie wiem, czy możemy obciążać odpowiedzialnością za te sprawy 18-letnich chłopców, którzy do tej dywizji wstąpili.

J.J.: — *Według niedawnych badań studentów socjologii z Uniwersytetu Poznańskiego, polskie dzieci w Przemyślu podobno nadal bawią się w Wojsko Polskie i bandytów UPA. Jaki jest obiegowy stereotyp Ukraińca w oczach Polaka?*

R.S.: — Nie wiem.

J.J.: — *A stereotyp Polaka w oczach Ukraińca?*

R.S.: — Na ten temat co nieco wiem, lecz cóż to ma właściwie wspólnego z historią? Natomiast powiem od razu, że dzieci ukraińskie we Lwowie, Tarnopolu czy Łucku raczej nie bawią się w wojsko ukraińskie i bandy polskie. Dam Panu na to dwa powody i niechże Pan wybierze z nich ten, który wyda się Panu bardziej prawdopodobny: albo ukraińskie dzieci są grzeczniejsze od polskich, albo na Ukrainie nie wolno się bawić w wojsko ukraińskie. Tylko jedna z tych dwóch odpowiedzi jest prawdziwa.

J.J.: — *Kiedy nastąpiło głębokie pęknięcie między naszymi narodami: za czasów Chmielnickiego, za koliwzczyzny w XVIII stu-*

leciu, czy może dopiero w wyniku przegranej przez Ukraińców wojny o niepodległość w 1919 roku?

R.S.: — Pan zakłada, że pamięć zbiorowa zachowuje te wydarzenia w czystej postaci. Tymczasem narody swoją pamięć zmieniają. Pewne uprzedzenia, o których sądzimy, że są odwieczne, w rzeczywistości bywały fabrykowane, przerabiane i odnawiane z pokolenia na pokolenie.

J.J.: — *Przez kogo?*

R.S.: — Przez historyków, pisarzy, propagandystów, agitatorów, przez środki przekazu, powieści i powieściadła. Pewne tradycje zostały po prostu wymyślone. Wiadomo na przykład, że pewne narodowe tradycje szkockie lub niemieckie, uważane za odwieczne, zostały sfabrykowane w XIX wieku. Tak więc mówiąc o ukraińskich uprzedzeniach i stereotypach dotyczących Polaków należy sięgnąć do literatury, pism politycznych i propagandowych drugiej połowy XIX wieku i początków naszego stulecia. Ukraińcy nie wysłali niechęci do Polaków z mlekiem matek, ani nie dowiedzieli się od ojców o krzywdach kozackich za Chmielnickiego. Dowiedzieli się o tym z powieści, romansów i agitacji politycznej. To samo można powiedzieć o źródłach polskich wyobrażeń dotyczących Ukraińców. Trzeba tu uznać wielką rolę i odpowiedzialność literatury i oczywiście szkoły. Choć na przykład w okresie międzywojennym szkoła w Galicji Wschodniej była polska, względnie pod polską kontrolą, więc o przekazywaniu antypolskich tradycji mowy być nie mogło.

J.J.: — *Środki przekazu też były głównie polskie, więc tych tradycji chyba nie przekazywały?*

R.S.: — Przekazywały, bo w Polsce przedwojennej można było działać, kwitł zresztą kult roku 1918 i władze tego nie zabraniały. 1 listopada był dla Polaków Dniem Wszystkich Świętych, natomiast dla Ukraińców był nieoficjalnym świętem narodowym. Jedni i drudzy spotykali się na cmentarzach i widzi Pan — Polska nie zabraniała kultu poległych: janowski cmentarz ukraińskich obrońców Lwowa był pielęgnowany. Ten cmentarz został zniszczony wraz z polskim dopiero kilkanaście lat temu. Byłoby dobrze, gdyby Polacy pamiętali, że na Ukrainie zniszczono nie tylko polskie cmentarze, lecz również cmentarze ukraińskich weteranów wojny o niepodległość, które za rządów polskich były szanowane jako cmentarze wojskowe. Otóż Polska przedwojenna była jednak państwem cywilizowanym, tolerowała badania, publikację wspom-

nień, wychodziło nawet pismo *Litopys Czerwonoji Kałyny*, poświęcone opisom ukraińskich walk narodowowyzwoleńczych, między innymi przeciwko Polsce.

J.J.: — *Czy sądzi Pan, Profesorze, że kiedyś, w żółto-błękitnej przyszłości, Ukraińcy zdobędą się na to, aby przyjmować Polaków na swej ziemi, zwłaszcza we Lwowie, jako uprzywilejowanych gości?*

R.S.: — Nie wiem, co i kiedy będzie. Wiem, co jest obecnie. Młode pokolenie ukraińskie ostentacyjnie podkreśla swe związki z Polską i stara się eksponować polskie tradycje, na przykład we Lwowie...

J.J.: — *... Zapominając o dramacie swych rodziców i dziadów...?*

R.S.: — Moim zdaniem niczego nie należy zapominać. Wystarczy zrozumieć. Również od Polaków nikt nie powinien wymagać, aby zapomnieli, że Lwów był kiedyś polskim miastem lub aby przestali czcić obrońców Lwowa. Polacy również powinni pamiętać o tragedii swych ojców i dziadów, lecz nie powinni czynić z niej kryterium dla decydowania w sprawach polityki. Groby trzeba czcić, lecz nie należy z nich czynić drogowskazów.

Toronto - Ann Arbor, październik-listopad 1988 r.

Z PROF. PIOTREM WANDYCZEM

JERZY JASTRZĘBOWSKI: — *Na przelocie października i listopada kilka narodów Europy środkowo-wschodniej świętowało 70-tą rocznicę niepodległości. Trwał koncert bałtycki. Natomiast nie słysząc było, aby śpiewano Szcze ne wmerła Ukrajina, nie widać było flagi żółto-błękitnej. Dlaczego, Panie Profesorze?*

PIOTR WANDYCZ: — *Może i śpiewano, jakaś demonstracja była, lecz prasa zachodnia obecnie koncentruje uwagę na sprawach bałtyckich, nie pisała o tym. Pamiętajmy, że Ukraina nie miała tradycji państwowej trzech państw bałtyckich do 1940 roku. Innym względem, dla którego rozwój wydarzeń na Ukrainie idzie*

inną koleją jest fakt, iż Ukraina jest znacznie bardziej zrusyfikowana niż kraje bałtyckie. Jeszcze innym jest niewątpliwy fakt, że Rosjanie uważają Ukrainę za jeden ze swych wewnętrznych problemów, podczas gdy sprawy bałtyckie odbierają jako problem bardziej zewnętrzny, co sprzyja szybszemu rozwojowi wydarzeń w tamtym rejonie. Istnieje zresztą teza, że Rosjanie mogą sobie pozwolić na wszystko z wyjątkiem rewolty w republikach słowiańskich... Lecz to wszystko nie stanowi zadowalającej odpowiedzi na pytanie, dlaczego proces budzenia się Ukrainy jest jeszcze niewidoczny. Wyjaśnia to jedynie ewentualną reakcję Moskwy na odruch narodowego odrodzenia Ukrainy.

J.J.: — *Wybiegnijmy wyobraźnią o jedno lub dwa pokolenia naprzód. Czy nie sądzi Pan, że o ile w początkach obecnego stulecia Ukraińcy i Polacy byli niejako skazani na konflikt, to w przyszłości — być może mniej odległej, niż nam się wydaje — będą „skazani” na porozumienie? Przecież musimy się w końcu dogadać bez względu na to, po czyjej stronie granicy państwowej pozostanie Lwów, a po czyjej „Peremyszł”.*

P.W.: — Odpowiem inaczej. Po pierwsze, jako historyk zajmuję się przeszłością, nie zaś przyszłością, wobec tego nie wiem co będzie, futurystyki unikam jak ognia. Po drugie, Polacy i Ukraińcy są oczywiście „skazani” na współzależność i sąsiedzkie współbywanie, lecz wciąż istnieje wiele zadawnionych — być może obecnie już wymierających — urazów i konfliktów.

Założenie, że musimy się dogadać jest założeniem pożądanym, lecz abstrakcyjnym. Można współistnieć, unikając konfliktów, lecz nie mogąc dogadać się co do spraw spornych, z których ani jeden, ani drugi naród nie jest w stanie zrezygnować. Wkraczamy tu na obszar rozwiązań hipotetycznych: na przykład może zaistnieć układ, w ramach którego dwa niepodległe państwa uważają, że muszą utrzymywać ze sobą poprawne stosunki, jakkolwiek granica, która je dzieli, może być uczuciowo nie do przyjęcia dla jednej lub drugiej strony — a nawet dla obu. Z tej sytuacji na dalszą metę są znów dwa hipotetyczne wyjścia: albo strona uważająca się za poszkodowaną mimo wszystko pogodzi się z przebiegiem granicy, albo granica w ten lub inny sposób zostanie w końcu zmieniona.

Podsumowując: bazuje Pan na pobożnym życzeniu, iż na dalszą metę dwa narody nie mogą żyć w stanie wzajemnej wrogości. A jednak mogą, niestety. Anglia i Francja są tu nie całkiem przystawalnym, tym niemniej prawdziwym przykładem: od czasów napoleońskich współistnieją ze sobą bez wojen, lecz prze-

cież przez większość tych lat prowadziły ze sobą walkę dyplomatyczną i gospodarczą.

J.J.: — *Życzymy sobie i Ukraińcom takich konfliktów i walk, jakie toczyli Francuzi z Anglikami w ciągu ostatniego stulecia...*

P.W.: — *(śmiech)* Oczywiście, oczywiście!

J.J.: — *We Wrocławiu władze PRL zarejestrowały Towarzystwo Miłośników Lwowa; Polskie Towarzystwo Historyczne żąda rewindykacji pozostałej we Lwowie części zbiorów Ossolineum; tygodnik Polityka publikuje nekrolog legionistki — Orlecia Lwowskiego... Czy Ukraińiec może podejrzewać, że polskie społeczeństwo jednak nie pogodziło się do końca z utratą przedwojennych terenów wschodnich Rzeczypospolitej?*

P.W.: — W odniesieniu do starszego pokolenia takie podejrzania z pewnością mogą być uprawnione. Natomiast stosunek młodych Polaków do terenów wschodnich przypomina stosunek mojego przedwojennego pokolenia do Kamieńca Podolskiego. Wspominki historyczne. A tak w ogóle w obecnej sytuacji, jak i w razie zmiany obecnej sytuacji, moją dewizą jest: nie ruszać sprawy granic!

J.J.: — *Kiedy nastąpiło głębokie pęknięcie między naszymi dwoma narodami: za czasów Chmielnickiego, w wieku następnym za koltwuszczyny i rzezi humańskiej, czy może dopiero w 1919 roku?*

P.W.: — W historii nie należy doszukiwać się jednego decydującego punktu. Mamy do czynienia z procesem ciągłym, składającym się z różnych faz. Nie jestem specjalistą od XVII wieku, jakkolwiek pilnie czytam książki Czaplińskiego, Wójcika, artykuły Kamińskiego w USA. W mojej osobistej, „prywatnej” opinii początków fatalnego procesu można doszukiwać się we wstrząsie, jakim było powstanie Chmielnickiego. Zaszły wówczas fakty, po których nigdy już nie udało się ułożyć poprawnych stosunków w aspekcie religijnym, gospodarczym jak również w aspekcie współżyczenia bądź asymilacji kulturowej jednej strony przez drugą.

J.J.: — *Po czyjej stronie leżała wina za ten przełom?*

P.W.: — Chyba w jakiejś mierze po obu. Widzę tu nawet pole dla pewnej demagogii. Jeśli obarczyć winą za powstanie Chmielnickiego „królewęta kresowe”, to można by argumentować, że

konflikt wywołali Ukraińcy (bo kimże byli Wiśniowieccy, Zasławscy, Kisiele?) uciskający innych Ukraińców — kozaków i chłopów. Ale to byłaby istotnie demagogia, bowiem według ówczesnych pojęć magnat ruski przechodzący z prawosławia na katolicyzm bądź Unię „laszczył się”.

J.J.: — *Bywały również przypadki odwrotne?*

P.W.: — Zasięg społeczny i ciężar polityczny odwrotnego procesu, czyli ukrainizacji, był zdecydowanie mniejszy. Polak, który stawał się Ukraińcem, był traktowany ze zdziwieniem i zakłopotaniem jako oryginał, „chłopoman”. Na przykład, jeśli chodzi o metropolitę Andrzeja Szeptyckiego, to przeważało wśród Polaków zakłopotanie: oto z dobrej polskiej rodziny Szeptyckich nagle jeden zaczął mówić po ukraińsku i ogłosił się Ukraińcem.

J.J.: — *A jaka była prawda?*

P.W.: — Prawda była dość typowa: przed wiekami była to oczywiście ruska szlachta, która później asymilowała się religijnie i kulturalnie, przechodząc do słynnej wówczas kategorii *gente Ruthenus, natione Polonus*; odtąd uważani byli za Polaków pochodzących z ruskiej szlachty.

J.J.: — *Czy dostrzega Pan symetrię między dwustronnym zagrożeniem Polski przez Niemcy i Rosję a dwustronnym zagrożeniem Ukrainy przez Rosję i Polskę?*

P.W.: — To dwa przykłady z dwu zupełnie różnych płaszczyzn. Państwo polskie istotnie leży między dwoma mocarstwami, nawet teraz, gdy jedno z nich jest podzielone. Natomiast naród ukraiński jest obecnie od polskiego liczniejszy, terytorialnie większy, czyli zagrożenie ze strony Polski nie może mieć charakteru terytorialno-państwowego; jeśli istnieje w czyjejs świadomości, to jako zagrożenie potencjalne, będące wynikiem ukraińskich kompleksów z przeszłości. Ukraińcy są przewrażliwieni, a Polacy winni to zrozumieć. Ukraińcy są na etapie, na którym Polacy jako naród być może znajdowali się przed pierwszą wojną, gdy zamęczali cały świat problemem „słoń a sprawa polska”. Teraz świat zamęczany jest przez słonia ukraińskiego i musimy starać się to zrozumieć. Przecież Ukraińcy czują, że ich naród jest w takim stanie, iż nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek utworzy własne państwo. Nie wiem, czy większość obecnej ludności Ukrainy czuje się na tyle Ukraińcami, iż gotowa byłaby do wysiłku i kolejnych wyrzeczeń na rzecz niepodległej Ukrainy. Przypuszczam, że masy

ukraińskie zostały już tak zrusyfikowane, że raczej chciałyby normalnego życia, niż marzeń o własnym państwie. Ale to tylko supozycja, nie oparta na głębszej znajomości tematu.

J.J.: — *Siedemdziesiąt lat temu ukraińskie marzenia o niepodległości trwały dziewięć miesięcy: od 1 listopada 1918 do lipca 1919 roku, choć można też liczyć inaczej. Natomiast podczas drugiej wojny światowej Niemcy rozbili OUN już po niespełna trzech miesiącach we wrześniu 1941 roku. Wielu Ukraińców zeszło do podziemia, tworząc Ukraińską Powstańczą Armię. W jakim celu zorganizowano UPA?*

P.W.: — Sądzę, że w dużej mierze z myślą o walce z Polakami. Była to kwestia utrzymania się jak najdłużej na terytorium Małopolski Wschodniej. Później wynikła sytuacja beznadziejna. Dla polskiego ucha zabrzmiało to jak herezja: UPA stała się w jakimś sensie odpowiednikiem polskich oddziałów leśnych. Była jednak zasadnicza różnica: UPA nie miała możliwości wyjścia z matni. W Polsce oddziały leśne mogły się ujawniać, wędrując potem do więzień bądź na zsyłkę; w ZSSR ujawniający się bojownicy UPA wędrowali pod ścianę. Być może historycy ukraińscy widzą jakąś misję historyczną w rozpaczliwych walkach UPA, ja porównuję je do walk rozbitych oddziałów polskich po przegranych powstaniach.

J.J.: — *Czyli, toutes proportions gardées, można porównać walki UPA do walk oddziałów leśnych AK.*

P.W.: — W jakimś sensie tak, jakkolwiek drażni to polskie ucho. Z zastrzeżeniem jednak, że na tym okresie ukraińskiej historii ciężą znane powiązania politycznych czynników ukraińskich z hitlerowcami, co przeniosło się na działalność UPA w ostatnim okresie.

J.J.: — *Czy UPA mordowała Polaków?*

P.W.: — Mnie przy tym nie było, jednak z tego co wiem, to tak — mordowała.

J.J.: — *A czy akowcy mordowali Ukraińców?*

P.W.: — O ile wiem, również tak — mordowali. Były to walki okrutne. Jak wiem od przyjaciół z Chełmszczyzny (gdzie przed wojną Polacy i Ukraińcy żyli na ogół zgodnie), zdarzały się przypadki wbijania na pale...

J.J.: — *Kto kogo wbijał?*

P.W.: — *Polacy Ukraińców i Ukraińcy Polaków.*

J.J.: — *Do kogo metropolita Andrij Szeptycki kierował rozpaczliwe wezwanie „Ne ubyj”?* *Kto kogo wówczas zabijał?*

P.W.: — *Kierował je wówczas niewątpliwie do Ukraińców. W tym przypadku do Ukraińców mordujących Żydów, lecz również mordujących Polaków. Szeptycki nie robił rozróżnień narodowościowych. Potępiał mordy w ogóle.*

J.J.: — *Panie Profesorze, czy mówiąc o Ukraińcach czuje się Pan obiektywnym komentatorem historii, czy nie jest Pan w ten (były) konflikt emocjonalnie zaangażowany?*

P.W.: — *Nie czuję się całkiem obiektywny. Czuję się emocjonalnie zaangażowany, lecz nie jest to skrajne zaangażowanie. W latach trzydziestych mieszkałem z rodziną we Lwowie, wyrastałem w atmosferze napięć i konfliktów polsko-ukraińskich. Była to atmosfera niespecjalnie przyjazna, ale też niespecjalnie wroga dla Ukraińców. Mój sposób myślenia o nich formowany był przez stereotypy literackie, zwłaszcza z *Ogniem i mieczem*, które najbardziej chyba kształtowały świadomość Polaków od lat dziecinnych...*

J.J.: — *... Fakt, który ogromnie denerwuje Ukraińców...*

P.W.: — *O, na pewno! Przez długie lata nie mogłem zrozumieć, dlaczego to Ukraińców denerwuje — na tym właśnie polega siła stereotypu!*

J.J.: — *A czy Pan nosi w duszy jakiś stereotyp Ukraińca, którego zwalczyć do końca Pan nie może lub nie chce?*

P.W.: — *Myślę, że tak. To tkwi głęboko. Wielokrotnie robiono badania na ten temat: przedstawiano listę narodowości i proszono o dopisanie pierwszego przymiotnika, jaki ludziom przychodził na myśl. W ten sposób otrzymywano najbardziej syntetyczny opis stereotypu narodowego. Wyniki były dość jednoznaczne. O ile wiem, w początkach naszego stulecia przeważały określenia „prymitywny, skrajny, ciemny”, rzadziej „krwawy”; po drugiej wojnie już wyłącznie „krwawy”.*

J.J.: — *Czy Pana doświadczenie potwierdza ten stereotyp Ukraińca?*

P.W.: — Wie Pan, ciężko o tym mówić. Pod koniec kampanii wrześniowej mój brat cioteczny przedzierał się z grupą oficerów na Węgry. Zostali ostrzelani opodal jakiejś ukraińskiej wsi. Część zginęła na miejscu, niektórzy doczołgali się do polskiej wsi. Mój kuzyn, ciężko ranny, został złapany przez Ukraińców. Miejscowy ksiądz opowiadał, co się później działo. To była straszna, nieludzka śmierć.

J.J.: — *Jaki stereotypowy przymiotnik określający Polaka funkcjonuje w świadomości Ukraińców?*

P.W.: — Chyba ten sam, co w świadomości wielu Rosjan — Polak jest „podstępny, fałszywy”. Wiele razy zastanawiałem się nad przyczyną tego. Przyznam się, że nie znalazłem jasnej odpowiedzi. Chyba jest to jakieś odległe echo dawnej przewagi Polaka-pana nad chłopem-Ukraińcem, którego można było zwodzić obietnicami po to, by nigdy ich nie dotrzymywać. Proszę przy tym pamiętać, że na ogół stereotypy dotyczące narodowości mają swe źródło w XIX wieku.

J.J.: — *Czy wrogość i nieufność Ukraińców do Polaków jest zjawiskiem powszechnym, tzn. czy to cały naród ma pretensje do całego narodu, narodowe interesy jednych zderzają się z interesami drugich? Czy też ta wrogość jest odzwierciedleniem tysięcy i setek tysięcy typowych incydentów na płaszczyźnie indywidualnej, które nakładając się na siebie wytworzyły coś w rodzaju psychozy?*

P.W.: — Na ten temat mogę snuć tylko przypuszczenia, bo po prostu nie wiem, jak Ukraińcy w masie odnoszą się w tej chwili do Polaków. Zakładam, że odnoszą się wrogo. Wiem, że wielu Ukraińców nosi w sobie uczucie zapiekłej nienawiści. Natomiast osobiście znam wielu Ukraińców, którzy odnoszą się do Polaków bardzo życzliwie. Uogólnienia są niesłychanie niebezpieczne. Tym niemniej zastanawialiśmy się w gronie naukowców nad przyczynami wrogości Ukraińców do Polaków. Przecież mają oni znacznie więcej powodów do nienawidzenia Rosjan. W okresie głodu czy też likwidowania inteligencji na Ukrainie ofiary zbiorowych mordów liczono na miliony, podczas gdy wszelkie polskie akcje pacyfikacyjne w Małopolsce Wschodniej kończyły się poturbowaniem bądź śmiercią kilku osób. Skala nieporównywalna! Pojawiła się w związku z tym supozycja, że być może nienawiść jest reakcją nie na ludobójstwo, którego przeciętny człowiek wyobraźnią objąć nie jest w stanie, lecz na poszczególne przypadki okrut-

nego traktowania jednostek, z którymi przeciętny człowiek łątwiej może się utożsamić. W czasie pacyfikacji, jak wiadomo, do ukraińskich wsi wchodziły polskiej kawalerii i zatrzymywały życie chłopom do tego stopnia, że zapomnieć było trudno: kwatowanie, podpiłowywanie zrębów chałup, wyciąganie z chaty chłopca podejrzanego o agitację, ściąganie mu spodni i chłosta batem na oczach wsi. Ot, taka ułańska dydaktyka, której dzieci chłostanych do dziś nie mogą zapomnieć. Kto wie, może tego rodzaju upokorzenia zostawiają głębsze blizny w psychice społeczeństwa niż ludobójstwo, po którym nikt nie ostał się przy życiu.

J.J.: — *Na ukraińskich cmentarzach w Ameryce Północnej są osobne kwatery zasłużonych. Na grobach — stylizowane krzyże wojskowe i napis 1 U.D., co na polski przekłada się jako SS-Galizien. Miejscowi Ukraińcy uważają to za groby elity niepodległościowej. Jak to wytłumaczyć Polakom?*

P.W.: — *SS-Galizien* powstała jako ukraińska formacja wojskowa podporządkowana *Waffen-SS* i, jako *Waffen*, nie miała nic wspólnego z SS-manami z obozów koncentracyjnych. To była cena polityczna, jaką Ukraińcy musieli zapłacić, aby dostać niemiecką broń do rąk. W ostatnich latach wojny do *Waffen-SS* wcielano przymusowo, znatem Polaków, których tam wcielono, mimo że z hitleryzmem nie mieli nic wspólnego. Oczywiście my, Polacy, mamy sytuację moralnie czystą: nikogo z tych przymusowo wcielonych nie uważamy za bohaterów. Przeprowadźmy jednak jeszcze jedno drażniące porównanie ukraińsko-polskie. Otóż *SS-Galizien* było podobnym tworem jak efemeryczna *polnische Wehrmacht* w 1917 roku. Niektórzy uważali tę formację za załazek narodowej siły zbrojnej, niewiele ci ludzie zdążyli zdziałać, pozostało po nich trochę zamieszania. Chcę przypomnieć, że generał Władysław Anders po wojnie odznaczył ukraińskiego generała Pawła Szandruka krzyżem *Virtuti Militari*. Szandruk był oficerem petlurowskim w 1920 roku, potem był oficerem kontraktowym w Wojsku Polskim, krzyż dostał za kampanię wrześniową, w której mężnie się bił. Otóż generał Szandruk był dowódcą dywizji *SS-Galizien*, w której widział załazek ukraińskiej armii narodowej, armii bez żadnych zadań policyjnych. Zachowały się wspomnienia generała Szandruka, w których pisze, że nie była to łatwa decyzja. W pewnym sensie próbował nawiązać do doświadczeń Piłsudskiego i Legionów tworzonych po stronie państw centralnych, lecz porównanie to jest niewątpliwie mocno naciągane i obstawałbym raczej przy *polnische Wehrmacht* jako wcześniejszym polskim odpowiedniku *SS-Galizien* — z jednym zasadniczym zastrzeżeniem:

SS miało dodatkowo hitlerowski bagaż ideologiczny, który niestety obciąża Ukraińców politycznie i moralnie.

J.J.: — *Ktoś powiada mi, że Polak i Ukraińiec to niczym biblijni bracia: Abel zginął nad Zbruczem i nie doczekał się własnego państwa, natomiast Kain rozsiadł się wygodnie nad Wisłą i nawet Solidarność mógł sobie założyć.*

P.W.: — To jest według mnie zupełnie niezrozumiałe podejście. Nie przychodzi mi na myśl żadna sytuacja, w której można by porównać Polaka i Ukraińca do Kaina i Abła.

J.J.: — *A odwrotnie?*

P.W.: — Także nie, zdecydowanie nie!

J.J.: — *Czy Ukraińcy w II Rzeczypospolitej byli dyskryminowani przez Polaków?*

P.W.: — Oczywiście. Zaczynało się to już w szkole. W Małopolsce Wschodniej — jest to termin, przy którym będę się upierał, ponieważ z nim się żyłem i tam się wychowałem — chłopcy ukraińscy byli traktowani przez polskich chłopców i nauczycieli jako coś gorszego. Używano przezwiska „Ukraińiec z czarnym podniebieniem”. Znam Ukraińców, którym świadomość odrębności narodowej wpoića właśnie polska szkoła. Stawali się Ukraińcami we własnej samoobronie. We Lwowie, bywało, polscy studenci chodzili pod akademik ukraiński, aby wyśpiewywać gorszące parodie ukraińskich pieśni narodowych.

J.J.: — *A Ukraińcy nie chodzili pod polski akademik?*

P.W.: — O nie, oni byli w znacznie słabszej pozycji, dostaliby tęgie lanie, gdyby spróbowali. To wszystko działo się we wcześniejszym okresie, później główne awantury na uniwersytecie Polacy robili Żydom.

J.J.: — *A Ukraińcy Żydom nie robili awantur?*

P.W.: — Chyba nie. W każdym razie awantur ukraińsko-żydowskich przed wojną w ogóle nie pamiętam.

J.J.: — *Panie Profesorze, co Pan powie na tezę, iż nie dojdzie do prawdziwego zbliżenia ukraińsko-polskiego, dopóki Polacy nie zrezygnują z imperialnej postawy i poczucia wyższości kulturalnej,*

dopóki nie zapomną o swojej „misji kulturalnej” skierowanej na wschód, dopóki nie pogodzą się z faktem, że polska kultura nie jest wyższa lub głębsza od kultur narodów ościennych, choć rzeczywiście w pewnym okresie historycznym była bardzo atrakcyjna, dopóki nie przyznają, że to Czech Matejko, Białorusini Moniuszko i Chodkiewicz dokonali wkładu w polską kulturę i państwowość, nie zaś odwrotnie? Taka jest jedna z tez ukraińskich.

P.W.: — Wie Pan, że to jest szalenie trudna kwestia. Cała polska misja jagiellońska — jak przyzwyczailiśmy się nazywać ten najbardziej inspirujący okres naszych dziejów — jest dowodem niezwyklej wprost atrakcyjności polskiej kultury dla naszych wschodnich sąsiadów. Szalenie trudno byłoby Polakom wymazać to ze świadomości. Siła przyciągania kultury polskiej dla ludzi pochodzenia ukraińskiego, litewskiego, białoruskiego, żydowskiego, niemieckiego była wprost przemożna i najwyraźniej świadczyła o sile tej kultury — a stąd już tylko krok do uznania, że w danym okresie była to kultura w jakimś sensie wyższa. Myślę, że znana nam praktyka sprowadzania rangi kultury polskiej do poziomu kultury agresywnej została skompromitowana od czasów stalinowskich. W okresie stalinowskim próbowano odrzucić całą spuściznę jagiellońską, sprowadzić historię Polski do historii obszaru między Bugiem i Odrą, mówiono o Szczecinie, który właściwie nigdy nie był polski, natomiast nie mówiono o Lwowie, Wilnie, Grodnie, które były częścią Polskiej Rzeczypospolitej. Otóż gdyby udało się wówczas wmówić Polakom, że historia Polski jest po prostu historią jej dzisiejszego obszaru, tyle że rzutowaną w przeszłość, i że o historii innych obszarów należy po prostu nie wiedzieć, to być może zniknęłoby w polskim społeczeństwie poczucie kulturalnej wyższości i świadomości tradycyjnej ekspansji kultury na wschód. Jak wiadomo, nie udało się tej świadomości cofnąć. Wprost przeciwnie, zainteresowanie losem Polaków w przeszłości i obecnie na terenach byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego oraz Ukrainy zwiększyło się nawet w ostatnim okresie. Toteż nie widzę, jak by można wmówić Polakom, że ich kultura nie była, historycznie rzecz biorąc, kulturą wyższą.

Oczywiście, natychmiast trzeba by się zastanowić, czy i jak można ustawiać kultury narodowe wyżej lub niżej, czy mamy jakieś kryteria, aby tego dokonywać. Lecz to już jest problem daleko przerastający zasięg stosunków polsko-ukraińskich.

Toronto - New Haven, październik-listopad 1988 r.

Z PROF. FRANKIEM SYSYNEM

JERZY JASTRZĘBOWSKI: — *Na przelocie października i listopada kilka narodów Europy środkowo-wschodniej świętowało 70-tą rocznicę niepodległości. Trwał koncert bałtycki. Natomiast nie słychać było, aby śpiewano Szcze ne wmerła Ukrajina, nie widać było flagi żółto-błękitnej. Dlaczego, Panie Profesorze?*

FRANK SYSYN: — Były i flagi i śpiewy, lecz prasa mało o tym pisze. 1 listopada we Lwowie, na janowskim cmentarzu ukraińskich weteranów walk o niepodległość, zebrał się tłum oceniany na 20 do 50 tysięcy ludzi, odprawiono panichidę nad grobami prezydenta ZURL Kostia Lewyckiego i generała Mirona Tarnawskiego, dowódcy ukraińskiej armii galicyjskiej. Tłum niósł żółto-błękitne sztandary i śpiewał hymn Strzelców Siczowych. Prawdą jest, że ruch niepodległościowy na razie daje o sobie znać głównie na terenach galicyjskich, w mniejszym stopniu na Wołyniu, zaś bardzo słabo na Ukrainie Wschodniej. Znane są przyczyny takiego rozwoju wydarzeń. Na terenach b. Austro-Węgier ruch ukraiński organizował się już w drugiej połowie XIX wieku i stąd znacznie silniejsze przywiązanie ludności Zachodniej Ukrainy do symboli niepodległości. Polska przedwojenna wprawdzie prześladowała wszelkie przejawy ruchu ukraińskiego, lecz nie niszczyła fizycznie elity społeczeństwa ukraińskiego. W trakcie pacyfikacji przeprowadzanych przez polskie władze na Ukrainie Zachodniej miały miejsce akty zbrodnicze, lecz nie można ich porównać z ludobójstwem Stalina na Ukrainie Wschodniej, gdzie wyniszczono głodem miliony Ukraińców. Na to wyniszczenie nałożyła się niesamowita hekatomba drugiej wojny światowej, po której nastąpiła restalinizacja i wreszcie rusyfikacja czasów Breżniewa. Straty w ukraińskiej substancji narodowej są tak ogromne, że trudno porównywać je ze stratami republik bałtyckich. Poza tym działa czynnik tradycji państwowej: w republikach bałtyckich rodzice mieli co przekazywać swym dzieciom i, jak to dowodnie widać, przekazywali. Wreszcie zasadnicze znaczenie dla wolnego tempa przemian na Ukrainie ma stosunek miejscowej partii komunistycznej do sprawy suwerenności. KP Ukrainy jest w opozycji nawet do gorbaczowowskiej *pieriestrojki*. Wołodymyr Szczerbyćkyj jest jedynym pogrobowcem Breżniewa wciąż pozostającym u władzy. Partyjna nomenklatura na Ukrainie wciąż trzyma niezależne inicjatywy w ryzach. Wydaje się, że Gorbaczow pozwala

na eksperymentowanie z *głasnością* w małych republikach bałtyckich, lecz nie na ogromnej i ludnej Ukrainie.

J.J.: — *Wybiegniemy wyobraźnią w przyszłość. Czyba warto by się Polakom z Ukraińcami, a może i Ukraińcom z Polakami, dogadać? Padły już przecież z ust hierarchów dwóch Kościołów słowa „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, choć hierarcha ukraiński sformułował to zdanie ostrożniej. Czy nie czas już, aby elity intelektualne obu narodów podjęły pracę nad historycznym pojednaniem i porozumieniem?*

F.S.: — Ukraińcy i Polacy powinni się ze sobą porozumiewać i dojść do porozumienia. Jeśli chodzi o wypowiedzi hierarchów, to obawiam się, że hierarchia Kościoła w Polsce wypracowała pewien model porozumienia w stosunku do Kościoła i do narodu niemieckiego i obecnie zakłada, że ten sam model sprawdzi się w odniesieniu do Ukraińców. Nie jestem przeciwny takiemu porozumieniu, lecz pozwolę sobie sformułować ostrzeżenie: stosowanie takiej gotowej formułki w dialogu polsko-ukraińskim może skończyć się rozczarowaniem. Poza tym pozostaje sprawa jaskrawej nierówności stron: polska hierarchia reprezentuje cały polski Kościół i w dużej mierze również naród na swym własnym terytorium. Natomiast arcybiskup większy Lwowa, kardynał Lubaczewski, jest wychodźcą reprezentującym Kościół w diasporze oraz Kościół podziemny w Kraju. Jest to zresztą na Ukrainie kościół mniejszościowy. Nawet w kontekście emigracyjnym pożyteczniejsze byłoby wydanie wspólnego oświadczenia Kościołów greckokatolickiego i prawosławnego, nie zaś tylko pierwszego z tych dwu. Wprawdzie ukraińska Cerkiew Prawosławna również jest zakazana w ZSSR, tym niemniej reprezentuje ona większość wierzących na Ukrainie.

Czy elity intelektualne mają przewodzić dziełu porozumienia? Tak, mają. Trzeba tylko pamiętać, że dotychczas dialog odbywa się głównie między Polakami z Polski a ukraińskimi emigrantami lub potomkami emigrantów. W takiej sytuacji intelektualści niewiele konkretnych przyrzeczeń mogą sobie nawzajem złożyć. Powinni oni raczej pracować nad unaocznieniem stronie przeciwnej — i własnym rodakom — wielu szkodliwych stereotypów i różnorodnych mitów narodowych, zachowanych w świadomości ludzkiej. Trzeba wreszcie zacząć postrzegać zaszłości historyczne również z perspektywy strony przeciwnej. Bez tego nie będzie prawdziwego postępu. I tu jest ogromne pole do działania dla intelektualistów.

J.J.: — *A więc porozmawiajmy o mitach narodowych. Mówię uczonemu pochodzenia ukraińskiego, że dogadać się trzeba bez względu na to, po czyjej stronie granicy leży Lwów. W odpowiedzi słyszę, że dogadać się można bez względu na to, po czyjej stronie granicy leży Peremyśl. Jak tu się więc dogadać?*

F.S.: — Opanował Pan ten fragment naszej prywatnej korespondencji doskonale. Niech Pan sobie wyobrazi, że nie wstydzę się przyznać, że to ja tak Panu odpisałem. Jak może Polak w 1988 roku pisać: „bez względu na to, po czyjej stronie granicy leży Lwów”? Przecież wiadomo, po czyjej stronie Lwów jest i już chyba pozostanie. Moją pierwszą reakcją było nie odpowiadać na list. Po namyśle jednak odpowiedziałem, podstawiając nazwę Peremyśl pod nazwę Lwowa, aby Polak mógł wczuć się w duszę Ukraińca, wobec którego kwestionuje się ukraińskość Lwowa. Obecna granica, którą między naszymi narodami wytyczyli inni, nie zadowala ani jednej, ani drugiej strony. Jedynym rozwiązaniem, mogącym posunąć naprzód sprawę porozumienia ukraińsko-polskiego i zapewnić w przyszłości pokój i lepszy ład w Europie Wschodniej, jest zaakceptowanie tej granicy. Oczywiście starajmy się, aby stawała się coraz bardziej „porowata”, przepuszczając ludzi w obu kierunkach. W przyszłości trzeba obniżyć bariery graniczne do tego stopnia, aby ani Peremyśl dla Ukraińców, ani Lwów dla Polaków nie wydawały się odległymi miastami.

J.J.: — *Jakie są wzajemne stereotypy narodowe Polaka i Ukraińca?*

F.S.: — Powiedzieli mi naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, że wśród Polaków najczęściej spotykanym przymiotnikiem kojarzonym ze słowem „Ukraińiec” jest przymiotnik „krwawy”. Nie znam podobnych badań w odwrotnym kierunku, jednak na podstawie prywatnych rozmów wnioskuję, że stereotyp Polaka zamyka się w przymiotniku „fałszywy”. Badania takie są ciekawe, lecz do wyników trzeba podchodzić bardzo ostrożnie. Powinno się również prowadzić badania nad autostereotypami obydwu stron. Jest to niedoceniany, a bardzo ważny aspekt uzdrawiania stosunków ukraińsko-polskich: umiejętność spojrzenia na siebie oczami partnera i porównania z własną wizją swej roli. Mówi o tym Pantelejmon Kulisz: te dwa narody na małym skrawku ziemi spoglądają na siebie z taką obawą o przyszłość, iż przestały przyglądać się samym sobie. Oczywiście celem wszelkich dyskusji o stereotypach winno być ich podważanie.

J.J.: — *Kiedy powstały takie stereotypy? Kiedy nastąpiło pęk-*

nięcie między dwoma narodami o tak pokrewnej kulturze: w okresie powstania Chmielnickiego, czy może dopiero w 1919 roku?

F.S.: — Podłoże konfliktu formowało się już od końca XVI wieku, jednak zasadnicze pęknięcie między naszymi narodami nastąpiło dopiero w latach 1848 i 1867/1868. Zaryzykuję podejrzenie o parafianśszczyznę: zarzewie konfliktu powstało wskutek polityki Habsburgów na stosunkowo małym skrawku Ukrainy, we Wschodniej Galicji. Nie mam na myśli polskiej legendy, iż „źli Habsburgowie” celowo skłócili Ukraińców z Polakami. Mam na myśli skutki dwóch posunięć Habsburgów: ich decyzję z 1848 roku, aby nie dzielić Galicji na dwie części, oraz następną decyzję, na mocy której autonomię prowincji przekazano w latach 1867/1868 w ręce polskich konserwatystów. Od tego momentu dla Ukraińca symbolem prześladowcy przestał być Wiedeń, przestała być Moskwa, a stał się nim Polak. Taka jest ironia historii. Polacy uspili w sobie wrażliwość na problem ukraiński, zaczęli żyć złudzeniami, co wykazali swym stosunkiem do Ukraińców w 1918 roku. Ostatecznie przyczyniło się to do załamania się wpływów polskich na tym terenie. Taka jest ironia historii.

J.J.: — *Czy Ukrainiec widzi analogię między zagrożeniem Polski przez Rosję i Niemcy a zagrożeniem Ukrainy przez Rosję i Polskę? Który z dwóch sąsiadów — według Ukraińca — wyrządził więcej krzywd Ukraińcom?*

F.S.: — W sensie geopolitycznym można by taką analogię przyjąć. W sensie historycznym istnieje ona w pewności. Natomiast co do zakresu i porównywalności krzywd ukraińskich, bardzo to trudne pytanie. Obawiam się nawet, że na gruncie etycznym jest ono niewłaściwe. Proszę sobie wyobrazić Niemca, który pyta Polaka: no to właściwie kto — my czy Sowieci — wyrządziliśmy Wam większą krzywdę? Cóż na to może Polak odpowiedzieć? Zamiast robić takie porównania, lepiej byłoby zabrać się do solidnych badań nad stosunkami ukraińsko-polskimi i ukraińsko-rosyjskimi. Porównania są bardzo ryzykowne i nie widzę z nich pożytku.

J.J.: — *Czy mówiąc o Polakach czuje się Pan Profesor obiektywny, wolny od uprzedzeń?*

F.S.: — Byłbym nieuczciwy, gdybym tak twierdził. Oczywiście, że mój stosunek do spraw ukraińsko-polskich jest zabarwiony zaszczościami zarówno historycznymi, jak też rodzinnymi. Urodzi-

łem się już w Ameryce, ale wychowała mnie babcia, która opuściła strony rodzinne ze względu na niemożliwą do zaakceptowania polską okupację jej ojczyzny — Zachodnioukraińskiej Republiki. Tak ona na to patrzyła. Mogę powiedzieć, że swe amerykańskie obywatelstwo zawdzięczam w pewnej mierze zwycięstwu Polaków w wojnie 1919 roku. Moja babka wywiozła z Zachodniej Ukrainy opinię, że wojsko polskie w 1919 roku prześcignęło w okrucieństwie zarówno żołnierzy rosyjskich jak i austriackich z pierwszej wojny światowej, wspominała sceny więzienia i męczenia inteligencji ukraińskiej przez Polaków. Wszystko to błędnie w porównaniu w masakrami drugiej wojny, lecz tego już moja babcia nie doświadczyła, nie widziała co działo się na jej ziemi ojczystej za Hitlera i za Stalina. Rok 1919 wystarczył, aby babka do dziś dnia nie cierpiała Francuzów za to, że przystąpiła do armii Hallera na pogrom Ukraińców. Dzisiejsze pokolenie bardzo już oddaliło się od tego konfliktu. Trzeba jednak pilnować, aby takie „anegdoty rodzinne” nie przekształcały się w zastygłe stereotypy, trudne do wykorzenia.

J.J.: — *Czy wrogość Ukraińców do Polaków została może spotęgowana przewagą kulturalną Polaków? Mówię zwłaszcza o ich kulturze politycznej...*

F.S.: — Jest faktem niepodważalnym dla wieku XIX jak i XX, że polskie wzorce polityczne, kulturalne, społeczne bywały lepiej wykształcone i skuteczniejsze w praktyce niż wzorce ukraińskie i że Ukraińcy w wielu przypadkach kształtowali swoje zachowanie polityczne i swą kulturę w reakcji na polskie wzorce. Te polskie wzorce postępowania bywały zresztą bardzo pozytywne z punktu widzenia interesów ukraińskich. Nie ulega wątpliwości, że konfrontacja między społeczeństwem polskim i rządem carskim w walce o dominację na terenach ukraińskich, litewskich i białoruskich wytworzyła przestrzeń społeczną potrzebną do uformowania ruchów narodowych tych trzech narodów. Prawdą jest, że Polacy dyskryminowali Ukraińców aż po rok 1939, a również po wojnie; jednak prawdą jest również, że elita inteligencji zachodnioukraińskiej powstała właśnie pod wpływem polskiej szkoły i polskich wzorców kulturalnych. Ukraińcy, którzy ze względów politycznych odrzucają bądź pomniejszają ten wpływ, zaprzeczają świadectwu historii. Niestety prawdą jest również, że poczucie wyższości pewnej grupy Polaków, bardzo wpływowej grupy, doprowadziło do negowania istnienia ukraińskiego narodu oraz do przyznania sobie prawa do rządzenia Ukraińcami wbrew ich woli. I tu zgoda się kończy, bowiem Ukraińcy nigdy w stosunku do

Polaków czegoś podobnego nie czynili. Taki stosunek wyższości wytworzył głębokie antypolskie uprzedzenia wśród wielu Ukraińców.

J.J.: — *1 listopada 1918 roku to dla Polaka początek bohater-skiej obrony polskiego Lwowa. Co ta data oznacza dla Ukraińca?*

F.S.: — Oznacza ona datę proklamacji zachodnioukraińskiego państwa. Ta data dorównuje zarówno w sensie emocjonalnym jak i historycznym dacie 22 stycznia 1918 roku, dacie ogłoszenia niepodległości Wschodniej Ukrainy. Obie daty są źródłem dumy dla absolutnie wszystkich ukraińskich ugrupowań niepodległościowych. Pamięci o niepodległej Ukrainie nie udało się i chyba nie uda się już wykorzenić. Popularność tej daty jest tak wielka, że w narodowej tradycji ukraińskiej trudno doszukać się jakiegokolwiek próby zrozumienia powodów, dla których mniejszość polska w Galicji Wschodniej — oraz większość polska we Lwowie — nie mogła sobie wyobrazić możliwości ułożenia sobie życia w ramach państwa ukraińskiego.

J.J.: — *Polski autor określa wojnę polsko-ukraińską jako punkt zwrotny w dziejach obu narodów i jako kluczowy, lecz wciąż jeszcze niedoceniany dramat w dziejach nowożytnej Europy, dramat ciężący na losach Europy po dziś dzień. Dlaczego tak miałyby być?*

F.S.: — Maciej Kozłowski wyjaśnia to w swej książce *Między Sanem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią, 1918-1919*. Myślę, że książka ta stanie się ważnym krokiem w kierunku porozumienia polsko-ukraińskiego. Oczywiście o znaczeniu tej wojny dla losów Europy mówili już wcześniej ukraińscy historycy, w tym zwłaszcza Iwan Łysiak-Rudnyćkyj. Ta wojna związała na polskim froncie stosunkowo dobrze zorganizowaną armię galicyjską, która w związku z tym nie mogła bić się o Wschodnią Ukrainę. Nigdy już się nie dowiemy, jakie perspektywy historyczne dla Europy wschodniej zostały przekreślone wraz ze zwycięstwem Polaków w 1919 roku. Okrzepnięcie państwa ukraińskiego, w skład którego wchodziłaby Galicja wschodnia, wytworzyłoby kompletnie inną równowagę sił w Europie wschodniej. Na pewno lepiej stałoby się dla sprawy ukraińskiej. Nie do mnie należy wyrokować, czy dla sprawy polskiej byłoby lepiej czy gorzej. Z pewnością państwo polskie byłoby terytorialnie mniejsze. Czy byłoby trwalsze? Nie wiem. Wiem natomiast, że rezultat 1919 roku był katastrofalny zarówno dla sprawy ukra-

ńskiej, jak i dla stosunków ukraińsko-polskich. Co więcej — był ciosem dla ukraińskiej myśli politycznej. Cóż bowiem się stało? Oto Polacy udowodnili ukraińskiej inteligencji, wychowanej w legalistycznej tradycji austro-węgierskiej, że według Polaków narody zwyciężają nie sprawiedliwością i prawem, lecz siłą. To zburzyło stary świat pojęć. To przekonało Ukraińców, że jedyną drogą do zaspokojenia aspiracji narodowych jest użycie siły, nawet terroru. Od tego czasu Ukraińcy tylko czekali na okazję i na sojusznika, aby obalić ustalenia Traktatu Wersalskiego.

J.J.: — *Ukraińskie marzenia o niepodległości u boku niemieckiego sojusznika w 1941 roku zakończyły się bardzo szybko. Ukraińscy niepodległościowcy znaleźli się w więzieniach bądź w podziemiu. Jak ocenia Pan rolę UPA?*

F.S.: — Zacznę od wcześniejszego okresu. Społeczeństwo zachodnioukraińskie końca lat trzydziestych znalazło się w stanie głębokiego kryzysu. Gorączkowo szukało metody skutecznej walki z polską okupacją. Przywództwo duchowe narodu przeszło wówczas w ręce radykalnego skrzydła OUN. Potem nastąpiła sowiecka okupacja lat 1939-1941. W tych latach wpływy dawnych ugrupowań politycznych zostały wyeliminowane niemal do zera. W takich okolicznościach, w lecie 1941 roku, banderowski odłam OUN proklamował utworzenie niepodległego państwa ukraińskiego, śpiesząc by nie przegapić okazji w wirze wydarzeń. Wówczas Niemcy rozpoczęli masowe aresztowania. Zaczęła się niemiecka okupacja Ukrainy.

Rolę UPA uważam za przejaw samoobrony społeczeństwa ukraińskiego przed gwałtem kolejnych okupantów. I za przejaw nadziei, iż gdy przeminie wojna, UPA dopomoże w przegnanu Niemców, zapobiegnie powrotowi Polaków, postawi tamę inwazji Sowieców. Przejaw nadziei, iż naród ukraiński, dzięki UPA, będzie miał coś do powiedzenia pod koniec wojny. Niewiele dróg wyboru pozostawało Ukraińcom w tym czasie.

J.J.: — *Czy UPA mordowała Polaków? Cywilną ludność polską?*

F.S.: — UPA mordowała Polaków, AK mordowała Ukraińców. Obie podziemne armie mordowały członków społeczności strony przeciwnej, włącznie z ludnością cywilną. Mordy popełnione na Polakach na Wołyniu winny być bolesną sprawą dla każdego Ukraińca. Jest już najwyższy czas, aby podjąć poważne badania nad tym tematem. Muszą to być badania podejmowane nie w celu udowadniania winy jednej lub drugiej strony — trzeba po

prostu przeprowadzić dowód prawdy historycznej. Widzę tu poważne trudności natury psychologicznej. Po pierwsze, o ile zarówno Polacy jak i Ukraińcy gotowi już są do szczerzej dyskusji nad wydarzeniami lat 1918/1919, to nie osiągnęli jeszcze tego stanu gotowości w odniesieniu do konfliktu polsko-ukraińskiego z czasu drugiej wojny światowej. Przyczynę tego upatrywałbym w presji propagandy i historiografii sowieckiej: ich potępienie zarówno AK jak i UPA było tak totalne i niesprawiedliwe, iż w reakcji na nie zarówno Polacy jak i Ukraińcy wytworzyli odruchy totalnej obrony i totalnego usprawiedliwienia. Trudno jest tę barierę przełamać. Poza tym, o ile w Polsce AK jest już od dawna zrehabilitowana, to w ZSSR UPA nadal jest potępiana. Ukraińską reakcją na to jest, rzecz jasna, bezkrytyczne gloryfikowanie UPA.

J.J.: — *Do kogo metropolita Andrij Szeptycki kierował wezwanie Ne ubyj? Kto kogo mordował?*

F.S.: — Uważam, że jego apel miał na celu zapobieżenie bratobójczym masakrom jednych Ukraińców przez drugich, jak również zapobieżenie akcjom ukraińskim skierowanych przeciw Polakom, a w większej jeszcze mierze przeciwko Żydom. Szeptycki chciał przywrócić normy moralności chrześcijańskiej w warunkach załamania się wszelkich norm postępowania.

J.J.: — *Czy Andrij Szeptycki był Ukraińcem czy Polakiem?*

F.S.: — (*śmiech*) Ukraińcem czy Polakiem? To jeden z tych cudownych, wręcz niesamowitych przypadków, gdy wszystko zależy od tego, która strona o tym mówi. Szeptyccy byli starą rodziną ukraińską, z której wywodziło się kilku biskupów unickich. W tym sensie metropolita Szeptycki wywodził się z ruskiej elity. Lecz Polacy mogą oczywiście przywołać w tym momencie fakt, iż matka metropolity była Fredrówna z domu. Ludzie o tak mieszanych rodowodach sami podejmują decyzje o tym, kim są. Szeptycki zdecydował, iż wraca na łono narodu ukraińskiego, i tak też widzą tę sprawę Ukraińcy.

J.J.: — *Jak wytłumaczy Pan Polakom sprawę SS-Galizien?*

F.S.: — Ukraińcy sami do dziś nie mogą się zgodzić, czy poparcie udzielone przez pewną frakcję ukraińską niemieckiej decyzji utworzenia *SS-Galizien* w 1943 roku było słuszne. Rozważmy tę sprawę. Ludzie postępują według wzorów dostarczonych im przez historię. W 1943 roku takim wzorem była pierwsza wojna świa-

towa. Ukraińcy sięgnęli do przykładu polskich Legionów oraz ukraińskich Strzelców Siczowych. *SS-Galizien*, później przeformowana i przemianowana na Pierwszą Ukraińską Dywizję, miała być użyta do walki o niepodległość Ukrainy w momencie zakończenia wojny światowej. Tyle, że sytuacja polityczna Ukraińców była znacznie cięższa od sytuacji Polaków. Polacy mieli jeszcze szanse i nadzieje na pozytywny scenariusz wydarzeń po wojnie. Mieli aliantów. Ukraińcy mieli samych wrogów, bowiem do Niemców i Sowietów dokładali jeszcze Polaków. Podpisanie się pod inicjatywę tworzenia *SS-Galizien* było niejako aktem rozpaczy. Nazwa *SS* kojarzy się na ogół z ludobójstwem. Pogodzenie się z etykietką *SS* było więc wielkim błędem. Trzeba jednak pamiętać, że społeczeństwo ukraińskie widziało w tej formacji nie tyle *SS*, co *Waffen*. Poza tym, co do samej działalności Dywizji, jest już od dawna udowodnione, że ukraińskie formacje nie brały udziału w tłumieniu np. Powstania Warszawskiego. Należałoby podjąć badania w celu wyjaśnienia innych działań tej dywizji. Tak czy owak, nie zgadzam się z argumentem, że zgoda na tworzenie *SS-Galizien* jest uprawiedliwiona, ponieważ trzeba było iść na mniejsze zło, widząc główne zagrożenie w Rosji sowieckiej. Należy pamiętać, że hitlerowska Rzesza była państwem zbrodniczym, ludobójczym. Jednak trzeba też rozumieć motywację tych młodych ludzi, którzy zgłaszali się do służby w *SS-Galizien*. Po poddaniu się dywizji w 1945 roku zachodni alianci potraktowali jej młodych żołnierzy jak jeńców wojennych i nie deportowali ich przymusowo do ZSSR, tak jak zrobili z setkami tysięcy innych. Wielu spośród byłych żołnierzy dywizji nadal działa w ukraińskich organizacjach na Zachodzie.

J.J.: — *Czy Polak i Ukrainiec to biblijni bracia Kain i Abel?*

F.S.: — Dla historyka te biblijne porównania nie mają sensu. Istotnie na Zachodniej Ukrainie daje się wyczuć zawiść, iż historia lepiej obeszła się z Polakami niż z Ukraińcami. Z pewnością istnieje nierówność w obecnej sytuacji obu narodów. Ukraińskie społeczeństwo i jego kultura zostały niesamowicie osłabione wydarzeniami ostatniego półwiecza. Natomiast polskie społeczeństwo — mimo ogromnych strat — znajduje się w nieporównanie lepszym stanie, głównie dzięki istnieniu własnego *quasi*-niepodległego państwa. Siły żywotne ukraińskiego społeczeństwa zostały osłabione do tego stopnia, iż Ukraińcom grozi realne niebezpieczeństwo, że Polacy — w momencie zaistnienia warunków dla autentycznego dialogu z Ukraińcami — mogą ulec pokusie prowadzenia rozmowy nie z Ukraińcami, lecz o Ukraińcach z silniej-

szym partnerem, to znaczy z Rosjanami. Mogą również ulec pokusie ponownego użycia siły, tak jak zrobili to siedemdziesiąt lat temu. Skończyłoby się to katastrofą dla obu narodów.

J.J.: — *We Wrocławiu władze PRL zarejestrowały Towarzystwo Miłośników Lwowa; Polskie Towarzystwo Historyczne żąda rewindykacji pozostałej we Lwowie części zbiorów Ossolineum; pojawiają się nekrologi Orląt Lwowskich... Jak takie sprawy rozumie Ukrainiec?*

F.S.: — Mam bardzo mieszane uczucia wobec prób odzyskania przez Polskę części księgozbioru Ossolineum. Z jednej strony rozumiem chęć polskich uczonych zyskania doń dostępu — jest to wszak część polskiej kultury. Lecz z drugiej strony pamiętamy, że Zachodnia Ukraina, Białoruś, Litwa były częścią polskiej tradycji kulturalnej. Odbierając im teraz resztki polskiej spuścizny zrywamy ciągłość tej tradycji. Znacznie mądrzej byłoby pozostawić księgozbiory tam, gdzie się zachowały, natomiast otworzyć granice i bramy bibliotek.

Zarejestrowanie Towarzystwa uważam za krok pozytywny, choć chciałbym oczywiście poznać jego program działania. Sprawa Orląt: nie ma dwóch zdań, iż zarówno Polacy jak Ukraińcy winni pielęgnować pamięć swych Orląt, które niegdyś mężnie były się o Lwów. Oby tylko walki o Lwów wspomniane były w ich historycznym kontekście; oby heroizm walczących nie przesłaniał faktu, iż walka Polaków o Lwów była w odczuciu Ukraińców walką niesprawiedliwą. Polacy powinni być bardziej niż inni wyczuleni na pojęcie sprawiedliwości dziejowej. Natomiast obecne zainteresowanie Polaków Ukrainą, tak jak i zainteresowanie Ukraińców Polską, uważam za całkowicie naturalne. Nie powinno być ono hamowane.

J.J.: — *Czy społeczeństwa Polski i Ukrainy staną się w przyszłości na tyle silne wewnętrznie, pozbawione uprzedzeń, iż Polacy na Ukrainie a Ukraińcy w Polsce będą przyjmowani na zasadzie uprzywilejowanych gości?*

F.S.: — W tej mierze jestem wielkim optymistą. W dotychczasowej historii aż do drugiej wojny światowej przeszkody na drodze do zbliżenia ukraińsko-polskiego były nie do pokonania. Problemy te zostały w czasie wojny rozstrzygnięte w sposób niezwykle krwawy, lecz decydujący dla obu stron. W granicach PRL znalazły się jedynie niewielkie enklawy, które mogłyby być kwestionowane jako nie do końca polskie — np. okręg białostocki

przez Białorusinów, zaś Przemyśl, Chełmszczyzna i Łemkowszczyzna przez Ukraińców. Odwieczny polski problem uciskanych mniejszości narodowych został rozwiązany, a tym samym otwarta została droga do zbliżenia między Polakami i ich wschodnimi sąsiadami. Państwo polskie i ludność polska przestały być czynnikiem przesładowczym na Zachodniej Ukrainie. Tym samym zanikły warunki, w których Polacy byli postrzegani jako element wrogi. Obecne realia polityczne, wspólne dla Polaków i Ukraińców, stwarzają warunki dla pokonania obciążeń historycznych. Pozostaje sobie życzyć, aby odbywająca się właśnie wielka debata ukraińska wśród elity polskiej inteligencji, przy poparciu polskiego Kościoła, sięgnęła wreszcie w głąb mas społeczeństwa polskiego. Na podobną debatę polską wśród ukraińskiej inteligencji i ukraińskiego społeczeństwa przyjdzie jeszcze poczekać z powodów przedstawionych w odpowiedzi na Pańskie pierwsze pytanie. Ukraińcy są na nieco wcześniejszym etapie odbudowy swej świadomości historycznej. Wciąż jeszcze walczą o zachowanie pamięci, z konieczności gloryfikując każdy zachowany jej szczegół. Polacy są silniejsi: są już w stanie kwestionować niektóre ze swych wątpliwych zwycięstw dziejowych. Wniosek z tego dla mnie jasny. Niechże Polacy, jako strona silniejsza, wykażą więcej wyrozumiałości, cierpliwości i dobrej woli dla bardzo już umęczonego narodu ukraińskiego. Obustronne korzyści z takiego podejścia do sprawy polsko-ukraińskiej mogą okazać się rewelacyjne, i to już w ciągu najbliższego pokolenia.

Uniwersytet Harvarda - Toronto - Oxford, sierpień-grudzień 1988 r.

Rozmawiał Jerzy JASTRZĘBOWSKI

Karol PODGÓRSKI

DRANG NACH SZCZECIN

Z dniem 1 stycznia 1985 roku Niemiecka Republika Demokratyczna rozszerzyła 3-milowy pas swych wód terytorialnych do 12 Mm. Jednocześnie jednostronnym, bezprawnym z punktu widzenia prawa międzynarodowego aktem przeprowadziła rozgraniczenie swych wód terytorialnych z wodami terytorialnymi PRL w taki sposób, że po niemieckiej stronie znalazły się polski północny tor wodny dla statków pełnomorskich prowadzący do Świnoujścia, polskie kotwiczowisko dla statków oczekujących na częściowy rozładunek na morzu oraz 30 km kwadratowych polskiej strefy rybołówstwa morskiego. Egzekwując uzurpowane sobie tym aktem prawa, marynarka wojenna NRD podjęła próby niedopuszczenia polskich statków pełnomorskich do portu w Świnoujściu. Usiłowała także uniemożliwić częściowy rozładunek statków na kotwiczowisku i zaczęła zwalczać zgodną z międzynarodowymi zasadami i zwyczajami przybrzeżną żeglugę polskich jachtów sportowych, dopuszczając się przy tym aktów piractwa w rozumieniu prawa międzynarodowego.

Przez blisko dwa lata władze PRL i ich rzecznicy nie zająknęli się nawet słowem o zagarnięciu przez ościenną państwo części polskiego terytorium, naruszeniu poważnych interesów gospodarczych kraju i czynnych napaściach na polskie statki. Cenzura konfiskowała wszelkie informacje na ten temat. Społeczeństwo miało wierzyć, że granicę na Odrze i Nysie podważali — godząc tym samym w ład jałtański — Adenauer, Franz Josef Strauss i przesiedleńcy Hupki i Czaji.

Społeczeństwo miało wierzyć, że granica na Odrze i Nysie jest niewzruszoną i bezpieczną granicą pokoju tylko dlatego, że na jej straży stoją KPZS i Armia Czerwona wspólnie z PZPR i Ludowym Wojskiem Polskim, czemu życzliwie przygląda się SED i Narodowa Armia Ludowa NRD.

Społeczeństwo miało natomiast nie wiedzieć, że poczdamską granicę na Odrze i Nysie oraz jałtański *status quo* naruszyła SED i Narodowa Armia Ludowa NRD, czemu życzliwie przyglądały się KPZS i Armia Czerwona wspólnie z PZPR i Ludowym Wojskiem Polskim. Społeczeństwo przede wszystkim jednak miało nie wiedzieć, że niemieccy komuniści i potem władze NRD do odzyskania Szczecina lub zdobycia w nim przyczółków dążyli bez przerwy od 44 lat i że przez te 44 lata bez przerwy pomagali im w tym władze polskie — swą niekompetencją, ignorancją i zwykłą głupotą.



Możliwość, że w granicach powojennej Polski znajdzie się Szczecin, stała się realna w początkach 1944 roku. Stalin, mający już wówczas decydujący wpływ na ustalanie nowych porządków w Europie Środkowej, na spotkaniu z kierownictwem I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w marcu 1944 roku sam naszkicował przebieg polsko-niemieckiej linii granicznej na Nysie Łużyckiej, Odrze i ze Szczecinem po stronie polskiej. W artykule 4 poufnego porozumienia o przyszłych granicach Polski, podpisanego przez władze sowieckie i rząd lubelski 26 lipca 1944 roku w Moskwie, strona sowiecka zobowiązała się do udzielenia stronie polskiej wszelkiego rodzaju pomocy w celu ustalenia granicy biegnącej na zachód od Świnoujścia i Szczecina, wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej aż do granic Czechosłowacji. Choć w Jałcie sprawy dokładnego przebiegu granic nie przesądzono, ustalając jedynie, iż Polska powinna otrzymać istotny przyrost terytorium na północy i zachodzie, w początkach 1945 roku zarówno władze sowieckie jak i rząd lubelski liczyły się ze znacznym przesunięciem polskiej granicy na zachód od Szczecina. Strona polska nieoficjalnie postulowała ustalenie jej wzdłuż rzeki Ręduwy, historycznej granicy dawnego księstwa pomorskiego, 10-20 km na zachód od ostatecznie wytyczonej linii granicznej. Władze sowieckie w pewnym momencie poszły jeszcze dalej: w początkach roku 1945 wyznaczyły polskich pełnomocników, wojskowego i cywilnego, przy sowieckich komendantach wojskowych wysp Rugia i Uznam.

Bezpośrednio po zdobyciu prawobrzeżnego Szczecina Rosjanie zaczęli wysiedlać zeń na zachód wszystkich Niemców. Tuż

przed wkroczeniem Armii Czerwonej uciekło 75 tys. mieszkańców, władze sowieckie od 19 marca do 20 kwietnia wysiedliły 155 tys. W mieście liczącym w maju 1939 roku 383 tys. mieszkańców 16 maja 1945 roku pozostało dokładnie 6.728 Niemców. Na polecenie sowieckiego komendanta miasta płk. Aleksandra Fiedotowa wszyscy Niemcy zgromadzeni zostali w jednej dzielnicy, Niebuszewie. W wyludnionym Szczecinie władzę cywilną pełnomocnicy polskiego rządu objęli w ostatnich dniach kwietnia.

W trzy dni po pojawieniu się władz polskich walkę o utrzymanie miasta w granicach Niemiec podjęli niemieccy komuniści. Delegacja dwudziestu spośród nich zaoferowała płk. Fiedotowowi zorganizowanie cywilnej administracji dzielnicy niemieckiej. Fiedotow wyraził zgodę i funkcję „burmistrza niemieckiej dzielnicy Niebuszewo” objął Erich Wiesner, przedwojenny działacz komunistyczny, w latach 1927-1930 przebywający w ZSSR. Administracja dzielnicy wydzielonej samorzutnie przemianowała się na *Stettiner Stadtverwaltung* — „Szczeciński zarząd miasta”. Gdy wskutek protestów mocarstw zachodnich, uznających kwestię przynależności państwowej Szczecina za sprawę otwartą, władze polskie musiały opuścić miasto, niemiecki zarząd miejski bez uzgodnienia z Rosjanami przeniósł się do śródmieścia, Wiesner zaś ogłosił się burmistrzem Szczecina. *Stadtverwaltung*, kierowany przez grupę ponad 80 niemieckich działaczy komunistycznych, natychmiast po przeniesieniu się do śródmieścia zorganizował akcję ściągania do Szczecina Niemców z terenów sowieckiej strefy okupacyjnej. Codziennie z Rugii i Stralsundu przyływało barkami ponad 4,5 tys. Niemców. Gdy polskie władze zjawiły się w mieście po raz wtóry 7 czerwca, koczowały tam już 44 tys. Niemców. Spora część z nich nigdy nie mieszkała w Szczecinie. Byli to stali mieszkańcy Rugii i Meklemburgii, głównie miejscowości na wybrzeżu pomiędzy Greifswaldem i Stralsundem, oraz przebywający tam uchodźcy wojenni z Pomorza Zachodniego — wszyscy zwerbowani do udziału w akcji ratowania niemieckiego Szczecina przez emisariuszy niemieckich komunistów. Podczas nieobecności polskich władz miejskich niemieccy komuniści, by móc skuteczniej stwarzać polityczne fakty dokonane, wciągnęli do tej akcji przedstawicieli wszystkich orientacji politycznych. Fachowcy, niezależnie od swych przekonań politycznych i wojennej przeszłości, zobowiązani zostali do uruchomienia pod kontrolą komunistycznego zarządu miasta służb komunalnych, zaś do powołanej w maju 1945 roku niemieckiej policji weszli także byli członkowie hitlerowskich organizacji paramilitarnych.

Po drugim proteście dyplomatów USA i Wielkiej Brytanii w Moskwie przeciw ponownej obecności polskich władz w Szczec-

cinie, urzędnicy polscy 19 czerwca 1945 roku znów opuścili miasto. Warszawski Rząd Tymczasowy za wszelką cenę chciał uniknąć w tym czasie otwartego konfliktu dyplomatycznego z mocarstwami zachodnimi. Wykorzystali to niemieccy komuniści w Szczecinie. Obóz przejściowy dla przybywających barkami osadników z Meklemburgii obsadzony został przez niemiecką policję. Radni niemieccy na zebraniach zalecali ludności niemieckiej czynne przeciwstawianie się próbom zamieszkania Polaków w opuszczonych mieszkaniach. Uchylającym się od szykanowania polskich osadników grozili wstrzymaniem zaopatrzenia w żywność. Pod osłoną komunistów ze *Stadtverwaltung* regularnie kolportowane były drukowane w Berlinie gazety i ulotki z hasłami, wzywającymi do walki o utrzymanie Szczecina w granicach Niemiec. Gdy nieliczni pozostali w mieście polscy urzędnicy próbowali je konfiskować, działacze niemieccy podburzali swych rodaków do antypolskich rozruchów. Wreszcie 4 lipca 1945 roku, w przeddzień kolejnego oficjalnego wkroczenia władz polskich, były hitlerowski prezydent dyrekcji poczty Rzeszy w Szczecinie w porozumieniu z komunistycznym zarządem miejskim zaczął organizować niemiecką dyrekcję poczty; zdążył powołać jeden urząd pocztowy.

Po raz trzeci polskie władze wkroczyły do miasta 5 lipca 1945 roku. Niemcy nie poddawali się. Za wszelką cenę usiłowali utrzymać wywalczony przez komunistów stan posiadania aż do konferencji w Poczdamie. Niemiecki burmistrz usiłował pozostać jako zastępca burmistrza polskiego do spraw niemieckich, bezskutecznie zabiegał o legalizację działania w mieście niemieckiej partii komunistycznej. Zakonspirowana przed władzami polskimi i okupacyjną komendaturą sowiecką niemiecka poczta pracowała jeszcze ponad tydzień po ostatecznym przejściu miasta przez urzędników polskich.

W Poczdamie Szczecin przyznano Polsce, przechodząc do porządku nad organizacyjnymi sukcesami komunistów ze *Stettiner Stadtverwaltung*. W dniu ostatecznego objęcia Szczecina przez administrację polską mieszkało w nim 84 tys. Niemców i 2 tys. Polaków.

Niemieccy komuniści obsadzili swymi rodakami służby komunalne, powołali blisko 400-osobową policję miejską, zaczęli organizować delegatury urzędów ogólnoniemieckich. Nie poddawali się do końca. Gdy już zrozumieli, że miasto przypadło w udziale Polsce, walczyli o zachodnie dzielnice podmiejskie, te, które w końcu także znalazły się po wschodniej stronie granicy. Przerobione hitlerowskie pieczęcie municypalne z gwiazdą, sierpem i młotem oraz napisem „Stettin” widniały pod pismami nakazu-

jącymi Polakom z dzielnic podmiejskich natychmiastowe opuszczenie zajmowanych przez nich domostw. Zastępca burmistrza Wiesnera, Spiegel, groził aresztowaniem Niemcom nie dość energicznie zwalczającym Polaków.

Polscy osadnicy, którzy przez dwa miesiące lokalnej trójwładzy utrzymali się w Szczecinie, zawdzięczali to wyłącznie sobie i sprawnie — choć z dwiema przerwami — działającym polskim władzom miejskim.

Władze centralne dalekim Szczecinem się nie przejmowały, mimo że przed konferencją poczdamską nie było pewne, czy przebieg granicy zachodniej w tym rejonie będzie dla Polski korzystny. Rząd Tymczasowy, później Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej i ich urzędy nie potrafiły na czas zorganizować i skierować do miasta odpowiedniej ilości zdeterminowanych osadników. Przeciwnie, swą beztrością i bałaganiarstwem akcję osiedleńczą utrudniały. Po pierwszym opuszczeniu Szczecina przez polski zarząd miasta wiadomość o ewakuacji, przekazana do Głównej Dyrekcji Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Łodzi, nie została rozesłana przez nią na czas do terenowych urzędów repatriacyjnych. Bez przerwy więc przybywały do Szczecina grupy osadników, którzy nie znajdując tam już polskich władz, wracali szerząc panikę. Gdy ważyły się losy Szczecina i wyżywienie jego mieszkańców było sprawą tyle socjalną, co i polityczną, polscy osadnicy w mieście głodowali, zaś z Łodzi przychodziły pociągi bez żywności.

Dygnitarzy TRJN najmniej bodaj interesował przebieg granicy w rejonie ujścia Odry. Piotr Zaremba, pierwszy polski prezydent miasta Szczecina, 29 sierpnia 1945 roku zanotował w swym dzienniku: „[...] Wizyta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych u prof. Srokowskiego, geografa, doradcy ministra, ustalającego podstawy do podziału administracyjnego państwa. Ponieważ ani on, ani też MSZ dotąd nie zainteresowało się istotnym przebiegiem szczecińskiej linii granicznej — wskazuję ją na planach”. Zaś 3 września: „[...] Ponieważ Ministerstwo Administracji Publicznej nie było dokładnie poinformowane o obowiązującym już od 2 miesięcy przebiegu linii demarkacyjnej w Szczecinie — nakreśliłem ją na mapach w różnych podziałkach”.

Przez wiele tygodni prezydent Zaremba bezskutecznie prosił wszystkich po kolei ministrów, by wreszcie zechcieli objąć działaniem swych resortów przyznany Polsce w Poczdamie obszar na zachód od Odry. Służby celne i porządkowe przed konferencją poczdamską i po konferencji obsadzały prawy brzeg rzeki. Polski Szczecin od Polski odgradzony był granicą istniejącą fak-

tycznie, choć nie w sensie prawnym. Od sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec oddzielała go granica prawna, ale już nie faktyczna. Istniała ona jedynie na mapie, w terenie wytyczona nie była i nikt jej nie pilnował. Niemcy z terenów Pomorza Zachodniego nie byli w stanie dotrzeć do miasta — zatrzymywały ich polskie posterunki na linii Odry. Przedostanie się do Szczecina z głębi Niemiec nie stanowiło żadnego problemu, podobnie jak wywiezienie zeń na zachód ludzi i dóbr materialnych.

Minister Żeglugi, jak wspomina Piotr Zaremba, nie zainteresował się ani razu losami szczecińskiego i świnoujskiego portu w 1945 roku. Lokalne władze miały radzić sobie same, przede wszystkim zaś nie zawracać głowy Warszawie.



W Poczdamie Stalin pod naciskiem przywódców mocarstw zachodnich wycofał się ze swej ogłoszonej w przeddzień rozpoczęcia konferencji wersji przebiegu granicy w rejonie Szczecina. Linia graniczna wedle tej propozycji przebiegać miała mniej więcej 10 km na zachód od dzisiejszej granicy, nie pokrywała się jednak z biegiem Rędowy. Uczestnicy konferencji przyjęli ogólnikową deklarację, że lądowa granica polsko-niemiecka przebiegać powinna bezpośrednio na zachód od Szczecina i Świnoujścia. Później uściślono, że w rejonie ujścia Odry wytyczy ją linia prosta łącząca środek mostu na Odrze w Gryfinie z wieżą kościoła w Ahlbeck. Linię tę wykreślono w Poczdamie na mapach ogólnych.

Do ostatecznego wytyczenia granicy strona polska zabrała się niespiesznie i nonszalancko. Dopiero 20 września 1945 roku, dwa miesiące po konferencji poczdamskiej, zebrała się w Greifswaldzie polsko-sowiecka komisja graniczna. Stronę sowiecką reprezentował w niej zastępca dowódcy wojsk okupacyjnych w Meklemburgii, gen. lejtnant Chabarow. Przewidziani przez rząd polski delegaci do rokowań, komandor Łuszczkiewicz z Gdańska i geograf, prof. Leszczycki z Krakowa, zawiadomieni zbyt późno, nie zdążyli dojechać. W tej sytuacji granicę ze strony polskiej wytyczali w Greifswaldzie prezydent Szczecina, Piotr Zaremba, i pełnomocnik rządu na Okręg Pomorza Zachodniego, Leonard Borkowicz. Obaj przebywali w Szczecinie już od kwietnia, nie mogło to jednak zrównoważyć nieobecności podczas rokowań eksperta od spraw morskich i geografa, nie mówiąc o wcześniejszym, rzetelnym i wszechstronnym przygotowaniu stanowiska strony polskiej. Ostatecznie przyjęte korekty linii granicznej, pozostawiające po stronie polskiej wsie Bobowo, Barnisław,

Rosówka i [nieczytelne — Red.] a po niemieckiej półwysp Altwarp ze wsią Altwarp, zaproponowane zostały przez Zarembe i Borkowiczą bez szczegółowych studiów, po jednorazowej lustracji terenu i obejrzeniu ponemieckich map. Praktyka ta zemściła się przy wytyczaniu granicy na wyspie Uznam. Jej przebieg ustalono po jednodniowej wizji lokalnej przeprowadzonej przez stronę polską w trakcie narad komisji w Greifswaldzie — wcześniej w rejonie tym — zajęтым przez jednostki sowieckie — nie było żadnego Polaka. Granicę poprowadzono tak, że ujęcia wody dla Świnoujścia znajdujące się przy jeziorze Wolgast znalazły się, tuż za linią graniczną, po stronie niemieckiej.

Obsadzanie granicy zorganizował prezydent Szczecina. Mając tę akcję przeprowadzić mieszana komisja Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Administracji Publicznej przyjechała 4 dni po terminie.



Granica morską między okupowanymi Niemcami i Polską w Poczdamie w ogóle się nie zajmowano. O jej przebiegu dyskutowali w Greifswaldzie z sowieckim generałem Zarembe i Borkowicz, na szczęście obie strony uznały się za niekompetentne. Na żądanie Polaków w protokole zaznaczono jednak, że niezależnie od przebiegu przyszłej granicy morskiej reda portu w Świnoujściu należeć powinna do Polski. Rokowania na temat rozdziału wód terytorialnych rząd polski podjął z władzami NRD. W podpisanym 6 lipca 1950 roku Układzie Zgorzeleckim o wytyczeniu ustalonej i istniejącej polsko-niemieckiej granicy państwowej obie strony uznały „ustaloną i istniejącą granicę za nienaruszalną granicę pokoju i przyjaźni, która nie dzieli, lecz łączy”. Wytyczenia granicy w terenie dokonać miała mieszana komisja polsko-niemiecka. W składzie delegacji polskiej znów nie znalazł się nikt zawodowo związany z żegluga i gospodarką morską. Nie przygotowano ekspertyz prawnych ani geograficznych. Delegaci NRD natomiast doskonale wiedzieli, czego chcą. Wyrazili zgodę na włączenie do terytorium Polski ujęć wody przy jeziorze Wolgast. Jako rekompensaty zażądali terenu o zbliżonej powierzchni, leżącego między ujęciami i brzegiem Zatoki Pomorskiej. Delegacja polska wyraziła na to zgodę. Granicę morską zaś, rozdzielającą trzymilowej szerokości pasy wód terytorialnych obu państw, wytyczono jako przedłużenie odcinka granicy lądowej w rejonie brzegu.

Tylko dociekliwość nieznanego dziś z nazwiska członka delegacji polskiej, który po prostu przyłożył linijkę do mapy wybrze-

ży Zatoki Pomorskiej, nie pozwoliła już wówczas wschodnim Niemcom zawładnąć morskim torem wodnym prowadzącym do Świnoujścia. Wytoczona w Greifswaldzie linia graniczna w rejonie brzegu morskiego biegła w kierunku północnym. Po włączeniu ujęć wodnych Wolgast do Polski i przekazaniu NRD obszaru nad brzegiem morza linia graniczna w tym rejonie gwałtownie skręciła na wschód. Przedłużona w morze, jako granica morska, przecinała tor wodny do Świnoujścia; koniec tak wyznaczonej granicy, punkt odległy o 3 mile morskie od linii brzegowej, leżał po wschodniej stronie toru. Na żądanie strony polskiej delegacja NRD uwzględniła specjalne okoliczności istniejące w tym obszarze oraz interesy polskie i zgodziła się odchylić linię graniczną na morzu o około 10 stopni na zachód. W ten sposób odległy od brzegu o 3 Mm punkt końcowy granicy morskiej znalazł się o 0,7 Mm na zachód od osi toru. Uzgodnienie to strona polska traktowała jako sukces — nikt nie chciał pamiętać, że gdyby nie przeprowadzono nieprzemyślanych korekt linii granicznej między jeziorem Wolgast i brzegiem Zatoki Pomorskiej, granica lądowa przy brzegu i granica morska biegingyby równoległe do morskiego toru wodnego...

Negocjatorzy z NRD nie poddali się jednak. W protokolarnym opisie przebiegu granicy państwowej między PRL a NRD, będącym jednym z załączników i jednocześnie integralną częścią podpisanego 27 stycznia 1951 roku Aktu Frankfurckiego o wytyczeniu granicy państwowej, przemycili tylko z pozoru mało istotny błąd. Zaproponowali mianowicie sformułowanie następujące: „[...] od przejściowego znaku granicznego nr 923 opuszcza linia granicy odcinek lądowy pod kątem kierunkowym $10^{\circ}58'86''$ i przebiega w linii prostej na morzu terytorialnym do punktu odległego od brzegu o 6 mil morskich. Pozycja geograficzna punktu końcowego na morzu terytorialnym jest $54^{\circ}01'42''$ N, $014^{\circ}15'16''$ E [...]”. Dla niekompetentnych członków delegacji polskiej nie miało znaczenia, że skoro oba państwa mają trzymiłowej szerokości pas wód terytorialnych, to pisanie o punkcie leżącym kolejne trzy mile poza końcem wód terytorialnych, a więc na morzu otwartym, jako o punkcie należącym do morza terytorialnego, z punktu widzenia logiki jest wewnętrznie sprzeczne, zaś z punktu widzenia prawa międzynarodowego — bezprawne. Polscy negocjatorzy nie zauważyli, że ten odległy o 6 Mm od linii brzegowej punkt leży 170 metrów na wschód od toru wodnego. W ogóle nie zauważyli niczego niepokojącego. Protokół podpisali.



Gospodarczym kręgosłupem Polski jest Wisła, zaś polskim oknem na świat wyłącznie Gdańsk. Odra, choć da się nią wozić śląski węgiel, jest przede wszystkim linią graniczną. Poważne inwestowanie w rozwój gospodarczy Szczecina, zwłaszcza w rozwój gospodarki morskiej, jest niecelowe. Dogmatu tego, przyjętego już w pierwszym powojennych latach, nie przyjęli do wiadomości właściwie tylko szczecinianie. Publicznie bronił go Eugeniusz Kwiatkowski, Hilary Minc i ministrowie Żeglugi. Skrupulatnie przestrzegał go rząd: dla Szczecina nie było inwestycji, coraz mniejsze fundusze przyznawano władzom miejskim. W mieście nie budowano nowych domów ani nowych fabryk, z roku na rok zmniejszano plany remontów budynków mieszkalnych. Zwiększono za to plany rozbiórki domów i wywozu cegły i armatury budowlanej na odbudowę Warszawy. Ludność miasta i województwa żyła w niepewności i psychicznej prowizorce — wbrew oficjalnym deklaracjom czuło się, że tutaj jest gorsza Polska. I nie wiadomo, jak dłużej jeszcze będzie.

Zmieniło się to dopiero po październiku 1956 roku. Gomułka, były minister Ziem Odzyskanych, rozumiał konieczność gospodarczej i społecznej stabilizacji tych ziem. Związek Sowiecki zwrócił Polsce resztę zajmowanego przez Armię Czerwoną portu i wycofał swe wojska ze Świnoujścia. Rada Ministrów 30 maja 1958 roku przyjęła uchwałę o przyspieszeniu odbudowy oraz rozwoju Szczecina i Świnoujścia. Władze rozpoczęły budowę zakładów nawozów sztucznych w szczecińskich Policach, podjęły rozbudowę niewielkiej stoczni im. Warskiego, przyłączając do niej poniemiecką stocznnię Wulkan. Szybko rozbudowano stocznie remontowe, Polska Żegluga Morska zaczęła dokupywać statki i organizować linię żeglugową do Afryki. Wtedy też rozpoczęto prace nad stworzeniem bazy węglowej w Świnoujściu i regularnej żeglugi promowej do Szwecji. W mieście utworzono politechnikę i wyższą szkołę rolniczą, powróciła doń szkoła morską. Wybudowano wreszcie nowe osiedla mieszkaniowe, w Świnoujściu zorganizowano uzdrowisko. W ramach akcji łączenia rodzin w latach 1956-1959 wyjechali na Zachód praktycznie wszyscy szczecińscy Niemcy. O nastrojach mieszkańców najlepiej świadczyło budowanie — pierwszych po wojnie — prywatnych willi i wykupywanie domów poniemieckich.

Tego wszystkiego nie mogły znieść władze NRD. Jeśli w ogóle kiedykolwiek pogodziły się z przebiegiem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, to najwyraźniej nigdy nie zaakceptowały pozostania po stronie polskiej Świnoujścia i Szczecina. Październikowe zmiany w Polsce i wynikłe z nich zmiany w Szczecińskiem skłoniły NRD do szybkiego zbudowania blisko Szczecina

silnego nadajnika telewizyjnego. Audycje enerdowskie miały wzbudzać u widzów polskich poczucie zagrożenia i niepewności. Dziennikarze niemieccy ciągle powracali do niemieckiej historii Szczecina, pokazywali niemieckie zabytki miasta. Jeśli rozmawiali z mieszkańcami, to zawsze okazywało się, że przypadkowo spotkali szczecinianie doskonale mówią po niemiecku.

Ówczesne władze lokalne odpowiedziały budową ośrodka polskiej telewizji. Jak wspomina budowniczy i pierwszy dyrektor szczecińskiej telewizji, Władysław Daniszewski, ośrodek budowano społecznym sumptem, wbrew stanowisku centralnych władz partyjnych i Gomułki osobiście. Z rozmaitych powodów, także ze względów prestiżowych, budowę popierały władze szczecińskie i — w Warmii — ówczesny przewodniczący Komitetu d/s Radia, Włodzimierz Sokorski. W rządzie rzecznikiem budowy był premier Cyrankiewicz.

Władze NRD powtórzyły strategię niemieckich komunistów, walczących o niemiecki Szczecin w 1945 roku. Z jednej strony usiłowały wyrzucić presję psychiczną na polską ludność miasta, wzbudzić u Polaków niepewność i poczucie zagrożenia ze strony Niemców, z drugiej zaś próbowały dyskredytować Polaków i polskie władze przed władzami sowieckimi. Doskonałą okazją był polski Październik, w Szczecinie zaś — antysowieckie rozruchy 10 grudnia 1956 roku w czasie których demonstranci zaatakowali sowiecki konsulat. Stalinowskie władze NRD przedstawiały w Moskwie Polskę jako kraj ogarnięty amokiem rewizjonizmu, kraj niepewny politycznie i wojskowo, Szczecin zaś — jako siedlisko jawnych wrogów ZSSR. Trudno dziś ocenić rozmiary tej zakulisowej kampanii. — Wyobrażenie o metodach daje pewne ówczesne zebranie partyjne SED w Rostocku. Obecny na nim Władysław Daniszewski wspomina, iż I sekretarz komitetu okręgowego SED, późniejszy sekretarz ekonomiczny KC SED, chcąc podkreślić, iż jedynym wiarygodnym politycznie i militarnie sojusznikiem ZSSR jest NRD, posunął się do stwierdzenia, że NRD i Związek Sowiecki łączy wspólnie przelana krew. Nie szło mu oczywiście o krew robotników berlińskich, rzeczywiście przelaną wspólnie w 1953 roku, a o krew rzekomo przelaną — nie wiadomo jakim sposobem — w walce z Niemcami hitlerowskimi.

Tupet władz NRD nie zdał się na wiele. W Rostocku generał sowiecki wraz z obecnym na sali I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie, Józefem Kisielem, demonstracyjnie opuścili salę.

W Szczecinie przybyły z oficjalną wizytą w lipcu 1959 roku Nikita Chruszczow przyjął honorowe obywatelstwo miasta i przy okazji stwierdził, że żądanie jakichkolwiek zmian w linii granicz-

nej na Odrze i Nysie jest niedopuszczalne. Władzom NRD pozostało czekanie na kolejny błąd władz polskich.



Powiększenie obrotów towarowych zespołu portowego Świnoujście-Szczecin było niemożliwe bez zwiększenia tonażu zawijających doń statków. Jednostki o zanurzeniu 6-8 metrów, największe — z powodu niewielkich głębokości w Zatoce Pomorskiej — jakie do połowy lat sześćdziesiątych mogły tam zawijać, nadawały się raczej do prowadzenia kabotażu i żeglugi bałtyckiej. By umożliwić dostęp do ujścia Odry statków klasy panamax w roku 1964 Polska rozpoczęła sondowanie, trałowanie i pogłębianie do głębokości 11 m północnego toru wodnego prowadzącego do Świnoujścia. Rozpoczętą w 1967 roku budowę toru zakończono w czerwcu 1969. Wybagrowano z dna morskiego 26.219 tysięcy m³ urobku. Wybudowanie toru pochłonęło ponad 7 miliardów zł według cen z początku lat osiemdziesiątych, zaś jego konserwacja kosztowała ponad miliard zł rocznie. Inwestycja ta, choć droga, była więcej niż opłacalna — bez niej niemożliwy byłby rozwój portu świnoujskiego i Szczecina.

Pod koniec lat sześćdziesiątych rząd PRL powodowany żądnią, jak się miało okazać, nadzieją na znalezienie pod dnem Bałtyku wielkich złóż ropy naftowej rozpoczął przygotowania do intensywnych badań szelfu bałtyckiego. Zaślepiiony mirażem rychłych wielkich zysków z podmorskiej ropy, brak rozgraniczenia szelfu na terenie Zatoki Pomorskiej potraktował jako jedynie techniczny szczegół opóźniający upragniony moment rozpoczęcia eksploatacji podmorskich złóż. W składzie delegacji do rokowań z NRD w sprawie podziału szelfu nie było nikogo zawodowo związanego z gospodarką morską, nie było prawnika-specjalisty od prawa międzynarodowego, nie było nawet polityka z prawdziwego zdarzenia. Tym razem granicę polską wyznaczać mieli po prostu warszawscy geodeci.

Prace wspólnej, ernerdowsko-polskiej komisji rozgraniczającej szelf trwały rekordowo krótko, gdyż szybkie załatwienie sprawy było najważniejszą dyrektywą, jaką dostała od swych zwierzchników strona polska.

Polscy delegaci nie wiedzieli, że opis przebiegu państwowej granicy morskiej zawarty w załączniku Aktu Frankfurckiego jest logicznie sprzeczny i niezgodny z prawem międzynarodowym. Rozgraniczanie rozpoczęli więc nie od rzeczywistego, odległego o 4 Mm od linii brzegowej końca granicy morskiej obu państw,

a od opisanego w protokole punktu odległego od brzegu o 6 Mm. W ten sposób początek granicy szelfu kontynentalnego NRD znalazł się po wschodniej stronie północnego toru wodnego do Świnoujścia.

Polscy delegaci nie wiedzieli, że dwie najprostsze zasady rozgraniczania mórz terytorialnych i szelfów kontynentalnych, linią będącą przedłużeniem w morze przybrzeżnego odcinka granicy lądowej oraz medianą (linią, której każdy punkt jest równo oddalony od najbliższych punktów linii podstawowej, od których mierzy się szerokość morza terytorialnego obu państw) nie są jedyne z możliwych i w stosunkach międzynarodowych praktykowanych. Nie wiedzieli, że art. 12 Konwencji Genewskiej z roku 1958, potwierdzonej na II Konferencji Prawa Morza w Genewie, stanowi między innymi, że skoro istnieją szczególne okoliczności historyczne, prawne lub gospodarcze, morza terytorialne i szelfy rozgraniczać należy tak, by nie ucierpiały na tym interesy żadnej ze stron.

Polscy delegaci nie wiedzieli, że wybudowanie kosztem miliardów toru głębokowodnego, w chwili prowadzenia negocjacji niemalże ukończonego, jest dokładnie tą szczególną okolicznością, o której mówi Konwencja Genewska i w zupełności wystarczało, by w majestacie prawa międzynarodowego część szelfu z torem wodnym przypadła Polsce.

O tym, że choć NRD w roku 1968 nie ratyfikowała jeszcze owej konwencji, ale jej postanowienia oficjalnie inkorporowała już do swego prawa wewnętrznego, zatem zobowiązana była postanowienia konwencji respektować, polscy delegaci także nie mieli pojęcia.

Granice szelfu kontynentalnego między PRL i NRD zgodzili się poprowadzić poczynając od opisanego w Akcie Frankfurckim punktu odległego od brzegu o 6 Mm, w zasadzie wzdłuż linii mediany. Umowę o rozdzieleniu szelfu kontynentalnego między PRL i NRD podpisał 29 października 1968 roku w Berlinie podsekretarz stanu w MSZ, Adam Kruczkowski. 18,4 mili północnego toru głębokowodnego do Świnoujścia i 80 % kotwiczowiska nr 2 znalazło się na szelfie kontynentalnym NRD.



Z nieudanej kampanii propagandowej z końca lat pięćdziesiątych, mającej dowieść praw państwa wschodnioniemieckiego do obszaru Świnoujścia i Szczecina, władze NRD wyciągnęły praktyczne wnioski. Podkreślanie niemieckości Szczecina i kierowane różnymi kanałami do Moskwy donosy na rewizjonizm PZPR

i antysowieckość Polaków zastąpione zostały hałaśliwą propagandą przyjaźni i współpracy między PRL i NRD. Na najwyższym szczeblu przemówienia, oświadczenia i artykuły z okazji wizyt i rocznic nie różniły się niczym od oficjalnej sztampy w stosunkach między członkami Układu Warszawskiego. Inaczej w regionach przygranicznych, zwłaszcza w Szczecińskim. Do partyjnych i administracyjnych władz Szczecina uczuciem szczególnie silnym zapałały władze Rostocku: już nie tylko miasta ogłoszono zaprzyjaźnionymi, lecz wręcz poszczególne instytucje obu miast. Wśród nich także urzędy morskie. Szczecińscy działacze partyjni coraz częściej odwiedzali swoich przyjaciół za Odrą. W ustronnych pałacykach i domkach myśliwskich czekały ich wesołe nocne bankiety, w odległym o parę godzin jazdy samochodem Berlinie atrakcyjne zakupy w wydzielonych sklepach. Gospodarze nie oczekiwali natychmiastowego rewanzu. Ceną za gościnność miała być uległość władz szczecińskich w drobnych sąsiedzkich konfliktach. Wyłącznie drobnych, gdyż Niemcy rezygnując z rozwijania współpracy gospodarczej w dziedzinie żeglugi i rybołówstwa z PRL, w rejonie ujścia Odry postanowili brać wszystko, czego strona polska nie potrafi utrzymać, jeśli zaś lokalne władze polskie nie chcą się na coś zgodzić, starać się wyszarpnąć cząstkę dostatecznie małą, by — zagrożone utratą swych przywilejów za Odrą — nie protestowały.

Po sukcesie z rozgraniczeniem szelfu w Zatoce Pomorskiej Berlin podjął próbę zyskania suwerenności nad wodami morza, znajdującymi się nad niemiecką częścią szelfu. W praktyce oznaczałoby to włączenie części Zatoki Pomorskiej z większą częścią północnego toru wodnego do terytorium NRD.

W tym samym czasie, gdy komisja polsko-enerdowska dzieliła szelf. PRL za granicę polskiego obszaru rybołówstwa uznawała linię przebiegającą na zachód od linii podziału szelfu. NRD od razu zaczęła składać protesty przeciwko połowom polskich rybaków na wodach pomiędzy torem północnym a linią odpowiadającą granicy szelfu. Łowienie na wodach nad niemieckim szelfem było zdaniem władz NRD niedopuszczalne. Na wniosek niemiecki powołano wspólną komisję na szczeblu ministerialnym, która przygotować miała rozwiązanie sporu. Ponieważ tym razem delegacji polscy nie chcieli wyzbyć się praw swego państwa od razu, obrady komisji ciągnęły się latami. Lata te negocjatorzy spędzili pracowicie, bankietując i dokonując zakupów na przemian w Polsce i NRD. Dla delegacji polskiej sukcesem było samo kontynuowanie tak przyjemnych rokowań, dla Niemców zaś — pozostawienie kwestii przynależności części Zatoki Pomorskiej nad ich szelfem kontynentalnym kwestią otwartą.

Równoległe z próbami zawładnięcia, w trakcie rokowań o sporny akwen rybołówstwa, północnym torem wodnym, władze NRD podjęły próbę zdobycia przyczółków w samym Świnoujściu. Powołana w 1974 roku z ich inicjatywy spółka „Interport” miała, wedle swego statutu, między innymi tak koordynować działalność portów w Rostocku i Świnoujściu-Szczecinie, by maksymalnie wykorzystać ich możliwości. Niemcy proponowali warunki bardzo korzystne, między innymi swój udział w rozbudowie baz przeładunkowych w Szczecinie i Świnoujściu, który spłacany miał być w latach późniejszych usługami tych baz. Chcieli tylko jednego — by „Interport”, a zatem po części i jego współwłaściciel, stał się właścicielem nowych instalacji portowych i terenów, na których zostaną one zbudowane. Strona polska nie wyraziła zgody na eksterytorialność nabrzeży „Interportu”. Nie zaakceptowała też sugestii, by niemieccy robotnicy i specjaliści budujący bazę przeładunkową mogli zamieszkać w wydzielonym osiedlu domków jednorodzinnych.

Po tej odmowie entuzjazm NRD dla „Interportu” znacznie osłabł. Niemcy nie wywiązali się z uzgodnionych prac w porcie szczecińskim, z latami coraz bardziej kulała organizacja bieżącej współpracy portów obu udziałowców. Z wyjątkiem roku 1986, w którym w polskich portach rozładowano większe ilości drewna dla NRD, wzajemne usługi stron „Interportu” spadły poniżej 500 tys. ton rocznie. Współpraca techniczna zaś ogranicza się do współdziałania portowych warsztatów. Organizacja Gospodarcza „Interport” umarła śmiercią naturalną, choć formalnie istnieje do dziś.



Władzom szczecińskim i urzędnikom Ministerstwa Żeglugi w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych rokowania w sprawie połowów ryb przez polskich rybaków nad niemieckim szelfem nie psuły dobrego samopoczucia. Nikomu nie przyszło do głowy, że skoro dziś dla NRD niedopuszczalne jest łowienie ryb nad niemieckim szelfem, jutro niedopuszczalne stać się może pływanie nad nim polskich statków handlowych. Lekcja z rozdzielaniem szelfu niczego polskiego rządu nie nauczyła. Zmiana granicy morskiej PRL przeprowadzona została równie beztrąsko i nieodpowiedzialnie.

Polska rozszerzyła pas wód terytorialnych z 3 do 12 Mm w dniu 17 grudnia 1977 roku. Ustanowiony wtedy obszar wód terytorialnych miał jednak tylko dwie granice: od strony polskiego brzegu i od morza otwartego. Ustalenie jego bocznych granic

z wodami terytorialnymi ZSSR i NRD rząd PRL odłożył na czas nieokreślony, do chwili gdy — jak to nazwano w oficjalnym komunikacie — zawarte zostaną stosowne porozumienia z tymi państwami. Inicjatywę wyznaczenia polskich granic pozostawiono tym samym państwom ościennym. Granic nie ustalono, ale w wydawanym od 1978 roku „Atlasie Geograficznym Polski” warszawskie Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych przedstawia granice morskich wód terytorialnych PRL w Zatoce Szczecińskiej zadziwiająco zbieżne z granicami ogłoszonymi przez NRD w 1984 roku.

Negocjacje z NRD rozpoczęły się w roku 1978. Przez 7 lat toczyły się według sprawdzonego przez NRD schematu rokowań w sprawie strefy rybołówstwa morskiego: radzono w warunkach isticie lukullusowych, bez żadnych jednak rezultatów.

Strona polska nie wyciągnęła z tego żadnych wniosków. Nie rozpoczęto studiów teoretycznych nad delimitacją bocznej, zachodniej granicy morza terytorialnego. Przygotowane w tym czasie dwie różne, niezborne wersje założeń do ustawy o granicy państwowej i obszarach morskich zawierały podstawowe luki — nie określono w nich, na przykład, szerokości i długości morza terytorialnego.

O nienormalnej sytuacji prawnej spornego akwenu Zatoki Pomorskiej pod koniec lat siedemdziesiątych wiedzieli wszyscy pracownicy polskiej gospodarki morskiej. Gdy w połowie ubiegłej dekady Polska Żegluga Morska w Szczecinie zakupiła masowce typu „panamax” o zanurzeniu 14 m, konieczne stało się wytyczenie na redzie świnoujskiej głębokowodnego kotwiczowiska, na którym można by je częściowo rozładować i na którym, po olichtowaniu, mogłyby oczekiwać na miejsce przy nadbrzeżu. Oznaczone numerem 3 kotwiczowisko wraz z głębokowodnym torem doń prowadzącym wyznaczone zostały na akwenu o naturalnych głębokościach 16-17 m, znajdującym się na wodach otwartych Zatoki Pomorskiej, lecz nad szelfem kontynentalnym NRD. By z kotwiczowiska mogły korzystać statki obcych bander, musi ono zostać ogłoszone i opisane w *Wiadomościach Żeglarskich PRL*. By to zaś mogło nastąpić, kotwiczowisko musi być najpierw przesondowane i przetrałowane.

W listopadzie 1978 roku strona polska na konferencji służb hydrograficznych PRL i NRD wystąpiła o zgodę na sondowanie i trałowanie kotwiczowiska.

NRD zgody nie udzieliła.

Jeszcze trzykrotnie, na dorocznych plenarnych spotkaniach Urzędu Żeglugowego NRD i Urzędów Morskich PRL w latach 1979-1981 Polacy prosili o zgodę na sondowanie i trałowanie.

Niemcy trzykrotnie odmawiali.

Z kotwicowiska nr 3 korzystały więc wyłącznie polskie statki, najczęściej m/s „Bełchatów”, m/s „Turoszów”, m/s „Huta Katowice”, m/s „Huta Lenina”.

Resort gospodarki morskiej o sytuacji w Zatoce Pomorskiej poinformowany był dokładnie nie tylko z racji kłopotów z wyznaczeniem kotwicowiska nr 3. Pod koniec lat siedemdziesiątych dwaj naukowcy szczecińskiego oddziału Instytutu Morskiego, prowadzący objęte resortowym programem numer 117 badania ujścia Odry, doktorzy Stanisław Kalina i Gabriel Leśniewski, ostrzegali swych zwierzchników, że prawne położenie użytkowanych przez Polskę akwenów morza otwartego w Zatoce Pomorskiej jest niejasne. Przestrzegali wprost, iż w razie rozszerzenia obszaru wód terytorialnych przez NRD na terenie niemieckiego morza terytorialnego znajdzie się północny tor wodny.

Nie zainteresowali tym nikogo — ani w Szczecinie, ani w Warszawie. Panowie urzędnicy ministerialni z departamentu prawnotraktatowego, panowie naukowcy z Instytutu Spraw Międzynarodowych i panowie eksperci prawni z Instytutu Morskiego w polityce NRD nie dostrzegli nic niepokojącego.

Nawet wtedy, gdy w roku 1982 NRD opublikowała nową ustawę o granicy państwowej. Choć nie opublikowała wtedy przepisów wykonawczych, był to przecież sygnał, że Berlin sposobi się do zmiany swych granic morskich.

Po raz piąty władze NRD oficjalnie nie wyraziły zgody na trałowanie kotwicowiska nr 3 w dniu 20 kwietnia 1984 roku. Polska administracja morska na zakaz ten nie zareagowała. W Warszawie postanowiono zaczekać do następnego roku, aż Niemcy opamiętają się sami.



Niestety, opamiętywać się nie mieli zamiaru. Premier NRD Willy Stoph 22 grudnia 1984 roku podpisał rozporządzenie wykonawcze nr 2 o rozszerzeniu z dniem 1 stycznia 1985 roku wód terytorialnych z 3 do 12 Mm.

Dla polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych było to kompletnym zaskoczeniem. Ambasada PRL w Berlinie zaniedbując swe podstawowe obowiązki nie śledziła obrad enerdownskiej Izby Ludowej, nie miała pojęcia o debacie nad zmianą granic morskich NRD. O rozporządzeniu premiera Stoph'a ambasador dowiedział się ze źródeł oficjalnych w tym samym czasie co i urzędnicy w Szczecinie i Warszawie. NSZ zrewanżował się amba-

sadzie w podobny sposób. Ani w styczniu, ani w lutym 1985 roku nie przekazał do Berlina żadnych informacji ani instrukcji politycznych dotyczących się kwestii granicy morskiej z NRD. Pracownicy ambasady wyruszyli więc do Szczecina i Warszawy usiłując w prywatnych rozmowach zorientować się w sytuacji”.

W Urzędzie Gospodarki Morskiej aktu tego w ogóle nie rozumiano. Podobnie jak w Instytucie Morskim i Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Tylko w Szczecińskim Urzędzie Morskim któryś z urzędników sięgnął po linijkę i ogólnikowe sformułowania rozporządzenia premiera Stopha naniósł na mapę nawigacyjną. Urzędnicy SUM-u, mimo wszystko nie mogący uwierzyć, że NRD z dnia na dzień stała się właścicielem ponad 3/4 polskiego toru północnego do Świnoujścia (18,4 Mm), 4/5 polskiego kotwiczowiska nr 2, całego kotwiczowiska nr 3 oraz 30 km² polskiej strefy rybołówstwa morskiego, w pierwszych dniach stycznia 1985 roku wysłali do Urzędu Gospodarki Morskiej telexy z prośbą o podanie przebiegu nowej granicy morskiej NRD na terenie Zatoki Pomorskiej. Po kilku dniach dowiedzieli się, że jest to wiadomość z najwyższą klauzulą tajności i przebiegu granicy NRD ministerstwo zdradzić nie może. Władze NRD nie były tak dyskretne. Przebieg morskiej granicy swego kraju ogłosiły w *Wiadomościach Żeglarskich NRD* nr 2. Do opisu przebiegu linii granicznej dołączyły mapkę, na której starannie zaznaczono, iż północny tor wodny leży na wodach terytorialnych NRD.

W styczniu i pierwszej połowie lutego 1985 roku Szczeciński Urząd Morski kilkakrotnie alarmował Urząd Gospodarki Morskiej w Warszawie. Dyrektor naczelny Urzędu Morskiego w Szczecinie, kpt. ż.w. Józef Stebnicki, pisał 5 lutego 1985 roku do ministra — kierownika Urzędu Gospodarki Morskiej Jerzego Korzonka: „[...] Przebieg granicy wód morza terytorialnego NRD zagraża żywotnym interesom Zespołu Portowego Świnoujście-Szczecin. Polskie jednostki specjalne (takie jak: statki hydrograficzne, trałowce-stawiacze pław, pogłębiarki itp.) obsługujące tor wodny, nie będąc statkami handlowymi, nie mają prawa korzystania z wolności przepływu przez morze terytorialne NRD i obsłużeniowania podejściowego toru wodnego.

Granica wód morza terytorialnego NRD przecina podejściowy tor wodny do Świnoujścia w odległości 5,4 Mm na północ od główki falochronu Świnoujścia. Poczynając już od tego punktu w kierunku na północ prowadzenie jakichkolwiek prac pogłębiarskich nie będzie możliwe bez zgody rządu NRD.

Pogłębianie toru jest niezbędne z uwagi na to, że podejściowy tor wodny jest sztucznie pogłębiany na długości 8,5 Mm licząc na północ od główki falochronu w Świnoujściu, a także na od-

cin ku o długości około 2,5 Mm leżącym w odległości ok. 16 Mm od falochronu w Świnoujściu.

W przypadku braku zgody władz NRD na prowadzenie prac pogłębiarskich istnieje obawa, że głębokość toru wodnego do Świnoujścia z czasem zmniejszy się z aktualnych 14,5 m do głębokości naturalnych, tj. ok. 11 m.

Podobnie od zgody władz NRD będzie zależało wystawianie i zdejmowanie na okres dryfu lodów pław oznakowujących ten tor wodny. [...] W odniesieniu do kotwiczowiska nr 2 wytyczenie nowej granicy spowodowało zajęcie 4/5 jego obszaru, w tym akwen o największych głębokościach.

Całe kotwiczowisko nr 3 znalazło się wewnątrz wód morza terytorialnego NRD. Pojawia się więc pytanie, gdzie będą mogły bezpiecznie kotwiczyć statki o zanurzeniu powyżej 38 stóp (aktualnie dopuszczalne zanurzenie dla portu Świnoujście wynosi 42 stopy).

Osobny, ale jakże ważny z ekonomicznego punktu widzenia jest problem, czy władze NRD wyrażą zgodę na odlichtunki statków typu „panamax” na kotwiczowisku nr 3. Przy braku tej zgody statki nie będą mogły wykorzystać swojej nośności lub będą musiały być kierowane do innego portu, przy czym zauważyć należy, że Port Północny w Gdańsku nie posiada dogodnego połączenia drogą wodną ze Śląskiem”.

Dyrektor Urzędu Morskiego nie opisał wszystkich utrudnień i ograniczeń, jakie w nowej sytuacji NRD mogłaby narzucić stronie polskiej. Z przepisów prawa swobodnego, nieszkodliwego przepływu wynika bowiem jednoznacznie, iż płynące do portu w Świnoujściu statki musiałyby — na żądanie władz NRD — przyjmować na pokład pilota wyłącznie poza wodami terytorialnymi NRD. Również statki zmierzające do stoczni remontowej „Gryfia” musiałyby przyjmować hol od polskich holowników wyłącznie na morzu otwartym. Zdezorganizowałoby to ruch statków po torze północnym, już dziś kulejący z braku pilotów i sprzętu radionawigacyjnego.

Świnoujscy piloci morscy mówią, że na szyję Szczecina założona została pętla. Berlin miał i ma co najmniej dwa powody, by ją zacisnąć.

Możliwość zablokowania Świnoujścia dla statków pełnomorskich i spowodowania gospodarczej katastrofy Szczecina byłaby doskonałą kartą przetargową w politycznym szantażu wobec Polski. Realna groźba morskiej blokady Świnoujścia jest realnym środkiem wiodącym do wymarzonego przez NRD celu — praktycznego lub formalno-prawnego usadowienia się w Świnoujściu lub Szczecinie.

Zablokowanie Świnoujścia jest dla NRD także celem samym w sobie; jest najskuteczniejszym sposobem wyeliminowania konkurenta gospodarczego.

Po roku 1956 Świnoujście z awanportu Szczecina i bazy marynarki wojennej rozbudowane zostało w duży, głębokowodny port masowy o zdolności przeładunkowej 14 mln ton rocznie. Powstały w nim duży port rybacki, baza promów morskich, spora stocznia remontowa. NRD rozbudowę swej gospodarki morskiej rozpoczęła kilkanaście lat później. W Rostocku, Stralsundzie, Warnemünde, Sassnitz, Wismarze powstały nowoczesne, wyspecjalizowane porty i równie nowoczesne stocznie. Nowocześniejsze od polskich. NRD wyspecjalizowała się w transporcie kontenerów, ładunków chłodzonych i płynnych. Średnie roczne przewozy floty morskiej sięgają 25 mln ton towarów — po transporcie kolejowym flota jest największym przewoźnikiem w NRD. Porty wschodnioniemieckie, zwłaszcza Rostock, wyposażone zostały w specjalistyczne instalacje przeładunkowe o najwyższych standardach światowych i — co równie ważne — połączone zostały dobrymi drogami z obu Berlinami i europejską siecią transportu samochodowego. Niedoinwestowany, odcięty od sieci autostrad Szczecin zaczął przegrywać w konkurencji z portami Meklemburgii już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. NRD przejęła z latami obsługę blisko 3/4 promów na liniach skandynawskich, niemal zmonopolizowała tranzytowy przeładunek i ekspedycję kontenerów na południe i wschód Europy. Także stocznie niemieckie, doinwestowane, produkujące nowoczesne, skomplikowane technicznie statki (zwłaszcza stocznia „Warnow” w Warnemünde), zaczęły wygrywać ze stoczniami polskimi.

Budując w połowie lat osiemdziesiątych najnowocześniejszy port dla promów kolejowych w Mukran na Rugii, NRD w poważnym stopniu wyeliminowała Polskę z tranzytu NRD-ZSSR. Linią Mukran-Kłajpeda, na której niemieckie i sowieckie promy przewozić będą docelowo ponad 80 tys. wagonów kolejowych rocznie, wysyłana będzie niemal połowa eksportu NRD do ZSSR. Władze PRL nie uczyniły nic, by przyłączyć się do tej lukratywnej inwestycji i tym samym zmniejszyć straty polskiej gospodarki. Nie było to zresztą trudne. W latach 1977-1979 gdy opracowywano koncepcję linii Mukran - Kłajpeda, na czele komisji komunikacji RWPG stał polski minister komunikacji, zaś przepisy RWPG raczej uniemożliwiały niedopuszczenie PRL do spółki.

Niedoinwestowany, źle wykorzystywany Szczecin od kilkunastu lat przegrywa z portami wschodnioniemieckimi. Gdyby polską gospodarkę morską postawiono z głowy na nogi, mógłby stać się konkurentem groźnym. Tylko odcięcie go od pełnego

morza, zablokowanie dostępu panamaxów, bezapelacyjnie wyłącza Świnoujście i Szczecin z gry.

NRD usiłowała utrudnić dostęp do Świnoujścia już w początkach lat siedemdziesiątych. Największe głębokości (rzędu 20 m i więcej) w Zatoce Pomorskiej występują pod brzegami NRD. Tamtędy też, — w pobliżu Rugii, prowadzi najkrótsza droga z pełnego morza do północnego toru wodnego. Władze NRD nie mogły zatrzymać płynących tam polskich panamaxów, gdyż byłoby to naruszeniem podstawowego w międzynarodowym łańdźie morskim prawa swobodnego przepływu statków handlowych. Ogłosiły więc u wybrzeży strefę strzelań artyleryjskich swojej marynarki wojennej. Osobliwego, niedogodnego kształtu dla manewrów wojskowych, akurat doskonale blokowała najkrótszą i najbezpieczniejszą drogę polskich dużych masowców. Obszar strzelań artyleryjskich zlikwidowano wkrótce po ogłoszeniu rozszerzenia wód terytorialnych NRD.

Rozszerzenie wód terytorialnych pomyślane było w Berlinie dokładnie jako założenie Szczecinowi pętli na szyję. W Zatoce Pomorskiej Niemcy zagarnęli tor północny i zrazu nawet nie chcieli dyskutować o jakichkolwiek rokowaniach na ten temat. Należący do RFN tor prowadzący do Travemünde i duński tor głębokowodny „Ruty T” w rejonie Gedser leżą znacznie bliżej linii brzegowej NRD niż północny tor do Świnoujścia. Granicę swego morza terytorialnego NRD w obu wypadkach od razu cofnęła jednak tak, by tory te pozostały na morzu otwartym, zaś ich osie leżały w odległości minimum 0,6 Mm od linii granicznej. W rejonie Gedser wschodnioniemieckie wody terytorialne mają wskutek tego szerokość nie 12 Mm, lecz od 10,5 Mm do 8 Mm, zaś w rejonie Travemünde tylko 2 Mm.



Minister Korzonek, zaalarmowany wreszcie pismem Szczecińskiego Urzędu Morskiego z dnia 5 lutego 1985 roku, zdołał nakłonić do działania Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Rząd PRL 20 lutego 1985 roku notą dyplomatyczną nie uznał granic NRD w obrębie polskiego toru północnego prowadzącego do Świnoujścia. Tym samym uniemożliwione zostało zawłaszczenie spornego akwenu przez NRD drogą zasiedzenia.

Rząd NRD wytyczając swą granicę morską w Zatoce Pomorskiej aktem jednostronnym złamał obowiązującą go międzynarodową Konwencję Praw Morza z 1982 roku oraz pięć obowiązujących go umów międzynarodowych: Umowę Poczdamską, Układ

Zgorzelecki z roku 1950, Akt Frankfurcki z roku 1951, dwustronny Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej z roku 1967, znowelizowany w roku 1977 oraz postanowienia Układu Warszawskiego, zobowiązujące jego członków do konsultacji we wszystkich istotnych dla nich kwestiach.

W lutym 1985 roku rząd PRL mógł, jak przy całym innej okazji lubił mawiać gen. Jaruzelski, „odwrócić fatalny bieg wydarzeń”. Gdyby zdecydowano się oddać spór graniczny do rozpatrzenia przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, najprawdopodobniej w sprawie delimitacji granic zapadłby w Hadze wyrok korzystny dla Polski. Szczególne racje historyczne, gospodarcze i polityczne, które zawsze uwzględniane są w orzecznictwie Trybunału w podobnych konfliktach delimitacyjnych, jednoznacznie przemawiają na korzyść Polski.

Strona polska z obawy przed naruszeniem formalnej jedno-myślności w szeregach członków Układu Warszawskiego, możliwości odwołania się do trybunału haskiego nie wykorzystała nawet do wywarcia nieoficjalnego nacisku na Berlin. Nieoficjalnie zaproponowano natomiast Niemcom podział wód terytorialnych wedle linii mediany, poczynając od brzegu o 6 Mm. Propozycja była to horrendalna — NRD za zgodą polskiego rządu otrzymałaby co prawda mniejszą niż samowolnie zawłaszczyła 1 stycznia 1985 roku, ale jednak lwią część toru północnego. Na szczęście władze NRD, pewne, iż utrzymają w swym ręku wszystko, co zagarnęły, i notę, i polską propozycję podziału zignorowały. Wierne swej zasadzie, że kwestie sporne z PRL najlepiej załatwiać stopniowo, za to przy akompaniamencie kampanii wzajemnej przyjaźni, zasypały działaczy polskiej administracji morskiej deszczem odznaczeń. Medal za współpracę w gospodarce morskiej i za współpracę na wodach granicznych otrzymał także wiceminister w Urzędzie Gospodarki Morskiej.

Od marca 1985 roku władze w Szczecinie i Warszawie zajęły się przede wszystkim ukrywaniem prawdy o sytuacji w Zatoce Pomorskiej — przed społeczeństwem i przed sobą nawzajem.

Stanisław Miśkiewicz, I sekretarz KW PZPR w Szczecinie, polecił kierownictwom lokalnych redakcji i Okręgowego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk nie dopuszczać do publikowania jakichkolwiek informacji o rozszerzeniu wód terytorialnych NRD i konsekwencjach tego aktu dla PRL. Pracownikom Urzędu Morskiego zakazał udzielania dziennikarzom jakichkolwiek informacji. Wkrótce po wysłaniu przez szczeciński oddział Stowarzyszenia Odra-Wiśła memoriału do KC PZPR o niekorzyst-

nym dla kraju biegu wydarzeń w Zatoce Pomorskiej, wszczęto dochodzenie mające ujawnić autorów i ich źródła informacji.

Wzorem dyskrecji okazało się wspólne posiedzenie Komisji Morskiej KC PZPR i Komisji Spraw Zagranicznych KC PZPR. Działacze partyjni obradowali w szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich. Ani przewodniczący obrad Stanisław Bejger, w latach 1981-1982 minister — kierownik Urzędu Gospodarki Morskiej, ani minister Spraw Zagranicznych Stefan Olszowski, ani I sekretarz KW PZPR Stanisław Miśkiewicz, ani żaden z uczestników na temat akcji NRD nie zająknął się nawet słowem (dyrektor SUM-u, kpt. Stebnicki, w przeddzień narady dyplomatycznie zachorował).

Minister Stefan Olszowski milczał, ale działał. Do rządu NRD wystosował *aide-mémoire*, w którym proponował zaakceptowanie przez stronę polską nowej granicy niemieckiej, pod warunkiem zwrotu kosztów poniesionych na budowę i utrzymanie toru. Administracja morska otrzymała polecenie przeprowadzenia dokładnej kalkulacji kosztów budowy i utrzymania toru. Powątpiewający w rozumność takiego rozwiązania podwładni dowiedzieli się, że skoro Niemcy tor już zabrali, to niech przynajmniej zań zapłacą; użytkować zaś będziemy go jak dawniej, bo przecież nie odważą się robić Polsce jakichkolwiek utrudnień.

Po raz wtóry strona niemiecka nie wykażała się refleksem i nie zdążyła wykorzystać kolejnej osobliwej inicjatywy strony polskiej. Dziwacznej politycznie, ale także ekonomicznie. Nowy, głębokowodny tor podejściowy do Świnoujścia w akwenie leżącym na wschód od linii uznawanej przez NRD za swą granicę morską wytyczyć można dwojako. Krótsza droga wiedzie przez bardzo płytką Ławicę Odrzańą, dłuższa, omijająca ławicę, prowadzi przez wody o głębokościach 12-14 m. Niezależnie od wyboru któregoś z tych wariantów, wykopanie toru wymagałoby wybrania ponad 35 mln m³ piachu i mułu kosztem co najmniej 13,5 miliarda zł. Nowy tor wymagałby wybudowania nowego nabieżnika kosztem 700 mln zł i stałego oznakowania w punktach zwrotnych kosztem ponad 2 miliardów zł. Niezależnie od oznakowania, byłby torem niebezpiecznym, gdyż przy ostrych zwrotach silne prądy denne we wschodniej części Zatoki Pomorskiej powodowałyby utratę sterowności płynących nim statków. Silne prądy przydenne skutecznie zasypywałyby dno toru. Bieżąca jego konserwacja kosztowałaby nie miliard zł rocznie, jak w przypadku toru północnego, ale co najmniej 4-4,5 mld zł.

Co najważniejsze jednak, wybudowanie nowego toru nie ma sensu bez wykopania nowego kotwiczowiska głębokowodnego. Ukształtowanie dna we wschodniej części zatoki jest tak nieko-

rzystne, iż wykopanie kotwicowiska byłoby przedsięwzięciem bez precedensu w skali światowej. Koszt tych prac przekroczyłby 60 mld zł.

MSZ z pomysłu odsprzedania toru i kotwicowiska wyczołgało się szybko i skutecznie. Tak skutecznie, że próżno by dziś szukać w archiwach półtorastronicowego tekstu *aide-mémoire*.



„Składam tą drogą protest w imieniu własnym i innych polskich żeglarzy przeciwko niewłaściwemu traktowaniu polskich jachtów przez jednostki wojenne Niemieckiej Republiki Demokratycznej na wodach morskich Zatoki Pomorskiej.

Tradycyjnie polskie jachty wypływające na wody Bałtyku pływają w odległości wzrokowej wzdłuż wybrzeża polskiego lub Niemieckiej Republiki Demokratycznej, co wynika po prostu z konieczności prowadzenia nawigacji w oparciu o brzegowe znaki nawigacyjne. Ponieważ średnia widoczność na morzu waha się w granicach 5-8 Mm, jachty utrzymują taką odległość dla określenia własnej pozycji, co stanowi dla nich i ich załóg podstawowy warunek bezpieczeństwa.

Żegluga polskich jachtów w odległości mniejszej niż 12 Mm nie może stanowić dla Pańskiego Kraju żadnego zagrożenia tak w żegludze jak rybołówstwie ani innej istotnej dziedzinie życia. Swobodna żegluga jachtami wzdłuż wybrzeży jest powszechnym zjawiskiem w całej Europie i poza nią i spotyka się z powszechną wyrozumiałością i przychylnością.

Z niewiadomych mi przyczyn jednostki ochrony granic Niemieckiej Republiki Demokratycznej w ostatnim czasie stosują szykany wobec polskich jachtów polegające na tym, że siłą zmuszają je do opuszczenia wód morskich na odległość powyżej 12 Mm co automatycznie pozbawia je możliwości określenia swojej pozycji oraz uniemożliwia na wypadek nagłej zmiany warunków pogodowych szukania schronienia pod osłoną wybrzeża lub w którymkolwiek porcie NRD. Niezależnie od samego zakazu pływania dla polskich jachtów w obrębie pasa 12 Mm od brzegu NRD jednostki ochrony granic wykazują agresywność w egzekwowaniu swych poleceń i sprowadzają niebezpieczeństwo zderzenia. Wypadek taki miał miejsce między innymi w dniu 30 lipca 1985 roku na wodach Zatoki Pomorskiej na wysokości portu Sassnitz, kiedy to kuter patrolowy podszedł zbyt ostro do mojego jachtu s/y 'Sejwal' grożąc zderzeniem, oraz do jachtu s/y 'Marlin', który uszkodził przez zderzenie się z nim. Wyżej wymieniony kuter po uszkodzeniu jachtu 'Marlin' odpłynął nie troszcząc się o dalsze jego losy. Taki sposób postępowania dowódcy kutra patrolowego nie mieści się w normach prawnych i moralnych uznawanych w naszym kraju. Z poważaniem — Jerzy Przybysz, jachtowy kapitan ż.w.”.

Nie był to pierwszy ani ostatni protest złożony przez polskich kapitanów jachtowych w ambasadzie NRD; na wszystkie kierownik wydziału konsularnego p. Raboldt odpowiadał wykrętnie i kłamliwie. Pierwsze incydenty sprowokowane zostały przez okręty marynarki wojennej NRD tuż po rozpoczęciu morskiego sezonu jachtowego w roku 1985. Nie miały na celu ochrony żadnych

interesów NRD. Były szykaną, za pomocą której władze NRD usiłowały wywrzeć nacisk na stronę polską w rozpoczętych właśnie dwustronnych negocjacjach granicznych. Nie były szykaną jedyną. Władze NRD po styczniu 1985 roku konsekwentnie odmawiały zgody na pogłębianie toru północnego. Okręty patrolowe marynarki wojennej NRD od wiosny 1985 roku usiłowały zablokować ruch polskich statków na torze północnym, a przede wszystkim nie dopuścić do korzystania przez nie z kotwiczowiska nr 3. Jednostki niemieckie utrudniały odlichtowywanie polskich statków i, co dla marynarzy było szykaną dotkliwą, nie dopuszczały rodzin członków załóg na stojące na kotwiczowisku „panamaxy”. Parokrotnie próbowały usunąć zeń polskie statki między innymi m/s „Turoszów” i m/s „Uniwersytet Jagielloński” pod groźbą użycia siły.

Polscy kapitanowie za zgodą PŻM nie reagowali na wezwania jednostek niemieckich do zastopowania maszyn lub opuszczenia kotwiczowiska. Nieduże okręty niemieckie wobec wielkich polskich masowców były bezradne. Przewagę miały nad polskimi jachtami.

Już w 1985 roku okręty niemieckie kilkakrotnie nie odpowiadały na saluty polskich jachtów. Z opuszczoną banderą państwową, zamaskowanymi numerami taktycznymi dobijały do burt jachtów umyślnie powodując zniszczenia, w kilku wypadkach zagrożające bezpieczeństwu żeglugi. W następnych trzech sezonach żeglugowych działania okrętów NRD dokładnie odpowiadały międzynarodowej definicji piractwa morskiego. Nieoznakowane, pozabawione flag państwowych jednostki dwukrotnie ostrzelały ożglowanie polskich jachtów raketami sygnalizacyjnymi. W trudnych warunkach sztormowych patrolowce niemieckie zmuszały jachty polskie do obierania niebezpiecznych kursów żeglugi. W roku 1986 i 1987 powtórzyły się przypadki taranowania polskich jednostek. W roku 1988 niemiecki repertuar wzbogacony został o prowokację. Zaproszony przez Dom Pionierów w Rostocku s/y „Magnolia” koło przylądka Arkona napadnięty został przez okręt NRD — G 444. W ciągu 4 lat okręty niemieckie spowodowały ponad 180 incydentów.

Przeciwko pirackim akcjom marynarki wojennej NRD protestowali w niemieckiej ambasadzie polscy kapitanowie jachtowi. Wojewoda szczeciński Stanisław Malec i I sekretarz KW PZPR w Szczecinie Stanisław Miśkiewicz przez 4 lata nie zaprotestowali ani razu. Gorliwie natomiast pilnowali, by informacji o napaściach na polskie jachty nie publikowała szczecińska prasa.

W sprawie napaści na polskie jachty oficjalnego protestu nie

złożyło Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W sejmie nie interpelował żaden ze szczecińskich posłów. Nie protestował też Polski Związek Żeglarski. Owszem, po pierwszych incydentach nowo wybrany prezes PZZ Mieczysław Rakowski nieoficjalnie przeprosił władze NRD za naruszanie przez polskich żeglarzy 12-milowego pasa wód terytorialnych. Żeglarze w końcu zaprotestowali sami. Po staranowaniu we wrześniu 1988 roku przez niemiecki okręt G-738 wałbrzyskiego jachtu s/y „Sudety” Wrocławski Okręgowy Związek Żeglarski wystąpił do Zarządu PZZ z wnioskiem o zawieszenie wszelkich kontaktów żeglarskich z NRD.

Napaści na polskie statki nie były jedyną formą nacisku na stronę polską. Po odrzuceniu przez PRL niemieckiej propozycji umiędzynarodowienia podejść do portu świnoujskiego, z Rostocku, pod pozorem braku miejsc noclegowych, wydalono przebywającego tam służbowo polskiego historyka.

W roku 1986 rząd NRD, najwyraźniej ośmielony zagubieniem i bezradnością władz polskich, postawił przysłowiową „kropkę nad i”. Premier Willy Stoph 3 kwietnia 1986 roku podpisał trzecie rozporządzenie do ustawy o granicy państwowej z roku 1984. Reguluje ono ruch statków po niemieckich torach wodnych do portów niemieckich i do Świnoujścia. Wyraźnie stanowi o tym paragraf 13 rozporządzenia. Paragraf 14 zaś upoważnia ministra komunikacji NRD do zmiany dróg żeglugowych lub do ich zamknięcia.

Aby zniszczyć Świnoujście, Szczecin, zablokować Wielkopolskę, Górny i Dolny Śląsk wystarczy, by swój podpis złożył energiczny minister komunikacji Arndt.

Z nadanych sobie uprawnień Berlin skorzystał niemal natychmiast. W czerwcu wyznaczył stronie polskiej nowy fragment toru podejściowego o głębokości 8 m. To faktyczne żądanie zablokowania portu świnoujskiego polska administracja morska zignorowała. Odpowiedzią na niemieckie rozporządzenie nr 3 było ogłoszenie 27 września 1986 roku kotwiczowiska nr 3 obiektem w sensie międzynarodowego prawa morskiego.

I to już było wszystko, na co stać było polskie władze państwowe w konflikcie granicznym z NRD.

Demonstracja siły i stanowczości polskiej marynarki wojennej, na którą tak liczyli kapitanowie szykanowanych na redzie Świnoujścia statków, przeprowadzona została w trzy lata po pierwszych pirackich napaściach okrętów NRD. Polskie jednostki kilkakrotnie wychodziły w morze w czasie, gdy niemieckie patrolowce usiływały zatrzymać statki na torze północnym. Nasze okręty nigdy jednak nie przekroczyły linii, ogłoszonej przez NRD

nową granicą jej morza terytorialnego. Demonstracja siły była w istocie demonstracją bezsilności i uległości.

Partyjne władze Szczecina zdecydowaną akcję podjęły w marcu 1988 roku. Współ ze Stowarzyszeniem Odra-Wisła (którego przewodniczący poseł Edmund Męclewski przez 4 lata trwania konfliktu granicznego udawał, że o niczym nie wie) zorganizowały rocznicową replikę ślubowania morza. Wojewoda Malec ramię w ramię z sekretarzem Miśkiewiczem nad brzegiem Zatoki Pomorskiej odśpiewali „... nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, tak nam dopomóż Bóg...”.



Wiele uczyniły polskie władze, by istnienie i przebieg konfliktu granicznego z NRD ukryć przed społeczeństwem.

Przez pierwsze dwa lata milczały i nie dopuszczały do publikowania informacji na ten temat w oficjalnych środkach masowego przekazu. Po opublikowaniu w specjalistycznym czasopiśmie *Technika i Gospodarka Morska* artykułu prof. Janusza Gilasa o prawnych aspektach konfliktu, po przedrukowaniu tego tekstu w niektórych pismach codziennych, po ujawnieniu istnienia konfliktu przez dziennikarzy zagranicznych na konferencjach rzecznika rządu, wreszcie po ukazaniu się — ujawniających wiele zatajonych faktów — artykułów w niezależnym *Vacacie* i *Moście*, taktyka władz zmieniła się niewiele. Minister Urban przyznaje, że konflikt istnieje. Szczegółów jednak podać opinii publicznej nie chce, gdyż według niego dobro toczących się rokowań między PRL i NRD wymaga poufności. Pewne fakty dowodzą jednak, że zachowania tajemnicy wymaga nie tyle dobro rokowań, co sposób ich prowadzenia przez stronę polską.

Rozpoczęto je bez przygotowania. Nie zadbano ani o ekspertyzy ekonomiczne, ani o prawne (specjalistów Instytutu Spraw Międzynarodowych nie zaproszono do stałej współpracy).

Zespół ekspertów dobrano przypadkowo, wedle nieznanego im samym klucza.

Niejednokrotnie eksperci polscy (ale nie niemieccy) w trakcie narad przebywać musieli w innym pomieszczeniu, do którego polscy negocjatorzy wychodzili na konsultacje w trakcie rozmów.

Kierujący polską delegacją kilkakrotnie udzielali napomnień ekspertom, którzy zbyt twardo i agresywnie, ich zdaniem, prezentowali słuszność racji polskich.

Z nieznanых powodów skład ekipy polskiej zmieniany był dwukrotnie (niemieckiej — oczywiście — nie).

Ku czemu zmierzają tak prowadzone rokowania, ujawnił niechęący rzecznik MSZ Stefan Staniszewski na konferencji prasowej 20 października 1988 roku. Oświadczył mianowicie, że: „[...] obie strony nadal prowadzą rozmowy. Dotyczą one bogatej i złożonej substancji, a mianowicie rozgraniczenia obszarów morskich w Zatoce Pomorskiej, czyli ustalenia przebiegu granicy morskiej między dwoma suwerennymi państwami powyżej szóstej mili morskiej licząc od brzegu oraz przyjęcia odpowiednich regulacji w sprawie szelfu kontynentalnego i stref rybołówczych [...]”.

Oznacza to, że fatalny, bezprawny w istocie kruczek prawny zawarty w Akcie Frankfurckim nadal uznawany jest przez rząd polski za obowiązujący.

To zaś z kolei oznacza, że nawet po spełnieniu wszystkich żądań delegacji polskiej w granicach NRD pozostanie leżący na wschód od toru północnego akwen o pow. ok. 3 km² (punkt odległy o 6 mil od brzegu leży wszak 170 m na wschód od osi toru). Niewiele, w zupełności jednak wystarczy, by Niemcy w majestacie prawa międzynarodowego zablokowali porty w Świnoujściu i Szczecinie.

A przecież można by inaczej. W zakończonych przed dwoma laty rokowaniach w sprawie rozgraniczenia rozszerzonych do 12 Mm wód terytorialnych PRL i ZSSR delegacja sowiecka zażądała odrzucenia starego podziału wód 3-milowych i wytyczenia całkiem nowej granicy morskiej z uwzględnieniem swoich interesów gospodarczych i bezpieczeństwa. Granicy nie wytyczono wzdłuż linii będącej przedłużeniem granicy lądowej ani wzdłuż mediany. Granica przebiega na zachód od tych linii, gdyż tego wymagały interesy portu w Kaliningradzie.



Władze NRD od pewnego czasu zaczynają znajdować sobie coraz ciekawszych antenatów. Ostatnio przyznają się do tradycji pruskich, fryderycjańskich.

Do tradycji niemieckich komunistów, w 1945 roku starających się zatrzymać Szczecin w granicach Niemiec, konsekwentnie przyznają się od lat czterdziestu. Pod tym względem są ich godnymi spadkobiercami.

A władze polskie?

W sprawie Szczecina i Świnoujścia też są konsekwentne. Od 45 lat lekceważą potrzeby miast i ich mieszkańców, marnują ich możliwości, trwonią narodowe interesy nie dostrzegając upartego, skutecznego parcia NRD na wschód.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ambasador RP w Rzymie,

16 maja 1939 roku tłumaczył włoskiemu ministrowi Ciano: „Komunikacji z Prusami Wschodnimi mają Niemcy kilka. Dajemy w tym kierunku wszystkie ułatwienia i moglibyśmy im dać jeszcze takie czy inne techniczne udogodnienia. Żadną miarą jednak nie możemy ustąpić nic z naszych suwerennych praw, my, Polacy, wiemy bowiem dobrze, wie o tym równie dobrze Pan sam, wiedzą o tym i Niemcy, i dlatego właśnie nalegają na to, że każde, nawet najmniejsze ustępstwo w tym kierunku pociąga za sobą dalsze ustępstwa aż do zupełnej utraty suwerenności. O nasze więc suwerenne prawa rozchodzi się w tym sporze, o naszą suwerenność, a nie o jakąś tam drogę, tor kolejowy, wiadukt czy tunel!”.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski dla partyjnych historyków jest postacią niepoważną i nieodpowiedzialną. Władze PRL od półwiecza bez mała nie są w stanie zrozumieć tego, co dla Wieniawy było oczywiste. Nie potrafią utrzymać swej jedynej realnej legitymacji politycznej (jeśli nie liczyć sowieckich bagnetów i czterdziestopięcioletniego zasiedzenia) — granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Ze Szczecinem i Świnoujściem.

Karol PODGÓRSKI

Jan NOWAK

O PROCES BOLESŁAWA BIERUTA I WSPÓLNIKÓW

Głasność jest niebezpieczna dla komunistów, którzy rządili Polską po wojnie. Prawie każdy z nich otaczał się legendą, opartą na zmyślonych faktach i ukrywał wstydlive epizody z własnej przeszłości. Oficjalne życiorysy Władysława Gomułki zatajały na przykład, że w latach 1934 i 1935 przeszedł on przeszkolenie w Moskwie w tak zwanej „Leninówce” (Międzynarodowa Szkoła im. Lenina). Jako „ojciec narodu” Gomułka nie przyznał się, że w roku 1940 wraz z Alfredem Lampe, Marcelim Nowotko i Pawłem Finderem złożył na ręce Wandy Wasilewskiej podanie o przyjęcie go do WKP(b). Krwawa likwidacja działaczy jego własnej partii, pakt Ribbentrop - Mołotow i rozbiór Polski jako „bękarta Traktatu Wersalskiego”, masowe deportacje ludności polskiej — wszystko to widocznie nie zdołało zachwiać patriotyzmem Gomułki, dla którego ojczyzną był wciąż ZSSR — „kraj proletariatu”.

Mieczysław Moczar ukrywał prawdziwe nazwisko, narodowość i zawód ojca oraz przeszkolenie w ośrodku NKWD pod Smoleńskiem, a później ukończenie międzynarodowej szkoły dywersji i wywiadu w Gorki. Nie pasowało to do jego obrazu polskiego nacjonalisty. Tajemnica, a raczej sfałszowana legenda otaczała wojenną i przedwojenną przeszłość Edwarda Gierka, który przed rokiem 1945 nie miał nic wspólnego z ruchem komunistycznym. Jaruzelski kazał zrobić awanturę Amerykanom, gdy

Wolna Europa powtórzyła informacje z prasy sowieckiej, że generał odbył za młodu staż na Akademii Woroszyłowa w Moskwie.

Czarne plamy w życiorysie Bolesława Bieruta

Najwięcej czarnych plam zawierał do niedawna życiorys Bieruta. Dopiero ostatnio, na fali *główności*, rozgorzała na ten temat dyskusja i odezwali się żyjący świadkowie, którzy bezpośrednio zetknęli się z „Tomaszem” w różnych okresach jego życia.

Tocząca się obecnie w kraju debata wydobyla na jaw sporo fałszów i sprzeczności w dotychczasowych, hagiograficznych życiorysach człowieka, który z ramienia Stalina niepodzielnie rządził Polską w latach 1949-1956. Dotychczas nie udało się jednak wyjaśnić wszystkich niewiadomych.

Zacznijmy od faktów bezspornych.

Bolesław Bierut urodził się w 1892 roku w Rudach Brygitskich pod Lublinem, w małorolnej rodzinie chłopskiej, pochodzącej z rejonu Tarnobrzega. Do trzynastego roku życia uczył się w szkole elementarnej. W późniejszych latach dopełniał wykształcenie na różnych kursach wieczorowych. Zarabiał początkowo jako robotnik budowlany. Później nauczył się sztuki drukarskiej i pracował jako zecer. Do roboty politycznej wciągnął go działacz socjalistyczny Jan Hempel. Pod wpływem Hempla Bierut wszedł do tego odgałęzienia ruchu spółdzielczego, które pozostawało pod wpływem skrajnej lewicy, a w roku 1912 wstąpił do PPS-Lewica. Charakterystyczny jest późniejszy stosunek Bieruta do swego mistrza i nauczyciela, który wychował go na zawodowego rewolucjonistę. Hempel został zamordowany w czasie stalinowskiej czystki w roku 1936 jako agent polskiej Dwojki.

Już po wojnie żona Stanisława Szwalbe w prywatnej rozmowie zapytała Bieruta, czy wierzy, że jego wychowawca i najbliższy przyjaciel był zdrajcą. Bierut odpowiedział: „Gdyby nie terror — rewolucja by się nie utrzymała” (*Tygodnik Demokratyczny* z 30 października 1988). Ta dewiza posłużyła mu zapewne później jako moralne usprawiedliwienie własnych zbrodni.

Szwalbe twierdzi o sobie, że jest jedynym żyjącym człowiekiem, który współpracował blisko ze starszym od siebie o sześć lat Bierutem już w latach 1917-1918 w lewicowym ruchu spółdzielczym w Lublinie (*Polityka* z 25 lutego 1989) i w pierwszych latach Polski niepodległej. Bierut prowadził wówczas podwójne życie. W życiu legalnym wraz ze Szwalbe był współzałożycielem i członkiem pierwszego zarządu Warszawskiej Spółdzielni Miesz-

kaniowej na Żoliborzu, a później spółdzielni robotniczej w Zagłębiu Dąbrowskim. Równocześnie działał nielegalnie w podziemnej KPP, która powstała z połączenia PPS-Lewica i SDKPiL, i do 1925 roku występowała pod nazwą KPRP. W 1921 roku ożenił się z Janiną Gorzycką, pracowniczką przedszkola w spółdzielni na Żoliborzu, i miał z nią dwoje dzieci, Krystynę i Jana. Ten ostatni używa nazwiska Chyliński. Pożycie rodzinne trwało bardzo krótko. W 1923 roku Bierut został po raz pierwszy aresztowany i zwolniony po miesiącu. Do żony i dzieci już nie powrócił. W roku 1925 wyjechał do Moskwy, gdzie przeszedł pierwsze przeszkolenie polityczne, występując tam jako Jan Iwaniuk (niektóre źródła wymieniają nazwisko Iwańczuk). Do Polski wrócił nielegalnie po dziewięciu miesiącach i kierował centralną drukarnią KPP. Po raz drugi aresztowany był w styczniu 1927 roku i tym razem stanął przed sądem. Wyrok uniewinniający zawdzięczał Szwalbemu, który zeznał, że oskarżony jest działaczem legalnych związków spółdzielczych. Po wypuszczeniu z więzienia Bierut rozpoczął nowy rozdział życia. Wyjeżdża znowu do ZSSR, gdzie bierze udział w IV Zjeździe KPP w Sadowo-Sucharzewskoj pod Moskwą. W roku 1928 rozpoczyna półtoraroczne przeszkolenie polityczne, tym razem w Międzynarodowej Szkole Lenina. W tym czasie spotyka Małgorzatę Fornalską, która staje się jego „partyjną” żoną. Córka Bieruta i Fornalskiej, Aleksandra, urodziła się w Moskwie w 1923 roku. Używa obecnie nazwiska Jasińska-Kania.

Małgorzata Fornalska

Wydaje się, że w ukształtowaniu późniejszego Bieruta dużą rolę odegrała młodsza od niego o dziesięć lat Fornalska.

Pochodziła z rodziny chłopskiej, ze wsi Fajstławice w krasnostawskim. Mając lat trzynaście w czasie pierwszej wojny światowej została ewakuowana z rodziną do Carycyna (przemianowanego później na Stalingrad, a następnie na Wołgograd). Już w dwa lata później wstąpiła do miejscowej organizacji SDKPiL i brała udział w rewolucji bolszewickiej. Służyła w 1-szym Carycyńskim Batalionie Komunistycznym. W czasie bolszewickiej inwazji na Polskę była pracownicą Rewkomu (Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski) w Białymstoku. Po klęsce studiowała przez rok na komunistycznym uniwersytecie im. J. Swierdłowa, po czym już jako „funk” Kominternu wysłana została do Polski. Aresztowana w roku 1922, przesiedziała cztery lata w więzieniu. W 1926 roku w drodze wymiany agentów wywiadu

powróciła do Moskwy. Od 1930 roku pracowała w Polsko-Nadbałtyckim Sekretariacie Krajowym Komitetu Wykonawczego Kominternu. Jest bardzo prawdopodobne, że Bierut właśnie przez nią także został w 1930 roku „funkiem” III Międzynarodówki.

Komintern był instrumentem rygorystycznego podporządkowania Moskwie partii komunistycznych na całym świecie. Jako ośrodek centralny był on dla nich nie tylko źródłem instrukcji i funduszy. Międzynarodówka spełniała także policyjne funkcje nadzorcze, zbliżone do późniejszego Dziesiątego Departamentu Urzędu Bezpieczeństwa. Sprawowała nadzór nad prawomyślnością organizacji komunistycznych i działaczy poza granicami ZSSR. Ponadto Komintern i podporządkowane mu partie komunistyczne stanowiły — obok wywiadu wojskowego i NKWD — trzecią sieć wywiadu, dywersji i sabotażu, kierowaną centralnie z Moskwy. Kadra urzędnicza centralnego biura Kominternu w Moskwie składała się z elementu najbardziej fanatycznego, wypróbowanego i ślepo posłusznego. W ruchu komunistycznym „funkowie” Kominternu stanowili osobną kategorię. Odegrali dużą rolę w zlikwidowaniu i krwawym rozprawieniu się z działaczami KPP. „Funkami” byli m.in. Marcei Nowotko, Małgorzata Fornalska i Bolesław Bierut. Z tych czasów datują się prawdopodobnie osobiste powiązania Bieruta i Fornalskiej z szefem Kominternu, Georgim Dymitrowem.

Uderza niezwykle ruchliwość Bieruta w latach 1927-1932. Przez jakiś czas przebywa na terytorium Wolnego Miasta Gdańska, gdzie w Sopotach, poza zasięgiem władz polskich, mieściła się wówczas siedziba sekretariatu nielegalnej KPP. Odwiedza Pragę i Wiedeń, pracuje w Sekretariacie Krajów Bałkańskich Kominternu. Spędza osiem miesięcy w Sofii, gdzie występuje pod pseudonimem „Mikołaj”. W 1932 roku musi uciekać przed policją bułgarską i wraca do Moskwy. W październiku tegoż roku wysłany zostaje z powrotem do Polski, gdzie pełni funkcje sekretarza Komitetu Okręgowego KPP w Łodzi. Po roku, w grudniu 1933, wpada w ręce policji i po śledztwie trwającym przeszło rok dostaje wyrok siedmiu lat więzienia.

Niewyjaśniona zagadka

W tym miejscu kończą się bezsporne fakty i zaczynają się sprzeczności. Wszystkich działaczy komunistycznych przebywających w polskich więzieniach uwolniła dopiero kampania wrześniowa 1939 roku. Bierut stanowi pod tym względem dziwny wyjątek. Wypuszczony został na wolność przed upłynięciem sied-

miu lat kary, w grudniu 1938 roku. Kiedy w sześć lat później Stalin przedstawił Churchillowi swego kandydata na prezydenta Polski jako bezpartyjnego filantropa (działacza MOPR-u), brytyjski premier zaprotestował, powołując się na to, że Bierut powrócił przed wojną do Moskwy w drodze wymiany więźniów politycznych między ZSSR a Polską. W rozmowie na tym szczeblu Churchill na pewno nie przytaczałby niesprawdzonych informacji. Stalin nie zaprzeczył. Wykręcił się wymyślonym na oczekaniu kłamstwem, że Bierut w 1939 roku wystąpił ze względów ideologicznych z partii [która w rzeczywistości już od roku nie istniała (Lucjusz Włodkowski, „Czy wiedział o wszystkim”, *Odgłosy* nr 47 z 20 listopada 1988, z powołaniem się na pismo *Z pola walki*, 1987)].

Trzeba mieć na uwadze, że właśnie w roku 1938 doszło do rozwiązania przez Komintern KPP i masowych egzekucji jej czołowych działaczy. Dlaczego Stalinowi zależało na tym, by właśnie w tym momencie wyciągnąć Bieruta z polskiego więzienia?

Jeżeli istotnie tak było i jeśli Bierut wyszedł z więzienia w drodze wymiany więźniów politycznych, to musiał być odstawiony przez policję polską do granicy (tego rodzaju wymiany odbywały się na stacjach granicznych). Tymczasem według partyjnego biografy, Henryka Rechowicza („Bolesław Bierut, 1928-1956”, PWN, pierwsze wydanie 1974 r.) Bierut po wyjściu z więzienia mieszkał w Warszawie przy ul. Płońskiej 8 m 40 i pracował w spółdzielni jako buchalter, a w maju 1939 roku został wybrany do zarządu Pierwszej Pralni Spółdzielczej w Warszawie. Czy można temu wierzyć? Lucjan Włodkowski w cyklu artykułów („Bolesław Bierut, życiorys pełen mitów i zagadek”, *Odgłosy* j.w.) wykazuje czarno na białym, że książka Rechowicza roi się od fałszów i że każde następne wydanie różni się w istotnych faktach od poprzedniego. Możliwe więc, że Rechowiczowi chodziło o ukrycie wstydlivych faktów. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego władze polskie zdecydowały się wypuścić przed odbyciem kary właśnie Bieruta, zatrzymując w więzieniu wszystkich pozostałych.

Józef Świątło twierdził, że nad spreparowaniem życiorysu Bieruta pracowała w KC cała komisja (J. Świątło, „Za kulisami bezpieki i partii”, RWE, 1955, str. 3). Jednakże ani Józef Świątło, ani członkowie komisji nie znali jego prawdziwego życiorysu wojennego. Tłumaczyło się to tym, że w X Departamencie UB znajdowały się teczki personalne wszystkich członków władz partyjnych z wyjątkiem właśnie Bieruta. Tylko jego akta personalne przechowywane były wyłącznie w Moskwie.

Wojenne losy przyszłego „prezydenta” zostały więc prawdo-

podobnie sfalszowane. Według Rechowicza, Bierut w chwili wybuchu wojny przebywał w Warszawie, skąd udał się do Lublina, gdzie spotkał się z Witoldem Józwiakiem. Uchodząc przed aresztowaniem przez Niemców, przeniósł się pod okupację sowiecką do Kowla. Mamy uwierzyć, że wysoki aparatczyk centralnych biur Kominternu zgłosił się pokornie do pracy do miejscowego biura zatrudnienia i został skierowany do czerwonego futoru koło Kijowa, gdzie był zatrudniony przy rozbudowie węzła kolejowego w Darnicy, a później w sowchozie. W maju 1941 roku połączył się w Białymstoku z Fornalską. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej odesłał rzekomo rodzinę w głąb Rosji, a sam zamieszkał w Mińsku. „Szczegółów jego pobytu w Mińsku nie udało się dotąd odtworzyć” — pisze Rechowicz.

Bierut wysokim urzędnikiem administracji hitlerowskiej

Otóż nieprawda. Szczegóły pobytu Bieruta w Mińsku przedstawione były w audycji RWE, nadanej 20 lipca 1955 roku. W naszym studio w Sztokholmie stanął przed mikrofonem dr Andrian Kosarow, przez trzynaście lat więzień sowieckich łagrów. Kosarow, wypuszczony na wolność w listopadzie 1941 roku i wcielony do Armii Czerwonej, dostał się wraz ze swoim szpitalem polowym do niewoli niemieckiej pod Wiaźmą. Z początku pracował jako lekarz, później Feldkomendantura skierowała go do pracy w Komisariacie Generalnym Białorusi, gdzie zajął stanowisko zastępcy szefa jednego z wydziałów w Komisariacie Generalnym Wilhelma Kube (porównaj Zbigniew Błażyński, „Mówi Józef Światło”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1985, str. 28-29). W tym charakterze dr Kosarow spotkał Bieruta i tak opowiadał o nim słuchaczom:

„W związku z moją pracą codziennie miałem kontakt z komisariatem miejskim Mińska Białoruskiego, przede wszystkim z wydziałem gospodarczym i z wydziałem rozdziału produktów żywnościowych. W pracy tej stykałem się z naczelnikiem wydziału, inżynierem Malewiczem, i szczególnie często z jego zastępcą, Bierutem. Bierut miał się materialnie dobrze, bo w jego rękach była cała żywność Mińska.

Z dokumentów w generalnym komisariacie Białorusi w Mińsku dowiedziałem się, w jaki sposób Bierut zaawansował na to stanowisko. Wiceburmistrz Mińska Demidowicz-Demidecki, podający się za Białorusina, wyjechał w listopadzie 1941 roku wraz z przedstawicielami komisariatu generalnego do Alfreda Rosenberga, do Ost-Ministerium w Berlinie. Wrócił po dwóch tygod-

niach i przywiózł ze sobą Bolesława Bieruta, który natychmiast został przyjęty do pracy przez komisariat miejski w Mińsku, jako zastępca naczelnika wydziału gospodarczego i rozdziału produktów żywnościowych na Białorusi. Na swym formularzu osobistym podał narodowość białoruską i Warszawę jako stałe miejsce zamieszkania. W komisariacie zajmował się wyłącznie rozdziałem produktów wśród ludności i do innych spraw gospodarczych nie wtrącał się.

W pracy mojej w komisariacie generalnym wzywałem Bieruta do siebie dwa razy w ciągu miesiąca dla omówienia bieżących spraw i dla kontroli. Zdarzało się, że wyjeżdżałem sam do komisariatu miejskiego w Mińsku, aby wraz z Bierutem rozstrzygnąć incydenty, jakie trafiały się często przy rozdziale żywności.

W pracy swej Bierut był bardzo chytry i skryty. W dyskusjach politycznych nie brał udziału. Na bankietach i przyjęciach nie pił alkoholu. W niemieckim komisariacie w Mińsku miał doskonałą opinię”.

Opowiadanie Kosarowa zakrawało na taką sensację, że przed nadaniem audycji zwróciłem się do amerykańskiego korespondenta w Sztokholmie, Allana Dreyfussa, z prośbą, by przez swoje kontakty z władzami szwedzkimi sprawdził personalia informatora. Najbardziej nieprawdopodobna wydała mi się informacja, że Bierut sprowadzony został do Mińska z Berlina. Cóż mógł robić w stolicy hitlerowskiej Rzeszy w 1941 roku funkcjonariusz biur Kominternu, występujący *nota bene* pod własnym nazwiskiem i notowany jako komunista przez policję co najmniej czterech państw? Sam Bierut musiał się liczyć z tym, że niemieckie władze okupacyjne mogły znaleźć się w posiadaniu polskich akt sądowych i policyjnych. Tymczasem ze Sztokholmu nadeszła odpowiedź potwierdzająca wiarygodność informatora. Z całą pewnością — powtarzał Kosarow — komisaryczny burmistrz Mińska, Demidowicz-Demidecki, przywiózł Bieruta z Berlina.

Współpracę Bieruta z komisariatem Wilhelma Kube potwierdził trzydzieści lat później na łamach niezależnego pisma *Spotkania* Polak, J. Kossowicz, który jako petent przyjęty był przez przyszłego sekretarza PZPR w budynku hitlerowskiego komisariatu w Mińsku (J. Kossowicz, *Spotkania* nr 17/18, str. 131, Paryż 1983). Bierut przyjął go w swoim gabinecie, gdzie urzędował na tle wielkiego portretu Hitlera.

Z Mińska do Warszawy

Czy Bierut pod pokrywką kolaboranta działał w Mińsku jako zakonspirowany agent Kominternu? Pytanie to zadano Gomułce

w ostatnich latach jego życia, gdy zapomniany i odstawiony na bok mieszkał pod nadzorem bezpieki w willi Urzędu Rady Ministrów w Konstancinie. Gomułka odpowiedział przecząco. Twierdził, że Bierut kolaborował na własną rękę, z własnej inicjatywy. Gdyby było inaczej — powiedział Gomułka — to byłby przerzucony z Mińska do Warszawy przez wywiad sowiecki. Tymczasem Bierut, dowiedziawszy się, że Małgorzata Fornalska została zrzucona w Polsce — napisał do niej list na adres brata, młynarza z Janowa, prosząc o sprowadzenie go do Warszawy. Gomułka opowiada, że kilka lat po śmierci Bieruta dostał list od „towarzysza” z partii białoruskiej, który skarżył się że Bierut był w czasie wojny odpowiedzialny za ściąganie kontyngentów i rekwizycję żywności. Gomułka przekazał ten list Chruszczowowi z prośbą o wyjaśnienie i decyzję, co ma z tym zrobić. Żadnej odpowiedzi nie otrzymał. (Źródło poufne).

Tymczasem po wojnie ukazały się w Polsce artykuły i całe książki o bohaterskim wyczynie Janka Krasickiego, który przedostał się przez granicę do Mińska i przeprowadził stamtąd do Warszawy Bolesława Bieruta. Prawda wyglądała inaczej. Bierut przyjechał z Mińska z niemiecką przepustką, a fałszywe dokumenty na nazwisko Bolesława Birkowskiego wręczył mu Krasicki na stacji kolejowej w Terespolu. Tak oto przedstawił sprawę w RWE dr Kosarow trzydzieści pięć lat temu:

„W końcu sierpnia 1943 roku zatelefonował do komisariatu generalnego wiceburmistrz Mińska Demidowicz-Demidecki i powołując się na szefa komisariatu miejskiego Beckera stwierdził, że na podstawie orzeczenia komisji lekarskiej Bierut otrzymał zwolnienie z pracy na dwa tygodnie i że na okres ten ma wyjechać do Warszawy w sprawach rodzinnych. Szef komisariatu miejskiego Becker napisał do mego zwierzchnika doktora Webera pismo, aby wystawić Bierutowi rozkaz wyjazdu. W jakiś czas potem doktor Weber wezwał mnie do swego gabinetu. Zastałem u niego Bieruta. Weber wręczył mi dokumenty Bieruta, paszport wystawiony przez Stadtkomisariat Mińska, zaświadczenie o udzieleniu urlopu i polecił wystawić Bierutowi rozkaz wyjazdu do Warszawy.

Wypełniając rozkaz wyjazdu, zapytałem Bieruta, dlaczego ma on paszport miński wydany przez Stadtkomisariat w roku 1941, a nie paszport warszawski. Bierut zmieszał się i odpowiedział, że jako Białorusin wrócił z Warszawy do swego rodzinnego kraju i zamienił dawny paszport na białoruski. Wystawiłem więc rozkaz wyjazdu, doktor Weber podpisał dokument i Bierut wyjechał oficjalnie do Warszawy.

Po upływie pięciu czy sześciu dni zgłosił się do mnie niemiecki

konduktor kolejowy. Wręczył mi rozkaz wyjazdu Bieruta i portfel z jego dokumentami, mówiąc, że znalazł te papiery na torze kolejowym w Baranowiczach. Powiadomiłem o tym natychmiast komisariat miejski. Władze niemieckie przypuszczały, że partyzanci białoruscy porwali Bieruta i rozstrzelali go jako urzędnika niemieckiego”.

Tak więc propagandowa legenda odbiegła bardzo daleko od prawdy. Natomiast twierdzenie Gomułki, jakoby Bierut kolabował w Mińsku z hitlerowcami bez wiedzy i zgody najwyższych czynników w Moskwie, nie znajduje potwierdzenia w innych relacjach.

Pierwszą noc po dobieciu do Warszawy spędził Bierut u dawnego przyjaciela Stanisława Szwalbe w jego mieszkaniu na Żoliborzu. Bierut opowiadał Szwalbemu, że przedostał się do Warszawy z Moskwy, ukrywając przed nim swój pobyt w Mińsku (Lucjan Włodkowski, j.w., *Odgłosy* z 13 listopada 1988). Twierdził także, że gdy przekraczał granicę ZSSR w 1939 roku, został rzekomo aresztowany przez władze sowieckie (Rozmowa ze S. Szwalbe, *Tygodnik Demokratyczny* z 30 października 1988). Bardzo możliwe, że ta legenda miała pokryć jego zniknięcie z ZSSR, które mogło być zauważone przez innych komunistycznych uchodźców. O pobycie w Mińsku Szwalbe dowiedział się dopiero z niedawnej dyskusji prasowej. W tej pierwszej rozmowie na Żoliborzu Bierut poprosił o zameldowanie go na nazwisko Bolesława Birkowskiego, figurujące w jego fałszywej Kennkarcie dostarczonej przez Krasickiego, zamelinowanie go i ułatwienie kontaktów z konspiracyjną PPS, gdyż ma zorganizować w kraju pewnego rodzaju front narodowy do walki z hitlerowcami pod przewodnictwem ZSSR.

Wysłannik Kominternu

Ten ostatni szczegół w relacji Szwalbego jest bardzo istotny. Świadczy bowiem o tym, że Bierut przebywając na terenach okupowanych przez Niemców utrzymywał jakiś kontakt z biurem Kominternu w Moskwie i że dostał stamtąd zadanie. Stalinowska taktyka frontów ludowych w walce z Niemcami stała się obowiązująca po inwazji niemieckiej w 1941 roku. Bierut znajdował się już wtedy na terenach okupacyjnych. Wszystko więc wskazuje na to, że został sprowadzony z Mińska do Warszawy, bo stał się tam potrzebny po zamordowaniu w końcu 1942 roku pełnomocnika Kominternu, Marcellego Nowotki. Bierut w charak-

terze męża zaufania Dymitrowa był następcą Nowotki, chociaż formalnie pierwszym sekretarzem partii wybrany został po śmierci Nowotki Paweł Finder. Stanisław Szwalbe — zapewne na podstawie własnych obserwacji — nie miał wątpliwości, że Bierut po powrocie do Polski otrzymywał bezpośrednie dyrektywy z Moskwy, chociaż dopuszcza, że istniał drugi kanał, którym porozumiewano się z podziemnym KC PPR.

Bierut i Gomułka

Kilka miesięcy po przyjeździe Bieruta do Warszawy doszło do aresztowania pierwszego sekretarza PZPR, Pawła Findera, i Małgorzaty Fornalskiej (14 listopada 1943). Jednocześnie wyspa radiostacji przerwała komunikację z Moskwą. Następnego dnia odbyło się zebranie kierowniczej „trójki”. Obok Gomułki i Józwiaka — trzecie miejsce po Finderze zajął Bierut. Formalne dokooptowanie Bieruta do „trójki” nastąpiło na wniosek Gomułki na konspiracyjnym zebraniu KC w tydzień później (23 listopada 1943). W tym dniu zarysowała się po raz pierwszy rywalizacja między Bierutem a Gomułką. Józwiak zgłosił kandydaturę Bieruta na pierwszego sekretarza. Uzyskała ona tylko głos wnioskodawcy. Z kolei Bierut wysunął kandydaturę Józwiaka. Sytuacja powtórzyła się. Za Bierutem głosował tylko Józwiak, Gomułka wybrany został głosami pozostałych. Ponieważ łączność radiowa z Moskwą była zerwana, Gomułka objął stanowisko pierwszego sekretarza bez wiedzy i zgody Stalina.

W ciągu następnych miesięcy różnice między Gomułką a Bierutem pogłębiały się coraz bardziej. Gomułka, zdając sobie sprawę z braku oparcia PPR w społeczeństwie, chciał montować wspólny front z odpryskowymi grupami wielkich stronnictw PPS i PSL. Traktował to także jako taktykę rozbijania wielkich stronnictw, lojalnych wobec rządu polskiego w Londynie. Rozłamowe grupy lewicowe wyłoniły wspólne ciało — Centralny Komitet Ludowy. Przeciwno rozszerzeniu bazy KRN wypowiedział się Bierut. Argumentował, że jest to niepotrzebne patyczkowanie się, bo o wszystkim i tak rozstrzygnie obecność w Polsce Armii Czerwonej (Bronisław Syzdek, „U źródeł zwrotu w polityce PPR w 1948 roku”, w „Przesilenia i zwroty w dziejach Polski Ludowej”, Wojskowa Akademia Polityczna, *Zeszyty Naukowe* nr 110, str. 39).

Różnice poglądów zamieniły się z czasem we wzajemny antagonizm. Bierut dał mu wyraz w donosie na Gomułkę, wysłanym w tajemnicy przed innymi członkami kierownictwa do Georgi

Dymitrowa. Zarzucał w nim Gomułce, że nie stoi na wysokości zadania, prowadzi do rozłamu w partii, „stworzył własną grupę”, która odznacza się „brakiem pryncypialności” itd. „Wasza pomoc w rozwiązaniu tej kryzysowej sytuacji jest niezbędna... Zażądajcie pilnego przyjazdu jednego z członków KC, lub też przyślijcie do nas specjalnego pełnomocnika”.

Postulowana przez Bieruta zmiana na stanowisku pierwszego sekretarza nie nastąpiła, bo list zdystansowały wydarzenia najbliższych tygodni. List nosi datę 10 czerwca 1944 roku, ale nie wiadomo, kiedy dotarł do rąk adresata. W sześć tygodni później Bierut, Gomułka i reszta kierownictwa z Warszawy spotkała się w Lublinie z członkami Centralnego Biura Komunistów Polskich w Moskwie. Ci ostatni byli przedwojennymi komunistami o nastawieniu dogmatyczno-sekciarskim, zbliżonym do Bieruta. W nowym Biurze Politycznym komuniści z Moskwy mieli zdecydowaną przewagę nad „krajowcami”, ale o ustawieniu władzy w Polsce nie decydowali polscy komuniści, lecz Stalin, któremu potrzebny był kamuflaż w postaci fałszywej fasady „demokratycznych” stronnictw. W ówczesnej sytuacji międzynarodowej bliższa była Stalinowi koncepcja Gomułki niż Bieruta. Gomułka pozostał więc pierwszym sekretarzem, chociaż na Kremlu odnoszono się do niego z rezerwą i nieufnością. Mężem zaufania Stalina w Warszawie był od początku zawodowy aparaczyk dawnego Kominternu. Choć Bierut na życzenie Stalina występował jako bezpartyjny „prezydent” i formalnie nie należał do Biura Politycznego i KC, on to przekazywał kierownictwu PPR drobiazgowo instrukcje Kremla i on przyjmowany był przez Stalina (Mieczysław Jaworski, Odpowiedź na ankietę w artykule „Czy Bierut był polskim Stalinem?”, *Polityka* z 11 lutego 1989. *Tamże* Eugeniusz Duraczyński). Choć nie miał do tego formalnego tytułu — posiedzenia Biura Politycznego odbywały się w jego obecności w Belwederze.

Rozprawa z Gomułką

Punktem przełomowym było oderwanie się Jugosławii od Moskwy w 1948 roku. Stalin odpowiedział na nie radykalnymi środkami prewencyjnymi, które miały zapobiec powtórzeniu się jugosłowiańskiego wyłomu. Terror wobec ludności zapewnił już konsolidację rządów komunistycznych. Kamuflaż wobec Zachodu także już nie był potrzebny. Rozciągnięcie terroru na samych komunistów miało zamienić blok w monolit, rządony centralnie z Moskwy. Dla Bieruta nadszedł upragniony moment rozprawy z Gomułką. Przygotowany przez niego atak nastąpił na Plenum

KC w czerwcu 1948 roku, które odbywało się pod jego przewodnictwem pod nieobecność generalnego sekretarza. Wyposażony w odpowiednie pełnomocnictwa Bierut wyjechał do Moskwy (15 sierpnia 1948), by poinformować Stalina, że w partii doszło do ujawnienia nacjonalistycznego odchylenia, którego nosicielem jest Gomułka z niewielką grupą swoich zwolenników (Mieczysław Jaworski, „Geneza i charakter zwrotu w polityce partii i państwa”, *Zeszyty Naukowe*, j.w., str. 57). Po powrocie Bieruta do Warszawy Gomułka pozbawiony został swoich funkcji. Bierutowi powierzono tymczasowe kierownictwo partią. Niepodzielne rządy Bieruta rozpoczęły się 16 sierpnia 1948 roku.

Czy Bierut był polskim Stalinem?

Z tym pytaniem zwróciła się *Polityka* niedawno do wybranych historyków partyjnych i ludzi, którzy zetknęli się osobiście z Bierutem w działalności partyjnej. Większość odpowiedziała, że Bierut nim nie był, jako że jego kaliber był nieporównanie mniejszy. Jerzy Morawski, który po raz pierwszy zetknął się z Bierutem w podziemiu, odniósł wtedy wrażenie, że jest to człowiek bardzo przeciętny, niskiego lotu, z natury lękliwy. „Był kimś w typie urzędnika, administratora, nie był przywódcą, działaczem, politykiem” (*Polityka* z 25 lutego 1989). Mierności Bieruta przeciwstawił Morawski silną osobowość Gomułki. Sam Gomułka pogardliwie porównywał swego wroga do księżycy, który świeci zapożyczonym blaskiem.

Tak było niewątpliwie. Bierut był w rzeczywistości tylko imitatorem i gorliwym wykonawcą woli Stalina. Podobną rolę spełniał Rakosi na Węgrzech, Gottwald w Czechosłowacji, Ulbricht w Niemczech Wschodnich itd. Wszyscy oni posłusznie wprowadzali w życie ten sam wzorzec, który Stalin zaprowadził u siebie w latach trzydziestych. Istota systemu stalinowskiego polegała na tym, że czynnikiem suwerennym w państwie nie była partia ani Biuro Polityczne, lecz służba bezpieczeństwa, czyli aparat represyjny, którego faktycznym szefem i dysponentem był pierwszy (wówczas generalny) sekretarz partii. Faktycznym szefem NKWD nie byli Jeżow, Jagoda ani Beria, lecz Stalin, który każdego z nich mógł w dowolnej chwili postawić pod ścianę. Faktycznym szefem bezpieki nie był Radkiewicz, lecz Bierut. W rękach dyktatora potężny aparat terroru służył nie tylko trzymaniu w żelaznych korbach społeczeństwa, ale przede wszystkim samej partii. W ZSSR periodyczne krwawe czystki paraliżowały

biurokrację partyjno-rządową śmiertelnym strachem o życie własne i rodziny. Partia stała się monolitem. Każde odchylenie, nawet nieostrożne słowo mogło oznaczać zgubę.

Ten sam model narzucił Stalin po schizmie Tity krajom Europy Wschodniej. Bieruta i innych stworzył i ustawił Stalin na obraz i podobieństwo własne. W tym sensie Bierut stał się małym Stalinem w polskiej skali. Mechanizm terroru w Polsce był dokładną kopią modelu sowieckiego.

Zaraz na samym wstępie, w początkach 1949 roku, Biuro Polityczne wyłączyło sprawę bezpieczeństwa spod kontroli rządu i powołało komisję do spraw bezpieczeństwa. W skład jej weszli Bolesław Bierut jako przewodniczący, jego dwaj najbardziej zaufani ludzie, Jakub Berman i Hilary Minc, oraz Stanisław Radkiewicz jako wykonawca.

Jeszcze za czasów Gomułki Bierut podpisał statut biura specjalnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, które z czasem przekształcono w Dziesiąty Departament. Zadaniem tego organu było śledzenie członków partii, obserwowanie każdego ich kroku, gromadzenie przeciwko każdemu z nich materiałów obciążających, które mogły posłużyć Bierutowi jako środek szantażu. Wszystkie te tajemnice ogłosił zastępca dyrektora Dziesiątego Departamentu, płk Józef Światło. Twierdził on, że bezpośredni nadzór nad Dziesiątym Departamentem sprawował Jakub Berman, ale Światło otrzymywał często rozkazy wprost od Bieruta z pominięciem wszystkich innych.

Rewelacje Światły

Rewelacje Światły znalazły pełne potwierdzenie, gdy po śmierci Bieruta utworzono jego kasę pancerną zawierającą jego największe tajemnice (Łukasz Socha, „Pokolenia żałobami czarne”, *Krytyka*, Warszawa 1986, str. 44-51). Rzecz znamienna, że nawet w atmosferze obecnej *główności* historycy w kraju z reguły nie powołują się na to źródło. Powtarzają natomiast niemal dosłownie to, co Światło powiedział trzydzieści pięć lat temu.

Tak więc Bierut w roku 1951 zatwierdził osobiście instrukcje w sprawie metod wydobywania zeznań od uwięzionych. Instrukcje te przewidywały możliwość stosowania tortur (przymusu fizycznego) wobec ludzi, którzy odmawiali zeznań. Wszystkie ważniejsze procesy pokazowe odbywały się na rozkaz Bieruta. On albo Berman ustalali z góry tezy oskarżenia. Zadaniem bezpieczeństwa było znalezienie dowodów. Bierut naciskał opiesziałych.

Osobiście czytał raporty „agentów celnych”, zatwierdzał listy pytań zadawanych ofiarom i plany śledztwa. Kazał się informować o szczegółach śledztwa, wyznaczał ludzi, którzy mieli przygotować akt oskarżenia, a następnie osobiście zmieniał je i poprawiał (Zbigniew Błazyński, „Mówi Józef Światło”, j.w., str. 75). Bierut był tym, który nakazał uwięzienie Gomułki, Spychalskiego, Zymierskiego, Komara, Lechowicza i innych i on albo Berman byli tymi, którzy wydawali wyroki. Rozprawa sądowa była tylko przedstawieniem, które odgrywano według z góry ustalonego scenariusza.

Światło ujawnił, że zbrodnie Bieruta wobec ludności sięgają czasów okupacji niemieckiej. Jednym z zadań Nowotki jako wysłannika Kominternu była likwidacja pracowników Delegatury Rządu i żołnierzy AK przy pomocy akcji dezinformacyjnych. Polegała ona na wykrywaniu ludzi antykomunistycznego podziemia i podrzucaniu ich nazwisk do Gestapo, jako nazwisk rzekomych komunistów. Miała to być robota jak najgłębiej zakonspirowana nawet w łonie PPR (Gomułka dowiedział się o niej dopiero wtedy, gdy Gestapo przy likwidowaniu podziemnej drukarni, zadenuncjowanej przez komunistów, natknęło się przypadkowo na znajdującą się w pobliżu główną drukarnię PPR). Nowotko musiał mieć jednak wykonawców i wtajemniczył w tę niecną robotę ówczesnego dowódcę Gwardii Ludowej, Edwarda Mołojca. Jak twierdził Światło, Mołojec i jego brat byli wstrząśnięci tą propozycją, doszli do wniosku, że Nowotko jest agentem Gestapo i postanowili go zlikwidować. Wersja ta, która wydaje się najbardziej prawdopodobna, nigdy nie została podjęta i zbadana w szerokiej dyskusji nad rozwiązaniem zagadki, kto i dlaczego zamordował pierwszego sekretarza podziemnej PPR.

Światło był tym, który na zamówienie Bieruta miał zebrać po wojnie dowody, że Mołojcowie byli agentami imperialistycznego wywiadu. Materiał obciążający chciał Bierut wykorzystać przeciwko Gomułce i Spychalskiemu. Według Światły Bierut był tym, który kontynuował działalność komórki dezinformacyjnej po powrocie do Warszawy w 1943 roku. Światło natknął się w swoich dochodzeniach na niejaką Romę Romanowicz, która z polecenia Bieruta podrzucała do Gestapo listy akowców. Po wojnie Romanowicz pracowała jako sekretarka w kancelarii cywilnej Bieruta.

Terror wobec ludności nie zaczął się oczywiście w chwili, gdy Bierut skoncentrował całą władzę w swych rękach. Nowością było, że tym razem wymierzony był także przeciwko komunistom. Światło opowiadał, że już w 1950 roku Bierut na rozkaz

Stalina utworzył tak zwaną specjalną grupę likwidacyjną przy KC PZPR, której zadaniem było likwidowanie niewygodnych członków partii i innych stronnictw politycznych. Kierownikami tej grupy, głęboko zakonspirowanej nawet wobec partii, byli Michał „Kuba” Krajewski i Magdalena Tremblińska (żona Juliana Kole). Bierut miał więc już wprawę i doświadczenie w likwidowaniu komunistów. Partyjny historyk Andrzej Garlicki odpowiadając na ankietę *Polityki* przypomina, że Bierut odpowiedzialny był za zbrodnie popełnione wobec społeczeństwa, a więc za tysiące torturowanych i zgnojonych w więzieniu akowców, działaczy stronnictw demokratycznych i księży, za masowe wysyłanie ludzi do obozów pracy, za ofiary przymusowej kolektywizacji i za prześladowanie intelektualistów, którzy usiłowali utrzymać bardziej niezależną postawę. On był tym, który odrzucał wnioski o ułaskawienie ludzi skazanych na śmierć na podstawie fałszywych oskarżeń lub wymuszonych torturami zeznań. W samych tylko procesach „odpryskowych” związanych ze sprawą Tantara skazano 92 ludzi, z czego stracono 19.

Światło twierdził, że Bierut niekiedy chciał iść dalej od Stalina i bywał przez niego powstrzymywany. Tak było, gdy Bierut zaproponował zmianę polskiego hymnu narodowego, a później, gdy usiłował uzyskać od Stalina zgodę na uwięzienie Prymasa Wyszyńskiego. Stalin uznał, że na to za wcześnie. Bierut zrealizował swój zamiar po śmierci krwawego tyra.

Mit dobrego Bieruta

Uczestnicy dyskusji nad sprawą Bieruta rozprawili się z legendą, że on i Berman usiłowali hamować rozkazy Stalina. Tym rzekomo miało się tłumaczyć, dlaczego nie doszło do procesu Gomułki. Namiotkiewicz, który opisał dokładnie metody stosowane wobec Gomułki w śledztwie, twierdzi, że Bierut i Berman z całą bezwzględnością dążyli do pokazowego procesu Gomułki (W. Namiotkiewicz, „Sprawa Gomułki”, *Perspektywy* z 27 maja 1988). Namiotkiewicz uważa, że do procesu nie doszło, ponieważ Gomułki nie udało się złamać. Wydaje się, że to tylko połowa prawdy. Gomułka za dużo wiedział i za dużo mógł ujawnić na publicznej rozprawie. Wypuszczono go nie tylko na postawie rewelacji i oskarżeń Światły. Bierut mógł się słusznie obawiać, że jego przeciwnik ujawni na przykład jego działalność w Mińsku.

Mit o Bierucie, który rzekomo hamował i łagodził rozkazy Kremla, przekreśla jego zachowanie po śmierci Stalina. Bierut

nie miał już wtedy nad sobą dyktatora. Z Moskwy powiały inne wiatry. Po zgładzeniu Berii Politbiuro sowieckie rozesłało do bratnich partii pismo, poddające analizie nadużycia w sowieckim aparacie bezpieczeństwa. Bierut po raz pierwszy uchylił się więc od aktualnego, sowieckiego kursu. Usiłował kontynuować na własną rękę kurs Stalina. Wyrok na dziewiętnastu oficerów WP został zatwierdzony przez Bieruta i wykonany już po śmierci Stalina. Procesy Korczyńskiego, a później Lechowicza i Alfreda Jaroszewicza odbyły się w tym samym czasie. Prymas Wyszyński aresztowany został we wrześniu 1953 roku. Jeszcze przed wyjazdem na Zjazd partii w lutym 1956 Bierut domagał się kategorycznie zakończenia przygotowań do procesu Spychalskiego.

Jak umarł Bierut

Sytuacja zmieniła się radykalnie dopiero po jego śmierci. Jej okoliczności po dziś dzień nie zostały wyjaśnione. Według oficjalnych zapewnień, Bierut po XX Zjeździe zachorował na zapalenie płuc i umarł na serce. Komunikat ten przyjęty był w Polsce z niedowierzaniem. Po powrocie do Warszawy delegatów na XX Zjazd KPZS treść przemówienia Chruszczowa rozeszła się w kołach góry partyjnej. Ujawnienie przez Chruszczowa zbrodni Stalina przyjęto jako sygnał do ataku na Bieruta. Zwołane zostało zebranie aktywu partyjnego, które trwały trzy albo cztery dni (Rozmowa ze Stefanem Staszewskim, *Kontakt* nr 12/1983). Domagano się tam ujawnienia nadużyć i zbrodni popełnionych w Polsce i pociągnięcia sprawców do odpowiedzialności. Stenogramy obrad wysyłane były Bierutowi codziennie samolotem. Nie mógł być ciężko chory, bo telefonował nieustannie do Bermana, a jego osobisty lekarz, dr Płockier, nie został ściągnięty do Moskwy.

Chruszczow po pogrzebie w Warszawie powiedział Staszewskiemu: *Eto wy ubili Bieruta*. Nie podejrzewał chyba, że polscy „towarzysze” zamordowali go fizycznie. Jego odezwanie można było zrozumieć dwojako: albo raporty z Warszawy przyprawiły Bieruta o zawał serca, albo pod ich wrażeniem popełnił samobójstwo. Istnieje niesprawdzona wersja, że po wygrzebaniu się z grypy Bierut wyszedł do parku w obstawie dwóch goryli. Usiadł na ławce i kazał im odejść na pół godziny. Gdy wrócili, zastali go nieżywego. Od sprowadzonego z Warszawy naczelnego lekarza kliniki rządowej, dr. Fejgina, zażądano podpisania protokołu sekcji zwłok, przy której nie był obecny. Stąd rozeszły się pogłoski, że Bierut nie zmarł śmiercią naturalną.

Człowiek, który spoczywa dziś w całym majestacie w Alei Zasłużonych na warszawskim cmentarzu, nie był jedynym, ale z pewnością największym zbrodniarzem epoki stalinowskiej w Polsce. Gomułka, jak wiadomo, unikał publicznego prania brudów partyjnych i za jego czasów nad tym grobem panowała cisza. Natomiast po jego odejściu w połowie lat siedemdziesiątych, z nieznanych przyczyn kult Bieruta nagle odżył. W roku 1974 ukazała się wielokrotnie już wspomniana, pełna fałszerstw biografia Bieruta, pisana na czyjeś zamówienie w stylu życiorysu świętych przez Henryka Rechowicza. Miała aż trzy kolejne wydania. W każdym następnym autor musiał coś zmieniać i z czegoś się wycofywać. W roku 1978 powstało w Lublinie muzeum Bolesława Bieruta. Zwiedzający wysłuchują tam odtwarzanych z taśm jego przemówień, oglądają dokumenty, fotografie, pamiątki, meble itd. W roku 1979 życie i działalność Bolesława Bieruta stały się tematem popularnego, naukowego sympozjum w Lublinie. W tym samym roku Krzysztof Szmagier przystąpił do nakręcania filmu „Pierwszy prezydent”, który ukazuje go jako „żywego, pełnego radości życia człowieka” (*Polityka* z 10 maja 1980). W rocznicę jego urodzin i śmierci dygnitarze partyjni i rządowi oraz liczne delegacje składają uroczyście wieńce na grobie przy asyście kompanii honorowej. Już za czasów Jaruzelskiego w 1982 roku odbywała się w Lublinie wielka uroczystość w 90-tą rocznicę urodzin „zasłużonego działacza polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego”.

Wciąż są w Polsce ulice i fabryki imienia Bieruta. Uniwersytetowi we Wrocławiu nadano nazwę „imienia Bieruta” jeszcze za jego życia, na fali kultu jednostki. W roku 1981 senat uczelni, po przeprowadzeniu referendum w tej sprawie, zażądał od władz anulowania tej decyzji jako ubliżającej godności uniwersytetu. Aż osiem lat czekać musiał uniwersytet wrocławski na spełnienie tego żądania. Tablica mówiąca o nadaniu uczelni „imienia Bolesława Bieruta” w sześćdziesiątą rocznicę jego urodzin, usunięta została dopiero w styczniu 1989 roku. Mały, polski Stalin przestał być wreszcie „drogowskazem” dla uczonych i młodzieży akademickiej.

Polski Katyń

Jerzy Morawski, były sekretarz KC i były członek Biura Politycznego, określa Bieruta jako symbol kłamstwa (*Polityka* z 25 lu-

tego 1989). Należy do tych słów dodać: jest takim samym symbolem kłamstwa i zbrodni, jakim stał się Katyń. Nie można domagać się ujawnienia prawdziwych sprawców sowieckiego Katynia, nie żądając równocześnie ustalenia odpowiedzialności za zbrodnię okresu stalinowskiego w Polsce oraz ich rozmiarów. Ofiary Katynia stracone zostały w jednym miejscu kaźni i leżą we wspólnym, masowym grobie. Ofiary Bieruta i jego współpracowników zostały wymordowane na przestrzeni kilku lat, a ich zwłoki rozrzucone są po całym kraju. Wstrząsającą książkę Łukasza Sochy „Pokolenia żałobami czarne”, wydaną przez *Krytykę* w 1986 roku, wypełniają długie listy ofiar. Przekraczają one wielokrotnie liczby jeńców wymordowanych w Katyniu. Pośmiertne rehabilitacje nie oznaczały niczego innego jak oficjalne przyznanie, że dokonano na tych ludziach morderstwa, ale nigdy dotychczas nie usiłowano wskazać sprawców zbrodni, nigdy nie wdrożono śledztwa i prokuratorskich dochodzeń.

Nie wystarcza odbrązowianie w prasowych dyskusjach i artykułach. Elementarne poczucie sprawiedliwości wymaga normalnej procedury sądowej: pełnego dostępu do tajnych dokumentów, przesłuchania żyjących świadków, wysłuchania oskarżycieli i obrońców, wydania wyroku opartego na sądownie ustalonej prawdzie.

Wiadomo, że władze PRL wysuną argument, że zmarłych nie stawia się przed sądem. Odpowiedź na to jedna: zbrodniarzom i katom własnego narodu nie stawia się pomników. Trybunał Norymberski był sądem nadzwyczajnym powołanym *ad hoc* dla sądenia hitlerowskich zbrodniarzy. Dopóki nie zostanie w tym samym celu powołany trybunał i nie staną przed nim, choćby pośmiertnie, zbrodniarze stalinizmu, i dopóki nie będzie na nich wydany sądownie wyrok potępienia — panować będzie kłamstwo i moralny dualizm.

Bolesław Bierut jest przykładem zwyrodnienia systemu, któremu fanatycznie służył. Szwalbe twierdzi, że młody, fanatyczny komunista i działacz spółdzielczy Bierut nie ma nic wspólnego z Bierutem, który stał się właścicielem Polski Ludowej. Tego pierwszego Szwalbe określił jako „człowieka skromnego”, który „wierzył w słuszność stalinowskiej ideologii i praktyki”. Bierut w Belwederze otaczał się monarszym przepychem, jakiego nie powstydziliby się największy rekin kapitalistyczny pijący robotniczą krew. Obok belwederskiego pałacu i luksusowej rezydencji na Klonowej, przywódca robotniczej partii miał wille w Sopotach, Juracie, Międzyzdroju, Krynicy, w Karpaczu, w Pałacu Natolińskim, w Konstancinie, tudzież zameczek myśliwski w Łańsku.

Samego Belwederu pilnowała obstawa 50 żołnierzy KBW, innych rezydencji — po pięćdziesięciu. Nie odstępowała Bieruta obstawa 30 goryli, miał do dyspozycji dwie opancerzone limuzyny (J. Światło, „Za kulisami bezpieki i partii”, j.w.). Koszty tego wszystkiego pokrywała bezlitośnie wyzyskiwana klasa robotnicza. Jeden z takich robociarzy w przystępie szału wdarł się w 1952 roku z siekierą w rękę na dziedziniec belwederski, rozplątał głowę wartownikowi i rąbał drzwi do pałacu w chwili, gdy dosięgła go kula (J. Światło, j.w.). Ten szaleńczy zamach nieznanego, młodego robotnika urasta dziś do rozmiarów symbolu.

Jan NOWAK

Kajetan BIENIECKI

WILDHORN

Loty łącznikowe dwustronne z Zachodu do Polski znane są pod nazwą „Mostów”. Anglicy nadali tym operacjom kryptonim „Wildhorn”. Jeszcze w kwietniu 1940 roku, przed upadkiem Francji, płk Rowecki w meldunku do gen. Sosnkowskiego wysunął koncepcję lądowania samolotu na polowym lotnisku i zabrania poczty z Kraju¹. Poważniejsze jednak studia nad tym zagadnieniem rozpoczęto dopiero na terenie Anglii.

Wprawdzie Brytyjczycy lądowali potajemnie we Francji już w październiku 1940 roku², ale do realizacji dwustronnej łączności lotniczej z Polską przystąpiono dopiero w sezonie operacyjnym *Riposta* wiosną 1944 roku. Złożyło się na to szereg powodów. Jednym z nich była duża odległość, dzieląca bazy brytyjskie od Polski, a innym znikoma ilość samolotów o krótkim starcie i dalekim zasięgu, jaką dysponowali Brytyjczycy na początku wojny.

Rozpatrywano jednak różne możliwości i różne warianty projektowanych lotów dwustronnych. Generał Rowecki w depeście z 7 maja 1942 roku pisał:

„[...] Uważam za niezbędne loty dwustronne obok jednostronnych. Dla

1. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, Studium Polski Podziemnej, Londyn (AKwD), tom I, str. 224-225

2. Jackson Robert, *The Secret Squadrons* (dalej Jackson), Probson Books, 1983, str. 27-28: — F/L W.R. Farley (późniejszy d-ca 138 Sqdn.) lądował w nocy z 19/20 października 1940 roku Lysanderem z Eskadry 419 na polu koło Montigny niedaleko Fontainebleau we Francji i zabrał stamtąd Philipa Schneidau.

prac przygotowawczych podajcie wyczerpujące warunki dla wodnopłatowców. [...] Jeziora w GG nieduże wymagają dokładnego rozpoznania. Rozpatrzenie możliwości przylotu ze Szwecji lekkich samolotów pasażerskich z lądowaniem na polach dworskich. [...] Przyłot do nas w nocy nie wymaga uzbrojonego samolotu wojskowego, bolszewicy robią to samolotami komunikacyjnymi [...]³”.

Zaś w depeszy z 16 listopada 1942 roku gen. Rowecki domaga się, aby:

[...] usilnie doprowadzić do łączności dwustronnej — podstawowej na przyszłość między nami [...]⁴”.

W związku z powyższą depeszą, z końcem listopada 1942 roku szef Oddz. VI ppłk Protasewicz wezwał do siebie przedstawicieli SOE⁵, lt. col. Wilkinsona i mjr. Perkinsa, aby zasięgnąć od nich opinii na ten temat. Lt. col. Wilkinson stwierdził, że loty do Polski są uzależnione od Komitetu Szefów Sztabu, który uważa je za mało opłacalne. Dodał, że być może stanowisko to zmieni się w związku z lądowaniem aliantów w północnej Afryce i ofensywą, podjętą na tamtym teatrze operacyjnym. W wyniku dyskusji postanowiono przygotować lot, ograniczając go technicznie do zabrania 1-2 ludzi z Polski, ale nie poruszać zagadnienia dwustronnej łączności Naczelnego Wodza z Armią Krajową⁶.

Wkrótce po tej konferencji mjr Perkins przedstawił Oddz. VI wyniki wstępnej rozmowy na temat dwustronnego lotu do Polski, przeprowadzonej w *Air Ministry*:

„[...] Niskooktanowa benzyna jest nieużyteczna do brytyjskich typów silników lotniczych i jest bardzo wątpliwe, aby *Air Ministry* wyraziło zgodę na użycie tego typu mieszanki. [...] Przed dokonaniem lądowania na terytorium npla. miejsce lądowania musi być przedtem sfotografowane i zdjęcia dostarczone do *Air Ministry* do kontroli. [...] Jedyne typy samolotów z wystarczającym zasięgiem do tego rodzaju zadań to Halifaxy, lecz te maszyny wymagają betonowych wybiegów o długości od 1.200 do 1.400 jardów. Wydaje się, że tego rodzaju wybiegów nie macie panowie do swojej dyspozycji w Polsce. [...] Jedyne wodnopłaty z wystarczającym zasięgiem, który mógłby wodować w Polsce, to Catalina. Samolot ten jednak ma szybkość około 100 mil/godz. i z tego powodu nie jest odpowiedni ze względu na czas i godziny nocne. [...] Samolotem nadającym się do tego zadania mógłby być Lockheed Hudson, jednak zasięg jego wynosi zaledwie 500 do 600 mil⁷ [...]⁸”.

3. Studium Polski Podziemnej, Londyn (dalej SPP) sygn. 3.10.3.1. — Dep. Kaliny 395 z 7.5.42.

4. SPP sygn. Sk 16/9 — Dziennik czynności mjr. Jazwińskiego (dalej Jazwiński), str. 111 — Dep. Kaliny 994 z 16.11.42.

5. Special Operations Executive.

6. Jazwiński, str. 111-112.

7. Niezgodne z prawdą, samolot Hudson miał zasięg 2.160 mil: — Jackson, str. 181.

8. AKwD t. II — str. 377-379.

Wypowiedzi mjr. Perkinsa przekazano do kraju depeszą 5256, datowaną 15 grudnia 1942 roku⁹.

Z treści pisma mjr. Perkinsa wynika, że Anglicy odrzucili postulaty gen. Roweckiego o utworzeniu dwustronnej łączności. Warunki stawiane przez *Air Ministry* i argumenty natury czysto technicznej, używane jako powód do odmowy, miały swój cel. Nadające się do tej operacji dwusilnikowe samoloty amerykańskiej produkcji Lockheed-Hudsony, którymi RAF dysponował w małych ilościach, od początku wojny były potrzebne i używane wyłącznie do zwalczania niemieckich łodzi podwodnych, jak też do ochrony konwojów na wschodnich rubieżach Atlantyku¹⁰. W 1942 roku, kiedy chodziło o żywotne interesy Anglików, przydział takiego samolotu na operacje do Polski był prawie niemożliwy do urzeczywistnienia. Szczególnie, że w tym okresie nawet lotnicze akcje zrzutowe do Kraju były ciągle jeszcze w fazie eksperymentalnej. Samolotów tych do działań specjalnych i lądowań we Francji zaczęto używać dopiero na początku 1943 roku¹¹.

Siedem miesięcy później, 2 lipca 1943 roku, *Air Ministry* wyraziło zgodę na wykonanie operacji połączonej z lądowaniem. Podano termin operacji między 11-18 października 1943 roku w godzinach między 23.00 a 01.00 samolotem typu Hudson. Z czterech podanych przez Polaków lotnisk zaakceptowano dwa, nawet bez ich fotografowania¹². Do operacji tej o kryptonimie „*Wildhorn*” jednak nie doszło w październiku. Termin lądowania w Polsce przeniesiono na marzec lub kwiecień 1944 roku. Pisał o tym obszernie Lt. col. Perkins w liście z 30 października 1943 roku do mjr. Jaźwińskiego. Precyzował w tym liście wymiary, orientację i nawierzchnię polowego lotniska. Informował, że załogę samolotu stanowić będą Brytyjczycy z 161 sqdn., do której ewentualnie przydzielony będzie polski oficer łącznikowy lub drugi nawigator. Lt. col. Perkins podawał, że lot ten wykonany będzie trasą południową, na co pozwala nowa sytuacja strategiczna, powstała dzięki inwazji i kapitulacji Włoch¹³.

9. AKwD t. II — str. 380.

10. Rawlings John, *Coastal Support and Special Squadrons*, Jane's, 1982 (dalej Rawlings), str. 151: — Pierwszym sqdn. w RAF-ie, który wyekwirowano w Lockheed-Hudsony w maju 1939 roku, był 224 sqdn.

11. Rawlings, str. 110-111.

12. SPP, sygn. 3.10.3.1.: — List W/C Lockhart do W/C Corby 2599 z 2. 7. 43.

13. SPP, sygn. 3.10.3.1. — List Lt. col. Perkinsa do mjr. Jaźwińskiego 4907 z 30. 10. 43.

Po wymianie licznych depech przystąpiono do operacji „Wildhorn I” w nocy z 15/16 kwietnia 1944 roku.

W poniedziałek 28 lutego 1944 roku 267 sqdn. otrzymał z MAAF-u¹⁴ rozkaz przygotowania z dniem 2 marca samolotu i wyznaczenia załogi na lot do Polski połączony z lądowaniem na połowym lotnisku koło Warszawy. Do amerykańskiej produkcji dwusilnikowej Dakoty „I” FD-919 wmontowano dodatkowo w kabinie osiem podłużnych zbiorników na benzynę, aby przedłużyć lot do około 18 godzin. Załogę tego samolotu stanowili piloci: F/L E. J. Harrod, F/L Bolesław Korpowski (eskadra 1586), naw. P/O J. A. Wells i r/o P/O N. Wilcock.

Przez cały marzec warunki atmosferyczne na trasie do Polski nie były sprzyjające, jak również lotnisko nie nadawało się do lądowania, bo było zbyt mokre. Zmieniono też jego położenie spod Warszawy na pole koniczyny majątku Babin, leżące 15 km na południowy zachód od dworca kolejowego w Lublinie. [N 51°11' E 22°22']. Start nastąpił dopiero 15 kwietnia z lotniska Campo Casale o godz. 19.32. Na pokładzie samolotu znajdowało się dwóch cichociemnych i dwie walizki, wyładowane pocztą, dolarami amerykańskimi, blankietami *Kennkart*, aparatem filmowym i filmami¹⁵. Pilot obrał kurs na Jezioro Szkoderskie, położone na pograniczu Jugosławii i Albanii, lecąc na wysokości 9.300 stóp. Następnie skierował samolot na charakterystyczną pętlę Dunaju koło miejscowości Bogojevo, którą przekroczono o godz. 22.05. Czterdzieści minut później ciężka artyleria przeciwlotnicza oddała dwie salwy, więc F/L Harrod zrobił kilka uników i wzniósł się wyżej do 10.500 stóp, obierając kierunek na następny punkt orientacyjny, którym było ujście Wisłoki. W rejonie Budapesztu reflektory szukały po niebie Dakoty i odezwała się artyleria. Szczęśliwie dolecano do ujścia Wisłoki, gdzie pilot obniżył lot do 4.000 stóp i leciał już wzdłuż Wisły do ujścia Sanu. Stąd obrał kurs na połowe lotnisko BĄK pod Lublinem. F/L Harrod nadlatywał na nie pięć razy na wysokości 1.000 stóp, sygnalizując rozpoznawcze hasło, zanim na nim wylądował o godz. 00.40. Odwrotnie ustawiono światła wytyczające kierunek wiatru, więc Dakota z trudem zatrzymała się przed zagajnikiem, gdyż lądowała z wiatrem. Start się opóźnił, gdyż poczta i pięciu pasażerów, wśród których byli gen. Tatar i ppłk Hańcza, czekało ze złej strony lotniska. O godz. 00.55 F/L Har-

14. *Mediterranean Allied Air Force.*

15. *Jaźwiński, str. 285.*

rod wystartował z trudem z grzęskiego połowego lotniska i przy niebezpiecznie niskiej szybkości w ostatniej chwili poderwał do góry w skręcie Dakotę. W drodze powrotnej leciano tą samą trasą na wysokości 13.000 stóp. W rejonie Budapesztu odezwała się ponownie artyleria przeciwlotnicza. Lądowano w Campo Casale o godz. 05.45. Cała operacja trwała 10 godzin i 13 minut¹⁶.

Wiele lat po wojnie lot ten opisał w swoich wspomnieniach drugi pilot tej Dakoty F/L Bolesław Korpowski. Lot ten, choć jego 11 z kolei do Polski a operacyjny 44, musiał mu utkwić głęboko w pamięci, bo opis jego pokrywa się dość dokładnie z dokumentami.

Mjr Jaźwiński depeszą 599 z 16 kwietnia informował gen. Bora-Komorowskiego:

„[...] WCZORAJ ZEFIR [start — K.B.] 8079 [dwustronny lot — K.B.] ORAZ 2103 [transport lotniczy — K.B.] CZTERY NASZE I OSIEM [pomyłka, tylko siedem — K.B.] 4429 [angielskich — K.B.] WYKONANE 8079 [dwustronny lot — K.B.] I TYLKO TRZY NASZE 2103 [transport lotniczy — K.B.] [...] 7401 [wartość zrzutu — K.B.] NA BAJOR [improvizowane lądowisko — K.B.] BĄK — 7219 [skoczko- wie — K.B.] SARNA [mjr Narcyz Łopianowski — K.B.] I BRYŁA [por. Tomasz Kostuch — K.B.] I DWIE WALIZKI [...]”¹⁷”.

W trzy dni później w środę 19 kwietnia pięciosobowa ekipa, podjęta „*Mostem*” z kraju, odleciała o godz. 06.00 Dakotą „?” ??-475 z tą samą załogą do Anglii. Po 9.15 godzinnym locie lądowano w Gibraltarze, skąd po uzupełnieniu benzyny i krótkim odpoczynku odlecano do Londynu, lądując tam 20 kwietnia¹⁸ najpierw w Kornwalii na przybrzeżnym lotnisku w Portreath, a następnie na lotnisku londyńskim w Hendon. Z Gibraltaru do Portreath leciano nocą i lot trwał 8.45 godzin, a z Portreath do Hendon w dzień i lot trwał godzinę i 35 minut¹⁹.

16. SPP, sygn. Sk 20/5 — *Sortie report 15/16 Apr. 44.*; Public Record Office, Londyn (dalej PRO) AIR 27/1560, str. 2-3 — *Dziennik działań 267 Dywizjonu*; *Log book*: Bolesław Korpowski; Mapa 1 : 300.000 Lublin; SPP, sygn. SK W1/4 — Ewidencja lotów sezon 1943/44.

17. Jaźwiński, str. 285; PRO, AIR 27/996 — *Dziennik działań 148 sqdn.*

18. Kopański Stanisław, *Wspomnienia wojenne*, Veritas, Londyn (dalej Kopański), str. 309 — błędnie podaje datę przybycia ekipy do Hendon 21 kwietnia.

19. *Log book* — Bolesław Korpowski.

Generał Bór depeszą 708 z 19. 4. 44 informował Londyn:

„[...] Z 15/16 KWIETNIA ODLECIELI DO WAS: [...] TURSKI [gen. Stanisław Tatar — K.B.] ZASTĘPCA SZEFA SZTABU — CELEM ZREFEROWANIA I OMÓWIENIA CAŁOKSZTAŁTU PRZYGOTOWAŃ BOJOWYCH, [...] ROCH [ppłk Ryszard Dorotycz-Malewicz vel Hańcza — K.B.] Z OD-CINKA ŁĄCZNOŚCI I 2103 [transportu lotniczego — K.B.] [...], DOWMUNT [kpt Andrzej Pomian — K.B.] Z BIPU [...], WYŚŁANNIK DELEGATA RZĄDU, [Zygmunt Berezowski — K.B.] PRZEDSTAWICIEL KWADRATU [Stanisław Ołtarzewski — K.B.]²⁰”.

Operacja „*Most I*” niewątpliwie była dużym osiągnięciem organizacyjnym. W Londynie załogę Dakoty udekorował 26 kwietnia gen. Sosnkowski²¹. Mjr Jaźwiński otrzymał 17 kwietnia od swego szefa ppłk. Protasewicza telegram 3114 następującej treści:

„[...] NACZELNY WÓDZ I SZEFSZTABU POLECILI PRZEKAZAĆ PANU MAJOROWI, ESKADRZE I BAZIE GRATULACJE. [...]”²²”.

Generał Bór-Komorowski depeszował 25 kwietnia mjr. Jaźwińskiemu:

„[...] GRATULUJĘ WAM I ZAŁODZE WYKONANIA 8079 [dwustronnego lotu — K.B.] [...] LAWINA 732²³”.

Do 267 sqdn. przysłał list z gratulacjami dla załogi mjr gen. Stawell, wyższy oficer SOE z „Force 266” przy sztabie dowódcy wojsk alianckich na obszarze Morza Śródziemnego²⁴. A lt. col. Threlfall, w liście z 19 kwietnia, przekazał mjr. Jaźwińskiemu słowa uznania, otrzymane od col. Keswicka i lt. col. Perkinsa za pomyślne wykonanie operacji „*Wildhorn*”²⁵.

W kraju natomiast nastąpiły liczne aresztowania, gdyż poczynione przygotowania do przyjęcia Dakoty nie uszły uwadze Niemców. Przyczyną dekonspiracji były duże siły, które skon-

20. AKwD, t. III — str. 412-413.

21. Sosnkowski Kazimierz, *Materiały historyczne*, Gryf, Londyn 1966, str. 173-174.

22. Jaźwiński, str. 290.

23. Jaźwiński, str. 290.

24. PRO, AIR 27/1560 — *Dziennik działań 267 sqdn.*, str. 3.

25. Jaźwiński, str. 290.

centrowano na stosunkowo małym obszarze do ubezpieczenia lotniska i za długi był okres czuwania na przylocie Dakoty²⁶.

„Wildborn II” — „Drugi Most”: 29/30 maja 1944 roku

W miesiąc po „pierwszym Moście” przystąpiono do organizowania następnego lądowania, ale już na innym połowym lotnisku o kryptonimie MOTYL, położonym 20 km na północny zachód od dworca kolejowego w Tarnowie, nad rzeczką Kisieliną między wsiami Wał-Ruda i Jadowniki Mokre [N 50°08', E 20°47']²⁷. Lotnisko BĄK zostało bowiem spalone.

267 sqdn. otrzymał dnia 14 maja rozkaz przygotowania samolotu i wyznaczenia załogi na operację połączoną z lądowaniem w Polsce, z gotowością do lotu poczynawszy od dnia 17 maja 1944 roku.

Mechanicy zamontowali w kabine Dakoty „V” KG-477 cztery dodatkowe zbiorniki paliwa, co w sumie przedłużało lot maszyny do mniej więcej 14 godzin. Załogę samolotu stanowili: piloci F/L M. O'Donovan, P/O Jacek Błocki (eskadra 1586), naw. F/O J. W. Strain i r/o P/O D. R. Thomas.

Lot odwoływano jednak dwukrotnie 24 i 27 maja z braku przydziału myśliwców dla eskorty nieuzbrojonej Dakoty. Eskorta potrzebna była na około dwie godziny lotu, tzn. do zapadnięcia zmroku.

W poniedziałek 29 maja 1944 roku F/L O'Donovan wystartował Dakotą „V” KG-477 o godz. 19.35 i obrał kurs na północny wschód. Na pokładzie samolotu znajdowało się dwóch skoczków, ppłk Romuald Bielski BEJ i gen. Tadeusz Kossakowski KRYSTYNEK, oraz 964 funty sprzętu. Eskortę Dakoty do zapadnięcia zmroku, zamiast myśliwców, stanowiły dwa polskie Liberatory: „R” EV-978 F/L Michała Goszczyńskiego (naw. F/O Władysław Krywda) i „S” BZ-965 F/L Zbigniewa Szostaka (naw. F/L Kazimierz Wünsche), które leciały w tym samym czasie z zaopatrzeniem na placówkę na Obszarze Lwowskim.

Wkrótce po przekroczeniu brzegu jugosłowiańskiego wszystkie trzy samoloty zostały ostrzelane przez lekką artylerię przeciwlotniczą. W rejonie Budapesztu samotnie już lecącą Dakotę ostrzelała jeszcze raz artyleria przeciwlotnicza. Dzięki unikom

26. SPP, sygn. 3.10.3.2. — Musiałek-Łowicki Stefan (ppłk „Miroslaw”) *Lądowanie alianckich samolotów w Polsce („Mosty”) w relacji uczestników*, str. 1, 16 (dalej Musiałek-Łowicki).

27. Mapa 1 : 100.000 Brzesko Nowe.

zrobionym przez pilota samolot uniknął trafienia i dalszy lot odbył się już bez przygód. Pogoda na całej trasie była dobra. Cel osiągnięto dwie minuty po północy i po wymianie sygnałów F/L O'Donovan wylądował o godz. 00.07 na lotnisku MOTYL. Lotnisko stanowiła łąka porośnięta trawą sięgającą po kolana. Pas startowy wyznaczały pochodnie, trzymane przez ludzi po obu stronach tego pasa. Początek pasa startowego wskazywało jedno zielone światło, umieszczone na północno-zachodnim krańcu, a koniec pasa — dwa czerwone światła, ustawione na południowo-wschodnim krańcu. Te kolorowe trzy światła, oddalone od siebie o około 820 m, wyznaczały długość pasa startowego.

Po wylądowaniu F/L O'Donovan ustawił Dakotę do startu i nie zgasił silników. Samolot rozładowano i załadowano błyskawicznie. Na pokład zabrano pocztę i trzech ludzi: płk. Romana Rudkowskiego RUDY, mjr. Zbigniewa Sujkowskiego²⁸ vel Leliwę WYGA i emisariusza Stronnictwa Ludowego Jana Domańskiego BARTNICKI.

F/L O'Donovan w sześć minut po wylądowaniu wystartował z polowego lotniska i obrał kurs na bazę. W drodze powrotnej nie napotkano żadnych przygód. F/L O'Donovan lądował w Campo Casale o godz. 04.08. Operacja trwała więc w sumie 8 godzin i 33 minuty²⁹.

„Wildhorn III” — „Trzeci Most”: 25/26 lipca 1944 roku

Przed przystąpieniem do opisu „trzeciego Mostu” należy się pewne wprowadzenie. „Pierwszym Mostem”, jak już wspomniano, przybył z Kraju gen. Stanisław Tatar, który w Armii Krajowej zajmował stanowisko szefa operacji Komendy Głównej³⁰. Po przybyciu do Londynu gen. Tatar, na wniosek szefa Sztabu N.W. gen. Kopańskiego, z którym znał się od roku 1924 z Oficerskiej Szkoły Artylerii, gdzie obaj byli wykładowcami, został

28. Zbigniew Sujkowski, ur. 8.1.1898 w Będzinie. Jako 16-letni chłopiec wyruszył z Oleandrów na pierwszą wojnę światową w szeregach 1 Kadrowej Kompanii. W latach 1930-1939 był członkiem Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie i docentem Uniwersytetu Warszawskiego. W Armii Krajowej z-ca d-cy KEDYW-u. W latach 1946-1948 jako Zbigniew Leliwa był profesorem na polskim uniwersytecie w Londynie (PUC). Zginął tragicznie 8.9.1954 r. w Kanadzie.

29. SPP, sygn. Sk 20/6 — Operation „Motyl” z 30.5.44; PRO, AIR 27/1560 — Dziennik działań 267 sqdn., str. 16; Log book: Michał Goszczyński, Stanisław Wileniec; Notatki z operacji w II turze: Zygmunt Radecki.

30. Zeszyty Historyczne nr 72 (1985), str. 211 — List Stanisława Tatara do prof. dr. Janusza Zawodnego.

mianowany przez gen. Sosnkowskiego zastępcą szefa Sztabu N.W. do spraw krajowych. Podlegał mu Oddział VI (Specjalny) w Londynie oraz bazy, ośrodki łączności i stacje wyczekiwania w terenie³¹. Nominacja gen. Tataru na to stanowisko, jak się później okazało, była błędem. Pociągnęła ona za sobą liczne zmiany. Odszedł ppłk dypl. Michał Protasewicz, a na jego miejsce szefem Oddziału VI został świeżo awansowany na ppłk. mjr dypl. Marian Utnik. Ppłk. Hańczę³², z którym przyleciał z Kraju do Anglii, gen. Tatar wysłał do Włoch do objęcia dowództwa nad bazami i ośrodkami łączności. Tej nowo stworzonej funkcji nadano kryptonim ELBA³³. Dotychczasowy dowódca Głównej Bazy Przerzutowej (GBP) o kryptonimie JUTRZENKA, mjr dypl. Jan Jaźwiński SOPJA³⁴, stracił uprawnienia dowódcy pułku, prawo podpisywania korespondencji i kontaktowania się z SOE. Podał się więc do dymisji. Zmiany te nastąpiły w krytycznym momencie dla Armii Krajowej, bo na krótko przed wybuchem powstania w Warszawie i operacją „Wildhorn III” — „trzecim Mostem”.

Operacja „Wildhorn III” związana była ściśle ze zdobyciem pocisku raketowego V-2 (A-4) przez oddziały Armii Krajowej. Celem tej operacji było przywiezienie do Londynu głównych części pocisku i dokumentacji.

Dnia 8 lipca gen. Tatar wysłał do rąk własnych gen. Bora alarmującą depezę następującej treści:

„[...] WASZE POCISKI MOGĄ BYĆ UDOSKONALONYM TYPEM BOMBY LATAJĄCEJ UŻYWANEJ NA LONDYN³⁵. ZALEŻY NAM BARDZO NA ODTWORZENIU WASZEGO

31. Kopański, str. 309.

32. Prawdziwe nazwisko Ryszard Dorotycz-Malewicz. We Włoszech występował jako Hańcza i pełnił funkcję z-cy szefa Oddziału VI. W korespondencji używał pseudonimu ROCH. W Armii Krajowej pełnił funkcję szefa wydziału „Import”, „MII-Grad” (odbiór zrzutów), komórki w Oddziale V Komendy Głównej AK (Łączność) w latach 1942 - kwiecień 1944 i używał pseudonimu STRZEMIE.

33. SPP, sygn. 2.3.5.1.4 — Rozkaz organizacyjny dla dowódcy ELBA L.dz. 4420/tjn./44 z 2.6.44. „Elbie” podlegały: Baza Nr 11, Baza Nr 10, Baza „Capri” i Oddział Łączności.

34. Po wojnie — w przeciwieństwie do gen. Tataru i ppłk. dypl. Utnika, którzy wrócili do Polski — ppłk dypl. Jan Jaźwiński pozostał na emigracji. W roku 1950 jako czterdziestopięcioletni mężczyzna ukończył studia inżynierii lądowej na PUC-u — Polish University College: Degree & Diploma Day Ceremony, 18 Oct. 1951, str. 12. Wyjechał potem do Stanów Zjednoczonych. Zmarł w Los Angeles. Więcej o ppłk. dypl. inż. Jaźwińskim p. *Zeszyty Historyczne* nr 83 (1988) i Erdman Jan *Druga do Ostrej Bramy*, Odnova, 1984.

35. Tydzień po inwazji, 13 czerwca 1944 roku, Niemcy rozpoczęli bombardowanie Londynu latającymi bombami V-1 (Fi-103).

TYPU, A PRZYJACIELE [Anglicy — K.B.] ORGANIZUJĄ PODJĘCIE SPECJALNYM 8079 [dwustronnym lotem — K.B.] CAŁOŚCI POSIADANYCH PRZEZ WAS DANYCH DOKUMENTALNYCH ORAZ CZĘŚCI SKŁADOWYCH, PRZED WSZYSTKIM APARAT RADIO I PRÓBKĄ PALIWA. PRZYJACIELE NADALI SPRAWIE NAJWYŻSZĄ PILNOŚĆ.

8079 [dwustronny lot — K.B.] MOŻE BYĆ WYKONANY NA JEDEN Z BAJORÓW [improwizowanych lotnisk — K.B.] BIEDRONKA, OSA, BĄK, MUCHA. BĘDZIE WYKONANY JAK NAJPRZEDZIEJ Z JUTRZENKI [Główniej Bazy Przerzutowej we Włoszech — K.B.] MIMO KRÓTKICH NOCY [...] TRZECI 8079 [dwustronny lot — K.B.] PRZESUWA SIĘ NA TERMIN PO 8415-9305-8318 [25 b.m. — K.B.] [...] TURSKI 598³⁶”.

Z depeszy tej wynika, że gen. Tatar, przesuwając termin i zmieniając lotniska, mógł zniweczyć całą akcję wysłania V-2, gdyż front szybko się przybliżał.

Tymczasem w kraju przygotowania do „trzeciego Mostu” były w toku. Z końcem czerwca ppłk Stefan Musiałek-Łowicki MIROSŁAW (d-ca 16 p.p. AK) otrzymał od k-dta Okręgu Kraków rozkaz szybkiego poczynienia przygotowań do przyjęcia samolotu na lotnisku MOTYL. Dnia 14 lipca wieczorem wysłane zostały depesze z Inspektoratu TAMA (Tarnów) do K.G. i do JUTRZENKI o gotowości i terminie przyjęcia samolotu (20. 7. 44)³⁷.

W tym samym mniej więcej czasie we Włoszech, bo 12 lipca, 267 sqdn. otrzymał z 334 Wingu rozkaz wyznaczenia załogi i samolotu, z gotowością do lotu połączonego z lądowaniem w Polsce, począwszy od 20 lipca³⁸.

Przygotowania te zarówno w Polsce, jak i we Włoszech poczynione były na skutek korespondencji, jaką w tej sprawie prowadził od 27 czerwca gen. Bór-Komorowski z mjr. Jaźwińskim³⁹.

Do mjr. Jaźwińskiego przybył lt. col. Threlfall z żądaniem MAAF-u, aby Polacy określili pomoc, jakiej będą mogli udzielić, gdyby operacja „Most III” była przeprowadzona z terenów zajętych już przez wojska sowieckie.

Dzięki jednak odpowiedzi na telegram 598 gen. Tatara, jakiej

36. AKwD, t. III, str. 509-510.

37. Musiałek-Łowicki, str. 13, 14, 19 i 20.

38. PRO, AIR 27/1562 — Raport W/C A. N. Francombe, d-cy 267 sqdn.. *Operation Wildhorn III*, str. 1.

39. Jaźwiński, str. 300.

udzielił gen. Bór-Komorowski ppłk. Utnikowi depeszą 1331 z 11 lipca:

„[...] NAJSZYBCIEJ MOŻE BYĆ DOSTARCZONY MATERIAŁ POCISKU RAKIETOWEGO 8079 [dwustronnym lotem — K.B.] Z MOTYLA NA CO JESTEŚMY JUŻ NASTAWIENI. RADIOSTACJA BAJOR [improvizowanego lotniska — K.B.] ZAMELDOWAŁA GOTOWOŚĆ DNIA 20 LIPCA. PRZESTAWIENIE NA INNY BAJOR WYMAGAŁOBY TRZY TYGODNIE PRZYGOTOWANIA. CIĘŻAR MATERIAŁU Z POCISKU RAKIETOWEGO NIE PRZEKROCZY PIĘCIEDZIESIĘCIU KG DLATEGO WYŚLĘ I 5 KURIER. SZCZEGÓŁOWY WYKAZ MATERIAŁU PODAM W OSOBNEJ DEPEZYSY. LAWINA 1331 [...]”⁴⁰”.

planowany przez Anglików telegram MAAF-u do Moskwy został odwołany⁴¹.

Dnia 20 lipca ppłk Hańcza depeszą 1071 informował ppłk. Utnika o otrzymanych instrukcjach z SOE, związanych z operacją „*Most III*”:

„[...] DZIŚ SOPJA [mjr Jaźwiński — K.B.] OTRZYMAŁ OD 4429 [Anglików — K.B.] ŻĄDANIE WYDANIA INSTRUKCJI DLA [...] PILOTA BY ZAŁADOWANIE NA MOTYLU WYKONAĆ WG NASTĘPUJĄCEJ KOLEJNOŚCI: 1. MATERIAŁ SPEC [jalny — K.B.] 2. SPECJALISTA ZNAJĄCY TEN MATERIAŁ, 3. RETINGERA, 4. INNYCH DWÓCH KURIERÓW. OD UZNANIA DCY SAMOŁOTU ZALEŻY CZY CI INNI KURIERZY MOGĄ BYĆ ZABRANI. WYDANIE TEJ INSTRUKCJI ZARZĄDZIŁEM [...]. PODAJCIE ODWROTNIE PSEUDONIM RETINGERA ABY UNIKNĄĆ POMYŁKI. [...]”⁴²”.

Reakcja gen. Tatara była natychmiastowa. Odpowiedział ppłk. Hańczy depeszą 5856 z dnia 22 lipca:

„[...] HAŃCZA. 1) WSZELKA KORESPONDENCJA WYCHODZĄCA Z ELBY WINNA NOSIĆ JEDYNNIE WASZ PODPIS. ŻĄDAM NIEZWŁOZNIE UPORZĄDKOWANIA ODCINKA KORESPONDENCYJNEGO. NIE ŻYCZĘ SOBIE BY DO KRAJU LUB DO WARTY [ppłk. Utnika — K.B.]

40. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Dep. Lawina do Warty 1331 z 11. 7. 44.

41. Jaźwiński, str. 300.

42. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Dep. Hańcza do Warty 1071 z 20. 7. 44.

WYCHODZIŁY DEPESE Z PODPISEM SOPJA [mjr Jaźwiński — K.B.]. 2) ŁĄCZNIKIEM MIĘDZY WAMI A SOE JEST JEDYNIIE PPŁK THERFALL [Threlfall — K.B.]. NAD INSTRUKCJAMI INNYCH PRZYJACIOŁ SKIEROWANYMI DO WAS PRZECHODZIĆ DO PORZĄDKU. TYM BARDZIEJ WIĘC BEZ ZNACZENIA SĄ ŻĄDANIA TAKIE POD ADRESEM SOPJI. 3) ZAWARTA W WASZEJ 1071/A INSTRUKCJA DLA DOWÓDCY ZAŁOGI JEST NIEZGODNA Z PRZEWIDYWANIAMI USTALONYMI POMIĘDZY MNĄ A LAWINĄ [gen. Borem-Komorowskim — K.B.]. DOWÓDCĘ SAMOŁOTU POINSTRUJUCIE, ŻE MA ZABRAĆ Z BAJORA [improvizowanego lotniska — K.B.] TO CO BĘDZIE TAM PRZYGOTOWANE DO TRANSPORTU TJ. MATERIAŁ ORAZ DO PIĘCIU LUDZI. DOWÓDCA ZAŁOGI WINIEN JAK ZAWSZE DOSTOSOWAĆ SIĘ DO ŻYCZEŃ OFICERA STARTOWEGO BAJORA, KTÓRY DZIAŁA W MYŚL ROZKAZÓW LAWINY, JEDYNIIE UPRAWNIONEGO DO USTALANIA KOLEJNOŚCI WAŻNOŚCI PODEJMOWANYCH KURIERÓW. PRZY TAKIM UJMOWANIU SPRAWY ZBĘDNE JEST PODANIE DOWÓDCY ZAŁOGI CZYICHKOLWIEK PSEUDONIMÓW. TURSKI [...]⁴³”.

Ton tej depeszy świadczy, że gen. Tatar traktował podwładnych oficerów sztabowych z dużą dozą despotyzmu, jak też że nie rozumiał prostej procedury technicznej załadowania samolotu w kolejności pilności, na wypadek gdyby obciążenie Dakoty okazało się zbyt wielkie.

Lot ten był lotem specjalnym, zorganizowanym na zlecenie Anglików, dla których najważniejsze były części rakiety, co sam Tatar stwierdził w cytowanej wcześniej depeszy 598.

We wtorek 25 lipca o godz. 19.28 F/L S. G. Culliford wystartował Dakotą „V” KG-477 z lotniska Campo Casale w operacji „*Wildborn III*” do Polski. Załogę Dakoty z 267 sqdn. stanowili: piloci F/L S. G. Culliford, F/O Kazimierz Szrajter (eskadra 1586), naw. F/O J. P. Williams i r/o F/S J. Appleby. Na pokładzie samolotu, oprócz dodatkowych czterech zbiorników paliwa, znajdowało się czterech skoczków, 14 walizek i 5 paczek, o łącznej wadze 970 funtów. Dakotę miały eskortować do zapadnięcia zmroku dwa polskie Liberatory, które miały ją informować o ewentualnym ataku myśliwca, bo sama Dakota, będąc samolotem transportowym, miała słabą widoczność. Eskortował ją jednak tylko jeden Liberator „U” ??-827 F/L Bolesława

43. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Dep. Turski do Hańczy 5856 z 22. 7. 44.

Korpowskiego (naw. F/L Edmund Helwig), bo F/L Zbigniew Szostak (naw. F/L Stanisław Daniel) nie mógł na czas rozruszać pierwszego silnika u swego Liberatora „S” (przypuszczalnie BZ-965).

Po wystartowaniu F/L Culliford leciał wzdłuż wybrzeża do Mola di Bari, a stamtąd obrał kurs na włoską wyspę Lagosta⁴⁴. Leciano na wysokości 10.000 stóp do rzeki Sawy z eskortą, z którą przez cały czas utrzymywał kontakt radiowy F/O Szrajer. Wielką Nizinę Węgierską przekroczone, lecąc na wysokości 7.500 stóp. W rejonie węgierskiego miasta Szolnok nad Cisą odezwała się artyleria przeciwlotnicza. Naliczono pięć błysków.

Lecący do Kraju „Mostem III” „Kurier z Warszawy” Jan Nowak tak ten lot wspomina:

„[...] W dole było już ciemno, więc nie wiem, czy było to jeszcze nad Jugosławią, czy już nad Węgrami, gdy z ziemi zaczęły iść w naszym kierunku świetlne pociski przypominające żarzące się kiełbaski. Można było obserwować, jak biegną ku nam i kończą swą drogę w powietrzu gwałtownym błyskiem. Smugi reflektorów zaczęły się ślizgać po niebie. Dakota zrobiła kilka uników, zakołysała się lekko w prawo, w lewo i popłynęła dalej nie przejmując się zbytnio, [...]”⁴⁵.

Po przekroczeniu Tatr punktem orientacyjnym w odnalezieniu lotniska było ujście Dunajca do Wisły, który osiągnięto już po północy, a skąd F/L Culliford obrał kurs 163° na lotnisko *Underwriter* — MOTYL. Zbliżając się do celu F/L Culliford obniżył lot, nadając literę rozpoznawczą *o* (---), ziemia odpowiedziała literą *n* (-.) i momentalnie zapaliła światła na lotnisku. F/L Culliford wylądował za drugim podejściem o godz. 00.23. Samolot rozładowano i załadowano błyskawicznie. W pięć minut maszyna była gotowa do startu. F/L Culliford zwolnił nieco z trudem hamulce i dodał gazu, ale Dakota nie drgnęła, nawet przy pełnych obrotach silników. Sprawdzone, czy koła nie ugrzęzły zbyt głęboko w ziemi i odcięto przewody hydrauliczne u hamulców przy kołach, sądzono bowiem, że się zacięły. Potem przystąpiono ponownie do startu, ale i tym razem bezskutecznie.

F/L Culliford zgasił silniki i, wydając rozkaz do rozładowania samolotu, rozważał za obsługę lotniska zniszczenie maszyny. Grozę sytuacji potęgowała obecność oddziałów *Luftwaffe*, liczących około 100 ludzi z dwoma działkami przeciwlotniczymi, kwatrujących w odległej o 1,5 km wsi Wał-Ruda.

Po podkopaniu kół i załadowaniu samolotu podjęto kolejną próbę startu. Przy pełnych obrotach silników ruszyło ćwierć

44. Obecnie jugosłowiańska wyspa Lastovo.

45. Jan Nowak, *Kurier z Warszawy*, Odnowa, Londyn 1978, str. 305.

obrotu tylko lewe koło. Ponownie więc zgaszono silniki i rozładowano samolot, rozważając jego zniszczenie. Dopiero przy czwartej próbie, po podłożeniu desek pod koła, Dakota przy pełnych obrotach silników ruszyła z miejsca, nabierając stopniowo szybkości. Gdy osiągnęła 104 km/godz., F/L Culliford poderwał ją do góry. W powietrzu powstał problem schowania podwozia, spowodowany brakiem płynu hydraulicznego, który stracono na ziemi przecinając przewody hamulcowe. Lot z wysuniętym podwoziem zmniejszał jednak szybkość i groził przedwczesnym zużyciem paliwa. Dla ratowania sytuacji zbiornik hydrauliczny częściowo wypełniono w powietrzu herbatą z termosów i innymi płynami. Podwozie zdołano schować w czasie, gdy Dakota przelatywała nad Tatrami. Od Tatr F/L Culliford przyjął kurs wprost na wyspę Lagosta mimo niebezpieczeństwa spotkania niemieckich nocnych myśliwców w rejonie Dunaju. Chciał nadrobić 65 minut straconego czasu na ziemi przy próbach startów i minąć Jugosławię jeszcze przed świtem. Lot powrotny odbył się bez przygód. Z braku płynu nie działał *George* — pilot automatyczny — więc piloci zmieniali się przy sterach.

F/O Szrajner wiele lat po wojnie tak ten lot wspomina:

„[...] Poszedłem do pasażerów sprawdzić czy wszystko jest w porządku i zademonstrować założenie pasów i użycie spadochronów w wypadku gdyby zaszła tego potrzeba. [...] Dwóch z nich poznałem, [Chciuka i Retingera — K.B.] bo zrzucałem ich w nocy z 3/4 kwietnia 1944 roku koło Mińska Mazowieckiego. Jak się później dowiedziałem, byli to: T. Arciszewski, J. Retinger, J. Chmielewski, T. Chciuk i C. Miciński. J. Chmielewski posiadał przy sobie raport ze wszystkimi szczegółami o rakiecie V-2, której części były pod jego opieką. [...] Z powrotem w kabinie, zastąpiłem pilota i przejąłem stery. Piękna gwiazdzista noc, spokój. Co za kontrast z tym, co przeżywaliśmy tylko dwie godziny temu. Za trzy godziny będziemy z powrotem w bazie, powracając do normalnego życia dywizjonowego we względnie bezpiecznej atmosferze pomiędzy lotami. Za sobą zostawiliśmy grupę ludzi żyjących w stałym niebezpieczeństwie, walczących już prawie od pięciu lat z okupantem w Kraju, ludzi, którzy od miesięcy przygotowywali się do operacji „*Trzeci Most*”. Nasz odlot z częściami rakiety V-2 był dla nich kulminacją sukcesu. [...]”⁴⁶

F/L Culliford wylądował bez hamulców w Campo Casale o godz. 05.43. Cała operacja łącznie z pobytem na ziemi trwała 10.15 godzin. (4.55 + 1.05 + 4.15).

Ppłk Hańcza depeszą 238 z 26 lipca informował gen. Bora:

„[...] 8079 [lot dwustronny — K.B.] NA MOTYL PRZY-

46. Szrajner Kazimierz, *Trzeci Most*, Jednodniówka, 310 Skrzydło Wilno, R.C.A.F.A. Montreal, Kanada, XV Światowy Zjazd Lotników Polskich, wrzesień 1984, str. 60.

JĘTY I ODPRAWIONY — ŁADOWAŁ SZCZĘŚLIWIE. EKIPA OD NAS D-CA ZYCH [por. Zdzisław Jeziorański vel Jan Nowak — K.B.], MIĘTA [mjr Bogusław Wolniak — K.B.], RUM [kpt. dypl. Kazimierz Bilski — K.B.], MALEWA [ppor. Leszek Starzyński — K.B.] [...] EKIPA OD WAS PIĘCIU [...]”⁴⁷”.

„Wildhorn IV” — „Czwarty Most”: 15/16 grudnia 1944 roku

W sezonie operacyjnym *Riposta* wykonane były trzy „Mosty”. Następne planowano w sezonie operacyjnym ODWET. Pomimo że nie doszło do ich realizacji, warto je jednak omówić. W końcu września, a więc gdy powstanie chyliło się ku upadkowi, gen. Bór-Komorowski zażądał od k-dta Okręgu Radom-Kielce zorganizowania „Mostu IV”. Mostem tym początkowo mieli być przetrzuceni: Zych, Gromski, Jaworski, Adam i Ward [Zdzisław Jeziorański vel Jan Nowak, mjr dypl. Tadeusz Wardejn-Zagórski, NN, NN i John Ward — K.B.]⁴⁸.

Zdzisław Jeziorański był jednym z redaktorów audycji w powstańczej radiostacji fonicznej BŁYSKAWICA. Mjr Tadeusz Wardejn-Zagórski był oficerem łącznikowym przy sztabie ścisłym gen. Bora. John Ward, zbiegły z niewoli niemieckiej lotnik RAF-u, stał się korespondentem *The Times*. Na podstawie składu osobowego tej ekipy wynika, że celem „Mostu IV” było przekazanie na Zachód świadectwa o Powstaniu Warszawskim.

Gen. Tatar pisze do Okręgu Radom-Kielce 016 z 7 listopada 1944 roku:

„[...] NAJBLIŻSZY MOST NA GIEZ⁴⁹ LUB KOMAR⁵⁰ AKCEPTOWANE PRZEZ LOTNIKÓW PRZYJACIOŁ. SUM [W. Wojcieszek — K.B.] MA ŁĄCZNOŚĆ Z JUTRZENKĄ [Baza nr 11 — K.B.]. PRZEWIDUJĘ WYSŁANIE CZTERECH A PODJĘCIE OD WAS CZTERECH DO SZEŚCIU W TYM WÓJT [Wincenty Witos — K.B.], RUDY [płk Ro-

47. PRO, AIR 27/1562 — Raport W/C A.N.Francombe, d-cy 267 sqdn. *Operation Wildhorn III*; PRO, AIR 27/1560 — Dziennik działań 267 sqdn.; PRO, AIR 26/441 — Dziennik działań 334 Wingu; *Log book*: Kazimierz Szrajter; Mapa 1:10.000 Brzesko Nowe; *Zeszyty Historyczne* nr 37 (1976), str. 238; Musiałek-Łowicki; AKwD, t. III, str. 578-580.

48. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Przebieg przygotowań do ostatniej, niedoszedłej do skutku operacji dwustronnej.

49. Ładowisko w kieleckim położone 11 km na południowy wschód od Secemina — mapa 1:300.000 Kraków.

50. Ładowisko położone 1 km od Secemina.

man Rudkowski — K.B.], ZYCH I WARD [j.w. — K.B.]. DALSI WEDŁUG UZNANIA RUDEGO. MUZEUM [Okręg Kraków — K.B.] POLECIEŁEM WYŚLAĆ DO WAS WÓJTA, KTÓRY WYMAGA TROSKLIWEJ OPIEKI. ZYCH I WARD BYLI SKIEROWANI DO CZĘSTOCHOWY. UŁATWCIE MUZEUM SZYBKIE DOPROWADZENIE. MELDUJCIE PRZEJĘCIE KAŻDEGO Z EKIPY. NIEDŹWIADKA [gen. Okulickiego — K.B.] ZAWIADAMIAM. SOKORA 016 [...] ⁵¹”.

Zmieniono miejsce lądowania. Płk Rudkowski w depeszy z 23 listopada zawiadomił, że nowym lądowiskiem będzie ŚWIETLIK ⁵². Z upływem czasu zmienił się skład osobowy ekipy. Końcowy skład ekipy, która miała być podjęta „*Mostem IV*”, stanowili: Zdzisław Jeziorański, emisariusz gen. Okulickiego, oraz przedstawiciele czterech stronnictw ⁵³. Jednak loty do Polski, po ostatnim w nocy z 22/23 listopada, zostały przez Anglików zawieszane. W/C Stanisław Król, który w tym czasie był oficerem łącznikowym przy d-twie Grupy BAAF [*Balkan Allied Air Force*], dowodzonej przez A/VM Williama Elliotta, depeszował 28 listopada do A/VM Mateusza Izycznego, d-cy Polskiego Lotnictwa:

„[...] DO 22 B.M. DECYZJA W SPRAWIE LOTÓW DO POLSKI BYŁA UZALEŻNIONA OD ZGODY MOSKWI NA PRZELOT PO WSCHODNIEJ GRANICY FRONTU [...] 22 B.M. DEP OD 30 MISJI W MOSKWIE, ŻE BOLSZEWICY NIE ZGADZAJĄ SIĘ NA PRZELOT [...]. 23 B.M. DECYZJI ZMIENIĆ NIE CHCIELI [...]. GEN. RAYSKI STARA SIĘ TO ZMIENIĆ U MARSZAŁKA SLESSORA [...]. OBECNIE MOŻE TO BYĆ ZAŁATWIONE TYLKO NA SZCZEBLU WYŻSZYM [...] ⁵⁴”.

Interwencje widać poskutkowały i loty do Polski wznowiono w grudniu. Początkowo miano lecieć w niedzielę 10 grudnia, ale operacje odwołano z powodu zagrożenia lądowiska ⁵⁵.

Dopiero w piątek 15 grudnia o godz. 13.45 F/L Suszczyński wystartował Dakotą „?” ??-446 z lotniska Campo Casale w operacji „*Wildhorn IV*”. Samolot miał lądować w Polsce na lądowisku ŚWIETLIK, a załogę jego stanowili po raz pierwszy

51. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Dep. Sokora do Jodły 016 z 7.11.44.

52. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Przebieg przygotowań...

53. Jan Nowak, *Kurier z Warszawy*, Odnowa, 1978, str. 389.

54. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Dep. Król do d-cy Lotnictwa 135 z 28.11.44.

55. Instytut Historyczny gen. Sikorskiego, Londyn, sygn. LOT A.V. 35/10 — Dziennik działań Eskadry 1586/301 Dywizjonu.

sami Polacy: piloci F/L Suszczyński, A/C Ludomił Rayski, naw. F/O Stanisław Kleybor i r/o W/O Dionizy Budnicki⁵⁶.

Dakotę tę oblatywali 2 i 4 grudnia dwaj piloci F/L Suszczyński i W/O Henryk Jastrzębski⁵⁷, bo obaj byli początkowo wyznaczeni na operację „Wildhorn IV” przez dowódcę 301 Dywizjonu S/L Eugeniusza Arciuszkiewicza. S/L Arciuszkiewicz uległ jednak bezustannym prośbom A/C Rayskiego i wyznaczył go⁵⁸ na miejsce bohaterskiego pilota W/O Jastrzębskiego. W/O Jastrzębski ukończył właśnie drugą turę operacyjną i miał za sobą 26 lotów nad Polskę, w tym 9 lotów na Warszawę podczas Powstania, na ogólną liczbę 78 lotów operacyjnych. A/C Rayski jako drugi pilot w załodze sławnego pilota F/L Edmunda Ładry miał natomiast za sobą tylko dwa loty nad Polskę, wszystkie nad Puszczę Kampinoską podczas Powstania⁵⁹.

Przebieg tego lotu ilustruje depeza 2856 z 16 grudnia 1944 roku ppłk. Hańczy do ppłk. Utnika:

„[...] PODAJĘ PRZEBIEG WYDARZENIA DNIA 15 GRUDNIA. NA ZASADZIE DOBREJ PROGNOZY MET I PO OTRZYMANIU SYGNAŁU GOTOWOŚCI ŚWIETLIKA, D-CA 334 WINGU ZARZĄDZIŁ OPERACJĘ WILDHORN IV. O GODZ. 13.45 DAKOTA WYSTARTOWAŁA DO ANKONY GDZIE PO UZUPEŁNIENIU BENZYNY MIANO O GODZ. 16.30 STARTOWAĆ DALEJ. DECYZJA STARTU Z ANKONY PODYKTOWANA BYŁA PRZEWIDYWANYM ZYSKIEM DWÓCH GODZ. W CZASIE ORAZ WZGLĘDAMI BEZPIECZEŃSTWA PRZY PRZELOCIE BARDZIEJ NA ZACH. OD LINII FRONTU. O GODZ. 14.10 RUDY [płk Rudkowski — K.B.] ZGŁOSIŁ W DEP. KODOWEJ 333/X 'NAGŁE POGORSZENIE MET — DZISIAJ PRZYJĄC NIE MOGĘ'. DAKOTĘ ODWOŁANO Z POWIETRZA. [...]”⁶⁰.

A „Kurier z Warszawy” Jan Nowak przedstawia oczekiwania w Polsce na ten samolot następująco:

„[...] Obecne lądowisko miało obstawę wielokrotnie mocniejszą aniżeli 'trzeci Most' w lipcu. Pod Tarnowem był oddział złożony ze stu ludzi, tu jak twierdził RUDY, była prawdziwa koncentracja leśnych oddziałów

56. Tamże.

57. Log book: Henryk Jastrzębski.

58. Arciuszkiewicz Eugeniusz, *Polskie lotnictwo w działaniu na rzecz Kraju*. Jednodniówka, The Royal Canadian Air Force Association Nr 431, „Kraków” Wing, Sep. 1976 — Hamilton, Ontario — XI Zlot Światowy, str. 53.

59. Log book: Roman Chmiel.

60. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Dep. Hańczy do Warty 2856 z 16.12.44.

w liczbie około dwóch tysięcy żołnierza. Było to niewątpliwie miernikiem znaczenia, jakie NIEDŹWIADEK przywiązywał do tej operacji.

Zapytałem wprost pułkownika, dlaczego mając taką siłę do dyspozycji nie zaryzykował przyjęcia samolotu w warunkach bojowych. Dwa tysiące ludzi nieźle uzbrojonych mogłoby chyba wytrzymać natarcie własowców?

— A co się stanie z tymi, co tu zostaną? — zapytał.

— Będą mieli czas, by nawiać.

— To panu łatwo powiedzieć. Pan już będzie w Brindisi, a tu zacznie się piekło. [...]

Pomyślałem, że RUDY, który zawsze robił wrażenie odważnego oficera, okazał dużo mniejszą wytrzymałość nerwową niż ów kpt. WŁODEK, który dał sygnał do przyjęcia Dakoty i nie odwołał go, mając oddział niemiecki o osiemset metrów od lądowiska. I że do 'Mostu' prawdopodobnie nie dojdzie. [...] ⁶¹ ”.

Po odwołaniu operacji 15 grudnia płk Rudkowski próbował ponowić „Most IV” jeszcze w styczniu 1945 roku, tym razem z nowego lotniska PAJĄK. Otwartym już tekstem radiotelegrafista nadał ostatnią wiadomość 17 stycznia z radiostacji 97:

[...] ŚPIESZCIE, SYTUACJA ZMIENNA, NIE DAWAJCIE LUDZI. [...] ⁶² ”.

Tyle o operacji o kryptonimie „Wildhorn IV”, o „Moście IV”, który *de facto* nigdy mostem nie był, gdyż samolot został odwołany z powrotem, nigdy nie lądując na polskiej ziemi.



„Most V” również nie został urzeczywistniony. Celem jego było podjęcie zestrzelonych alianckich i polskich lotników. W październiku 1944 roku grupa amerykańskich lotników, zestrzelonych nad Polską i znajdujących się pod opieką AK, zwróciła się z prośbą o podjęcie ich samolotem.

Ppłk Hańcza informował o tym ppłk. Utnika depeszą z 26 października 1944 roku:

„[...] PRZESYŁAM TREŚĆ DEPEZY PODANEJ KLEREM [tekstem otwartym — K.B.] z rdst. 40 C:

To C.O. 483 BOMB GRG. [H] FOGGIA ITALY — SHOT DOWN 13 SEPT BLECHHAMMER. SHIP 46412. SEND INSTRUCTIONS FOR RETURN TO OUR GROUP TO THIS RADIO STATION IMMEDIATELY [...] [dalej wymienione jest pięć nazwisk i numerów ewidencyjnych lotników amerykańskich — K.B.] [D-ca 483 Skrzydło bomb. H — Foggia Italia

61. Jan Nowak, *Kurier z Warszawy*, Odnowa, Londyn 1978, str. 391.

62. SPP, sygn. 3.10.3.1. — Przebieg przygotowań...

— zestrzeleni 13 września w operacji Blechhammer [miejsowość w południowej Turynii niedaleko Sonnebergu — K.B.]. Samolot 46412. Przysłać natychmiast na tę radiostację instrukcję w sprawie naszego powrotu do bazy. — tłum. z angielskiego K.B.]

A oto dalszy ciąg tej depezy:

WEDŁUG OPINII MIEJSCOWYCH PRZYJACIOŁ ZORGANIZOWANIE MOSTU DLA WYŻEJ WYMIENIONYCH PRZEZ AIR RESCUE SERVICE 15 AIR FORCE, POWTA-RZAM AIR RESCUE SERVICE 15 AIR FORCE, NIE PRZEDSTAWIA ŻADNYCH TRUDNOŚCI. ŻĄDANIE ODPOWIEDNIEGO ŁADOWISKA WYŚLAŁEM DO GARDY [k-dta Okręgu Kraków — K.B.] [...] ⁶³”.

F/S Hubert Brooks, lotnik kanadyjski a nawigator z 419 sqdn. Moose, po ucieczce z niewoli niemieckiej walczył w szeregach 1 psp AK w Gorcach. Pisze on w swoich wspomnieniach, że wspólnie z drugim sierżantem brytyjskim i 18 lotnikami amerykańskimi byli w kontakcie radiowym z bazą we Włoszech i że bezskutecznie czekali jesienią 1944 roku na samolot, który miał po nich przylecieć ⁶⁴.

Przygotowania do „Mostu V” trwały więc równolegle z przygotowaniem do „Mostu IV”, z tym że wykonanie „Mostu V” miało należeć do lotnictwa amerykańskiego. W depezy 327 z 15 stycznia 1945 roku ppłk Utnik informował gen. Okulickiego o mającym nastąpić „Moście V”:

„[...] W POBLIŻU WILGI [placówka w Gorcach — K.B.] ZGROMADZONYCH JEST 33 LOTNIKÓW POLSKICH, AMERYKAŃSKICH I ANGIELSKICH, STRĄCONYCH W OPERACJACH DO WAS. MAJĄ PRZYGOTOWANY BAJOR [improvizowane lotnisko — K.B.] MUCHA [koło Tymbarku — K.B.]. MEWA [rdst. we Włoszech — K.B.] JEST W STAŁEJ ŁĄCZNOŚCI Z RDST 83 I WYŚLE MOST, ABY ICH POBRAĆ PRZY NAJBLIŻSZEJ SPOSOBNOŚCI. OPERACJA ZUPEŁNIE NIEZALEŻNA OD ŚWIETLIKA LUB PAJĄKA [improvizowane lotniska dla 'Mostu IV' — K.B.], W RAMACH BIEŻĄCYCH PRAC 10 AMERYKAŃSKIEJ FLOTY TAKTYCZNEJ. [...] ⁶⁵”.

63. SPP, sygn. Sk 20/35 — Dep. Hańcza do Warty 2284 z 26.10.44.

64. Brooks Hubert „Escape to danger”, *Weekend Magazine* Vol 7, Nr 41, Montreal, 12.10.57, str. 50 i 51.

65. SPP, sygn. Sk 16/1 — Dep. Warty do Termity 327 z 15.1.45.

Zaś ppłk Hańcza depeszował do Okręgu Kraków 17 stycznia 1945 roku:

„[...] JESTEŚMY GOTOWI DO MOSTU NA MUCHA. WYŚLEMY TRZY DAKOTY W ODSZTĘPACH PÓŁGODZINNYCH. [...]”⁶⁶”.

Największa operacja z planowanych mostów nie doszła jednak do skutku. Operacja okazała się spóźniona. Wojska sowieckie 4 Frontu Ukraińskiego gen. I. Pietrowa 15 stycznia 1945 roku przystąpiły do zimowej ofensywy znad Wisłoki. Oddziały 30 Armii zajęły Limanową 19 stycznia, a Tymbark 21 stycznia.

Lotnicy alianccy zgłosili się do władz sowieckich i przez Lwów i Kijów odesłano ich do obozu w Odessie, skąd brytyjskimi okrętami wyewakuowani zostali wiosną 1945 roku na Zachód.

W sumie więc operacje dwustronne ograniczyły się do lądowania tylko 3 samolotów w Polsce. Stoi to w widocznym kontraście z operacjami, przeprowadzonymi we Francji czy Jugosławii, gdzie lądowano setkami samolotów.

Kajetan BIENIECKI

66. SPP, sygn. Sk 16/1 — Dep. Rocha do Muzeum 152/X z 17.1.45.

Jerzy KORCZAK

KONSPIRACJA POZNAŃSKA

1

Mamy kalendarzową zimę 1989. Krajowe gazety i czasopisma pęcznieją wprost od wolnościowych hasel. Określenie „białe plamy”, odmieniane we wszystkich przypadkach, wytarło się już do granic możliwości. Dawni twardogłowi jak gdyby nigdy nic licytują się, aby się znaleźć w odnowicielskiej awangardzie, a Lech Wałęsa pokazuje wreszcie zwycięskie oblicze w okienkach telewizorów.

Jedynie doświadczeni sceptycy, pomni na zasób wiedzy z przeszłości, kręcą wciąż głowami i zezują na wschód. „Pożyjemy, zobaczymy” — powiadają. Szybko biegnący czas pokaże, kto ma rację. Póki co, budzimy się każdego ranka z uczuciem nerwowej niepewności: co przyniesie dzień bieżący, co będzie jutro?

Żyjemy jednak w kraju przedziwnych absurdów. W bliskim zasięgu istnieje wciąż sporo obszarów niemal w ogóle przez historyków i ludzi pióra nie spenetrowanych. I żeby było dziwniej, nie są to wcale wydarzenia z kategorii objętych wciąż i niezmiennie znową urzędowego milczenia, ale dziedzina wiedzy nie podpadająca pod żaden z cenzuralnych zapisów. Ot, choćby konspiracja na terenie ziem zachodnich w latach hitlerowskiej okupacji.

Mijające lata utrwalają obiegowe pojęcia, pozwalają krzepnąć bałamutnym legendom. W ten sposób w świadomości społecznej zakodowane są hasła i porzekadła wylansowane przez nieświadomych prawdy wesołków, a także ludzi złej woli. Na przy-

kład owo kursujące często w odniesieniu do działań konspiracyjnych na terenie poznańskiego, które głosi, że „to zaś ale było z a b r u n i u n e”.

Tymczasem było zupełnie inaczej i czas wreszcie ujawnić prawdę o wszechstronnej walce podziemnej toczony na tych ziemiach, wszelkimi sposobami niemczonych i terroryzowanych, gdzie na czterech Polaków przypadał jeden Niemiec, podczas gdy w Generalnym Gubernatorstwie proporcja ta była parę dziesiątków razy korzystniejsza. Zmuszało to siłą rzeczy do szukania zupełnie innych niż w G.G. sposobów samoobrony i walki.

A oto kilka luźnych wątków z przygotowywanej do druku książki.

2

Jesienią 1939 roku, tuż po kapitulacji Warszawy, niewielka grupa oficerów z „Armii Poznań”, która po krwawych bitwach nad Bzurą zdołała przedrzeć się do stolicy, zameldowała pierwszemu dowódcy Służby Zwycięstwu Polsce, generałowi Michałowi Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu, gotowość i chęć powrotu do swojego miasta celem kontynuowania dalszej walki w podziemiu.

Równoległe z tą inicjatywą zaczęły powstawać w Poznaniu jedna za drugą wojskowe organizacje konspiracyjne. Z tajnych drukarni wychodziły gazetki wzywające do oporu i przetrwania: *Pobudka*, *Polonia*, *Czuwajmy*, *Iskra*, *Świt*. Dawni peowiaci, harcerze, członkowie Związku Strzeleckiego, żołnierze wszystkich rang, przystępowali żywiołowo do ruchu oporu. Nie zrażały ich drakońskie represje, wymyślane przez namiestnika Hitlera na „Kraj Warty”, Artura Greisera, pierwsze masowe rozstrzeliwania i rozpoczynająca się fala wysiedleń.

Wkrótce do działania przystąpiły Wojsko Ochotnicze, Wielkopolska Organizacja Zbrojna, Polska Organizacja Zbrojna, Wielkopolska Organizacja Wojskowa i Polska Organizacja Wojskowa. Ta piątka miała podobne nazwy i podobne cele. Ale niełatwo było je zjednoczyć pod wspólnym dowództwem. Do scalenia doszło wreszcie w grudniu 1939, w dużej mierze dzięki usilnym staraniom ponadpartyjnej organizacji „Ojczyzna”, obdarzonej mandatem zaufania przez rząd na uchodźstwie.

Przyjęto nazwę Wojsko Ochotnicze Ziemi Zachodnich, zorganizowano wspólny sztab, podzielono Poznań na sześć okręgów. Tendencje separatystyczne poszczególnych grup i grupki trwały jednak nadal. Nie mało wody musiało upłynąć w Warcie, zanim

we wspólnym działaniu i po wielu krwawych ofiarach odnaleziono jako tako wspólny język.

3

Warto zapamiętać to nazwisko: starszy sierżant Andrzej Jackowski, pseudo „Żbik”. Ten bystry, zdecydowany na wszystko podoficer był autorem niezwykłego pomysłu. Przedwojenne Stowarzyszenie Strzeżenia Obiektów przemienione zostało przez Niemców w przedsiębiorstwo o takich samych zadaniach. Nowa nazwa brzmiała *Wach- und Schliesgesellschaft*. Jackowski, dzięki znakomitej znajomości niemieckiego i sprytnie nawiązywanim kontaktom, otrzymał w tej firmie stanowisko szefa służb wartowniczych i wkrótce potrafił sobie zaskarbić zaufanie niemieckich przełożonych. Jego zadanie było niebagatelne: przedsiębiorstwo miało pilnować w mieście większości obiektów wojskowych i gospodarczych, mnożących się w niezwykłym tempie. Ludzi do pracy potrzeba było coraz więcej, a Niemcy, którym udało się wywinąć od służby wojskowej, szukali lepszych, bardziej intratnych posad. Nie było innego wyjścia: władze zmuszone były sięgnąć do roboczych rezerw, a więc do Polaków.

Zbiegło się to w czasie z masowym powrotem podoficerów poznańskich jednostek, którzy różnymi sposobami wracali do domów i szukali kontaktów. Zwolna plan zaczął się Jackowskiemu krystalizować, a już w pierwszym kwartale 1940 roku całe niemal *Wach- und Schliesgesellschaft*, z pełnym błogosławieństwem zawiązanego dowództwa Inspektoratu Poznań, miało polską obsadę złożoną ze świetnie zgranego zespołu zawodowych żołnierzy. Tu zalegalizowano pierwszego komendanta Poznańskiego Okręgu ZWZ, ppłk. Rudolfa Ostrihansky'ego („Ludwik”, „Rudolf”), a wraz z nim także sporą grupkę kadrowych oficerów. Wszyscy strażnicy zaopatrzeni zostali w karabiny, które wprawdzie po zakończeniu służby musieli przekazywać następnej zmianie, ale nie zmieniało to faktu, że opiekę nad bezpieczeństwem magazynów uzbrojenia, rozmaitych składnic, zakładów przemysłowych i gospodarczych w stolicy Warthegau przejęli uzbrojeni Polacy.

W nieco późniejszym okresie „opieką” objęto także obiekty w obozie ćwiczebnym w Biedrusku, gdzie stale przebywała ogromna ilość wojska, co czyniło to miejsce szczególnie dogodnym punktem obserwacji.

Rozpoczęła się praca wywiadowcza na znaczną skalę.

Poznański „Związek Odwetu”, podobnie jak i w innych regionach kraju, miał za zadanie prowadzenie w ramach ZWZ działań dywersyjnych i sabotażowych. W terenie tak gęsto nasyconym żywołem niemieckim, wzmocnionym dodatkowo licznymi przesiedleńcami z krajów bałtyckich, wymagało to szukania szczególnie przemyślnych sposobów walki. Wiąże się ona nierozdzielnie z osobą doktora Franciszka Witaszka, wybitnego poznańskiego lekarza, który dowództwo poznańskiego „Odwetu” przyjął po poruczniku Czesławie Surmie, oficerze przeszkolonym przed wojną w dywersji specjalnej.

Witaszek wciąż jeszcze funkcjonuje w obiegu społecznym jako demoniczny truciciel, ograniczający rzekomo zbrojny opór w pierwszym rzędzie do likwidowania co groźniejszych szpicli i gestapowców za pomocą śmiertcionośnych mikstur. Najwyższa już pora, aby z pamięci o tym wspaniałym człowieku odrzucić bałmatną legendę.

A oto garść faktów.

Już na przełomie lat 1939/1940 Witaszek wespół ze swoim przyjacielem — również młodym lekarzem — Henrykiem Güntherem organizują na terenie miasta i pobliskiej okolicy laboratoria chemiczne oraz wytwórnie sprzętu i materiałów bojowych. Produkowano miniaturowe bombki termiczne, które działały na zasadzie opóźnionego zapłonu. Była to broń chytra i nader skuteczna; podrzucane do transportów wojskowych bombki wybuchały dopiero po pewnym czasie, siejąc śmierć i panikę. Inny wynalazek witaszkowców, to substancja do paliw, która powodowała szybką korozję i zmiany strukturalne w metalowych częściach silników czołgowych i samochodowych, a także specjalne gwoździe do niszczenia opon, gęsto rozrzucone na drogach i szosach Wielkopolski. Te ostatnie zdały szczególnie egzamin po wybuchu wojny ze Związkiem Sowieckim, kiedy to długie kolumny samochodowe ciągnęły na wschód.

Nieustannie trwały również — inspirowane i dowodzone przez ludzi Witaszka — akcje sabotażowe w fabrykach i zakładach przemysłowych Poznania, a także podpalanie młynów, silosów i różnych wojskowych i gospodarczych obiektów, często również w miejscowościach odległych od stolicy Warthegau.

Szczególnie śmiałe wyczyny związane są z działaniami lotnego oddziału „Związku Odwetu”, którym dowodził Michał Garczyk, pseudo „Kuba”. Sam Garczyk, wyposażony od początku w fałszywe papiery *Reichsdeutsch'a*, dokonywał wyczynów wręcz nie-

prawdopodobnych — jego postać stanowi do dziś legendę poznańskiej konspiracji.

Koroną działalności „Kuby” była akcja o rozgłosie międzynarodowym.

Jesienią 1941 roku grupa wartowników z *Wach- und Schliessgesellschaft* zasygnalizowała sztabowi Okręgu ZWZ słabe zabezpieczenie pożarowe magazynów w porcie rzeczonym na Warcie, pełnym ciepłej odzieży dla żołnierzy *Ostfront*'u, żywności, paszy i ogumienia do samochodów. Szczegółowe rozpoznanie potwierdziło ten fakt. Rozpoczęto realizację śmiałego planu, który kilka miesięcy później — 21 lutego 1942 — uwieńczony został pełnym sukcesem. Kompleks magazynowy na Warcie po brawurowo przeprowadzonym działaniu spłonął doszczętnie.

Tuż potem rozpoczęło się żmudne śledztwo, które w pierwszej fazie miało przebieg nieoczekiwanie pomyślny: komisja ekspertów z Berlina orzekła, że powodem pożaru było zwarcie w starej instalacji elektrycznej. Z taką diagnozą nie chciało się jednak pogodzić poznańskie gestapo, które zapewne od dawna miało na oku kierownictwo „Związku Odwetu”.

Aresztowano doktora Witaszka i grupę jego najbliższych współpracowników. Garczyk — myśląc kilkakrotnie będących na jego tropie gestapowców — zdołał zbiec. Nie na długo jednak. Ujęty w pół roku później zginął śmiercią męczeńską po krwawym i długotrwałym śledztwie, a wraz z nim i całą niemal resztą witaszkowców zgilotynowanych w Forcie VII wszyscy uczestnicy „Akcji Bollwerk”, którym to kryptonimem oznaczono wyczyn poznańskich bojowców.

W liście z 14 marca 1942 roku generał Władysław Sikorski, instruując ministra Stanisława Kota przed jego rozmowami ze Stalinem, pisał: „Niech mu Pan powie, że spalenie olbrzymich magazynów ciepłej odzieży w Poznaniu oddało chyba poważną usługę armii sowieckiej”.

5

Organizacja „Ojczyzna” powstała z inicjatywy małej grupki osób związanych sprzed wojny wspólną działalnością i wspólnym narodowym światopoglądem. Jej głównymi animatorami byli ksiądz infułat Józef Prądyński, człowiek o ogromnym autorytecie moralnym, duchowy spadkobierca słynnego księdza Piotra Wawrzyniaka, oraz o pokolenie młodszy dziennikarz i wydawca Kirił Sosnowski i ekonomista Witold Grott.

Nazwa zaczerpnięta została z jednego z przemówień Ignacego Paderewskiego, nadanego przez radio z Francji do Kraju, w którym mowa była o konieczności podjęcia wspólnej walki z wrogiem o Ojczyznę w s z y s t k i c h Polaków.

Jest ogromną, historyczną zasługą tej organizacji, że od pierwszej chwili powstania potrafiła wznieść się ponad interesy światopoglądowe i skoncentrowała pełnię wysiłków na zjednoczeniu i koordynacji działań całej wielkopolskiej konspiracji.

Działalność „Ojczyzny” była wszechstronna: obserwacja poczynań dyskryminacyjnych okupanta i informowanie o nich rządu na emigracji, opieka społeczna, rozbudowa sieci tajnego nauczania, propaganda w szerokim znaczeniu tego słowa, a zwłaszcza uparte i konsekwentne lansowanie konieczności powrotu Ziemi Zachodnich do Macierzy. To właśnie „Ojczyzna”, z upoważnienia rządu w Angers, zainicjowała prace organizacyjne ZWZ na terenie Wielkopolski, przekazując do powstałej Komendy Okręgu najlepszych swoich ludzi. Ksiądz Prądyński otrzymał nominację na męża zaufania, co upoważniło go do wysunięcia kandydatury na delegata rządu dla tych terenów. W lipcu 1940 — po powołaniu do życia Porozumienia Politycznego Stronnictw wybrano delegata w osobie Adolfa Bnińskiego, byłego wojewody poznańskiego i kontrkandydata Marszałka Piłsudskiego na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej.

W ten sposób o kilka miesięcy wcześniej niż w Warszawie powstała w Poznaniu pierwsza w kraju Delegatura Rządu.

Bniński działał przez rok z niezwykłą energią i dobrymi efektami. W czasie jego kadencji powstały sprawnie pracujące biura Delegatury oraz liczne jej agendy na prowincji.

W maju 1941 gestapo aresztowało księdza Prądyńskiego, a w dwa miesiące później Adolfa Bnińskiego. Osadzeni w celach śmierci w osławionym Forcie VII, zginęli potem: ksiądz Prądyński w Dachau, a Bniński w okolicznościach nie do końca wyjaśnionych, prawdopodobnie rozstrzelany w obornickich lasach.

W tym czasie przetoczyła się przez Poznań potężna fala aresztowań. Objęła wszystkie najbardziej aktywne ośrodki konspiracyjne w Wielkopolsce.

Minęło nieco czasu, zanim porwane nici zostały ponownie związane.

6

Słówko o harcerzach, którzy od pierwszych dni okupacji wykazywali w Poznaniu i w terenie niezwykłą aktywność. Ich domeną była obserwacja ruchów wojsk, zbieranie wiadomości o wro-

gich w stosunku do Polaków poczynaniach ze strony *Volks- i Baltendeutsch'ów*. Wobec szczególnie aktywnych i niebezpiecznych zastosowano chytrze prowadzoną „wojnę psychologiczną”; nękanie ich bezustannie listami ostrzegawczymi, które w wielu wypadkach odnosiły pozytywny skutek.

W rękach harcerzy tkwił również kolportaż podziemnych publikacji oraz — co należało do zadań szczególnie trudnych i niebezpiecznych — fotograficzne dokumentowanie niemieckich zbrodni. Ten materiał przesyłany następnie do Warszawy i dalej za granicę wzbudzał zgrozę, ale i podziw dla precyzji wykonania.

Hufce i drużyny harcerek nosiły też stałą pomoc najbardziej potrzebującym; docierały do ludzi z pieniędzmi, żywnością, odzieżą.

Mało kto wie — nawet w środowiskach harcerek — że nazwa Szare Szeregi wywodzi się z Poznania. Na jednym z zebrania zespołu instrukcyjnego w jesieni 1939 zgodzono się, że wojenna działalność ZHP winna być zaszyfrowana jakimś kryptonimem. Któryś ze starszyszy zaproponował, aby posłużyć się skrótem najbardziej dla Polaków złowrogim: SS. I tak powstała szybko w podziemiu rozpowszechniona nazwa Szare Szeregi, stając się po latach synonimem największego poświęcenia, bohaterstwa i patriotyzmu.

Jerzy KORCZAK

Michał HELLER

KIM BYŁ STALIN?

„Imię Stalina jest na wieki wpisane w historię Rosji” — tak zaczął Wassilij Grossman rozdział o Stalinie w powieści „Wszystko płynie” (nadal nie wydanej w Związku Sowieckim). Następny rozdział tej samej powieści zaczynał się zdaniem: „Po śmierci Stalina jego dzieło pozostało żywe”. Te słowa sprzed ponad ćwierć wieku nadal są aktualne. Stalin tkwi w sercu sowieckiej przeszłości i teraźniejszości. O niego potykają się historycy, usiłujący przywrócić pamięć narodowi. O nim mówią, rehabilitując ofiary czystek. Wszystkie programy wszystkich *pieriestrojek* są nierozzerwalnie związane z twórcą idealnego modelu socjalizmu, z którego ZSSR bezskutecznie szuka wyjścia.

Nawet po spaleniu wyrzuconego z mauzoleum ciała nie udało się pogrzebać Geniusza Wszech Czasów i Narodów. 17 grudnia 1917 Maksymilian Wołoszyn pisał o Dymitrze Samozwańcu: „...Z mogiły wychodziło ciało i leżało na urwisku. Ziemia go nie przyjmowała. Woda trupa opływała. Na kawałki pocięli, spalili, prochy zebrali, armatę naładowali, z czterech rogów Moskwy na cztery strony świata strzelali...”. Wołoszyn kończy poemat „Car Dymitry” tajemniczymi słowami: „Tak, trwoząc Ruś mym losem dziwnym, ćwierć wieku martwy, wciąż w złej godzinie przynosiłem biedy. I wrócę znów za trzysta lat”.

Dymitr był samozwańcem. Kim był Stalin? Generalny sekretarz doczekał się biografów dopiero pod koniec lat 20-tych. Pierwszą chyba próbą jego biografii był krótki szkic żyjącego w Paryżu rosyjskiego pisarza Marka Ałdanowa, napisany w 1928 roku. W 1931 roku wyszła obszerna biografia Stalina pióra Siergieja Dmitriewskiego, sowieckiego dyplomaty, który wybrał wolność. W tymże 1931 roku zawodowy biograf Emil Ludwig („Wil-

helm II", „Mussolini") bawił w Moskwie i jako pierwszy uzyskał wywiad Stalina. W 1935 roku ukazały się w Paryżu dwie biografie Jossifa Wissarionowicza: jedna pióra Henri Barbusse'a (bardzo szybko poszła w zapomnienie), druga Borysa Suwarina. Ta druga jest po dziś dzień najlepszym życiorysem genialnego sekretarza (w 1977 roku ukazało się jej uzupełnione nowe wydanie). Potem biografie posypały się jak z rogu obfitości. Wszystkie łączyła jedna wspólna cecha — miejsce, w którym zostały napisane i wydane, mianowicie Zachód. W ojczyźnie wodza pisano o nim bez ustanku pieśni, powieści i prace naukowe. Biografii nie było, jeśli nie liczyć stosunkowo skromnej książeczki złożonej dużym drukiem i zatytułowanej „Jossif Wissarionowicz Stalin — krótka biografia". Wydano ją w nakładzie 40 milionów egzemplarzy. Aleksander Sołżenicyn barwnie opisał w „Kręgu pierwszym", jak Stalin osobiście redagował maszynopis, dopisując tu i ówdzie „genialny", „wielki" i podobne przymiotniki. Domysły Sołżenicyna znalazły później potwierdzenie w dokumentach.

W ostatnich numerach pisma *Oktiabr* z 1988 roku (nr 10-12) ukazała się pierwsza sowiecka polityczna biografia Stalina, zatytułowana „Triumf i tragedia. Polityczny portret J. W. Stalina". Dotychczas wydrukowano tylko pierwszy tom. Około 600 stron obejmuje życie i działalność Stalina od dnia urodzenia w 1879 roku w rodzinie Wissariona Dżugaszwili do końca 1938 roku, kiedy „obłąkańczy terror doszedł do punktu zagrażającego, w przededniu najcięższej próby, funkcjonowaniu samego systemu¹".

Tytuł biografii nie jest całkiem jasny. Wiadomo, co autor ma na myśli, pisząc o „tragedii", nie jest natomiast jasne, o jakim „triumfie" mówi. O osobistym triumfie Stalina? Autor przecież przyznaje, że historia go potępiła. O triumfie socjalizmu, który „mimo wszystko" zbudowano? Autor przecież twierdzi, że zbudowano „nie ten socjalizm".

Mętny tytuł wiernie odpowiada dwuznacznej i mało wiarygodnej treści. Autor wyraźnie unika jasnego sądu o tym, co rzeczywiście zaszło w przeszłości. O charakterze pierwszego sowieckiego „politycznego portretu" Stalina zdecydowała biografia jego autora. Dymitr Wołkogonow nie jest historykiem, chociaż od niedawna stoi na czele instytutu dziejów wojskowości Ministerstwa Obrony ZSSR. Wołkogonow jest generałem i doktorem nauk filozoficznych. Całe życie służył w wojsku. Ukończył szkołę czołgistów i Akademię Wojskowo-Polityczną im. Lenina. Od 1971 roku służył w Głównym Zarządzie Politycznym armii i floty sowieckiej. W 1984 roku dosłużył się stanowiska zastępcy naczelnika Głównego Zarządu, które od 1962 roku zajmował generał Aleksy Jepiszew, jeden z filarów ortodoksyjnej ideologii sowieckiej. Wołkogonow jest m.in. autorem książki zatytułowanej „Wojna

1. Dmitrij Wołkogonow, *Triumf i tragedia. Polityczeskij portiert J. W. Stalina*. „Oktiabr" nr 12, str. 166.

psychologiczna. Wywrotowe działania imperializmu w dziedzinie świadomości społecznej". W 1982 roku zapewniał, że „na przestrzeni całej historii antagonistycznych społeczeństw armia była i pozostała do dziś wyłącznie instrumentem wojny, a w socjalizmie przekształciła się w instrument pokoju²". W chwili, kiedy gen. Wołkogonow robił to odkrycie, wojska sowieckie od trzech lat okupowały Afganistan. W 1987 roku Wołkogonow powtórzył: „Owszem, godzimy się na parytet wojskowo-strategiczny, ale o żadnym parytecie duchowym i moralnym z Zachodem mowy nie ma i być nie może³".

„Triumf i tragedia” jest książką pod wieloma względami interesującą. Przede wszystkim jest to pierwsza książka o sowieckiej historii zrodzona z „ery jawności”. Skasowanie w zeszłym roku egzaminów z historii w szkołach było najwyższym stadium popłochu wobec sowieckiej przeszłości, od góry do dołu usianej białymi (ale czerwonymi od krwi) plamami. Sowieccy ideolodzy zaczynają przytomnieć. Nadchodzi czas nowych podręczników z literatury, „naukowego komunizmu”, ekonomii politycznej socjalizmu i historii. Książka Wołkogonowa jest prototypem „nowej” historii. Przede wszystkim nie zawiera ani jednego odnośnika do poprzednich biografii Stalina. Raz jeden wspomniany jest Isaak Deutscher i raz Assad-Bej. Nie znaczy to, by Wołkogonow nie czerpał bez żenady z książek wydanych na Zachodzie, kiedy mu to potrzebne.

Generał-filozof pisze historię epoki, kreśli psychologiczny portret jej głównego aktora i wielu związanych z nim działaczy oraz analizuje filozofię kultu jednostki. Najbardziej charakterystyczną cechą książki Wołkogonowa — jest to zresztą główna cecha *głasności* — jest brak jakichkolwiek nowych elementów na temat sowieckiej przeszłości i samego Stalina. Książka zawiera wyłącznie to, co było wiadome zachodnim badaczom i już zostało opublikowane. Sowiecki czytelnik znajdzie w niej naturalnie wiele nowego, zaskakującego, sensacyjnego wręcz materiału, ale tylko dlatego, że dotychczas wszystko przed nim ukrywano i uporczywie, planowo, konsekwentnie go okłamywano. Brak rzeczywistych odkryć — nowych faktów, dokumentów — jest tym dziwniejszy, że Wołkogonowi dano prawo, za które niejeden historyk dałby sobie uciąć lewą rękę — mianowicie dostęp do archiwum Stalina.

Ignazio Silone pisał przeszło trzydzieści lat temu, że wiele pokoleń historyków będzie musiało oczyszczać historię ZSSR z pokładów kłamstwa i rekonstruować prawdziwy bieg wydarzeń. Zastanawiał się, ilu pokoleń ta praca będzie wymagała. Bo, dodawał Silone, nawet jeśli uda się dotrzeć do oficjalnych źródeł, gdzie mamy gwarancje, że znajdziemy tam dokumenty?

2. D. A. Wołkogonow, *Ugroza miru — mifczeskaja i realnaja*. „Woprosy filozofii” nr 12/1982, str. 88.

3. *Literaturnaja gazeta* nr 41, 7 października 1987.

Naiwne pytania — ironizował w rozmowie z Silonem Palmiro Togliatti, który dobrze znał kremlowskie labirynty — ważne decyzje i rozkazy nie są utrwalane na piśmie⁴. Wołkogonow potwierdza, że na wielu dokumentach nie ma podpisu Stalina (choć jest na bardzo wielu spisach ludzi skazanych na śmierć) i że Stalin nierzadko wydawał rozkaz, ograniczając się do jednego słowa — „zgodzam się”.

Wiele dokumentów jednak przetrwało. Wołkogonow nie korzysta z nich dla wyjaśnienia nie całkiem jasnych kwestii. Wyliczając niektóre z takich dokumentów, Silone pisał: „Chruszczow np. potwierdził, że zabójstwo Kirowa było prowokacją. Ale w jakich okolicznościach zdecydowano zorganizować tę haniebną inscenizację i kto w niej uczestniczył?”⁵. Wołkogonow odpowiada: w archiwach nie ma materiałów na temat śmierci Kirowa⁶. Tymczasem wiadomo, że powołana uchwałą XX Zjazdu komisja KC badała tę sprawę i zebrała kilka tomów materiałów. Chruszczow nie miał powodu niszczyć tych dokumentów tak, jak niszczył spisy skazanych na śmierć, na których figurował jego podpis. Bardzo wykrętna i skąpa jest też informacja Wołkogonowa na temat śmierci Trockiego. Czytelnik dowiaduje się tylko, że „Stalin zlecał Berii najbardziej drażliwe zadania. Tak, Trocki, najbardziej nieubłagany osobisty wróg 'wodza', koniec końców został fizycznie zgładzony nie bez udziału narkoma”⁷. Artykuł historyka Wasieckiego, późniejszy niż książka Wołkogonowa, dodaje do historii zabójstwa Trockiego szczegół, dobrze znany wszystkim zachodnim badaczom: operację przygotował pułkownik NKWD Leonid Eitingon, który zwerbował matkę zabójcy, Caridad. Zabójca nazywał się Jackson-Mornar-Mercader. Ale i artykuł nie wspomina słowem o tym, że po wyjściu z więzienia Mercader dostał order Bohatera Związku Sowieckiego. Autor zadawała się tajemniczym zdaniem: „Jego [Mercadera] dalszych losów można się tylko domyślać”⁸.

Bylibyśmy niesprawiedliwi, zarzucając „Triumfowi i tragedii” całkowity brak nowych informacji. Czytelnik dowiaduje się na przykład, że Stalin był przez całe życie ascetą. Po jego śmierci okazało się, że „nie miał żadnych własnych rzeczy poza cerowanymi walonkami i łatanym chłopskim tułupem”⁹. Ciekawy jest też opis biblioteki Stalina: widnieli w niej Marks-Engels-Lenin, Kautsky, Plechanow, Trocki, Bucharin, a nie było Kanta i Hegla.

4. Ignazio Silone, przedmowa do serii „Archiwum rewolucji”, Instytut Literacki, Paryż 1965.

5. *Tamże*.

6. Dmitrij Wołkogonow, *Triumf i tragedia...*, op. cit., nr 12, str. 51.

7. *Tamże*, nr 12, str. 157.

8. N. Wasieckij, *Likwidacja*. „Literaturnaja gazeta”, 4 stycznia 1989.

9. Wołkogonow, „Triumf i tragedia”, *Oktiabr* nr 12, str. 47. (W dalszym ciągu przy cytatach z tej pracy podajemy w nawiasach nr *Oktobra* i strony).

Ciekawe, że Stalin czytał historię rewolucji francuskiej Aularda i pokochał Robespierre'a i Couthona, czytał „Myśli” Napoleona, w których zakreślił grubą krechę na marginesie słowa: „Właśnie wieczorem pod Lodi uwierzyłem w siebie jako w niezwykłego człowieka i przeniknęła mnie żądza dokonania wielkich czynów, które do tej pory wydawały mi się fantazją” (nr 11, 46).

Wołkogonow kreśli dobrze znany wizerunek Stalina: cała paleta barw (jedna czarniejsza od drugiej) zapożyczona jest od Trockiego. Wszystkie przymiotniki dotyczące okresu przed niepowstrzymanym wzlotem Koby na szczyty są doskonale znane: „człowiek do poruczeń”, „niczym nie wyróżniający się funkcjonariusz”, „statysta polityczny”, „urzędnik idei” (nr 10, 23, 24, 30, 31, 44). Autor „Triumfu i tragedii” z naciskiem podkreśla, że Stalin myślał „jak katecheta” i przypomina, że młody Dżugaszwili przez dziesięć lat pobierał nauki w seminarium, co „sprzyjało kształtowaniu maniakalnego, dogmatycznego umysłu”. Wołkogonow wnosi z tego, że Stalin „przez całe życie wierzył”: najpierw w chrześcijańskie, a potem w marksistowskie dogmaty. W sumie „dawał pierwszeństwo wierze, a nie prawdzie” (nr 10, 7, nr 11, 60, 63).

Dymitr Wołkogonow nie bardzo rozumie, w jaki sposób „polityczny statysta” przekształcił się w Wodza i Nauczyciela Całej Postępowej Ludzkości. Nie rozumie, bo nie zdecydował się odejść od marksistowskiej analizy (innych metod zresztą nie zna). W rezultacie dochodzi do wniosku, że Stalin doszedł do władzy, bo jej pragnął. Traktował sprawę poważnie i uważnie studiował książki o „technice samowładztwa”, a przede wszystkim „stworzył i wykorzystywał posłuszny aparat państwowy i partyjny, bez którego byłby niczym” (nr 10, 7).

Dymitr Wołkogonow przyjmuje bez zastrzeżeń największe odkrycie epoki *glasnosti* i „likwidacji białych plam w historii”, że walki diadochów po śmierci Lenina miały charakter osobistej walki o władzę. Stalin zwyciężył, bo „kierowała nim bezgraniczna żądza władzy, której do końca nie zdołał zaspokoić” (nr 12, 151). Władza dla władzy: wracamy do tłumaczenia Orwella z „Roku 1984”.

Wołkogonow jednak koniecznie potrzebuje teoretycznego, polityczno-filozoficznego wyjaśnienia Stalina. Znajduje je w „cezaryzmie”. Autor waha się, pisze o „kulcie jednostki”, wymyśla „wodzostwo” i „kultowe wodzostwo”, aż wreszcie oświadcza, że „kult jednostki, wodzostwo i cezaryzm” są synonimami” (nr 12, 73). W rozdziale pt. „Atrybuty cezaryzmu” czytelnik znajduje zadziwiające twierdzenia. Zwróciłem już uwagę na fakt, że Wołkogonow nie jest historykiem, tylko filozofem. Niewykluczone, że w szkołach, które kończył, nie wykładano historii starożytnego Rzymu. Tym niemniej głupstwa, które wypisuje o autorze *Commentarii de Bello Gallico* zasługują na uwagę. Wołkogonow oświadcza, że „kultowe wodzostwo można nazwać cezaryzmem

XX wieku” i opowiada, że Cezar, będąc sługą narodu, skupił w swych rękach najwyższą władzę, a w tym celu „stworzył nową warstwę — warstwę patrycjusza, rodzaj starożytnej biurokracji — która stała się głównym instrumentem jego władzy” (nr 12, 74). Gdyby Wołkogonow zajął choćby do Małej Encyklopedii Sowieckiej, dowiedziałyby się, że Cezar nie był twórcą patrycjatu i że patrycjusze nie byli „rodzajem biurokracji”. Wołkogonowi jednak chodzi o to, że już Cezar opierał się na nomenklaturze, a Stalin wzorował się na Cezarze, co było naturalne w kraju, „żyjącym przez stulecia pod osłoną carskiej korony...” (nr 12, 74).

Wielkie odkrycie Wołkogonowa, „cezaryzm”, przejęło od niego wielu sowieckich dziennikarzy. Pozwala ono odróżnić Lenina od Stalina i pominąć rolę partii leninowskiej, która rodzi kult wodza jak chmura deszcz.

Głównym zadaniem „Triumfu i tragedii” jest obrona Lenina, autora projektu, który był „syntezą demokracji, humanizmu i sprawiedliwości” (nr 12, 45). Powtórzmy: „Leninowska koncepcja socjalizmu to demokracja, humanizm, sprawiedliwość społeczna” (nr 12, 63). Budowie tego wspaniałego socjalizmu przeszkodziła choroba i śmierć wodza oraz nieposłuszeństwo następców, którzy nie zastosowali się do jego testamentu. Demaskator „kultowego wodzostwa” i „cezaryzmu” pisze: „tytaniczny umysł” Lenina, „genialne tezy kwietniowe” (nr 10, 122), „Lenin zawsze wyrażał interesy ludu” (nr 10, 24) itd., itp. Ideałem Lenina, zapewnia Wołkogonow, było „zdobycie najwyższych szczytów wolności człowieka w ramach społecznej konieczności” (nr 12, 107) i „całkowite zaniechanie gwałtu nad człowiekiem” (nr 12, 58).

Chcąc sfałszować prawdziwy bieg wydarzeń związanych ze Stalinem, Wołkogonow ucieka się przede wszystkim do przemilczeń. Kiedy broni Lenina, sięga po rozmaite rodzaje kłamstw. Pisze np., że „słynna rezolucja” o rozwiązaniu i zakazie frakcji, uchwalona na żądanie Lenina w marcu 1921 roku, sprzyjała „zwarceniu szeregów partii”, natomiast w żadnym wypadku nie była wymierzona przeciw swobodzie myśli i walce idei (nr 11, 72). Kłamie w żywe oczy, twierdząc: „Kiedy Lenin chorował, zorganizowano z inicjatywy GPU i przy poparciu Stalina niecodzienną akcję: wysłano za granicę 160 osób, stanowiących rdzeń kultury rosyjskiej (pisarzy, profesorów, filozofów, poetów, historyków)” (nr 12, 131). Ogłoszone w dziełach zebranych Lenina dokumenty nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do tego, że rozkaz banicji wydał on sam. Wołkogonow cytuje z wielkim zadowoleniem referat Lenina z 2 lutego 1920: „Do terroru zmusiła nas Ententa... Jak tylko zdobyliśmy Rostow, zrezygnowaliśmy ze stosowania kary śmierci...” (nr 10, 35). Wołkogonow nie wspomina o listach Lenina do narkoma sprawiedliwości Kurskiego z lutego i maja 1922, kiedy nie było już Ententy. Lenin żąda w nich, aby terror wpisać do pierwszego sowieckiego kodeksu karnego. Wołkogonow z oburzeniem cytuje notatkę Stalina do centrum: „Może-

cie być przekonani, że nie oszczędzimy nikogo..." (nr 12, 92), zapomina tylko dodać, że Stalin pisał to do Lenina w odpowiedzi na jego telegram następującej treści: „Należy koniecznie wszędzie bezlitośnie dążyć tych żalosnych, rozhisteryzowanych awanturników. Bądźcie bez litości dla lewych eserów i częściej raportujcie”. Dwukrotnie pada słowo „bez litości”. Nie jest na pewno przypadkiem, że telegram ten opublikowano po raz pierwszy 21 stycznia 1936. Szykował się pierwszy wielki proces — Zinowiewa, Kamieniewa i innych — Lenin zdawał się zza grobu błogosławić Stalina.

Wołkogonow przedstawia sprawy z nieubłaganą logiką: Lenin chciał dobrze, nawet bardzo dobrze. Zrobił co mógł, ale zdradzili go towarzysze. W tej logicznej konstrukcji, której aktualności nie trzeba dowodzić, jest tylko jedno słabe miejsce. Jak to się stało, że wielki Lenin, geniusz, budowniczy partii, wódz zwycięskiej rewolucji, tak nieumiejętnie dobierał sobie towarzyszy? Wołkogonow charakteryzuje ich jednego za drugim i — trzeba mu oddać sprawiedliwość — nie znajduje nikogo wybitnego poza Stalinem i Trockim. To bezsprzecznie jest nowość. Pojawienie się Trockiego na kartach sowieckiej literatury, jego polityczna, jeśli nie sądowa rehabilitacja nie są związane z pragnieniem wypełnienia ogromnej „białej plamy” w sowieckiej historii. „Demon rewolucji”, jak pięknie pisze Wołkogonow, jest pilnie potrzebny dla zdemaskowania byłego „anioła rewolucji”, Stalina. Wizerunek Stalina w „Triumfie i tragedii” jest właściwie wizerunkiem dwóch osób. Wołkogonow uparcie sęczy myśl, że Stalin był trockistą, chociaż przyznaje, że Trocki zawsze był „osobistym wrogiem” genseka. Dwaj „wybitni przywódcy KC”, jak ich nazywał Lenin, byli zdaniem Wołkogonowa mimo wrogości bliźniakami i przyświecał im ten sam cel — władza. „Kto wie — rozmyśla Wołkogonow — czy gdyby Trocki pokonał Stalina, nasz naród nie zetknąłby się z dyktaturą nie mniej ostro wyrażonego cesarystycznego typu?” (nr 12, 156). Trocki był nie tylko głównym źródłem pomysłów Stalina (Wołkogonow pisze, że Stalin uważnie studiował teksty swojego wroga), ale też prowokował i popychał Stalina do terroru. Zdaniem Wołkogonowa „Zdradzona rewolucja” Trockiego, napisana w 1936 roku, a dostarczona Stalinowi na początku roku 1937, skłoniła go do wprowadzenia masowego terroru, m.in. do wystrzelania całego korpusu oficerskiego armii czerwonej. Tak to działali ręka w rękę dwaj najlepsi, ba jedyjni prawdziwi uczniowie Lenina.

W drugim tomie „Triumfu i tragedii” — łatwo to odgadnąć z rozmaitych aluzji rozsianych w pierwszym tomie — Stalin pomyślał drugiego brata-bliźniaka, Hitlera.

Książka Dymitra Wołkogonowa wciąż nawiązuje do czasów współczesnych. Autor często polemizuje z czytelnikami rozdziałów, ogłoszonych przedtem w czasopiśmie, którzy przysyłali mu listy w obronie Stalina. Ostrzega przed niebezpieczeństwem od-

rodzenia „stalinizmu”. Co może temu zapobiec? Po śmierci Stalina — pisze Wołkogonow — Beria, „który niczego nie rozumiał z marksizmu i nie czytał dzieł Lenina” (nr 12, 155), szykował się do zdobycia władzy. Mogło mu się udać, bo „ówczesny system absolutnie nie wykluczał zamiany jednego dyktatora na drugiego” (nr 11, 94). Przeszkadzili temu drżący o swoją skórę przywódcy. A teraz?

„Triumf i tragedia” dotarł do rąk czytelników po „Dzieciach Arbatu” i po „Trzydziestym piątym i innych latach” Anatola Rybakowa. Obaj autorzy — i pisarz, i filozof — są przeciwnikami Stalina i stalinizmu i uważają, że tylko obecny generalny sekretarz może postawić mu tamę. Obaj autorzy sięgają do tych samych przykładów. Rybakow wplata w powieść historyczne pasáže, Wołkogonow często myśli za Stalina, odgaduje jego myśli i marzenia. Szykują się nowe książki o byłym wodzu narodów. W kazachstańskim piśmie *Prostor* (nry 7-9/1988) ukazała się powieść W. Uspieńskiego „Tajny doradca wodza”. *Izwestia* piszą o niej tak: „Dosłownie cały tekst powieści tchnie czułym i pełnym poważania stosunkiem do Stalina, którego przestępcza natura jest już dziś powszechnie znana¹⁰”.

Być może nie wszyscy potrafią uwierzyć w „przestępczą naturę” Stalina, ponieważ system jak dawniej nie wyklucza zamiany jednego dyktatora na drugiego.

Michał HELLER

10. *Izwestia*, 3 stycznia 1989.

WSPOMNIENIA

A. L. MIASNIKOW

AGONIA STALINA¹

Późnym wieczorem 2 marca 1953 roku zajechał do nas do domu współpracownik specjalnego oddziału lecznicy kremłowskiej. „Ja po Pana — do chorego Gospodarza”. Szybko pożegnałem się z żoną (kto mógł wiedzieć, dokąd nas dalej wywiozą). Zajechaliśmy na ulicę Kalinina, gdzie czekali na nas prof. N. W. Konowałow (neuropatolog) i E. M. Tariejew, po czym pędem ruszyliśmy do dacy Stalina w Kuncewie, naprzeciwko nowego uniwersytetu. W milczeniu dojechaliśmy do bramy — drut kolczasty po obu stronach fosy i ogrodzenia, psy.

Wreszcie znaleźliśmy się w obszernej willi o przestronnych pokojach pełnych szerokich tapczanów, o ścianach wyłożonych błyszczącą boazerią. W jednym z pokoiów czekali już nowy minister zdrowia (E. I. Smirnowa zdjęto jeszcze w październiku w związku z kontrolą komisji rządowej w ministerstwie i skierowano ponownie do resortu wojskowego na poprzednie stanowisko naczelnika zarządu sanitarnego wojska), prof. P. E. Łukomski (główny terapeuta ministerstwa zdrowia), Roman Tkaczow, Filimonow i Iwanow-Nieznamow².

1. Fragment wspomnień członka konsylium, zwołanego do umierającego Stalina.

2. Prof. R. A. Tkaczow i I. N. Filimonow są znanymi neuropatologami, a doc. W. I. Iwanow-Nieznamow był terapeutą lecznicy kremłowskiej.

Minister powiedział, że nocą z 1 na 2 marca Stalin dostał wylewu krwi do mózgu, stracił przytomność i mowę oraz doznał paraliżu prawej nogi i ręki. Jeszcze poprzedniego dnia pracował jak zwykle do późnej nocy w swoim gabinecie. Dyżurny oficer ochrony o trzeciej rano widział go jeszcze przy stole (zajrzał przez dziurkę od klucza). Światło paliło się do rana, ale tak było ustalone. Stalin sypiał w drugim pokoju, w gabinecie stała kanapa, na której często odpoczywał. O siódmej rano żołnierz z ochrony znów zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył Stalina leżącego bez przytomności na podłodze między stołem i kanapą. Chorego przeniesiono na kanapę, na której później leżał cały czas.

Konsylium przerwało wejście Berii i Malenkowa (cały czas później przychodzili i odchodzili zawsze we dwójkę). Beria powiedział nam kilka słów o nieszczęściu, jakie spadło na partię i naród i wyraził przekonanie, że zrobimy wszystko, co w siłach medycyny, itd., itp. „Pamiętajcie — powiedział — że partia i rząd pokładają w was całkowite zaufanie i cokolwiek uznacie za stosowne podjąć, spotkacie z naszej strony zgodę i wszelką pomoc”.

Słowa te wypowiedział prawdopodobnie dlatego, że w owym czasie część profesorów — „lekarzy-morderców” — siedziała w więzieniu i czekała na egzekucję. Następnego dnia ukazał się pierwszy rządowy komunikat o chorobie Stalina. „Dla leczenia towarzysza Stalina zmobilizowano najlepsze siły medyczne” — głosił komunikat, po czym następowały nasze nazwiska i tytuły. Komunikat wspominał też, że „leczenie towarzysza Stalina odbywa się pod nieustannym nadzorem Komitetu Centralnego KPZS i rządu ZSSR”.

Stalin leżał jak kłoda — okazał się krępy i gruby — z wykrzywioną twarzą i bezwładnymi prawymi kończynami. Oddychał ciężko, raz słabiej, raz silniej. Ciśnienie krwi 210/110. Migająca arytmia. Leukocytoza do 17.000. Temperatura podwyższona — 38 z kreskami. Przy osłuchiwaniu serca nie stwierdziliśmy specjalnych odchyień od normy, także w płucach nie znaleźliśmy niczego patologicznego. Diagnoza wydawała się, chwalić Boga, jasna: wylew do prawej półkuli mózgu na tle wysokiego ciśnienia i arteriosklerozy. Leczenie wyznaczaliśmy obfite...

Członkowie konsylium postanowili nie opuszczać daczy Stalina. Uprzedziliśmy rodziny. Każdy z nas spędzał swoją część dyżuru u wezwłowa chorego. Przez cały czas siedział przy nim ktoś z Biura Politycznego — najczęściej Woroszyłow, Kaganowicz, Bułganin i Mikojan.

3 marca rano konsylium miało dać odpowiedź na pytanie Malenkowa, jakie są rokowania. Odpowiedź mogła być wyłącznie zła — śmierć była nieuchronna. Malenkow dał nam do zrozumienia, że spodziewa się takiego końca, ale ma nadzieję, że medycyna zdoła jeśli nie uratować, to przynajmniej wystarcza-

jąco przedłużyć życie Stalina. Zrozumieliśmy: chodziło o czas, niezbędny do zorganizowania nowej ekipy władzy i przygotowania opinii publicznej.

Natychmiast więc sporządziliśmy pierwszy komunikat o stanie zdrowia J.W. Stalina (godz. 2-ga dnia 4 marca). Widniało w nim wieloznaczne zdanie: „Zastosowano szereg środków terapeutycznych, zmierzających do wskrzeszenia niezbędnych do życia funkcji organizmu”. Wyrażało ono w ostrożnej formie nadzieję na „wskrzeszenie”, co miało nieco uspokoić kraj. W tym czasie wezwano do Moskwy wszystkich członków KC i kierownicze kadry organów partyjnych i państwowych, aby przedyskutować sytuację w związku ze zbliżającą się śmiercią głowy państwa.

Choroba Stalina wzbudziła naturalnie żywą reakcję w naszym kraju i za granicą. Jednak, jak to mówią, od wielkości do śmieszności jest tylko krok. W instytucjach lekarskich — radzie naukowej ministerstwa, prezydium Akademii, w niektórych instytucjach — zwołano zebrania dla ustalenia, jak pomóc w leczeniu Stalina. Sugerowano nam rozmaite sposoby. Dla obniżenia ciśnienia proponowano np. metodę, opracowaną w instytucie terapii (dziwnie mi było czytać wysłane na moje ręce moje własne zalecenia). Ktoś inny radził nam, jak leczyć śpiączkę (chory był głęboko nieprzytomny). Prof. Niegowski radził, aby arytmie opanować aparatem do sztucznego oddychania, przeznaczonym do ratowania topielców i ludzi zatrutych dwutlenkiem węgla. Przywieziono nawet ten aparat na dację Stalina, ale zobaczywszy Stalina Niegowski zgodził się, że jego metoda nie musi być zastosowana (za to wkręcił się do konsylium, co było w jego interesie członka partii; biuletynu zdrowia jednak nie pozwolono mu podpisywać, toteż jego nazwisko nie figuruje w gazetach).

Poczta przynosiła wzruszające listy. Ich autorzy wyrażali wiarę, że konsylium zdoła uratować życie genialnego wodza, ojca i nauczyciela, błagali wręcz o to, z rzadka tylko z akcentem groźnego żądania, częściej natomiast żarliwie i z ufnością wobec sowieckiej medycyny. Młodzi oficerowie i żołnierze proponowali swoją krew do transfuzji — „do ostatniej kropli” — a niektórzy pisali, że bez wahania gotowi są oddać swoje serce („niechaj chirurdzy wytną moje młode serce i wstawią je towarzyszewi Stalinowi”).

Wypada wspomnieć, że do czasu ataku Stalin przez mniej więcej trzy lata nie chodził do żadnych lekarzy. Tak nam przynajmniej powiedział naczelnik lecznicy kremlowskiej. Kilka lat wcześniej, będąc na dacy pod Macestą, Stalin zachorował na grypę. Leczyli go wtedy N.A. Kipszydze z Tyflisu i M.M. Michow z instytutu balneologii w Soczi. Obaj opowiadali, że był surowy i nieufny. W Moskwie najwidoczniej unikał lekarzy. W obszernej dacy w Kuncewie nie było nawet apteczki z pierwszą pomocą,

między innymi nie było nitrogliceryny, gdyby więc miał atak serca, mógł umrzeć od spazmu, który można zlikwidować dwiema kroplami lekarstwa. Gdyby chociaż pielęgniarkę trzymali w przebraniu pokojówki albo lekarza w przebraniu pułkownika ochrony — jak by nie było, Stalin miał siedemdziesiąt dwa lata! Nikt też nie wiedział, od jakiego czasu ma podwyższone ciśnienie (nigdy się na nie nie leczył). Jego córka Swietłana, inteligentna i sympatyczna młoda żona syna Żdanowa (docenta chemii, kierownika wydziału nauki KC) opowiadała, że na jej prośby, aby poszedł do lekarza, „tata zawsze kategorycznie odpowiadał 'nie!'”. W tym momencie przypominałem sobie, co Stalin powiedział G. F. Langowi, kiedy tamten mieszkał u chorego Gorkiego: „Lekarze nie umieją leczyć. Na przykład u nas w Gruzji jest wielu krzepkich stuletnich starców. Leczą się wytrawnym winem i nakładają ciepłą burkę”.

Swietłana Josifowna zapraszała nas na obiady i kolacje i starała się swoją prostotą i powściągliwą uprzejmością nie wnosić ani dodatkowego napięcia, ani mrocznego milczenia. Jadał z nami też K. E. Woroszyłow, który wydał mi się sympatycznym starym wujkiem, zmartwionym chorobą bliskiego człowieka.

Stalin ciężko dyszał, czasami jęczał. Raz tylko wydawało się przez chwilę, że zamyślonym wzrokiem powiódł po otaczających go ludziach. Woroszyłow nachylił się wtedy nad nim i powiedział: „Towarzyszu Stalin, wszyscy tu jesteśmy twoimi wiernymi przyjaciółmi i towarzyszami. Jak się czujesz, mój drogi?”. Ale wzrok nie wyrażał już niczego, Stalin znowu zapadł w sen. Nocą wydawało nam się wielokrotnie, że umiera. Następnego ranka, 4 marca, komuś przyszła do głowy myśl, że może na dodatek Stalin dostał zawału serca. Przyjechała z lecznicy młoda lekarka, zrobiła elektrokardiogramy i bezapelacyjnie oświadczyła: „Tak, jest zawał”. Zrobił się popłoch. „Lekarzy-morderców” oskarżono m.in. o to, że umyślnie nie zdiagnozowali zawału serca u ofiar swoich rzekomych mordów. Teraz przyjdzie kolej na nas... Do tej pory nie wspominaliśmy w raportach o możliwości zawału. A teraz cały świat się o tym dowie. Ból jest charakterystycznym symptomem zawału. Nieprzytomny Stalin nie mógł oczywiście skarżyć się na bóle. Leukocytoza i podwyższona temperatura mogły przemawiać za hipotezą zawału.

Konsylium było niezdecydowane. Postanowiłem zagrać *va banque*: „Elektrokardiograficzne wykresy są zbyt monotonne jak na zawał. Są to mózgowo, pseudozawałowe wykresy. Moi współpracownicy z Wyższej Szkoły Medycznej otrzymywali podobne krzywe przy wstrząsach mózgu. Niewykluczone, że mogą się także zdarzyć przy apopleksji”.

Neuropatolodzy potwierdzili — krzywe mogą pochodzić z mózgu, w każdym razie podstawowa diagnoza — wylew krwi do mózgu — jest wystarczająco jasna. Mimo pewnego siebie dyskantu elektrokardiograficzki konsylium nie zatwierdziło hipotezy

zawału serca. Diagnozę uzupełniono zresztą o nowy element: możliwe ogniskowe wylewy w komorze serca w związku z ciężkimi zaburzeniami wieńcowymi na tle wylewu do wewnętrznych płatów mózgu.

Rankiem 5 marca Stalin nagle dostał krwotoku. Krwotok doprowadził do spadku pulsu i ciśnienia krwi. To nas też trochę zbiło z tropu — czym to objaśnić?

Dla podtrzymania coraz niższego ciśnienia bezustannie podawaliśmy Stalinowi rozmaite lekarstwa. Wszyscy członkowie konsylium tłoczyli się wokół chorego i w sąsiednim pokoju w domysłach i trwodze. Z ramienia KC dyżurował Bułganin. Zauważyłem, że spogląda na nas podejrzliwie, by nie powiedzieć wrogo. Na pagonach połyskiwały mu marszałkowskie gwiazdki, twarz miał obrzmiałą, na czoło spadał kosmyk włosów, bródka — trochę przypominał jakiegoś cara Romanowa albo generała z czasów wojny rosyjsko-japońskiej. Stojąc koło kanapy, zwrócił się do mnie: „Profesorze, a skąd się wziął krwotok?”. Odpowiedziałem: „Może to być wynik niewielkich wylewów natury wieńcowej w ścianie żołądka — w związku z nadciśnieniem i udarem”. „Może być? — przedrzeźnił mnie wrogo. — A nie może być rak żołądka? U was wszystko wieńcowe — dodał z odcieniem pogroźki — a najważniejsze prze...” (wyraźnie chciał powiedzieć coś wulgarnego, ale się opanował i powiedział „przeocycie”).

Przez cały dzień 5 marca coś tam Stalinowi wstrzykiwaliśmy, pisaliśmy dziennik czynności, sporządzaliśmy biuletyn zdrowia. W międzyczasie na drugim piętrze zebrał się członkowie KC; członkowie Biura Politycznego podchodzili do umierającego, osobnicy niższej rangi stawali w drzwiach, bojąc się podejść nawet do półżywego „gospodarza”. Pamiętam, że N. S. Chruszczow także trzymał się drzwi. W każdym razie nawet w takiej chwili przestrzegano hierarchii: na przodzie stali Malenkow i Beria, za nimi Woroszyłow, potem Kaganowicz, jeszcze dalej Bułganin i Mikojan. Mołotow był chory, miał zapalenie płuc, ale mimo to ze dwa-trzy razy na krótko przyjechał.

Wewnętrzny krwotok do żołądka i jelit został zapisany w dzienniku i szczegółowym sprawozdaniu, które sporządziliśmy pod koniec dnia, kiedy chory jeszcze oddychał. Z godziny na godzinę spodziewaliśmy się śmierci.

Wreszcie 5 marca o godz. 21.50 Stalin umarł.

Była to oczywiście pamiętna chwila. Kiedy tylko ustaliliśmy, że puls zniknął, oddech ustał i stanęło serce, do przestronnej komnaty weszli czołowi działacze partii i rządu, córka Stalina Swietłana, syn Wasilij i ochrona. Wszyscy stali nieruchomo, w uroczystym milczeniu — może pół godziny, może dłużej. Zaszło niewątpliwie wielkie historyczne wydarzenie. Odszedł wódz, przed którym drżał kraj, a w jakimś stopniu i cały świat. Wielki dyktator, jeszcze niedawno wszechmocny i niedosięgly, przekształcił się w żałosnego, biednego trupa, którego nazajutrz mieli kroić

na kawałki anatomopatolodzy. Potem obróci się w proch, tak jak trupy wszystkich zwykłych ludzi. Stojąc w milczeniu, myśleliśmy prawdopodobnie każdy o czym innym, ale powszechne było przeczcucie zmian, które powinny, które nie mogą nie nastąpić w życiu naszego państwa i naszego narodu...

Coś musi się w naszym życiu zmienić, i to na lepsze. Czyż nie nastanie wreszcie duch wolności i normalnego bezpieczeństwa?

Dnia 6 marca około 11-12 w południe na ul. Sadowej-Triumfalnej w skrzydle budynku, który zajmuje katedra biochemii 1-go MOŁMI otwarto ciało Stalina. Obecni byli spośród członków konsylium tylko ja i Łukomski. Byli też ludzie z ochrony. Ciało otworzył A. I. Strukow, profesor 1-go MOŁMI, w obecności N. N. Aniczkowa (prezydenta AMN), biochemika prof. S. R. Mardaszewa, który miał ciało zabalsamować, anatomopatologów prof. Skworcowa, Migunowa i Rusakowa. W czasie sekcji zwłok niepokoił się rzecz jasna — co z sercem? skąd był krwotok? Wszystko się jednak potwierdziło. Śladów zawału serca nie było (znaleziono tylko ogniska wylewu).

Silna skleroza arterii mózgowych, którą stwierdziliśmy po otwarciu czaszki, każe postawić pytanie, w jakiej mierze ta choroba — która niewątpliwie rozwijała się przez szereg ostatnich lat — mogła wpłynąć na charakter i postępowanie Stalina w tych latach. Wiadomo przecież dobrze, że sklerozie naczyń mózgowych, prowadzącej do niedokrwienia komórek nerwowych, towarzyszy wiele zaburzeń funkcji układu nerwowego. Przede wszystkim w dziedzinie wyższych funkcji nerwowych — występuje np. osłabienie procesów hamowania, w tym i hamowania zróżnicowanego. Łatwo sobie wyobrazić, że w postępowaniu Stalina wyrażało się to utratą orientacji, co jest słuszne, a co nie, co właściwe, a co szkodliwe, co można, a czego nie, kto jest swój, a kto wróg. Równocześnie wyostrzają się cechy osobowości: człowiek wybuchowy staje się zły, człowiek nieufny robi się chorobliwie podejrzliwy i zaczyna cierpieć na manię prześladowczą. Wszystko to zgadzało się w stu procentach z postępowaniem Stalina w ostatnich latach.

Wydaje mi się, że ocena znanych historycznych postaci wymaga nie tylko literackiego lub psychologicznego opisu, ale także analizy z lekarskiego punktu widzenia. Wszyscy oni przecież na coś chorują, w każdym razie pod koniec życia ich postępowanie może być w jakimś stopniu związane z chorobą. Podejrzewam, że okrucieństwo i podejrzliwość Stalina, jego strach przed wrogami, utrata rozsądnych kryteriów przy ocenie ludzi i zdarzeń, bezgraniczny upór — spowodowane były w znanym medycynie stopniu sklerozą naczyń mózgowych (ściślej mówiąc, skleroza wyostrzyła te cechy). Państwem rządził chory człowiek. Ukrywał chorobę, unikał lekarzy, bał się ich diagnozy. Skleroza naczyń mózgowych postępuje powoli, latami. U Stalina znale-

ziono bardzo stare ogniska rozmiękczenia mózgu. Jak wiadomo, przy tej chorobie funkcje umysłowe mogą być całkowicie albo prawie całkowicie nienaruszone. Dlatego tacy starcy mogą zachować liczne symptomy sprawnej działalności umysłowej, natomiast inne sfery psychiki (zwłaszcza reakcje emocjonalne) mogą być bardzo zmienione...

W związku ze śmiercią dyktatora zginęło też kilkudziesięciu (kilkuset?) moskwiczan. W dzień po jego śmierci potężne tłumy ruszyły ku centrum Moskwy, w stronę Domu Związków Zawodowych. Na ulicach Trubnej i Nieglinej zbiegły się napływające zewsząd potoki ludzi, zrobił się straszny ścisk, ludzie padali, inni po nich deptali, jak w swoim czasie na Chodyncce. Symboliczna zbieżność. Ta tragiczna historia była godnym ukoronowaniem życia nieboszczyka.

A. L. MIASNIKOW

Literaturnaja gazeta z 1 marca 1989

DOKUMENTY

Paweł LIDA

PARAFIE RZYMSKOKATOLICKIE NA BIAŁORUSI I UKRAINIE W 1988 ROKU — OBSADA PERSONALNA

Celem niniejszego zestawienia jest ukazanie stanu sieci parafialnej Kościoła rzymskokatolickiego na terenach Białorusi i Ukrainy w 1988 roku. Istniejące tam od kilkuset lat struktury kościelne znalazły się w dwóch etapach w granicach ZSSR. Pierwszy raz po 1920 roku i drugi raz po zakończeniu drugiej wojny światowej, gdy granice przesunęły się o 300 km na zachód. Za każdym razem rozpoczął się natychmiast bezwzględny i wyrafinowany proces ich niszczenia, jakkolwiek przy użyciu nieco innych metod. Zmiany w tym względzie były podyktowane nową sytuacją polityczną i społeczną, jaka zaistniała po drugiej wojnie światowej. Przyniosło to również inne rezultaty. Oto pewna ilustracja.

W 1925 roku na Białorusi i Ukrainie istniało:

- w archidiecezji mohylewskiej (w jej części europejskiej) — 152 parafii;
- w diecezji tyraspolskiej — 90 parafii;
- w diecezji mińskiej — 46 parafii;
- w diecezji łucko-żytomierskiej — 183 parafie;
- w diecezji kamienieckiej — 113 parafii.

Razem 508 parafii. Pracowało w nich w tym czasie ponad

300 księży¹. Po kilkunastu latach, w 1938 roku, istniały już tylko dwie parafie, w Moskwie i Leningradzie, obsługiwane przez dwóch księży obcokrajowców (Francuzów).

Po 1945 roku w granicach zachodnich ZSSR znalazła się 1/3 ziem wschodnich II Rzeczypospolitej. W wyniku tej aneksji w nowookreślonych granicach republiki Białorusi i Ukrainy znalazły się tereny wchodzące w skład siedmiu różnych jednostek administracji kościelnej: archidiecezji mohylewskiej, diecezji mińskiej, archidiecezji wileńskiej, diecezji pińskiej, diecezji łomżyńskiej, diecezji łuckiej i archidiecezji lwowskiej. W nowej, zachodniej części republiki białoruskiej pozostało w 1945 roku w sumie około 350 parafii łacińskich. Należą one do archidiecezji wileńskiej (218 parafii), diecezji pińskiej (120 parafii) i diecezji łomżyńskiej (7 parafii). W analogicznej części republiki ukraińskiej znalazło się ponad 400 parafii należących do archidiecezji lwowskiej i diecezji łuckiej.

W sumie sowieckie władze wyznaniowe i inne otrzymały, nie licząc Łotwy i Litwy na wymienionych terenach po drugiej wojnie światowej i tzw. repatriacji około 800 parafii rzymskokatolickich, jeśli dołączymy 40 parafii na Zakarpaciu. Realizowane w nowych warunkach plany likwidacji Kościoła katolickiego doprowadziły na początku lat osiemdziesiątych do następującego stanu: na Białorusi w 1984 roku istniało już tylko 96 parafii i pracowało w nich 54 księży². Należy tu dodać wypadek szczególny. W 1980 roku po raz pierwszy od czasów straszliwych represji, dzięki staraniom ludności, otwarto w Mińsku na cmentarzu kalwaryjskim kaplicę rzymskokatolicką. Jest to jednak jedyny dotychczas wypadek zarejestrowania parafii rzymskokatolickiej w przedwojennej części Białorusi.

Nieco inna i charakterystyczna sytuacja zaistniała w republice ukraińskiej. Zarejestrowane zostały tu po 1945 roku zlikwidowane przed wojną parafie w Kijowie i Odessie, a później około 50 parafii za Zbruczem, również uprzednio zamkniętych³, w tym niemal wszystkie otwarte przez ludność podczas okupacji niemieckiej. Natomiast z kilkuset parafii archidiecezji lwowskiej i diecezji łuckiej po akcji niszczenia organizacji kościelnej za czasów Stalina i Chruszczowa pozostało tylko kilkanaście.

1. Por. *Aide-mémoire* w sprawie stanu Kościoła katolickiego w Rosji sowieckiej, Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, A 12 P/9.

2. Por. M. Radwan, „Duszpasterstwo katolickie na Białorusi 1917-1984”. W: *Ewangelia i kultura*, Rzym 1988, str. 195.

3. Por. J. Mirski, „Problemy językowe w kościołach rzymskokatolickich na Białorusi i Ukrainie po drugiej wojnie światowej”. W: *Zeszyty Historyczne* nr 79, Paryż 1987.

Wydaje się, iż można mieć nadzieję, że plan likwidacji Kościoła katolickiego w ZSSR, realizowany bezwzględnie przez prawie 70 lat, został w tej chwili zaniechany. Stworzyło to możliwość stopniowej odbudowy jego struktury parafialnej, a zapewne także i diecezjalnej, co oznaczałoby normalizację jego istnienia i pracy w tym państwie. Proces ten, gdy chodzi o poziom parafii, można chyba uznać za rozpoczęty. Świadczy o tym zarejestrowanie w 1988 roku ponad 20-tu parafii na Białorusi i kilku na Ukrainie, głównie za Zbruczem. Jak dotychczas, represyjne ustawodawstwo krępujące życie religijne nie zostało odwołane, lecz jest już stosowane tak, jak uprzednio.

Względy historyczne skłaniają do przedstawienia sieci parafialnej na Białorusi i Ukrainie przed oczekiwaną, zasadniczą zmianą. Podana zostanie, w układzie alfabetycznym, lista parafii według województw (*obłasti*), z ich obsadą personalną, wiekiem duszpasterzy i odległością placówek dojazdowych. Przy parafiach otwartych w 1988 roku (zarejestrowanych w Moskwie przez Radę Najwyższą d/s Religii) data ta zostanie podana w nawiasach.

Poniższa lista może zawierać pewne nieścisłości i braki, wynikające ze zmian, jakie zaszły w międzyczasie lub też niedokładnych informacji. Być może od ub. roku zostały zarejestrowane nowe parafie.

B I A Ł O R U Ś

WOJEWÓDZTWO BRZESKIE

1. Baranowicze — ks. Antoni Gej, lat 40.
2. Brześć — vacat po śmierci ks. Stanisława Łazara w grudniu 1988 roku. Za zgodą władz tymczasowo pracuje tu ksiądz z Polski.
3. Czerniawczyce — vacat.
4. Iszkołdź — ks. Kazimierz Wielikosielec, lat 40.
5. Kosowo — vacat.
6. Łahiczyn — ks. prałat Kazimierz Świątek, dojazd z Pińska w niedzielę i święta, 25 km.
7. Niedźwiedzica — ks. infułat Wacław Piątkowski, lat 86.
8. Nowa Mysz — ks. Walery Nowak, lat 35.
9. Peliszcze — vacat.
10. Pińsk — ks. Kazimierz Świątek, lat 75.

11. Połoneczka — ks. Kazimierz Wielikosielec, dojazd z Iszkołdzi w niedziele i święta, 5 km.
12. Różana — ks. Michał Woroniecki, lat 71.
13. Stołowicze — ks. Kazimierz Wielkosieć, dojazd z Iszkołdzi w niedziele i święta, 30 km.
14. Szereszewo (1988) — vacat; przewiduje się obsługiwane przez ks. Michała Woronieckiego z Różanej, 67 km.

WOJEWÓDZTWO GRODZIENSKIE

1. Adamowicze — ks. Aleksander Szemet, lat 28.
2. Bała Kościelna — vacat.
3. Białoruda — ks. Kazimierz Szaniawski, dojazd z Radunia w niedziele i święta, 40 km.
4. Bieniakonie (1988) — vacat.
5. Boruny — ks. Jan Matuszewicz, lat 40.
6. Bystrzyca — ks. Kazimierz Gwozdowicz, dojazd z Gierwiat w niedziele i święta, 20 km.
7. Cudzieniszki — ks. Józef Zaniewski, dojazd z Żupran — 40 km.
8. Dubniczki — ks. Jan Kisiel, dojazd z Wiszniewa raz na miesiąc, 50 km.
9. Dudy — ks. Leon Niestiuk, dojazd z Iwia, niedziele i święta, 3 km.
10. Działowo (Zdzięcioł) — ks. Antoni Gej, dojazd z Baranowicz raz na miesiąc, 55 km.
11. Gierwiaty — ks. Kazimierz Gwozdowicz, lat 30.
12. Gieraniony — ks. Karol Szczepanek, dojazd z Lipniszek na niedziele i święta, 12 km.
13. Graużyszki (1988) — vacat.
14. Grodno: Fara, kościół p.w. św. Franciszka Ksawerego (1988) obsługuje ks. dr Tadeusz Kondrusiewicz z parafii M. B. Anielskiej (kościół OO. Franciszkanów), lat 42.
15. Grodno: par. p.w. Podwyższenia Krzyża św. — ks. Michał Aronowicz, lat 82.
16. Grodno: par. M. B. Anielskiej (b. kościół OO. Franciszkanów) — ks. Tadeusz Kondrusiewicz, lat 42. Wikariusz: ks. Jan Romańczuk, lat 31.
17. Gudogaje — ks. Alojzy Tomkiewicz, dojazd z Ostrowca w niedziele i święta, 15 km.
18. Hoża — ks. Bolesław Gawrychowski, lat 86.

19. Hołynka — vacat.
20. Indura — ks. Kazimierz Żilyś, lat 43.
21. Iszczołno — ks. Antoni Hańko, dojazd z Żołudka w niedzielę i święta, 30 km.
22. Iwie — ks. Leon Niestiuk, lat 33.
23. Kamionka — ks. Józef Grasewicz, lat 86. Wikary — ks. Ryszard Jakubiec, lat 29.
24. Kiemieliszki — ks. Edward Żurawski, lat 76.
25. Konwaliszki — ks. Henryk Jabłoński, lat 32.
26. Krzemienica — ks. Stanisław Pietrasz, 77 lat.
27. Kwasówka — ks. Kazimierz Żilyś, dojazd z Indury w niedzielę i święta, 25 km.
28. Lack — ks. Ryszard Jakubiec, dojazd z Kamionki w niedzielę i święta, 17 km.
28. Lida (fara) — ks. Stanisław Rojek, na stałe, lat 80.
30. Lipniszki — ks. Karol Szczepanek, 77 lat.
31. Łabno — ks. Witold Łozowiecki, dojazd z Teolina raz na miesiąc, 17 km.
32. Łunna — ks. Lucjan Radomski, 41 lat.
33. Michaliszki — ks. Kazimierz Gwozdowicz, dojazd z Gierwiat w niedzielę i święta, 30 km.
34. Mikielewyszczynna — ks. Edward Jakubiec, dojazd z Kamionki w niedzielę i święta, 15 km.
35. Minojty — ks. Stanisław Pacyna, lat 31.
36. Murowana Oszmianka — ks. Henryk Naumowicz, dojazd z Taboryszek (republika litewska) w dziele i święta, 15 km, lat 28.
37. Mścibów — ks. Stanisław Sadowski, dojazd z Porozowa w niedzielę i święta, 55 km.
38. Nacza — ks. Jan Pietiun, dojazd z Zabłocia w niedzielę i święta, 40 km.
39. Nieciecz (1988) — ks. Antoni Dziemianko, dojazd z Nowogródka w niedzielę i święta, 55 km.
40. Nowa Ruda (1988) — vacat.
41. Nowogródek — ks. Antoni Dziemianko, lat 28.
42. Nowy Dwór — ks. Tadeusz Krzysztopik, 33 lata.
43. Odelsk — ks. Feliks Soroka, 77 lat.
44. Ossowo — ks. Antoni Bańkowski, 72 lata.
45. Ostrowiec — ks. Antoni Tomkiewicz, 78 lat.
46. Pelikany (1988) — vacat.
47. Porozowo — ks. Stanisław Sadowski, lat 29.
48. Porzecze — ks. Bolesław Gawrychowski, dojazd z Hoży raz na miesiąc 35 km.

49. Raduń — ks. Kazimierz Szaniawski, lat 75.
50. Repla — ks. Stanisław Pietrasz, dojazd z Krzemienicy raz na miesiąc, 50 km.
51. Rogoźnica (1988) — ks. Jan Romańczuk, dojazd raz na miesiąc z Grodna, 80 km.
52. Roś — ks. Ryszard Werbel, lat 83.
53. Sylwanowce — ks. Aleksander Szemet, dojazd z Adamowicz w niedziele i święta, 17 km.
54. Słobódka — ks. Kazimierz Szaniawski, dojazd z Radunia w niedziele i święta, 35 km.
55. Słonim — ks. Witold Żelwietro, 42 lata.
56. Soły — ks. Robert Massalski, 61 lat.
57. Sobotniki — ks. Wincenty Lisowski, 31 lat.
58. Szczuczyn (1988) — vacat.
59. Teolin — ks. Witold Łozowiecki, 31 lat.
60. Traby — ks. Antoni Jusiel, 30 lat.
61. Trokiele — ks. Wincenty Lisowski, dojazd z Sobotnik w niedziele i święta, 45 km.
62. Usnaż — ks. Feliks Soroka, dojazd z Odelska w niedziele i święta, 10 km.
63. Wasiliszki Nowe — ks. Antoni Hańko, dojazd z Żołudka w niedziele i święta, 15 km.
64. Wasiliszki Stare — ks. Tadeusz Krzysztopik, dojazd z Nowego Dworu w niedziele i święta, 25 km.
65. Wawiórka — ks. Stanisław Pacyna, dojazd z Minojt w niedziele i święta, 30 km.
66. Wielkie Ejmonty — ks. Lucjan Radomski, dojazd z Łunny w niedziele i święta, 30 km.
67. Wiszniewo — ks. Jan Kisiel, 70 lat.
68. Wojstom — ks. Piotr Jasiewicz, dojazd z Wołkowaty, raz na miesiąc, 110 km.
69. Wołkowysk — ks. Antoni Filipczyk, 30 lat.
70. Wołpa — ks. Aleksander Tiereszko.
71. Zabłóć — ks. Jan Pietiun, 31 lat.
72. Zaniewicze — ks. Kazimierz Żilys, dojazd z Indury w niedziele i święta, 15 km.
73. Zelwa — vacat.
74. Żołudek — ks. Piotr Bartoszewicz, 75 lat.
 " ks. Antoni Hańko (wikary), 39 lat.
75. Żodziszki — ks. Józef Gil, 30 lat.
76. Żuprany — ks. Józef Zaniewski, 50 lat.
77. Żyrmuny — ks. Stanisław Pacyna, dojazd z Minojt, raz na miesiąc, 30 km.

WOJEWÓDZTWO MIŃSKIE

1. Buclaw — ks. Franciszek Gryniewicz, dojazd z Krywicz w niedziele i święta, 20 km.
2. Derewna — ks. Lucjan Chmielowiec, 71 lat.
3. Dołginowo — ks. Edward Dowgiłowicz, dojazd z Krasnego w niedziele i święta, 30 km.
4. Iwieniec (1988) — ks. Henryk Okołołowicz, dojazd z Rakowa, 30 km.
5. Konstantynowo — ks. Stanisław Kuczyński, dojazd z Szemetowa w niedziele i święta, 50 km.
6. Kościeniewicze — ks. Edward Dowgiłowicz, dojazd z Krasnego w niedziele i święta, 50 km.
7. Krasne — ks. Edward Dowgiłowicz, 38 lat.
8. Krzywicze — ks. Franciszek Gryniewicz, 40 lat.
9. Mińsk — ks. Jan Adamowicz, 80 lat.
10. Narocz — ks. Lucjan Pawlik, dojazd z Zadroża w niedziele i święta, 90 km.
11. Nieśwież — ks. Grzegorz Kołosowski, 75 lat.
12. Raków — ks. Henryk Okołołowicz, 32 lata.
13. Rubieżewicze — ks. Ryszard Junik, 41 lat.
14. Szemetowo — ks. Stanisław Kuczyński, 75 lat.
15. Wiszniewo — ks. Włodzimierz Czerniawski, 74 lata.

WOJEWÓDZTWO WITEBSKIE

1. Brasław — ks. Franciszek Kisiel, lat 28.
2. Dalekie — ks. Edward Achramowicz, dojazd ze Słobódki w niedziele i święta, 50 km.
3. Druja (1988) — vacat.
4. Duniłowicze (1988) — vacat.
5. Głębokie — ks. Władysław Zawalniuk, 40 lat.
6. Hermanowicze (1988) — vacat.
7. Idołta — ks. Vladas Petraitis, dojazd z Mior w niedziele i święta, 40 km.
8. Komaje — ks. Jan Szutkiewicz, dojazd z Łyntup (z Wilna) w niedziele i święta, 25 km.
9. Kozłowszczyzna (1988) — vacat.
10. Łużki (1988) — vacat.
11. Łyntupy — ks. Jan Szutkiewicz, dojazd z Wilna, 70 km, lat 50.
12. Miory — ks. Vladas Petraitis, lat 40.
13. Mosarz — ks. Juozas Bulka, lat 63.

14. Opsa (1988) — vacat.
15. Pelikany (1988) — vacat.
16. Postawy (1988) — ks. Jan Szutkiewicz, dojazd w niedzielę i święta, 33 km.
17. Prozoroki (1988) — vacat.
18. Słobódka — ks. Edward Achramowicz, lat 30.
19. Tomasze (1988) — vacat.
20. Udział (1988) — vacat.
21. Widze (1988) — vacat.
22. Wołkołata — ks. Piotr Jasewicz, 40 lat.
23. Zadroże — ks. Lucjan Pawlik, 71 lat.

UKRAINA

WOJEWÓDZTWO CZERKASKIE

1. Monastyr (chata) — vacat.

WOJEWÓDZTWO CZERNIOWICKIE

1. Czerniowce (kościół) — ks. Franciszek Krajewski, lat 85.
 " " ks. Wiktor Antoniuk, lat 28.
 Ponadto cztery placówki dojazdowe.

WOJEWÓDZTWO CHMIELNICKIE (PŁOSKIRÓW)

1. Derażnia (kaplica) — ks. Franciszek Krajewski, lat 61.
2. Gródek (kościół zbudowany w 1988 roku) — ks. Władysław Wanags, lat 55.
3. Hołozubińce (kaplica) — ks. Józef Czop, lat 38.
4. Hreczany (kaplica) — ks. Vytautas Merkys, lat 70.
 " " ks. Wiktor Tkacz, lat 28.
5. Kamieniec Podolski (kaplica) — ks. Buraczewicius Józef, lat 40.
6. Kitajgród (kościół) — ks. Buraczewicius Józef, dojazd z Kamieńca Podolskiego w niedzielę i święta — 50 km.
7. Latyczów (kaplica) — ks. Jan Bielecki, 36 lat.
8. Manikowce (kaplica) — ks. Jan Olszański, lat 72.

9. Minkowce (kaplica) — ks. Józef Czop, dojazd z Hołozubińc co niedziele i święta, 30 km.
10. Mukarów (chata) — ks. Józef Czop, dojazd z Hołozubińc, 30 km.
11. Nowogwardyjsk (Felsztyn) (kaplica) — ks. Wiktor Tkacz, dojazd w niedziele i święta z Hreczan, 30 km.
12. Połonne (kościół) — ks. Stanisław Szerokoradiuk, lat 30.
13. Satanów (1988 — chata) — ks. Władysław Wanags, dojazd z Gródka w niedziele i święta, 30 km.
14. Sławuta (kaplica) — ks. Antoni Andryczyszyn, lat 28.
15. Smotrycz (1988 — chata) — ks. Władysław Wanags, dojazd z Gródka w niedziele i święta, 30 km.
16. Struga (kaplica) — ks. Jan Olszański, dojazd z Manikowiec w niedziele i święta, 30 km.
17. Szepietówka (1977 — kaplica) — ks. Stanisław Szerokoradiuk, dojazd z Połonnego w niedziele i święta, 60 km.
18. Tarnoruda (1988 — chata) — okazyjny dojazd z Gródka.
19. Tynna (1988 — kaplica) — ks. Władysław Wanags, dojazd z Gródka w niedziele i święta, 30 km.
20. Winkowce (1988 — chata) — ks. Antoni Zawalski, lat 28.
21. Zińków (1988 — chata) — ks. Antoni Zawalski, dojazd z Winkowców, 30 km.

WOJEWÓDZTWO KIJOWSKIE

1. Kijów (kaplica) — ks. Jan Krapan, lat 62.

WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE

1. Dobromil — brak danych.
2. Lipniki (1988) — ks. Józef Legowicz, dojazd z Mościsk, 15 km, w niedziele i święta
3. Lwów (katedra) — ks. Rafał Kiernicki OFM, lat 74.
 " " ks. Ludwik Kamilewski, lat 42.
4. Lwów (parafia św. Antoniego) — ks. Józef Mączyński, lat 63.
5. Mościska (kościół) — ks. Józef Legowicz, lat 35.
6. Nowe Miasto (kościół) — brak danych.
7. Pnikut (1988) — ks. Józef Legowicz, dojazd z Mościsk w niedziele i święta 10 km.
8. Sambor (kościół) — ks. Kazimierz Męczyński, dojazd ze Lwowa w niedziele i święta, 40 km.

9. Stryj (kościół) — ks. Mednis, dojazd ze Szczyrzyca w niedzielę i święta, 30 km.
10. Szczyrzyc (kościół) — ks. Mednis, lat 43.
11. Złoczów (kościół) — ks. Jan Cieński, lat 80.
 " " ks. Ludwik Marko, lat 28.

WOJEWÓDZTWO ODESSKIE

1. Odessa (kościół) — ks. Tadeusz Hoppe, lat 78, wyjazdy w teren.

WOJEWÓDZTWO TARNOPOLSKIE

1. Borszczów (kościół) — ks. Marek Trofimiak, dojazd z Krzemieńca co niedzielę i święta, 30 km.
2. Hałuszczyńce (kaplica) — ks. Marek Trofimiak, dojazd z Krzemieńca.
3. Krzemieniec (kościół) — ks. Marek Trofimiak, lat 40.

WOJEWÓDZTWO UŻGORODZKIE (ZAKARPACIE)

Do niedawna było tam 40 parafii węgiersko-sołwiańskich i pracowało 10 księży, wszyscy w wieku emerytalnym. Pierwszym młodym księdzem, który przybył tam po drugiej wojnie światowej (1986), był ks. Piotr Żarkowski z województwa winnickiego, parafia Bar, po studiach w seminarium duchownym w Rydze i święceniach, otrzymanych tam w 1985 roku. Według nadchodzących wiadomości, pod koniec 1988 roku pięciu księży węgierskich otrzymało pozwolenie na przyjazd do pracy na Zakarpaciu. W maju 1989 roku ma tam złożyć wizytę kardynał z Węgier.

WOJEWÓDZTWO WINNICKIE

1. Bar (kościół) — ks. Bronisław Biernacki, lat 41.
2. Brahiłów (kaplica) — ks. Zenon Turowski, dojazd z Szarogrodu, 40 km.
3. Chmielnik (kościół) — ks. Leon Dubrawski, lat 35.
4. Czczelnik (kaplica) — ks. Wojciech Darzycki, dojazd z Gorodkiwki (Miastkówki) co niedzielę i święta, 60 km.

1. Rybnica; 2. Iwanówka; 3. Petropawłowka; 4. Styrcza;
5. Raszków; 6. Andriaszówka; 7. Kodyma; 8. Kamienka.

W punktach tych wierni dysponują jedynie chatami przerobionymi na prowizoryczne kaplice. Liczbę katolików ocenia się na około 25 tys., w tym większość Polaków. Głównym skupiskiem katolików jest stolica republiki mołdawskiej, Kiszyniów (18 tys.). Pozostała część żyje na prowincji. Można spotkać całe wioski polskie i katolickie.



*Alfabetyczny spis księży pracujących na Białorusi i Ukrainie
z podaniem wieku, miejsca stałej pracy i placówek dojazdowych
(w nawiasie)*

B I A Ł O R U Ś

1. Achramowicz Edward, lat 30, Słobódka (Dalekie).
2. Adamowicz Jan, lat 79, Mińsk.
3. Aronowicz Michał, lat 82, Grodno, parafia Znalezienia Krzyża św.
4. Bańkowski Antoni, lat 71, Osowo.
5. Bartoszewicz Piotr, lat 74, Żołudek.
6. Bulka Juozas, lat 63, Mosarz.
7. Hańko Antoni, lat 39, Żołudek (Stare Wasiliszki, Iszczołno).
8. Chmielowiec Lucjan, lat 70, Derewna.
9. Czerniawski Włodzimierz, lat 70, Wiszniew.
10. Dowgiłowicz Edward, lat 35, Krasne (Dołginowo, Kostieniewiczze).
11. Dziemianko Antoni, lat 30, Nowogródek (Nieciecz).
12. Gawrychowski Bolesław, lat 85, Hoża (Porzecze).
13. Gej Antoni, lat 40, Baranowicze (Zdzięcioł).
14. Gil Józef, lat 30, Żodziszki.
15. Grasewicz Józef, lat 85, Kamionka.
16. Gryniewicz Franciszek, lat 40, Krzywicze (Buclaw).
17. Gwozdowicz Kazimierz, lat 31, Gierwiaty (Michaliszki, Bystrzyca).
18. Filipczyk Antoni, lat 30, Wołkowysk.
19. Jabłoński Henryk, lat 31, Konwaliszki.
20. Jakubiec Ryszard, lat 28, Kamionka (Mikielewszczyzna, Lack).
21. Jasiewicz Piotr, lat 43, Wołkołata (Wojstom).

22. Junik Ryszard, lat 40, Rubieżewicze.
23. Jusiel Antoni, lat 30, Traby.
24. Kisiel Jan, lat 70, Wiszniewo (Dubniszki, Niestaniszki).
25. Kisiel Franciszek, lat 28, Brasław.
26. Kołosowski Grzegorz, lat 71, Nieśwież.
27. Kondrusiewicz Tadeusz, lat 42, Grodno, parafia M. B. Anielskiej i Fara.
28. Kuczyński Stanisław, lat 73, Szemetowo (Konstyntynowo).
29. Lisowski Wincenty, lat 30, Sobotniki (Trokiele).
30. Łozowiecki Witold, lat 30, Teolin (Żabno).
31. Massalski Albert, lat 60, Soły.
32. Matusiewicz Jan, lat 40, Boruny.
33. Naumowicz Henryk, lat 28, Murowana Oszmianka (Taborszki — z Litwy).
34. Niestiuk Leon, lat 33, Iwie (Dudy).
35. Nowak Walery, lat 35, Nowa Mysz.
36. Okołotowicz Henryk, lat 31, Raków (Iwieniec).
37. Pacyna Stanisław, lat 30, Minojty (Wawiórka, Żyrmuny).
38. Pawlik Łucjan, lat 70, Zadroże (Narocz).
39. Petraitis Vladas, lat 30, Miory (Idołta).
40. Piątkowski Wacław, lat 86, Niedźwiedzica.
41. Pietiun Jan, lat 30, Zabłoc (Nacza).
42. Pietrasz Stanisław, lat 76, Krzemienica (Repla).
43. Radomski Łucjan, lat 41, Łunna (Wielkie Ejmonty).
44. Rojek Stanisław, lat 80, Lida.
45. Romańczuk Jan, lat 31, Grodno, parafia M. B. Anielskiej (Rogoźnica).
46. Sadowski Stanisław, lat 28, Porozowo (Mścibowo).
47. Soroka Feliks, lat 77, Odelsk (Usnarz).
48. Szaniawski Kazimierz, lat 74, Raduń (Słobódka k. Lidy).
49. Szczepanek Karol, lat 77, Lipniszki (Gieraniony).
50. Szemet Aleksander, lat 27, Adamowicze (Sylwanowce).
51. Szutkiewicz Jan, lat 50, Łyntupy (Komaje, Postawy).
52. Świątek Kazimierz, lat 60, Pińsk (Łahiczyn).
53. Tiereszko Aleksander, lat 30, Wołpa.
54. Tomkowicz Alojzy, lat 78, Ostrowiec (Gudogaje).
55. Werbel Ryszard, lat 82, Roś.
56. Wielikosielec Kazimierz, lat 40, Iszkołdź (Stołowicze, Połoneczka).
57. Woroniecki Michał, lat 71, Różana (w przewidywaniu Szeszewo).
58. Zaniewski Józef, lat 50, Żuprany (Cudzieniszki).
59. Zawalniuk Władysław, lat 40, Głębokie (Udział, Kozłowszczyzna, Tomasz).

60. Żelwietro Witold, lat 42, Słonim.
61. Żyłys Kazimierz, lat 43, Idura (Kwasówka, Zaniewicze).
62. Żurawski Edward, lat 75, Kiemieliszki.

UKRAINA

1. Andryczyszyn Antoni, lat 28, Sławuta.
2. Antoniuk Wiktor, lat 28, Czerniowce (na Bukowinie).
3. Bielecki Jan, lat 36, Latyczów.
4. Biernacki Bronisław, lat 41, Bar.
5. Buraczewicius Józef, lat 40, Kamieniec Podolski (Kitajgród).
6. Chomicki Antoni, lat 78, Murafa.
7. Cieński Jan, lat 80, Złoczów.
8. Czop Józef, lat 38, Hołozubińce (Minkowce, Mukarów).
9. Darzycki Wojciech, lat 73, Miastkówka (Czczelnik, Tomaszpol).
10. Dubrawski Leon, lat 35, Chmielnik (Dzierżanówka, Listopadówka, Skarzyńce).
11. Gucał Mikołaj, lat 26, Żmerynka (Gniewań, Mołczany).
12. Hoppe Tadeusz, lat 78, Odessa.
13. Kamilewski Ludwik, lat 42, Lwów (katedra).
14. Kiernicki Rafał, lat 74, Lwów (katedra).
15. Krajewski Franciszek, lat 85, Czerniowce (na Bukowinie).
16. Krajewski Franciszek, lat 61, Derażnia.
17. Krapan Jan, lat 62, Kijów.
18. Legowicz Józef, lat 35, Mościska (Lipniki, Pnikut).
19. Marko Ludwik, lat 28, Złoczów.
20. Mączyński Józef, lat 63, Lwów — parafia św. Antoniego (Sambor).
21. Mednis, lat 43, Szczyrzyc.
22. Merkys Vytautas, lat 70, Hreczany.
23. Mickiewicz Ambroży, lat 55, Berdyczów (Korosteń).
24. Mickiewicz Bernard, lat 57, Berdyczów (Michajłówka, Słobódka).
25. Milewski Aleksander, lat 30, Żytomierz (Korostyszew, Lebediówka, Pokostówka).
26. Nahorny Jurij, lat 36, Łuczyniec (Snitków, Wierzbowiec, Mohylew Podolski).
27. Olszański Jan, lat 72, Manikowce (Struga).
28. Purwiński Jan, lat 60, Żytomierz.
29. Szerokoradiuk Stanisław, lat 30, Połonne (Szepietówka).
30. Szulak Stanisław, lat 32, Murafa (Krasne).

31. Tkacz Wiktor, lat 28, Hreczany (Nowogwardyjsk — Felosztyn).
32. Tkaczuk Leonid, lat 30, Czerniowce (Kopijówka, Braclaw).
33. Trofimiak Marek, lat 40, Krzemieniec (Borszczów, Hałuszczynie).
34. Turowski Zenon, lat 35, Szarogród (Brahilów).
35. Wagans Władysław, lat 55, Gródek (Smotrycz, Satanów, Tarnoruda, Tynna).
36. Witko Wincenty, lat 45, Nowograd Wołyński (Nowy Zawod).
37. Zawalski Antoni, lat 28, Winkowce (Zińków).

U w a g i k o ń c o w e

W powyższym spisie należy podkreślić kilka ważniejszych faktów dotyczących Białorusi i Ukrainy.

B I A Ł O R U Ś

W ciągu ostatnich czterech lat (1984-1988) liczba parafii wzrosła tu o 35, z czego 21 zostało ponownie otwartych w 1988 roku. Tymczasem liczba księży wzrosła tylko zaledwie o 6, co wskazuje na rosnącą dysproporcję w tym względzie. W 1988 roku pracowało na Białorusi 62 księży i istniało 129 parafii. 59 z nich, a więc 42 %, miało duszpasterzy rezydujących na miejscu, z tym jednak, że aż 39 z nich (prawie 63 %) dojeżdżało do 47 innych parafii, a 9 księży miało 2 lub nawet trzy placówki dojazdowe. 47 parafii (39 %) miało więc duszpasterzy dojeżdżających, a 23 parafie (17 %) nie miało ich wcale.

Wiadomo, że w wielu parafiach zamkniętych po wojnie lub już przed wojną (część Białorusi w ZSSR), ludność prowadzi starania o ich ponowne otwarcie. M.in. ma to miejsce w historycznej Oszmianie, gdzie od zamordowania ks. proboszcza w 1944 roku parafia nie istnieje, oraz w Bobrujsku, gdzie kościół został już dwukrotnie zamknięty. Raz w latach trzydziestych i drugi raz w 1945 roku, po uprzednim otwarciu go przez katolików podczas okupacji niemieckiej. Jeśli starania te będą uwieńczone skutkiem, a wiele na to wskazuje, wzrośnie liczba parafii bez duszpasterzy. Są one poważnym problemem religijno-społecznym dla władz państwowych, ponieważ ludność nie zaprzestanie starań o własnych księży. Dotychczasowe dojazdy większości z nich do innych parafii nie tylko w sposób widoczny obniżają poziom pracy duszpasterskiej, lecz są rozwiązaniem tymczasowym, wymagają-

cym rozwiązania zasadniczego, albo w formie stworzenia seminarium duchownego na Białorusi, albo w formie pomocy z Polski, gdzie nie brak kandydatów na wyjazd, łącznie z gotowością przyjęcia obywatelstwa ZSSR. Przebąkują o tym władze sowieckie, dodając, że może chodzić jedynie o tych, którzy urodzili się na Białorusi. Nawet najmłodszy z tej kategorii osób byłoby już w wieku dojrzałym.

Przeciętny wiek księży pracujących na Białorusi jest stosunkowo wysoki i wynosi 53 lata. Jest to jednak duża zmiana na lepsze w porównaniu z okresem sprzed lat dziesięciu. Pojawiła się w tym czasie grupa księży w wieku od lat 28 do 40, wynosząca w sumie 38 % ogółu. Jednak grupa księży powyżej lat 60 wynosi aż 41 %, co bez dopływu młodych wiekiem duszpasterzy w najbliższych latach bardzo szybko pogorszy i tak już słabe duszpa-sterstwo na Białorusi.

Uwagę zwraca liczba parafii w poszczególnych województwach, trudna do wyjaśnienia bez specjalnych badań. Województwa te, poza witebskim i mińskim, obejmującym część przedwojennych terenów polskich, są mniej więcej równej wielkości, lecz liczba parafii w nich znacznie się różni. Najwięcej parafii, bo 77, jest w województwie grodzieńskim. Województwo brzeskie, o znacznie dłuższej granicy z Polską, ma ich tylko 14, tyle prawie co mińskie w jego przedwojennej części polskiej. W województwie brzeskim, gdzie element polski jest, jak się zdaje, liczniejszy niż dalej na wschód, odzyskano dotychczas tylko jedną parafię (Szreszewo), natomiast w województwie witebskim (dawne powiaty Brasław, Dzisna, Głębokie, Postawy) aż 12.

Kościółem na Białorusi interesuje się także hierarchia litewska, choćby z tego względu, że leży tam część archidiecezji wileńskiej. Po wizycie Prymasa Polski kardynała Glempa na Białorusi we wrześniu 1988 roku rozeszły się tam pogłoski o możliwości przyjazdu księży z Polski. Wywołały one niechętną reakcję niektórych hierarchów i księży na Litwie. Nawet znany ze swych umiarkowanych poglądów kardynał Vincentas Sladkiewiczus w wywiadzie udzielonym czasopismu włoskiemu *Trenta Giorni* stwierdził, że ludność katolicka na Białorusi prosi o księży Litwinów, a nie Polaków (audycja BBC w języku polskim, 14 marca 1989, godz. 22.00). Jeśli stwierdzenie to rzeczywiście miało miejsce, to tego rodzaju wypadki nie są znane. Być może kardynał miał na uwadze prośby przybywających na Litwę delegacji z pozbawionych duszpasterzy parafii na Białorusi, proszących o jakichkolwiek kapłanów, niezależnie od narodowości. Dzieje się tak dlatego, że nie mają one możliwości udawania się z prośbami gdzie indziej

i wiedzą, że na Litwie jest największa liczba księży. Zawsze jednak chodzi o kapłanów znających język polski⁴.

UKRAINA

Zjawiskiem nieznanym na Białorusi jest odrodzenie się za przedwojenną granicą polską (za Zbruczem) kilkudziesięciu parafii zamkniętych w okresie terroru stalinowskiego w latach trzydziestych i za Chruszczowa. Pomijając parafie w dużych miastach, takich jak Kijów, Odessa i Czerniowce (na Bukowinie), mamy 21 parafii w województwie chmielnickim (27 %) i 25 w winnickim (prawie 33 %) i 10 w żytomierskim (12 %). W 1988 roku na całej Ukrainie (bez Zakarpacia), łącznie z terytorium do 1939 roku w Polsce, było 76 parafii. W tymże roku otwarto tu ponownie 11 parafii, z tego 9 za Zbruczem. W przeciwieństwie do Białorusi katolikom zwrócono na Ukrainie zaledwie dwa kościoły. W 19 przypadkach (25 %) miejscami kultu są chaty, przekazane na ten cel przez właścicieli. Katolicy na Ukrainie posiadają tylko 32 (42 %) kościoły, z czego 11 z ponad 200 istniejących w latach dwudziestych w diecezjach: łucko-żytomierskiej i kamienieckiej oraz dysponują 35 kaplicami (42 %). W pozostałych parafiach, posiadających kościoły w dobrym stanie, ale używane na cele pozareligijne (np. Berdyczów, Winnica, Kamieniec Podolski, Latyczów) katolicy byli zmuszeni zbudować kaplice. We wspomnianych miastach, poza Winnicą, podjęto starania o odzyskanie kościołów, w tym historycznej katedry w Kamieńcu Podolskim.

Jak dotychczas za Zbruczem zwrócono ostatnio tylko jeden kościół (marzec 1988). Miało to miejsce w Czerniowcach/Czernejowcach (diecezja kamieniecka, dekanat jampolski), gdzie od lutego 1988 roku do marca br. trwały starania o zwrot zamienionego na kino zabytkowego kościoła z 1640 roku, fundowanego przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego. Starania obejmowały petycje do Moskwy, codzienne modły grupy ludzi przed kościołem, a nawet strajk katolików w miejscowych zakładach pracy. Po roku przyniosły one rezultat, z tym jednak, że wybudowana w ostatnich latach przez katolików kaplica z przybudów-

4. Z okazji otwarcia katedry w Wilnie kardynał zaproponował podobno wprowadzenie tam, obok mszy św. litewskich także jednej mszy św. po polsku i po łacinie. W tym ostatnim wypadku kazanie byłoby po rosyjsku. Projektu tego, wychodzącego niewątpliwie naprzeciw istniejącym w Wilnie potrzebom (mieszka tu 100 tys. Polaków) bp Julianas Stepanovičius nie przyjął. Stało się to nowym zarzewiem antagonizmów litewsko-polskich.

kami zostanie w zamian przekazana władzom na przedszkole. Koszty remontu zdewastowanego kościoła będą bardzo ciężkim problemem dla parafian.

Bez szczegółowych badań trudno i tu wyjaśnić różnice w liczbie parafii w poszczególnych województwach podobnej wielkości. Na 36 księży pracujących na Ukrainie (bez Zakarpacia), aż 24 (69 %) dojeżdża do innych parafii, co wskazuje na gorszą niż na Białorusi sytuację duszpasterską. Także ilość parafii nie mających duszpasterza rezydującego na miejscu (37-52 %) jest o 13 % wyższa niż na Białorusi. Jednakże przeciętny wiek księży jest tu o 12 lat niższy i wynosi niespełna 41 lat. Wynika to z napływu w ostatnich kilkunastu latach niemal 20 młodych księży, w ogromnej większości pochodzących z rodzin rzymskokatolickich na Ukrainie i mających za sobą albo pięć lat studiów w seminarium duchownym w Rydze, albo przygotowanie prywatne do święceń kapłańskich. Zaledwie trzech pracujących za Zbruczem księży urodziło się w Polsce i ukończyło tam studia. Dziś są już wiekowi i niebawem odejdą. Pozostali należą w większości do pokolenia urodzonego w ZSSR (kilku urodziło się jeszcze w niepodległej Łotwie). Sytuacja Kościoła przed i za Zbruczem znacznie się różni. Na przedwojennych terenach polskich stalinowskie ustawodawstwo dotyczące Kościoła stosowane jest ciągle o wiele bardziej surowo, niż nieco dalej na wschód. Stanowi to duży kontrast z postawą władz wobec Cerkwi prawosławnej. O ile katolicy w archidiecezji lwowskiej uzyskali w 1988 roku rejestrację tylko dwóch parafii, to Cerkiew prawosławna w tym samym czasie otrzymała na terenach województw lwowskiego, tarnopolskiego, iwanofrankowskiego (stanisławowskie) i innych 200 (dwieście) zamkniętych po wojnie cerkwi unickich. Spośród czterech nowych prawosławnych seminarium duchownych, które mają zostać otwarte w ZSSR, dwa powstaną na ziemiach zachodnich Białorusi i Ukrainy⁵.

W archidiecezji lwowskiej ludność polska podjęła starania o odzyskanie kościołów i rejestrację parafii w Drohobyczu, Rutkach, Trzcianie, Sądowej Wiszni, Trębowli, Żółkwi, i być może, gdzie indziej. Niektóre z tych starań trwają już dość długo i pozostają bez rezultatów. Starania o zatwierdzenie parafii i sprowadzenie kapłana podjęli też Polacy w województwie połtawskim w miejscowości Kobelniki. W okolicy tego rejonowego miasta mieszka kilka tysięcy Polaków.

Na koniec warto wspomnieć o podjętej w 1958 roku przez Piusa XII próbie utworzenia hierarchii kościelnej dla katolików

5. Por. Oświadczenie metropolity Mińska, Filareta, *Tygodnik Powszechny* nr 2, 1989.

obrzędki łacińskiego na Ukrainie za Zbruczem. Otóż pracujący w tym czasie na terenach diecezji łucko-żytomierskiej i kamienieckiej, rezydujący w Żmeryncze ks. Wojciech Olszowski (1916-1972) został 8 listopada 1958 roku mianowany administratorem apostolskim *pro catholicis urbem Kiew eademque Republicam ucrainam*, a równocześnie biskupem tytularnym *Athribitaneae*. Dekret wysłany pocztą na adres nominata został przejęty przez miejscowe władze bezpieczeństwa, które uznały nominację za nielegalną i w marcu 1959 wydalili ks. Olszowskiego do PRL. On sam o nominacji i o tym, że stała się ona powodem jego wydalenia z ZSSR dowiedział się po trzech latach w Polsce od władz paszportowych⁶. Próba skończyła się niepowodzeniem. Dziś jednak stan stosunków sowiecko-watykańskich jest zupełnie inny i można mieć nadzieję, że skomplikowany pod względem prawnym, politycznym i narodowym, lecz bardzo pilny problem stworzenia hierarchii katolickiej i znormalizowania administracji i duszpasterstwa na Białorusi i Ukrainie jest już przedmiotem rozmów między Stolicą Apostolską a władzami ZSSR. Ze strony tych ostatnich są oznaki zainteresowania tym zagadnieniem, szczególnie na Ukrainie, lecz na poziomie dyskusji z miejscowymi księżmi. Są one jednak dwuznaczne i niezdecydowane. Urzędnicy powtarzają, że Watykan nie uznaje nowych granic ZSSR.

Przewodniczący Rady Najwyższej d/s Religii, Charczew, od z górą dwóch lat zapowiada nowe ustawodawstwo dotyczące Kościoła, lecz nadal obowiązują prawa jeszcze stalinowskie. Zabraniają one m.in. spełniania funkcji duszpasterskich na terenie ZSSR kapłanom obcokrajowcom, nie posiadającym obywatelstwa sowieckiego. Na Łotwie, Litwie, Białorusi (przedwojenne tereny polskie) i Ukrainie za Zbruczem nie są one jednak zwykle bezwzględnie egzekwowane.

Poza Łotwą i Litwą oraz Kazachstanem, Mołdawią i Zakarpaciem, niemal 100 % katolików stanowią Polacy, jakkolwiek ogromna ich większość przy kolejnych spisach ludności została zapisana, wbrew ich woli, jako Białorusini i Ukraińcy. Najpierw po 1920 roku, a następnie po drugiej wojnie światowej zostali oni odcięci od normalnych kontaktów z Macierzą, pozbawieni szkół, organizacji i polskich instytucji kulturalnych w celu wynarodowienia. W rezultacie wielka część ludności polskiej utraciła czynną znajomość języka polskiego. Pozostał on najczęściej

6. Por. Ks. W. Szetelnicki, „Ks. Wojciech Olszowski biskup nominat kijowski (1916-1972)”, Roma 1981, str. 43-44 oraz „Nie udało się — Rozmowa J. Pietrzaka z ks. W. Szetelnickim”. W: *Przegląd Katolicki* nr 13-14/249-250, 1989, str. 2-3.

jedynie językiem modlitwy prywatnej i liturgicznej w kościele i pieśni religijnej. Dlatego jest tym bardziej ceniony, jako jedyna praktycznie możliwość manifestowania na co dzień tożsamości narodowej i kulturowej. Na tym tle rodzą się w kościołach konflikty, gdy ze strony duszpasterzy podejmowane są próby zastępowania języka polskiego białoruskim, rosyjskim i ukraińskim.

Paweł LIDA

P.S. Już po napisaniu powyższego opracowania nadeszła wiadomość o rejestracji 1989 roku parafii w miejscowości Pisarewka (rejon Wołoczyska, województwo chmielnickie — Płoski-rów).

Pisarewki nie ma na liście parafii i diecezji łucko-żytomierskiej i kamienieckiej. Byłby to więc pierwszy wypadek powstania na tych terenach zupełnie nowej jednostki administracyjnej Kościoła łacińskiego od czasu rządów władzy sowieckiej. Pisarewka pozostaje pod opieką ks. Jana Bieleckiego z Latyczowa. Poza tym według nadchodzących wiadomości rejestrację miałyby uzyskać kilkanaście parafii w archidiecezji lwowskiej.

Dla ilustracji, przed jakimi problemami stają ludzie chcący remontować zniszczone i odzyskane obecnie kościoły, warto przytoczyć fragment listu z parafii i miejscowości Tarnopola (woj. chmielnickie, diecezja kamieniecka), podzielonej graniczną rzeką Zbrucz. List pochodzi z połowy listopada 1988 roku i był wysłany do krewnych w Kazachstanie, wywiezionych w 1936 roku. Zagospodarowani tam ludzie nie mają zamiaru wracać na starość w rodzinne strony, choć podobno władze nie stawiają temu przeszkód. A oto treść listu z zachowaniem oryginalnej formy i interpunkcji:

„... Teraz Gienia napiszę tobi za nasz Kościół. Duże razy chodzili w rajon do Chmielnicka, a oni odmawiali, że nie dadzą bo awaryjny. Ale temi dniami było ich troje, z obłasti jeden i dwóch z rejonu i ludzi dopisali w tych dokumentach, że własnymi siłami będą remontować kościół bez ich pomocy, zabrali ten do Chmielnicka te dokumenty poszli w Kijew a z Kijowa w Moskwu. Tam zatwierdzu dopiero nam oddadzo. Ale czy my jemu damy rady. Jakby on niższy, żeby można tędy wyliść, zobaczyć, czy ta ściła wytrzyma, czy ją zawalić, toż jakich 50 lat cieknie na to sklepie, dach upadł, cała ta strona od pola, jakby to nazad choć lat 30 jak było więcej chłopców a zara zostało się garsteczka tych ludzi i to sami starszy, a to trzeba milion samo mniej pieniędzy, żeby nająć młodych ludzi, żeby tam coś zrobili.

W kościele było mij dobrywa (magazyn nawozów sztucznych — P.L.) to wszystko kobiety wynieśli, z miesiąc chodziliśmy, nim wszystko wynieśli. Głowa s. sowieta wypędział ludzi z kościoła, a ludzie nie słuchali jego: chto czym mógł i wrytami i wuzkami i wyrzucili wszystko z kościoła i tak ono leży pod kościołym”.

Kościół w Tarnorudzie p.w. M.B. z Góry Karmelu ufundowany został przez Adama Hieronima i Katarzynę (z d. Kostka) Sieniawskich. Zbudowano go z kamienia i cegły w latach 1643-1644. Wewnątrz został kompletnie zdewastowany. Mury do wysokości ponad metr od ziemi zostały przezarte przez sypane do kościoła w ciągu kilkadziesiątu lat nawozy sztuczne, sklepienie grozi zawaleniem. Wątpliwe, czy da się uratować, tym bardziej, że niewielkiej już parafii brak odpowiednich funduszków. Historyczna budowla sakralna, jak setki innych na Ukrainie, została celowo doprowadzona do stanu ruiny.

P. L.

WYWIADY " ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH "

Janusz K. ZAWODNY

WYWIADY Z OFICERAMI KONTRTORPEDOWCÓW POLSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Celem tych wywiadów jest zebranie wspomnień od oficerów bojowych Polskiej Marynarki Wojennej, aby upamiętnić jej wkład do drugiej wojny światowej. Walki polskich okrętów w tej wojnie zniosły je pod Narvik, Dunkierkę, wyspy Lofockie, Dieppe, Sycylię, Maltę, Oran. Nasze okręty brały udział w patrolach i konwojach na Atlantyku i do Murmańska w Rosji Sowieckiej oraz w desantach w Normandii w 1944 roku podczas uwalniania Europy. Uczestnicy tych walk mówią w tym wywiadzie.

Oto ich wykazy służby:

- 1) **ROMUALD NAŁĘCZ-TYMIŃSKI**
Komandor.

O.R.P. „Conrad” — lekki krążownik — dowódca.

Virtuti Militari, Krzyż Walecznych trzykrotnie, Krzyż Zasługi,
Order of the British Empire, Distinguished Service Cross.

Po wojnie: dowódca Flotyli Królewskiej Marynarki Wojennej
Pakistanu, dyrektor portu „Freeport”, Bahamas, prezes
„Freeport Harbour Co. Ltd.”, Grand Bahamas, Bahamas.

Akcje bojowe:

- O.R.P. „Błyskawica” — 1940 — Narvik, Dunkierka.
Patrolowiec „Pomerol” — 1940 — patrole w Kanale Angielskim w obronie oczekiwanej inwazji.
O.R.P. „Błyskawica” — 1941-1942 — konwoje atlantyckie.
O.R.P. „Ślżak” — 1942 oraz 1943/1944 — dowódca.
Rajd na Dieppe, konwoje, patrole, wypadki, lądowanie na Sycylii, lądowanie w Salerno, lądowanie w Normandii — D-Day. Zwalczanie jednoosobowych okrętów podwodnych „Negel”, zwalczanie ścigaczy.
O.R.P. „Conrad” — 1945/1946 — koniec wojny — dowódca.
Sportowiec (boks, szermierka, żeglarstwo. 1938 mistrz Polskich Sił Zbrojnych w szpadzie).

2) **WILHELM K. PACEWICZ**

Komandor podporucznik

Zastępca dowódcy O.R.P. „Ślżak”.

Wyższa Szkoła Lotnicza, oficer dyplomowany.

Inżynier — B.Sc.E/E.

Podwójny Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi, Trzykrotny Medal Morski.

Akcje bojowe:

- O.R.P. „Błyskawica” — Narvik — Dunkierka — 1940.
Patrolowiec „Medoc” — 1940 — patrole w Kanale Angielskim.
K. T. „Ouragan” — 1940/1941 — Północny Atlantyk.
O.R.P. „Krakowiak” — konwoje, patrole, wypadki. — Rajd na Lofoty. — 1941.
O.R.P. „Ślżak” — 1942/1943 — Rajd na Dieppe, battle of Atlantic, kampania północnoafrykańska, lądowanie na Sycylii, lądowanie w Salerno, konwoje śródziemnomorskie, konwoje atlantyckie i w Kanale Angielskim, patrole ofensywne.
Zasłużona „morska” rodzina: ojciec komandora Pacewicza był emerytowanym oficerem Marynarki Wojennej, kapitanem Dalekiej Żeglugi. Dowodził „Batorym”, „Sobieskim”, „Puławskim” i „Kościszka” w okresie drugiej wojny światowej. Odznaczony Orderem British Empire za transportowanie wojska alianckiego.

3) **JERZY P. TUMANISZWILI**

Kapitan Marynarki Wojennej.

Virtuti Militari, trzykrotny Krzyż Walecznych, czterokrotny Medal Morski, ranny w bitwie ze ścigaczami.

Przemysłowiec.

Akcje bojowe

O.R.P. „Burza” — Kanał Angielski — miny magnetyczne, Norwegia, Calais, bitwa o Atlantyck.

K.T. „Ouragan” — Bitwa o Atlantyck.

O.R.P. „Krakowiak” — Konwoje w Kanale Angielskim, patrol, wypad, rajd na Lofoty, bitwa ze ścigaczami.

O.R.P. „Piorun” — wyprawa na „Tirpitz”, inwazja Europy, bitwa pod „Ushant”, bitwa pod „Jersey”, zatopienie krążownika pomocniczego „Saudeerland”, bitwa o Atlantyck.

Kapitan Tumaniszwili pochodzi z książęcej rodziny gruzińskiej.

4) *MICHAŁ BIAŁOWSKI*

Porucznik Marynarki Wojennej.

Specjalność: oficer radarowy.

Podwójny Krzyż Walecznych, trzykrotny Medal Morski.

Dyplom Kapitana Żeglugi Małej.

Certificate of Competency as Master of Foreign-Going Steamship,

capitalin Royal Mail Lines Ltd.,

Pacific Coast Marine superintendent R.M.L.,

Kapitan portu Seattle, U.S.A.

Akcje bojowe:

O.R.P. „Burza” — 1939/1940 — Narvik.

H.M.S. „Exeter” — 1941 — Pogoń za „Bismarckiem”, patrol arktyczne.

H.M.S. „Veteran” — 1941 — konwoje atlantyckie.

H.M.S. „Walney” — 1941/1942 — konwoje afrykańskie.

O.R.P. „SZ” — ścigacz — 1942 — patrol w Kanale Angielskim.

O.R.P. „Błyskawica” — 1942/1943 — lądowanie w Afryce Północnej.

O.R.P. „Dragon” — 1944/1945 — lądowanie w Normandii.

O.R.P. „Conrad” — 1945/1946 — oficer radarowy.

Z rocznika Szkoły Podchorążych Polskiej Marynarki Wojennej, który na okrętach szkolnych „Wilia” i „Iskra” opuścił Polskę przed wybuchem wojny. Rocznik ten przeszedł wyszkolenie na okrętach angielskich.



JANUSZ K. ZAWODNY: — *Jest 28 marca 1988 roku. Jesteśmy w hotelu w miejscowości Kelso w stanie Washington, niedaleko wybrzeża Pacyfiku w USA. Siedzi ze mną czterech*

dystyngowanych panów, z którymi będę przeprowadzał wywiad. Żaden z nas nie pobiera za to żadnego wynagrodzenia, wprost przeciwnie, dość dużo energii, pieniędzy i czasu zabrało nam zebranie się razem w tym miejscu.

Panie Komandorze, jakie wykonywał funkcje Pański niszczyciel oprócz patroli, ostrzelań, wyławiania lotników i konwojowania?*

ROMUALD NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Niszczenie okrętów podwodnych. Praca konwojowa była przeważnie przeciwko okrętom podwodnym. Nie było konwoju, gdzie by się nie atakowało albo rzeczywistego Niemca podwodnego, albo jakiegoś echa, które uważało się za podejrzanę.

MICHAŁ BIAŁOWSKI: — Głównym zadaniem niszczyciela jest osłona floty, a ściślej większych jednostek, takich jak lotniskowce, krążowniki. Uzbrojenie niszczyciela z okresu drugiej wojny światowej pozwalało na osłonę przeciw okrętom podwodnym oraz nalotom bombowców. To jest zasadnicze zadanie niszczyciela. Pod koniec wojny zaczęto budować niszczyciele dla specjalnych celów — mniejsze jednostki do zwalczania okrętów podwodnych i większe do osłony floty przed masowymi atakami z powietrza.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — „Ślązak” wybudowany był specjalnie dla zwalczania okrętów podwodnych i lotnictwa nieprzyjaciela. Był to okręt do eskortowania konwojów. Kolega Białowski ma rację, że zasadniczym zadaniem niszczycieli jest osłona większych okrętów, ale tych osłon „Śląsk” miał stosunkowo niewiele. Na przykład na Morzu Śródziemnym braliśmy udział w osłonie pancerników, również w operacji salerneńskiej byliśmy osłoną lotniskowców i krążowników. Ale przeważnie eskortowaliśmy konwoje.

J. K. ZAWODNY: — *Panie Komandorze, Pan był także dowódcą polskiego krążownika „Conrad”. Jakie były zadania taktyczne krążownika w porównaniu z niszczycielem?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Krążownik to większy okręt i nadaje się do odbywania większych podróży. Szczególnie w Royal Navy krążowniki były używane do pracy w koloniach, do odwiedzania albo stacjonowania tam, a poza tym jako część składowa floty do zwalczania większych jednostek. Były też używane do wojny przeciwko żegludze handlowej nieprzyjaciela, jako więk-

* Przyjmując teraźniejsze słownictwo, będziemy używali nazwy „niszczyciel” zamiast „kontrtorpedowiec”.

sze okręty, które mogą wyjść na dłuższy okres z bazy i mają większe uzbrojenie i zasięg.

J. K. ZAWODNY: — *Po wybuchu wojny w 1939 roku do Anglii przybyło 70 oficerów, 69 podchorążych i 804 marynarzy, co w sumie dało nam 943 polskich marynarzy. W 1945 roku liczba ta wzrosła do 386 oficerów i 3.657 podoficerów i marynarzy, w sumie 4.043 ludzi. Jeśli chodzi o okręty, po zakończeniu wojny Polska Marynarka Wojenna miała jeden krążownik, 6 niszczycieli, 3 okręty podwodne i 7 ścigaczy. Nie wiem, jaka jest liczba polskich okrętów w Polsce Ludowej, natomiast dane statystyczne z 1987 roku podają, że oficerów, podoficerów i marynarzy było łącznie 21.800.*

Pytanie: w jaki sposób obsadzono polskie okręty w drugiej wojnie światowej zwiększając czterokrotnie liczbę marynarzy i w tym samym czasie tracąc w walkach okręty „Grom”, „Orzeł”, „Medoc”, „Kujawiak”, „Jastrząb”, „Orkan” i „Dragon”? Skąd wzięliśmy ludzi?

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — *Przede wszystkim przed wybuchem wojny Kierownictwo Marynarki Wojennej zdawało sobie sprawę, że wojna wybuchnie i że jakiś konkretny krok trzeba powziąć. Nasz szef kierownictwa zaproponował marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi, ażeby wysłać do Wielkiej Brytanii trzy niszczyciele, które będą mogły walczyć z baz brytyjskich, bo było wiadomo, że nasze bazy z wybuchem wojny nie będą mogły spełniać swego zadania. Dysproporcja sił była tak wielka, że nie mieliśmy szans na utrzymanie naszego wybrzeża, naszych baz i oczywiście naszych okrętów. Trzy niszczyciele, O.R.P. „Błyskawica”, „Grom” i „Burza”, w dniu wybuchu wojny znalazły się już w Szkocji. Później, po wyczerpaniu możliwości walki na Bałtyku, przedostały się przez cieśniny duńskie do Wielkiej Brytanii dwa okręty podwodne, O.R.P. „Wilk” i O.R.P. „Orzeł”. Ponadto mieliśmy w podróży szkolnej dwa okręty szkolne, mianowicie żaglowiec O.R.P. „Iskra”, który miał zaokrętowanych 23-ech podchorążych oraz O.R.P. „Wilia”, na którym znajdowała się następna grupa 35-ciu podchorążych i odpowiednia ilość oficerów, podoficerów i marynarzy. Szef kierownictwa, jak niedawno dowiedzieliśmy się z artykułu komandora Franckiego (który był dowódcą O.R.P. „Wilia”), zaokrętował na „Wili” razem z podchorążymi około 50 marynarzy, kandydatów na specjalność sygnałową, przewidując, że nasze okręty w Wielkiej Brytanii będą potrzebowały uzupełnienia. Ale to było niedostateczne. Wobec tego nasz rząd na uchodźstwie ogłosił za zgodą Francji i państw amerykańskich,*

że będzie pragnął pobrać ochotników do Polskich Sił Zbrojnych, między innymi do Marynarki. Dostaliśmy w 1940 roku około 350-ciu ochotników z Francji, a wkrótce potem ochotników ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i kilku republik Południowej Ameryki. To pozwalało nam uzupełniać załogi okrętów, które przyszły z Polski oraz obsadzić okręty otrzymane od Royal Navy (i jeden z USA).

WILHELM K. PACEWICZ: — Można dodać do tego pewną liczbę szeregowych i oficerów, którzy dodatkowo dołączyli do załóg w Wielkiej Brytanii przez ucieczkę z Polski albo z niewoli niemieckiej. To była stosunkowo mała liczba, ale bardzo dobrych ludzi. Oczywiście po umowie polsko-brytyjsko- sowieckiej dostaliśmy nowy napływ ludzi, którzy wyszli z niewoli i katorgi sowieckiej z generałem Andersem.

M. BIAŁOWSKI: — Niestety część podchorążych z mojego rocznika opuściła Marynarkę Wojenną, aby wstąpić do wojska. Byli tak żądni zemsty na Niemcach, że chcieli natychmiast brać udział w walkach. Marynarka Wojenna w tym czasie jeszcze nie była zorganizowana, tak żeby mogli nas przyjąć na okręty w Anglii, więc część z nich poszła na ochotnika do Armii, żeby walczyć. Zdaje się, że było ich około 10-ciu.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Chciałbym wprowadzić tu małą poprawkę. To było wynikiem dużej pomyłki, gdyż Marynarka Wojenna bez żadnej przerwy była w stanie pełnego zorganizowania, a 3 niszczyciele w akcji bojowej na Zachodzie od pierwszego tygodnia wojny, podczas kiedy we Francji wojsko dopiero zaczynało się organizować. Jednak w gorącej wodzie kąpani młodzi ludzie wyobrażali sobie, że we Francji wojsko wkrótce zacznie walczyć, a my ich zdaniem nie mieliśmy szans wejścia do walki. Potwierdziło to poniższe zdarzenie w czasie operacji w Narviku, w maju 1940 roku. Wśród żołnierzy polskiej Samodzielnej Brygady Podhalańskiej, którzy przyszli nas odwiedzić, znajdował się jeden z naszych podchorążych, który przeszedł do wojska. Podczas kiedy myśmy już walczyli na okrętach od ośmiu miesięcy, dla niego to była pierwsza styczność z nieprzyjacielem.

JERZY P. TUMANISZWILI: — Jeszcze trzeba dodać, że pierwszy pobór poza granicami kraju był z Marynarki Handlowej, kilkudziesięciu marynarzy zostało przeniesionych i stało się częścią składową naszych okrętów.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Muszę jeszcze dodać, w końcu grudnia 1939 roku przywożłem do Wielkiej Brytanii z Francji 96-ciu

ochotników oraz marynarzy z Marynarki Handlowej i Wojennej oraz ze statków rybackich.

W. K. PACEWICZ: — Ja osobiście przewiozłem około 30-tu ochotników z obozu polskiego we Francji (Coëtquidan) do obozu w Landernau (koło Brestu) gdzie czekały na transport do Anglii załogi O.R.P. „Iskra” i O.R.P. „Wilia”.

J. K. ZAWODNY: — *Chciałbym zmienić temat i zadać dwa pytania: który z Panów był na jednym z niszczycieli albo okrętów podwodnych, które opuściły Polskę?*

J. P. TUMANISZWILI: — Ja byłem.

J. K. ZAWODNY: — *Jaki był duch na okręcie?*

J. P. TUMANISZWILI: — Bojowy. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wojna wybuchnie lada dzień. Wierzyliśmy w dobrą wolę Francji i Wielkiej Brytanii.

J. K. ZAWODNY: — *Na jakim byłeś okręcie?*

J. P. TUMANISZWILI: — Na „Burzy”.

J. K. ZAWODNY: — *Kiedy „Burza” wyszła z portu i z jakiego portu?*

J. P. TUMANISZWILI: — To było 30 sierpnia, staliśmy na redzie Oksywia.

J. K. ZAWODNY: — *Czy w momencie opuszczania portu wiedzieliście, dokąd idziecie? Ty wiedziałeś? Jaki był twój stopień wtedy?*

J. P. TUMANISZWILI: — Byłem podporucznikiem Marynarki Wojennej.

J. K. ZAWODNY: — *Jaka funkcja?*

J. P. TUMANISZWILI: — Drugi oficer torpedowy.

J. K. ZAWODNY: — *Czy wiedziałeś, że idziecie do Anglii?*

J. P. TUMANISZWILI: — Dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, kiedy byliśmy daleko od wybrzeży, po 3-4 godzinach na pełnym morzu.

J. K. ZAWODNY: — *Jak żeście się czuli?*

J. P. TUMANISZWILI: — Była wielka radość, entuzjazm... czuliśmy, że idziemy na wojnę... a kiedy wojna została wypowiedziana, mój przyjaciel Zbyszek Plezia wpadł do kabiny, gdzie spałem po rannej wachcie, zaczął mną targać i krzyczyć: „Jurek... Jurek... bałwanie jeden... obudź się, obudź natychmiast... wojna, rozumiesz, wojna wybuchła... idziemy na wojnę!” — Wydawało się nam, że to wielkie wydarzenie wymagające naszego osobistego poświęcenia. A z drugiej strony głupio nam było pozostawiać naszych kolegów na pewną zagładę.

WYWIAD Z KOMANDOREM NAŁĘCZ-TYMIŃSKIM

JANUSZ K. ZAWODNY: — *Na jakim okręcie był Pan pierwszym września 1939?*

ROMUALD NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Na żaglowcu szkolnym O.R.P. „Iskra”, na Atlantyku, jako zastępca dowódcy. Wyszliśmy z Casablanki 25 września 1939 roku. Mieliśmy na okręcie drugą grupę podchorążych, przekrętowanych do nas z O.R.P. „Wilia”. Właśnie w tym celu spotkaliśmy się z „Wilią” w Casablance. Pierwszą grupę podchorążych, która była na O.R.P. „Iskra” od wyjścia z Polski 6 maja, wyokrętowaliśmy na „Wilię”. Naszym portem docelowym miało być Las Palmas na wyspach Kanaryjskich.

Nie mając wątpliwości, że wojna musi wybuchnąć lada dzień, dowódca okrętu, kdr ppor. Jerzy Umecki, zdecydował odwlec jak najdłużej nasze wejście do Las Palmas, wyznaczone na 5 września. W tym celu zarządził, że w ciągu dnia żaglowaliśmy na zachód, a w nocy z powrotem na wschód. Kiedy rano 1 września otrzymaliśmy radiową wiadomość, że Polska została napadnięta przez Niemcy, wzięliśmy kurs na Casablanke, do której weszliśmy 2 września. Stanęliśmy przy burcie „Wili” i byliśmy przybici wiadomościami z Polski, bo były od razu zastraszające. Wieczorem 5 września siedząc w mesie słuchamy radia. Nastawiamy radiostację niemiecką i słyszymy komunikat wojenny niemiecki, podający, że w dniu dzisiejszym polski żaglowiec szkolny „Iskra”

został zatopiony na Atlantyku. A my staliśmy bezpiecznie w porcie Casablanca, czyli oni już z góry byli tak pewni, że nas wezmą, że nas zatopią. Ich okręt podwodny już tam siedział i gdyby nie idea Umeckiego (dowódcy „Iskry”), którego pamięć za to bardzo cenię, to padlibyśmy ofiarą ich okrętu podwodnego. A dzięki jego decyzji byliśmy niedaleko Casablanki.

J.K.Z.: — *Panie Komandorze, w jakich operacjach brał Pan udział?*

R.N.-T.: — Zostałem zaakreutowany na O.R.P. „Błyskawica” w marcu 1940 roku, poprzednio byłem na O.R.P. „Iskra”, która została w Maroku. 6 października zostałem wysłany do Pireusu w Grecji, skąd na motorowcu „Oksywie”, jako komendant transportu, przewiozłem do Marsylii grupę oficerów, podoficerów i podchorążych lotnictwa. Z Francji przybyłem do Wielkiej Brytanii w grudniu 1939 roku i w marcu 1940 zostałem wyznaczony jako zastępca dowódcy na O.R.P. „Błyskawica”. Naszym zadaniem były patrole bojowe w Kanale Angielskim. W kwietniu zostaliśmy wysłani do Narviku na kampanię norweską.

J.K.Z.: — *Niech Pan mi opowie o tej kampanii.*

R.N.-T.: — Na zmianę z O.R.P. „Grom” patrolowaliśmy wzdłuż brzegu przy Narviku i ostrzeliwaliśmy dość często pozycje niemieckie. Niemcy instalowali swoją artylerię na górach, a ich oddziały przechodziły pomiędzy miastem Narvik a ich schronem — tunelem kolejowym. Myśmy ich ciągle molestowali.

J.K.Z.: — *Czy Pan widział efektywność ognia artylerii bezpośrednio?*

R.N.-T.: — I owszem. Widziałem oddział Niemców, który maszerował w swoich ochronnych białych ubraniach z Narviku do schronu. Otworzyliśmy na nich ogień i usłyszeliśmy z dalmierza okrzyki: „Trafienie, trafienie w grupę żołnierzy niemieckich... widzę ich nogi i ręce latające w powietrzu...”. Czy one latały w powietrzu, nie wiem, ale taki entuzjastyczny meldunek złożył dalmierzysta.

J.K.Z.: — *Jak daleko od brzegu była „Błyskawica”?*

R.N.-T.: — 1.000 do 2.000 metrów.

J.K.Z.: — *W jaką artylerię była wyposażona?*

R.N.-T.: — „Błyskawica” miała swoje oryginalne uzbrojenie, 7 dział 120 mm. To były duże działa. Mieliśmy niezależnie od tego przeciwlotnicze Boforsy, jedyne w całej alianckiej flocie operującej z Wielkiej Brytanii Pom-Pomy brytyjskie miały zasięg tylko 2.700 jardów, a nasze Boforsy sięgały do 5.000 metrów, tak że jak nas bombardowano, to Brytyjczycy chętnie byli w naszym pobliżu, bo mogliśmy trzymać nadlatujące lotnictwo na pułapie ponad 5.000 metrów. Nas ostrzelano dwukrotnie z lądu, okręt został uszkodzony, ale mieliśmy niesamowite szczęście, bo w pierwszym ostrzelaniu mieliśmy tylko trzech lekko rannych w maszynowni. Przy drugim ostrzelaniu naliczyłem 20 dziur w kadłubie okrętu, a ani jeden człowiek nie został draśnięty. Było kilku kontuzjowanych przez gwałtowne przechyły okrętu. Któryś tam spadł, potłukł się. Natomiast 4 maja zginął „Grom” pod Narvikiem.

J.K.Z.: — *W którym to było roku?*

R.N.-T.: — To było 4 maja 1940 roku. Pierwsza salwa bomb trafiła w śródkręcie i okręt poszedł na dno z dużą ilością strat ludzkich, zdaje się 59 ludzi, najlepszych naszych podoficerów zginęło na O.R.P. „Grom”. Następnego dnia byliśmy znowu na patrolu przed Narvikiem. Wieczorem tego dnia ostrzeliwali nas Niemcy z lądu, a 6-go o 8.20 rano zaczęły się naloty, które z 20-minutową przerwą na obiad trwały do 3-ciej godziny po południu. Ze wyszliśmy z tego cało, to rzeczywiście chyba Opatrzność czuwała nad nami.

J.K.Z.: — *Panie Komandorze, czy „Błyskawica” była w ruchu, czy manewrowała, czy też stała w porcie?*

R.N.-T.: — Manewrowaliśmy. Nie mieliśmy tam portu. Całe szczęście, że w tym obszarze była duża przestrzeń do manewrowania. Dowódcą był nadzwyczajny komandor Stanisław Nahorski, który miał niesamowite wyczucie. Zresztą współpracował z oficerem sygnałowym, który obserwował przez lornetkę samoloty nieprzyjaciela. Na 5.000 metrów przy wspaniałej widoczności widać było, czy bomba jest oświetlona z prawej, czy też z lewej strony, jak odrywała się od samolotu.

J.K.Z.: — *Bardzo ciekawe.*

R.N.-T.: — Oficer sygnałowy wołał: — „Bomby lecą w prawo!” Dowódca na to: — „Lewo na burt!” — oraz kazał zwiększać

szybkość. Wywijaliśmy się jak piskorze w tym fjordzie, bomby padały niesamowicie blisko, tak że fontanny wody wchodziły na okręt. Wszyscy byli zmoczeni do suchej nitki. Brytyjskie okręty stały we fjordzie bliżej górzystych wysp, Niemcy wybrali nas za główny cel ataków.

J.K.Z.: — *Panie Komandorze, jaka była najbardziej tragiczna akcja bojowa, w której Pan brał udział?*

R.N.-T.: — Trudno jest zróżnicować nasilenie tragedii, które towarzyszyły większości akcji bojowych. Jak wspomniałem wyżej, na „Błyskawicy” pod Narvikiem okręt nasz był posiekany pociskami i odłamkami z dział i „kaemów” nieprzyjaciela, ale mieliśmy tylko trzech członków załogi lekko rannych. Natomiast w tej samej operacji zginął nasz siostrzany okręt „Grom”, zabierając ze sobą na dno fjordu 59-ciu naszych drogich kolegów. Stratę tę odczuliśmy jako bolesną tragedię naszej Marynarki Wojennej.

W konwojach eskortowanych przez O.R.P. „Słazak”, pod moim dowództwem, a było ich wiele, straciliśmy tylko trzy statki, niestety, jeden z nich z dużą ilością żyć ludzkich. W rajdzie na Dieppe na naszym okręcie O.R.P. „Słazak” mieliśmy trzech członków załogi zabitych i 13-tu rannych. Okręt doznał poważnych uszkodzeń. Biorąc jednak tę operację jako całość, była ona okupiona olbrzymimi stratami. Z ponad 6.000 żołnierzy lądujących na plażach Dieppe i sąsiadujących miejscowości tylko 2.200 powróciło do Wielkiej Brytanii. Ponad 900 poniosło śmierć. Reszta, wielu z nich rannych, dostała się do niewoli. Ponadto marynarki wojenne wspierające rajd (brytyjska, francuska i polska) straciły ponad 500 zabitych, rannych i zaginionych. Sądzę więc, że rajd na Dieppe był najbardziej tragiczną akcją bojową.

J.K.Z.: — *Który to był rok?*

R.N.-T.: — 19 sierpnia 1942 roku. Aczkolwiek nie przyznaję się do żadnego bohaterskiego czynu, jednak Admiralicja na rekomendację dowódcy morskiego tego rajdu, był to captain John Hughes-Hawlett — Royal Navy — nagrodziła mój okręt w mojej osobie, nadając mi *Distinguished Service Cross*, w skrócie DSC.

J.K.Z.: — *To jest wysokie odznaczenie bojowe?*

R.N.-T.: — To jest, powiedziałbym, równoważnik naszego „Krzyża Walecznych”.

Wśród moich oficerów i podoficerów i marynarzy wielu za-

służyło na doskonałe odznaczenie, niektórzy byli odznaczeni, nie wszyscy których przedstawiłem, bo władze zawsze ucinają wnioski dowódców...

J.K.Z.: — *Ma Pan również Polski krzyż Virtuti Militari. Kiedy go Pan dostał?*

R.N.-T.: — Muszę zrobić małą dygresję, bo po rajdzie na Dieppe przedstawiłem do Virtuti Militari 3-ch oficerów i trzech podoficerów i marynarzy, między innymi Wilhelma Pacewicza. Kiedy wnioski poszły do kierownictwa, dowiedziałem się, że szef kierownictwa przyznał „Ślązakowi” tylko jeden Virtuti.

J.K.Z.: — *Na okręt?*

R.N.-T.: — Na okręt, i ja miałem go dostać. Oburzyłem się, bo uważałem, że niektórzy moi podwładni zasłużyli na to odznaczenie bardziej ode mnie. Od dowódcy oczekuje się znajomości rzemiosła wojenno-morskiego, opanowania, trafnych decyzji itp. Ostatecznie wywalczyłem, że ten Virtuti Militari został przydzielony właśnie podoficerowi matowi, który przejawiał odwagę, opanowanie i inicjatywę, mając przy swoim działu dwóch ludzi zabitych i czterech rannych. Z 16-toosobowej obsady działła sześciu ubyłło. Sądzę, że w tym miejscu należy naświetlić, jak do tego doszło.

O.R.P. „Ślązak”, będąc w osłonie rajdu na Dieppe, już od godziny 4.45 dnia 19 sierpnia 1942 roku dostał się pod ogień nieprzyjacielskich baterii, a wkrótce potem pod ataki samolotów Luftwaffe. Nie mógł nawiązać walki z bateriami w obawie rażenia własnych oddziałów wojska. Natomiast w walce z samolotami do godziny 10.37 zestrzelił jednego „Dorniera 217”, uszkadzając kilka innych. Wziął też na pokład z barek desantowych i z morza kilkudziesięciu żołnierzy kanadyjskich, przeważnie rannych, marynarzy Royal Navy, oraz 5-ciu marynarzy niemieckich.

Kiedy dowództwo operacji zdało sobie sprawę z beznadziejności sytuacji na lądzie, postanowiło zrobić wysiłek, aby wyewakuować z lądu jak największą liczbę własnego wojska. W tym celu niszczytele otrzymały rozkaz podejścia pod brzeg i zadymienia przestrzeni przed plażami, aby osłonić wycofujące się barki i motorówki.

„Ślązak” był usytuowany naprzeciw zachodniej części promenady miasta Dieppe i o godz. 10.37 na swoim odcinku rozpoczął dymienie z fumatora i komina oraz rzucanie do wody pław dymnych, na punktach zwrotów.

Manewrowanie „Ślązakiem” wzdłuż ustalonej trasy dymienia, oczywiście pod moim nadzorem, zleciłem ówczesnemu por. mar. Wilhelmowi Pacewiczowi — oficerowi nawigacyjnemu okrętu. „Ślązak” posuwał się stosunkowo wolno, nie więcej niż 12 węzłów, a to ze względu na konieczność wymijania w zadymionym obszarze wycofujących się barek i motorówek. W tym czasie Luftwaffe nasiliła swoje ataki na okręty i barki operujące na redzie Dieppe. W walce z nalatującym skrzydłem bombowców „Ślązak” zestrzelił drugi z kolei „Dornier 217”. Zaledwie zdołałem pogratulować tego sukcesu pierwszemu oficerowi artylerii por. mar. Zbigniewowi Plezi, gdy trzy bombardujące myśliwce „F.W. 190”, zbliżywszy się niepostrzeżenie od rufy do O.R.P. „Ślązak”, na niskim pułapie, przykryte naszą własną zasłoną dymną z komina, nalatując do rzucenia bomb, obsypały nas pociskami z działek pokładowych.

Pierwszy „F.W. 190” ukazał się za trawersem pomostu, nalatując ukośnie w kierunku na dziobową część okrętu. Celowniczy prawego Oerlikona, mat Franciszek Długołęcki, oddał do niego serię, od razu uzyskując trafienie. Równocześnie por. mar. Pacewicz dał komendę: „Prawo na burt!! Cała naprzód!”. Skłonem głowy zaaprobowałem tę akcję. Faktycznie, sam otworzyłem usta, aby wydać identyczny rozkaz. Celna seria Długołęckiego zmusiła pilota do wyłamania w prawo i do góry, opóźniając moment zwolnienia bomby. Niechybnie uratowało to „Ślązaka”. Bomba, zwolniona o ułamek sekundy za późno, będąc podrzucona do góry przez szarpnięcie samolotu, łagodnym łukiem ominęła cel iomalże ocierając się o lewą burtę okrętu, wybuchła w wodzie. Drugi samolot nalatujący z prawej burty na śródkręcie, spotkany ogniem pom-pomu mata Izydora Falkowskiego, zwolnił bombę o ułamek sekundy przedwcześnie. Ekspłodowała w morzu, tuż przy prawej burcie. Trzeci „F.W. 190” został odpędzony przez st. mar. Alfreda Karrucka z lewego Oerlikona. Wybuchy dwóch bomb, prawie równocześnie z obu stron okrętu, spowodowały uszkodzenia sieci przekaźniczych oraz instalacji w maszyni i dziale nawigacyjnym. Pociski z działek samolotowych zabiły trzech i zraniły dwunastu członków załogi „Ślązaka”. Jeden st. mar. podśłuchowiec stracił słuch od eksplozji bomby, zwielokrotnionej przez aparaturę podśłuchu podwodnego. Kierowanie ogniem z pomostu stało się niemożliwe, a tu już następne skrzydło „F.W. 190” zbliżało się od rufy, aby wykończyć „Ślązaka”.

Mat Witold Stankiewicz wykazał należytą przytomność umysłu, odwagę i wysoki poziom wykształcenia. Zastąpił sześciu wyprowadzonych z akcji członków obsady swego działu marynarzami z ekipy dostarczającej amunicję, na czas otworzył samodzielny

ogień do nalatujących samolotów, rozproszył je i nie dopuścił do skutecznego ataku. Uważałem, że Stankiewiczowi należało się odznaczenie orderem *Virtuti Militari* i byłem bardzo zadowolony i szczęśliwy, kiedy szef kierownictwa mu je przyznał.

Mój *Virtuti Militari* dostałem dopiero w 1943 roku za akcję na Morzu Śródziemnym.

J.K.Z.: — *Czy może Pan opowiedzieć o tej akcji? Co to było? Na jakim okręcie?*

R.N.-T.: — Byłem wtedy dowódcą O.R.P. „Ślązak”, a ówczesny kapitan mar. woj. Wilhelm Pacewicz był moim zastępcą. Cytacja była za całokształt walk na Morzu Śródziemnym. A na tym morzu braliśmy udział w lądowaniu na Sycylii, w lądowaniu w Salerno, w obronie H.M.S. „Warspite”, który był trafiony bombami dalekierowanymi przez niemieckie samoloty, w obronach konwojów... Słowem, mój *Virtuti* został przyznany za całokształt tych walk.

J.K.Z.: — *Która z tych operacji wywarła na Panu najgłębsze wrażenie?*

R.N.-T.: — Było ich dość dużo. Pierwszą dużą operacją był Narvik, drugą była ewakuacja Dunkierki, trzecią rajd na Dieppe, czwartą lądowanie na Sycylii, piątą lądowanie w Salerno, a szóstą lądowanie w Normandii. Każda z tych sześciu operacji zostawiła głębokie wrażenie, najbardziej może lądowanie w Normandii. Liczyliśmy, że to już jest krok przed powrotem do kraju. Niestety, tak się nie stało, ale operacja w Normandii była z dużym sukcesem przeprowadzona, „Ślązak” bardzo dobrze się tam przysłużył. 6 czerwca 1944 roku zostaliśmy wysłani jako osłona poławiaczy min, które przetrącały kanały w polu minowym. Patrolowaliśmy pomiędzy Le Havre a naszymi poławiaczami min przez całą noc. „Ślązak” był pierwszym niszczycielem, który tam się znalazł na odcinku pomiędzy Le Havre a Ouistraham-sur-Mer. To był „Sector Sword”. Wspierając lądowania drugiej fali, podeszliśmy tak blisko do brzegu, jak głębokość morza nam pozwoliła i ostrzeliwaliśmy punkty oporu nieprzyjaciela. Każdy niszczyciel miał przydzielony oddział wojska na lądzie, który miał wspierać swoim ogniem. „Ślązak” miał przydzielony oddział *Royal Marine Commando*, to był albo numer 40 albo 41, w tej chwili nie jestem pewien. Nawiązaliśmy z nimi łączność. Oni mieli swego obserwatora bombardowania i od razu poprosili o wsparcie, bo natrafili na niemiecki oddział, który ich zatrzymał w posuwaniu się. Wskazali nam tarczę (tarczą nazywaliśmy obszar ostrzeliwania) i ogniem naszych dział rozbiliśmy ten oddział nie-

miecki, tak że komandosi mogli się posuwać dalej. Następne wsparcie artyleryjskie było kierowane przez obserwatora ognia komandosów. Było to pośrednie bombardowanie do niewidocznej tarczy, również z wielkim powodzeniem. Trzecie bombardowanie było bezpośrednie, też bardzo skuteczne. Wreszcie zwraca się do nas obserwator ognia z łądu, prosząc o natychmiastowe ostrzeżenie obiektów koło Lion-sur-Mer. Powiedział: „Tu w tych domach ufortyfikowanych siedzą Niemcy i ostrzeliwują nas, w lasku też jest nieprzyjaciel. Proszę o 20 minut ognia do każdej tarczy”. Przed kilkoma minutami otrzymaliśmy rozkaz, polecający nieotwieranie ognia na obiekty nieobserwowane z łądu. Kazałem zapytać naszego obserwatora, czy będzie korygował nasz ogień? Odpowiedział podekscytowanym głosem: „Niemożliwe, ja nie mogę głowy podnieść z mojego dołka strzeleckiego”. Zdając sobie sprawę, że sytuacja jest naprawdę pilna, nie tracąc czasu na pytanie o zezwolenie, daliśmy 20 minut ognia do domków, 20 minut do lasku. Na nasze powiadomienie, że „bombardowanie skończone”, otrzymaliśmy odpowiedź, że z lasku Niemcy wycofali się ze stratami, ale w domkach trzymają się nadal. — „Proszę o następne 20 minut”. — Daliśmy im następnych 20 minut. Kiedyśmy podali: „... *bombardment completed*”... — usłyszeliśmy w głośniku entuzjastyczny głos obserwatora: — „*Thank you very much! I think you saved our bacon*” („Dziękujemy, uratowaliście nas”). — Była to ważna i skuteczna akcja, która umożliwiła komandosom przełamanie bardzo mocnego punktu oporu. Było to ostatnie działanie O.R.P. „Ślżak” tego dnia. Nasza amunicja była już na wyczerpaniu, zostaliśmy zastąpieni przez brytyjskiego niszczyciela i odesłani do Portsmouth po uzupełnieniu amunicji.

J.K.Z.: — *Na podstawie Pańskich doświadczeń, Panie Komandorze, niech Pan oświetli stosunki między władzami brytyjskiej i polskiej Marynarki Wojennej.*

R.N.-T.: — Współpraca z Royal Navy była nadzwyczajna. W pierwszych miesiącach po przybyciu polskich jednostek do Wielkiej Brytanii otrzymaliśmy zespoły łącznikowe Brytyjczyków na każdy z naszych okrętów, ażeby ułatwić nam łączność, sygnalizację, administrację itp. Brytyjczycy podchodzili do nas z pewną dozą ostrożności, nie będąc pewni, czego można się spodziewać po małej, nieznannej polskiej Marynarce Wojennej. Początkowo oficerowie łącznikowi byli w stopniu *Lieutenant Commander*, doświadczeni, bojowi oficerowie brytyjscy. Po upływie powiedzmy mniej niż jednego roku...

J.K.Z.: — *Przepraszam, Lieutenant Commander to jest po polsku...?*

R.N.-T.: — Odpowiednik kapitana Marynarki Wojennej, a majora w wojsku. Po upływie mniej niż roku Brytyjczycy stwierdzili, że jesteśmy na takim samym poziomie wyszkolenia morskiego i bojowego jak oni. Od tego czasu oficerem łącznikowym był porucznik albo nawet podporucznik ochotniczej służby morskiej (*Royal Navy Volunteer Reserve*), który pomagał w kodowaniu sygnałów i kontaktach z władzami brytyjskimi. Było to dla nas wielkie ułatwienie, bo jednak Royal Navy miała swoje metody, często inne niż nasze.

J.K.Z.: — *Niech Pan da przykład.*

R.N.-T.: — Chociażby sama administracja. Trzeba było się zwracać do odpowiednich komórek Royal Navy, żeby nam dostarczono żywność, ropę, amunicję itd. Po upływie niecałych dwóch lat wojny nasza Marynarka Wojenna na Zachodzie zaczęła powiększać swój stan. Pierwszym niszczycielem przyjętym od Royal Navy był O.R.P. „Garland”, na którym podniesiono banderę 3 maja 1940 roku. Po „Garlandzie” weszły do składu polskiej Marynarki Wojennej niszczyciele „Ouragan”, „Piorun”, francuskie patrolowce, okręt podwodny „Sokół”, niszczyciele „Krakowiak”, „Kujawiak”, okręt podwodny (z USA) „Jastrząb”, a 30 kwietnia 1942 roku ja podniosłem banderę na O.R.P. „Ślązak”. Kiedy przybyliśmy do Plymouth, a byłem już w stopniu komandora podporucznika (równoważnik brytyjskiego *commander*) otrzymałem sygnał z Admiralicji brytyjskiej: „*Commander* Tymiński, dowódca O.R.P. „Ślązak”, dołączył do obszaru wojennego Plymouth i obejmie dowództwo nad okrętami brytyjskimi według swego stopnia i starszeństwa”. — To samo miało miejsce z innymi kolegami dowódcami okrętów polskich. Władze Royal Navy przestrzegały stopnia starszeństwa, na przykład przy lądowaniu w Salerno miałem pod moim dowództwem 10 niszczycieli klasy „Hunt”, w tym był polski „Ślązak” pod moim dowództwem i „Krakowiak” oraz 8 brytyjskich. Następny według starszeństwa był brytyjski *commander* o jeden miesiąc młodszy starszeństwem ode mnie. Brytyjczycy przestrzegali tego wyróżnienia polskich dowódców, jeżeli chodzi o sprawy taktyczne i operacyjne. Sprawy polityczne były zupełnie inne. Myśmy byli „natchnieniem narodów” w 39-tym, 40-tym, może jeszcze do 42-go roku. W 43-cim, kiedy Stalin zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem Polski na uchodźstwie z powodu Katynia, raptem polityczne wła-

dze brytyjskie ostygły i tak jakby się krępowano, że tu Polacy walczą. Na przykład jak byliśmy na Morzu Śródziemnym, ilekroć było święto Grecji lub Francji, podnosiliśmy na rozkaz Brytyjczyków gałę banderową. Kiedy 2 maja 1943 roku nadałem sygnał do władz Royal Navy, że następnego dnia będzie święto narodowe Polski i w związku z tym podniosę gałę banderową, dostałem kilka sygnałów, gratulujących, ale żaden okręt brytyjski nie podniósł gali banderowej. To było niezgodne z ceremoniałem morskim.

J.K.Z.: — *Czy były inne specyficzne przykłady zmiany stosunku do polskiej Marynarki Wojennej, do Pana osobiście lub do okrętów po 1943 roku, po odkryciu Katynia?*

R.N.-T.: — Jeżeli chodzi o stosunki osobiste, to zawsze mieliśmy doskonałe i z władzami marynarki brytyjskiej, i z poszczególnymi dowódcami. Współpraca była naprawdę doskonała. Natomiast, powtarzam, strona polityczna odgrywała znaczną rolę w ochłodzeniu entuzjazmu dla Polaków, w ogóle do Polskich Sił Zbrojnych. Jeszcze jeden przykład: podczas postojów w porcie chadzałem do kin, gdzie podawano wiadomości z frontu. Pewnego razu przychodzę do kina, był to już rok 45-ty, kwiecień, kiedy 2-gi Korpus zajął Bolonię. Komentator ogłasza przed wyświetleniem filmu: — *British troops entering Bologne...* Wyświetlają film na ekranie, polskie czołgi z szachownicami, maszerujący polscy żołnierze z dużymi orzełkami na hełmach i publiczność włoska oklaskuje i słycać okrzyki włoskie: *...bravo Polacci...* Jak gdyby krępowano się podać do wiadomości, że Polacy jednak mają duży wkład do tej wojny. Po lądowaniu w Normandii, jak wspominałem, wystrzelałem amunicję, zostałem odesłany do Portsmouth po uzupełnienie amunicji i innych zaopatrzeń. Miałem tam znajomych, których chciałem odwiedzić. Wziąłem taksówkę. Dojeżdżam do placu tzw. Guildhall Square, to jest plac z magistratem, zresztą zniszczony. Plac był udekorowany flagami wszystkich narodów alianckich w drugiej wojnie światowej. Wszystkie flagi tam były, francuskie i greckie, holenderskie i norweskie i belgijskie i oczywiście sowieckie. Tylko nie polska.

J.K.Z.: — *To jest '44-ty rok.*

R.N.-T.: — To jest '44-ty rok. Zezłościłem się, zawróciłem taksówkę, kazałem wrócić na okręt. Wezwałem mego podoficera sygnalistę i powiadam: „Proszę mi przynieść banderę, cośmy nosili wczoraj podczas wspierania lądowania w Normandii”. Na

pisałem list do Lorda Mayora, że właśnie przed chwilą wróciłem z Normandii i gdy przejeżdżałem przed Guildhall Square, wśród wielu flag narodowych nie znalazłem polskiej. „Sądzę, że pan takowej nie posiada, pozwalam więc sobie sprezentować panu banderę, którą mój okręt nosił w czasie wspierania lądowania w czasie D-Day”. Wysłałem mu tę banderę. Po jakimś czasie dostałem list (bo musieliśmy wyjść z powrotem na morze) — list od Lorda Mayora bardzo uprzejmy, że rzeczywiście Royal Navy nie mogła mu dostarczyć polskiej flagi. Wątpię, by to była prawda, bo Royal Navy miała możliwość dostarczenia. Dalej Lord Mayor podkreślił, że natychmiast bandera będzie podniesiona i że będzie przechowywana w Guildhall z pietyzmem aż do czasu, kiedy będzie mogła z nami powrócić do wolnej Polski. Po kilkunastu latach przysłano mi z Anglii wycinek z gazety z Portsmouth, że polska bandera została znaleziona w skrzynce od narzędzi w jakimś pubie brytyjskim i po dociekaniu okazało się, że to była bandera O.R.P. „Ślżzak”. Oczywiście miałem znowu korespondencję z Lordem Mayorem.

J.K.Z.: — *Panie Komandorze, jak te prądy polityczne odbijały się na morale naszych załóg? Mówię o podoficerach i marynarzach. Przykłady?*

R.N.-T.: — Właściwie nie było różnicy pomiędzy uczuciami oficerów czy też najmłodszego marynarza, wszyscy czuliśmy, że nasi sojusznicy wycofują się teraz ze swoich obietnic. Wojna była zaczęta właśnie z powodu ataku Hitlera na Polskę, a kiedy polityczne względy były wygodniejsze dla naszych sojuszników, to właściwie wycofali się z politycznego wspierania nas i oddali nas całkowicie...

J.K.Z.: — *Proszę mi opowiedzieć dwa najpiękniejsze przeżycia, jakie Pan miał w drugiej wojnie światowej jako oficer polskiej Marynarki Wojennej. Dwa konkretne przykłady.*

R.N.-T.: — Trudno dać przykład przyjemnej akcji bojowej. Każda akcja jest poważna...

J.K.Z.: — *Mówię o przeżyciach.*

R.N.-T.: — A, przeżycia. Więc wyselekcjonuję trzy przykłady, jeżeli Pan Profesor pozwoli, gdzie mnie za serce chwycił duch załóg naszych. Przed rajdem na Dieppe mój podoficer dalmierzysta był chory, odszedł do szpitala. W dniu kiedy szykowaliśmy się na rajd i braliśmy dodatkową amunicję, on wraca ze szpitala

z pismem, że należą mu się dwa tygodnie urlopu zdrowotnego. Widząc, że tu się coś dzieje, że idziemy na poważną akcję, przychodzi do mnie z prośbą: „Panie Komandorze, ja nie potrzebuję urlopu, ja nie mogę dekować się, kiedy okręt idzie na poważną operację”. — To był bosmanmat Wincenty Sawczyc.

J.K.Z.: — Żyje?

R.N.-T.: — Niestety umarł w Chicago już po wojnie. Drugi wypadek zaskoczył mnie bardzo przyjemnie też w akcji pod Dieppe. Ochotnik ze Stanów Zjednoczonych, już poważniejszy wiekiem człowiek, po trzydziestce, był podobno podoficerem *National Guard*, zgłosił się do służby w polskiej Marynarce Wojennej jako ochotnik, podając nazwisko Senkowski i został przydzielony na „Słazaka”. Był zamkowym przy dziale numer 3 i podczas nalotu na nas przez „Fokke Wolfy”, które nas ostrzelały, a potem zbombardowały, został ciężko ranny. Słaniał się na nogach, a kiedy działonowy chciał go podtrzymać, odtrącił go ze słowami: „zostaw mnie, idź strzelać”. Odwiedziłem go w szpitalu w Portsmouth. Przedtem dowiedziałem się, że był Ukraincem, nazywał się Senkow. Po zapytaniu jak się czuje (był w ciężkim stanie, płuca przestrzelone), zadałem mu pytanie: — „Słuchaj Gerard, wytłumacz mi, co spowodowało, że ty, Ukrainiec, zgłosiłeś się na ochotnika do polskich sił zbrojnych?” — A on mnie zaskoczył, odpowiedział tak, jakby z książki wyjął: — „A bo Panie Komandorze, przecież my jesteśmy dziećmi jednej Matki”. — To była nadzwyczajna odpowiedź.

Trzecia rzecz. Zawsze przed poważną operacją zbierałem załogę i ogłaszałem, jakie zadanie przypadło nam w udziale. Każdorazowo załoga oklaskiwała taką wiadomość. Wszyscy chcieli iść do akcji, żeby przybliżyć moment powrotu do domu. Był nadzwyczajny duch wśród ludzi.

J.K.Z.: — *Niech Pan mi opowie o swoim i swego okrętu udziale pod Dunkierką?*

R.N.-T.: — Byłem wówczas zastępcą dowódcy na O.R.P. „Błyskawica”. Wróciliśmy z Narviku, byliśmy, jak już poprzednio wspominałem, uszkodzeni; trzeba było przeprowadzić reperacje, wyczyścić kotły itp. Zanim zdołaliśmy to wszystko zrobić, już nas wysłano do Dunkierki. Właściwie byliśmy na patrolu, kiedy przyszedł sygnał natychmiastowego udania się do Dunkierki, dodając: „Jesteście prawdopodobnie jedynym środkiem ewakuowania dowództwa brytyjskiego z Flandrii”. — Kiedyśmy przyszli

do Dunkierki w nocy, przechodząc pomiędzy wrakami, wysłaliśmy łódź do portu. Wróciła z zawiadomieniem, że sytuacja jest pod kontrolą i nie jesteśmy potrzebni do ewakuowania dowódców. Odesłano nas na patrol. Patrolowaliśmy jako osłona okrętów, statków, stateczków, motorówek, motoróweczek — wszystko co mogło pływać, co mogło się poruszać po wodzie z Wielkiej Brytanii szło, żeby zabierać tych ludzi, to była...

J.K.Z.: — *Ile kilometrów musiały te okręty pokryć?*

R.N.-T.: — Odległość z Dunkierki do Dover w prostej linii wynosi trochę ponad 40 mil morskich. Jednakże żeglugę trzeba było odbywać wzdłuż kanałów wytrałowanych w polach minowych, co znacznie powiększało dystans. Były dwa główne kanały. Jeden szedł blisko brzegu, gdzie się narażało na ataki z lądu, więc przeważnie szło się dłuższym kanałem. Patrolowaliśmy na odcinku między Flandrią a Dover i podczas jednego z patroli usłyszałem okrzyk obserwatora: „Torpeda z prawej burty!!!” — Patrzę na wodę, a torpeda już przechodzi przed dziobem. Jak później obliczyliśmy, to chybiła nas nie więcej jak pół metra.

J.K.Z.: — *Ona był z okrętu podwodnego?*

R.N.-T.: — Tak, z okrętu podwodnego. Akurat na naszej trasie zasiadł sobie Niemiec i strzelił. „Błyskawica” była niezwykle szczęśliwym okrętem, bo w drodze do Narviku jedna torpeda wystrzelona do nas wybuchła przedwcześnie. W Narviku, jak powiedziałem, mimo uszkodzeń kadłuba nie mieliśmy strat w ludziach. Tu torpeda nas minęła, ataki lotnicze nas nie trafiły. Dopiero pod koniec wojny, kiedy dowódcą był mój kolega komandor ppor. L. Lichodziejewski, właściwie nie pod koniec wojny, a w czasie lądowania w Północnej Afryce jesienią 1943 roku pod Bougie, „Błyskawica” miała straty w ludziach i poważne uszkodzenia od bombardowania z powietrza.

J.K.Z.: — *Wracając do Dieppe. Czy Pan ewakuował brytyjskich żołnierzy?*

R.N.-T.: — Tak. Ewakuowaliśmy przeważnie Kanadyjczyków, bo rajd był kanadyjski przeprowadzony przez II Dywizję. Prawie 6 tysięcy ludzi lądowało. „Słazak” miał szczęście przywiezienia spod plaż Dieppe i okolic około 90-ciu ludzi, w tym, jak stwierdził jeden z uratowanych, 36-ciu żołnierzy z *Royal Regiment of Canada*. Z tego całego regimentu powróciło z rajdu tylko 65-ciu

ludzi, z tego 36-ciu uratował „Ślązak”. Dlatego stowarzyszenie *Royal Regiment of Canada* ofiarowało mi dożywotnio członkostwo swego stowarzyszenia w podzięce za uratowanie ich ludzi przez nasz okręt. Była też pewna liczba marynarzy. Większość przywiezionych przez nas była ranna. Kiedy wracaliśmy do Portsmouth po zakończeniu rajdu, w powietrzu trwała bitwa; zaobserwowaliśmy brytyjski Hurricane (myśliwiec), który zapalił się, zaczął dymić. Za chwilę spod spadającego samolotu zauważyliśmy rozwijający się spadochron z lotnikiem szybującym powoli do wody. Zmieniliśmy kurs w kierunku na niego, podnieśliśmy młodego pilota oficera. Po 37-miu latach skontaktował się ze mną i teraz jesteśmy w korespondencji. Spotkał się również z kilku członkami załogi „Ślązaka”, z którymi teraz się zaprzyjaźnił.

J.K.Z.: — *Co chciałby Pan jeszcze do tego wywiadu dodać z własnej inicjatywy?*

R.N.-T.: — Chyba warto by wspomnieć o zakończeniu naszej marynarki w Wielkiej Brytanii. Kiedy wojna się skończyła, Polska zdawała się uwolniona i gdyby były normalne warunki, to cała nasza flota byłaby wróciła do Polski. Niestety, jak orientowaliśmy się, umowa jałtańska oddała Polskę pod kontrolę i eksploatację sowiecką i z tego powodu wielu spośród nas zdecydowało się pozostać na Zachodzie. I teraz Brytyjczycy mieli coś z nami zrobić. Cała ta sprawa była bardzo nieprzyjemna, ale najbardziej nas ubodło to, że podczas kiedy lotnictwo i wojsko brytyjskie zorganizowało Korpus Przynależności i Rozmieszczenia właśnie dla polskiego personelu, Admiralicja brytyjska przekazała Marynarkę Wojenną wojsku, tak że ja otrzymałem stopień podpułkownika w brytyjskim wojsku. Pod koniec wojny dowodziłem lekkim krążownikiem O.R.P. „Conrad” i miałem 500 ludzi załogi. Niewielka liczba zgłosiła się na powrót do Polski. Pożegnaliśmy ich życząc im powodzenia. Dwóch spośród nich przesyła mi od czasu do czasu pozdrowienia z Polski. Mieliśmy w sztabie dowództwa Royal Navy w Plymouth łącznikowego oficera komandora brytyjskiego, który między dowództwem a mną załatwiał sprawy przygotowując nas do zdania „Conrada” Brytyjczykom. Znowu muszę oświadczyć, że załoga moja doskonale zachowywała się w tych bardzo ciężkich warunkach i spełniała służbę, tak jakby to były normalne czasy.

J.K.Z.: — *Przepraszam, jedna dygresja. Skąd nazwa „Conrad” i dlaczego na polskim krążowniku?*

R.N.-T.: — Kiedy dostaliśmy poprzedni krążownik, H.M.S. „Dragon”, polska Marynarka Wojenna chciała mu nadać nazwę „Wilno” albo „Lwów”. Brytyjczycy nie przyjęli tej nazwy, bo uraziliby swojego wielkiego sojusznika Stalina. Więc „Dragon” pozostał „Dragonem”. Ta sama historia powtórzyła się z H.M.S. „Danae”. Musieliśmy pójść na kompromis. Ponieważ Konrad Korzeniowski był brytyjskim pisarzem, a zarazem Polakiem, więc po przyjęciu H.M.S. „Danae” od Royal Navy nadaliśmy mu nazwę O.R.P. „Conrad”. Chcę jeszcze dodać, że Brytyjczycy nie zdawali sobie sprawy z naszych nastrojów w tej tragicznej sytuacji. *Commander* Royal Navy, który był łącznikowym pomiędzy dowództwem a mną, przychodził często na rozmowę, na kieliszeczek sherry. Podczas jednej z wizyt oświadczył wesoło: „No to już przychodzi szczęśliwy moment, że za dwa tygodnie oddajecie 'Conrada'”. Niemile tym uderzony, powiedziałem: „Mówisz, że to szczęśliwy moment. Ty sobie nie zdajesz sprawy z naszych nastrojów. Dla nas to jest tragiczny okres, ja mam oddać mój okręt, spuścić banderę i oddać go naszym, właściwie przyjaciom. To jest dla nas tragedia, opuszczamy okręt, tracimy ostatni skrawek polskiego wolnego terytorium i czujemy się tak, jakbyśmy byli *men-over-board*”. — Wydawało mi się, że dopiero wtedy przejrzał. Nie skończywszy swojego sherry, odjechał do dowództwa. Następnego dnia przychodzi i powiada: „Zameldowałem Admirałowi, dowódcy obszaru, o tym coś mi powiedział. Admirał oświadczył, że przyjdzie osobiście odebrać od Ciebie okręt, że orkiestra Royal Marines przy spuszczeniu bandery polskiej odegra hymn Polski i bandera Royal Navy nie zostanie podniesiona na okręcie natychmiast, tylko dopiero następnego dnia”. Więc zrobiono ze strony władz marynarki swego rodzaju gest pod naszym adresem, żeby nam ta pigułka była mniej gorzka. Personel Royal Navy, oficerowie, dowództwo — byli bardzo mili, współpracujący i odczuwali naszą sytuację. Władze wyższe, gdzie polityka wchodziła w grę, zachowywały się zupełnie inaczej.

J.K.Z.: — *Jak Pan, oficer bojowy, widział kierownictwo polityczne w Londynie? Co Pan myślał o politykach w Londynie?*

R.N.-T.: — Nasz Rząd na Uchodźstwie w bardzo trudnych warunkach manewrował w „sojuszniczym Londynie” jak mógł. Właściwie nie mieliśmy specjalnych zastrzeżeń pod jego adresem. Natomiast drażnił wielu z nas rozrost politykierstwa wśród szeregu działaczy poza rządem. Uważaliśmy, że rozgrywki partyjne w tym ciężkim okresie winny były być dobrowolnie zawieszane.

WYWIAD Z KOMANDOREM PACEWICZEM

JANUSZ K. ZAWODNY: — *Wiem, że brałeś udział w ewakuacji Dunkierki. Powiedz mi, na jakim okręcie służyłeś i coś widział?*

WILHELM K. PACEWICZ: — W czasie kampanii francuskiej i po upadku Francji, szczególnie kiedy wojsko brytyjskie wycofało się spod Dunkierki, było niesłychanie ważne dla Wielkiej Brytanii, żeby uratować Korpus Brytyjski. Znaleźliśmy się przypadkowo na O.R.P. „Błyskawica” na patrolu niedaleko od brzegu Północnej Francji i zostaliśmy skierowani do ratowania wojsk brytyjskich spod Dunkierki. Było to 26 maja 1940 roku. Byliśmy na patrolu wspólnie z niszczycielem H.M.S. „Kodrington”. Pamiętam dzień, w którym otrzymaliśmy wiadomość, że kampania francuska niespodziewanie toczy się w bardzo nieprzychylnym kierunku. W nocy otrzymujemy rozkaz przerwania patrolu. Na O.R.P. „Błyskawica” byłem wtedy II oficerem nawigacyjnym. Moim obowiązkiem było w czasie alarmu bojowego nie tylko pilnować nawigacji, ale także obserwować całą działalność bojową na okręcie i poza okrętem. Byłem też odpowiedzialny za prowadzenie dziennika działań bojowych. Jak już powiedziałem, otrzymaliśmy rozkaz przerwania patrolu i udania się natychmiast w kierunku pogranicza francusko-belgijskiego do miejscowości La Panne, aby ratować lotniczy sztab brytyjski, który wycofywał się i znalazł się okrążony przez siły niemieckie. Gdy popatrzyliśmy na mapę, to okazało się, że rozkaz ten jest niemożliwy do wykonania. La Panne nie było portem, gdzie niszczyciele mogłyby swobodnie wejść i manewrować. Z mapy wynikało, że był to mały port rybacki i dla żeglugi przybrzeżnej, i podejście do portu było za płytkie dla okrętów typu „Błyskawicy”. Wobec tego nasz dowódca w porozumieniu z dowódcą „Vegi” zdecydowali udać się do Dunkierki, to jest do najbliższego dużego portu w okolicy La Panne. Nie wiedzieliśmy, czy tam przypadkiem nie ma pól minowych nienaniesionych na mapach, wraków i innych niespodzianek. Noc była ciemna, latarnie morskie, nawet boje nawigacyjne były wygaszone. Nawigacja i wejście do portu były bardzo trudne. Z daleka widzieliśmy olbrzymią łunę nad miastem, które było pod ostrzałem artylerii i było bombardowane

z powietrza. Zrozumieliśmy, że to muszą być ostatnie dni walki, że Dunkierka musi być obleżona i że pod Dunkierką są właściwie tylko rozbitki armii brytyjskiej. Nad ranem 27 maja okazało się, że nie było aż tak źle, jak w nocy wyglądało, niemniej całe miasto stało w ogniu i dymach, na plażach było pełno wojska brytyjskiego, tanków i samochodów. Wolno manewrowaliśmy tuż przed wejściem do portu. H.M.S. „Vega” jest starszym na re-dzie, nie daje nam żadnych rozkazów. Wiedzieliśmy, że wysłała do portu własną łódź motorową. Wreszcie nakazuje nam spuścić motorówkę, ale my mamy tylko łódź wiosłową. Słusznie, pewnie chodzi o zbadanie sytuacji i zorganizowanie ewentualnych wypraw na ląd po brytyjskich żołnierzy. Po spuszczeniu łodzi i wyznaczeniu obsady pod dowództwem oficera sygnałowego okrętu (por. mar. Wacka Kona), H.M.S. „Vega” odwołuje rozkaz. Nie wiemy, dlaczego. Wychodzimy z portu. Widocznie H.M.S. „Vega” otrzymała jakieś rozkazy przez radio. Wychodzimy na otwarte wody tym samym kanałem, którego bezpieczeństwo od min sprawdziliśmy nocą. W tym dniu zaczyna się pokazywać więcej lotnictwa niemieckiego i brytyjskich bombowców. Od brzegów angielskich płyną do Dunkierki od czasu do czasu małe statki pasażerskie i trałowce. Nie mając wyraźnych rozkazów, obejmujemy rolę obrony przeciwlotniczej, bo mamy nasze wspaniałe Boforsy, które już spełniły swoje zadanie niedawno w Norwegii. O ile dobrze pamiętam, wieczorem rozchodzimy się z H.M.S. „Vega”.

Zaczynam opowiadanie zdaje się zbyt szczegółowo. Wiem, że muszę się skracać. To wcale nie jest łatwe.

Noc 27/28 maja przeszła spokojnie. Ale rano przeżywamy atak torpedowy przez okręt podwodny. Torpeda przechodzi tuż przed dziobem. Nie mając aparatów podsłuchowych, nie mogliśmy przeprowadzić zdecydowanego ataku i dłuższe poszukiwanie o.p. na polu minowym byłoby bardzo niebezpieczne. Po południu znowu zauważyliśmy peryskop o.p. Alarmujemy sztab floty w Dover, sugerując wysłanie trałowca z wyposażeniem asydowym (okręt ten został wysłany i zatopił *U-Boot'a* po dłuższym szukaniu).

Po południu otrzymujemy rozkaz powrotu do Dunkierki i wzięcia na hol H.M.S. „Greyhound”, który został poważnie uszkodzony przez bombowce niemieckie. Holowanie zajęło nam całą wieczór i noc. Holować trzeba było powoli i bardzo ostrożnie. Okręt był mocno przechylony i miał kilka setek żołnierzy na pokładzie. Doholowaliśmy „Greyhound’a” do samego portu w Dover. Z podziękowaniem otrzymaliśmy sygnał: „*Polish ship was a bloody good ship*”. Wracamy na trasę, aby dalej ochra-

niać coraz większą „armadę” bezbronych małych statków, które transportują rozbitą armię brytyjską z okolic Dunkierki.

29 maja. Na trasie okazyjne naloty niemieckie. Często alarmy bojowe. Ginie H.M.S. „Grenade”, zatopiony przez Luftwaffe i H.M.S. „Grafton”, storpedowany przez ścigacze nieprzyjaciela.

30 maja. Rano w Dover uzupełniamy paliwo. Po południu wracamy na trasę. Jest to kulminacyjny dzień ewakuacji. Sztab morski w Dover nazywa tę wciąż wzrastającą operację „Operation Dynamo”. W wielu wypadkach pomagamy tej *mosquito fleet* w nawigacji. Na całe szczęście morze było spokojne i piękna pogoda. Nalotów jest mało, widocznie Niemcy koncentrują się na bombardowaniu Dunkierki i sąsiednich plaż.

31 maja. Dramatyczna noc. Idziemy w szyku torowym z brytyjskim niszczycielem typu „V”. „Wtrąca się” między nas francuski niszczyciel. Niespodziewanie jesteśmy zaatakowani przez ścigacze. Otwieramy na krótko ogień. Nagle wybuch, wstrząs i nad sylwetką niszczyciela idącego przed nami wysoki słup ognia i wody. Trzymaliśmy się przy nim, aby ewentualnie dać mu wsparcie. Miał oderwaną połowę dziobowej części kadłuba. Nie tonął, nazywał się „Cyclon”. Krążyliśmy dookoła niego dla obrony, na wszelki wypadek. W godzinę później drugi olbrzymi wybuch kilka mil przed nami. Całą mocą ruszyliśmy na pomoc. Był to drugi celny strzał ścigaczy. Tym razem trafili lepiej. Był to też francuski niszczyciel, tonął powoli. Nazywał się „Sirocco”. Spuściliśmy łódź, aby ułatwić ratowanie. Okazało się, że towarzyszył mu brytyjski niszczyciel, który już wyłowił większość rozbitków. Nasza łódź oddała mu tych, których sama wyratowała i wróciła do „Błyskawicy”. Po podniesieniu łodzi wróciliśmy do „Cyclona”, który włókł się wolno, o własnych siłach w kierunku na Dover. Załoga „Cyclona” spisała się dobrze, mieli kilkunastu zabitych i rannych. Wracamy znowu pod Dunkierkę (w ewakuacji z Dunkierki przewieziono do Anglii około 340.000 ludzi). Pogoda psuje się. Ale aktywność Luftwaffe się zwiększa. Royal Navy traci w tym dniu H.M.S. „Basilisk” (nasz dawny znajomy) i H.M.S. „Keith”.

1 do 4 czerwca. Pogoda poprawiła się znowu. Plaże zaludniają się wojskiem, które wycofuje się z coraz większym pośpiechem. Niemcy zaczynają bombardować plażę prawie bez przerwy. Admiralicja odwołuje do portu w Harwich niedobitki 1-szej Flotylli Niszczycieli i starych okrętów klasy „V”. Nowa flotylla w sile 9-ciu niszczycieli weszła na wody i kanały wiodące do Dunkierki, eskortując 9 nowych transportowców większych wymiarów. Operacja „Dynamo” skończyła się 4 czerwca.

O.R.P. „Błyskawicę” odwołano do bazy chyba 2 czerwca, dziękując za dobrze spełnione zadanie. Kilka dni później kmr ppor. Nahorski został wezwany do Londynu, aby złożyć raport z akcji w Norwegii i pod Dunkierką szefowi kierownictwa Marynarki Wojennej. Zabrał mnie ze sobą. Prowadziłem dla okrętu dziennik działań bojowych; zabraliśmy też dane z dziennika nawigacyjnego i dziennika zdarzeń. Admirał już po pierwszej wizycie dowódcy „Błyskawicy” był bardzo zadowolony z akcji bojowych tego okrętu. Chciał znać szczegóły tych akcji w rozmowach z Admiralicją brytyjską.

J.K.Z.: — *Ile godzin na dobę spałeś?*

W.K.P.: — Myślę, że spałem jakieś 4 godziny na dobę. Tu godzinka, tam pół, czasem dwie godziny. Spałem albo w pomieszczeniach oficerskich na dolnym pokładzie, albo gdzieś na pomoście. Ale pod Dunkierką mieliśmy częste i długie alarmy bojowe i wtedy cała załoga stała na stanowiskach bojowych. Okręt był lekko uszkodzony od pocisków i odłamków, ale nie mieliśmy zabitych i rannych. To było wyjątkowo szczęśliwie. Jak już wspomniałem, Francuzi stracili dwa i Anglicy cztery niszczyciele z którymi współpracowaliśmy blisko.

J.K.Z.: — *Słyszałem, że „Błyskawicę” nazywano szczęśliwym okrętem?*

W.K.P.: — To jest prawda. „Błyskawica” miała szczęście od początku wojny do końca.

J.K.Z.: — *Zmieńmy temat. Czy brałeś też udział w rajdzie na Dieppe?*

W.K.P.: — Tak. Raid odbył się w dniu 19 sierpnia 1942 roku.

J.K.Z.: — *Jaki był cel tego rajdu?*

W.K.P.: — Cel był podwójny: z jednej strony dowództwo brytyjskie chciało pokazać nieprzyjacielowi, że jest zorganizowane jeśli chodzi o połączone działania morskie, wojska i lotnictwa. A poza tym, ze względu na nalegania Sowietów, trzeba było dać dowód, że przygotowania do stworzenia drugiego frontu są w pełnym toku. To oczywiście nie było prawdą, bo sami Brytyjczycy bez pomocy Amerykanów nie mogliby tego dokonać. Ale pokazali Amerykanom, że to musi być zrobione wspólnie z nimi, na olbrzymią skalę, która będzie wymagać wielkich wysiłków i przygotowań.

J.K.Z.: — *Jakie było zadanie „Słazaka”?*

W.K.P.: — Ogólny plan desantu przewidywał lądowanie w pięciu punktach na przestrzeni około 16 kilometrów. Cztery ataki boczne, na wschód i zachód od frontowej plaży Dieppe, miały zacząć się o świcie. Pół godziny później miało lądować główne uderzenie na wybrzeże, port i miasto Dieppe.

O.R.P. „Słazak” razem z H.M.S. „Brocklesby” mieli osłaniać wschodnią stronę lądowania. Mieliśmy dać wsparcie ogniowe przeciwko bateriom nadbrzeżnym, obronę przeciwlotniczą oraz bronić okręty i barki desantowe przed możliwymi atakami sił morskich nieprzyjaciela.

J.K.Z.: — *Była walka ogniowa?*

W.K.P.: — Tak, nawet jeszcze tuż przed lądowaniem na plażę. Walka ogniowa trwała z małymi przerwami od godziny przed świtem do godziny 5-tej po południu. Krótco przed lądowaniem brytyjski dowódca flotyli niszczycieli na H.M.S. „Calpe” wysłał nas na północno-wschodnią stronę desantu, aby zbadać, czy sygnały o jednostkach nieprzyjaciela w tej okolicy są prawdziwe. Oddalając się od głównego trzonu konwoju, zauważyliśmy niespodziewany ogień artyleryjski w kierunku frontowej części desantu. Było jeszcze za wcześnie na właściwe lądowanie i walkę. Zwróciliśmy pełną szybkością na lewo skrzydło okrętów desantowych. Okazało się, że czoło kolumn desantowych niespodziewanie spotkało się z małym niemieckim konwojem przybrzeżnym. Dobrze uzbrojone, duże ścigacze brytyjskie rozpoczęły walkę. Niestety walka ta zaalarmowała obronę nabrzeżną Dieppe i lądowanie stało się od razu trudniejsze. Na wodzie pozostał tylko jeden patrolowiec niemiecki, całkowicie w ogniu. Zatopiliśmy go. Wzięliśmy do niewoli dwóch rozbitków, niemieckich marynarzy.

O świcie otrzymaliśmy rozkaz zajęcia pozycji wzdłuż frontowego wybrzeża miasta Dieppe, gdzie atak napotkał na bardzo silny opór niemiecki. Oddziały desantowe kanadyjskie nie osiągnęły celów w nabrzeżnych częściach miasta. Odwrót był trudny pod ciągłym ostrzałem nieprzyjaciela. Na wodach przybrzeżnych było dużo rozbitych barek desantowych i dryfujących tratw ratunkowych. Byliśmy bombardowani z lądu, przez lotnictwo bombowe i przez myśliwców. H.M.S. „Brocklesby”, nasz kolega, niszczyciel brytyjski, został poważnie uszkodzony; H.M.S. „Calpe” tonął powoli, rozwalony bombami z powietrza. Byliśmy w alarmie bojowym już od 3-ciej rano. Nasza artyleria stawiała zapory ogniowe prawie bez przerwy, 40 m/m i 20 m/m działa grały coraz częściej. Odgłos walk na brzegach dochodził do nas coraz głoś-

niej. Dzień był piękny, słoneczny i widoczność doskonała. Nieraz widzieliśmy z bliska walki myśliwców, które rozgrywały się prawie od powierzchni morza do chyba maksymalnej wysokości samolotów myśliwskich. Grzmot armat, wybuchy bomb, szczekanie działek przeciwlotniczych zagłuszały wszystko.

Dowódca okrętu, kmdr ppor. R. Tymiński, musiał nieco reorganizować normalny ustrój alarmu bojowego i przystosować do zaistniałych warunków, pełnych nieoczekiwanych sytuacji i walki. Z-ca dowódcy, kpt. mar. Maracewicz, nie schodził z pomostu bojowego na rufie, ale był z nami w stałym kontakcie telefonicznym. Pierwszy oficer artylerii, por. mar. Zbigniew Plezia, razem z ppor. mar. Szuksztą siedzieli bez przerwy w dalocelowniku i prowadzili ogień dział czterocalowych. Oficer sygnałowy, por. mar. Z. Janowski, oficer podsłuchu podwodnego, ppor. mar. A. Suliga, i brytyjski oficer łącznikowy *lieutenant* Dodd, RNVR nie opuszczali dowódcy, przekazując mu sygnały radiowe, świetlne i flagowe. Dowództwo floty pod Dieppe zaczęło stopniowo tracić kontrolę nad sytuacją. Rozkazów było coraz mniej, a te co były, to były nieraz spóźnione i niemożliwe do wykonania. W chwilach kiedy był zajęty oceną sytuacji, komandor Tymiński polecił mnie manewrować i pilotować „Słazakiem”. Stałem w środku pomostu bojowego na platformie kompasu magnetycznego i żyro-kompasu, z telefonem na uszach i widokiem na cały obszar zatoki Dieppe. Rozkazy na ster, obroty maszyn przekazywałem tubą głosową o jeden pokład niżej do „sterbudy”. Nawigację prowadziłem podając do bosmana Markiewicza namiary znanych punktów wybrzeża między Puys, Dieppe i Pourville oraz zmiany kursów. Był on moim pomocnikiem, który w „schowku” nawigacyjnym na pomoście bojowym nanosił te dane na mapę, śledził log okrętowy i określał pozycję. Podejście do Dieppe studiowaliśmy wspólnie do późnej nocy poprzedniego dnia na postoju w Portsmouth.

Przez telefon utrzymywałem kontakt ze Zbyszkim Plezią w dalocelowniku, kiedy swoim elektrycznym przekaźnikiem na kompasie podawałem mu namiary na nowy niebezpieczny nalot samolotów. W obserwacji wzrokowej i w rozpoznawaniu typu samolotów pomagał mi szef sygnalistów, bosmanmat Lach. Od czasu do czasu, gdy nie byliśmy pod ostrzałem, podchodziliśmy ostrożnie do dryfujących i rozbitych tratw ratunkowych, aby podnosić rannych kanadyjskich komandosów.

Około godziny 11-tej rano otrzymaliśmy rozkaz stawiania zasłony dymowej wzdłuż frontowych plaż miasta Dieppe. Rozkaz bardzo słuszny, trzeba było na gwałt z pięknego letniego dnia zrobić dzień o złej widoczności. Dymiliśmy z obydwu rufowych

fumatorów i z kominą. Lekka bryza w kierunku na ląd pomagała zadymiać plażę i ułatwiać wycofanie się oddziałów desantowych. Dowódca rozkazał mi prowadzić okręt szybkością możliwie najlepszą do manewrowania i podejść do lądu jak można najbliżej. W pewnej chwili, wymijając jakąś rozbitą barkę desantową, patrzyłem do przodu. Dziobowe działo czterocalowe staowało zaporę pod dużym kątem podniesienia. Podmuchi i trzaski po każdej salwie były trudny do wytrzymania. Nagle bosman Markiewicz, który stał poniżej platformy kompasowej i obserwował naszą zasłonę dymową, pociągnął mnie mocno za kurtkę i wskazał palcem do tyłu, coś krzyżąc. Odwróciłem się i zobaczyłem dwa myśliwce-bombowce typu Fokke-Wolf. Wyskoczyły one z zasłony dymowej, otworzyły ogień z działek i już podnosiły się do rzucenia bomb. Dwie bomby spadały w kierunku naszego śródkręcia. Krzyknąłem do sternika przez tubę głosową: „Prawo na burt!” i zwiększyłem obroty maszyn. Zauważyłem, że dowódca stojąc na prawym skrzydle pomostu bojowego coś woła do mnie (okazało się później, że wydawał ten sam rozkaz: „Prawo na burt”). Rufa i śródkręcie zaczęły odchodzić w odwrotną stronę od spadających bomb, które spadły wzdłuż prawej burty, około pięciu metrów od okrętu. Wstrząs był olbrzymi, zważyło mnie z nóg. Zawory bezpieczeństwa kotłowni otwarły się i odgłos syczącej pary zagłuszał wszystkich. Sprawdziłem ster. — „Ster działa” — krzyknął z dołu sternik, mat Mularczyk. Maszyny też działały, okręt wolno poruszał się naprzód. Zastępca dowódcy meldował z rufowego pomostu, że obsługa dział rufowych ma zabitych i rannych. Myśliwce-bombowce przed rzuceniem bomb celnie waliły działkami 20 m/m na nasze pokłady. W chwilę później zawory bezpieczeństwa kotłów zamknięto. Pierwszy oficer, mechanik por. mar. Józef Piotr, zameldował: „Turbiny są w porządku, ale generatory elektryczne zsunęły się z podstaw i elektryczności nie mamy”. — Na pomoście nie mieliśmy rannych, ale niestety jednego zabitego. Był nim Anglik, radiotelegrafista, który w momencie ataku ładował amunicję do bębnowych ładunkowych 20 m/m działek plot., stojących na dolnym pomoście bojowym. Siedział na platformie kompasów tuż przy mojej nodze.

Straciliśmy dalekocelowanie i dalekokierowanie dział. Centrala artyleryjska, przekaźniki elektryczne i żyrokompasy stanęły. Artyleria przeszła na pojedyncze strzelanie z każdego działka. Nie było oświetlenia w pomieszczeniach maszyn, kotłowni i magazynach amunicyjnych. Mieliśmy 3-ech członków załogi zabitych i 13-tu rannych.

Dowódca zdecydował zająć się teraz podnoszeniem rozbitków

i dawaniem osłony przeciwlotniczej. W tym czasie podnieśliśmy około 85-ciu rozbitków, z których wielu było rannych. Byli to przeważnie Kanadyjczycy. W koi mojej kabiny leżał dowódca jednego oddziału kanadyjskich komandosów, w stopniu majora. Był ciężko ranny w brzuch. Nasz doktor, por. Staszek Drozdowski, prosił mnie, abym w wolnych chwilach rozmawiał z nim i od czasu do czasu pozwolił mu zapalić papierosa, ale nie wolno było dać mu wody i jakiegokolwiek jedzenia, chociaż wciąż prosił o szklanekę wody. Major wyżył. Doktor Staszek Drozdowski spał się doskonale, miał ręce pełne roboty aż do wieczora, gdy wróciliśmy do portu w Portsmouth. Nikt z rannych nie umarł na „Ślązaku” w czasie powrotu do bazy.

J.K.Z.: — *Powiedz mi, z ilu ludzi załogi składał się „Ślązak”?*

W.K.P.: — Podkreślę przede wszystkim, że okręt wojenny, nawet stosunkowo mały, jak niszczyciel typu „Ślązaka”, miał na pokładzie około 135-ciu ludzi. Każdy członek załogi pracuje w swojej specjalności. A tych specjalności jest dużo: artylerzyści, maszyniści, radiotelegrafiści, sygnaliści, elektrycy, kucharze itd. Musi znać swój fach dobrze, ale też musi umieć współpracować z każdym członkiem załogi. Bez entuzjazmu i koleżeństwa współpraca nie uda się. Praca palacza w kotłowni, sygnalisty na pomoście lub też oficera artylerii jest nieodzownie potrzebna i równie ważna w alarmie bojowym. O.R.P. „Ślązak” miał dobrą załogę, o dużej dyscyplinie wewnętrznej i chętną do poświęceń. Byli też dumni, że są Polakami. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek, gdy patrzę wstecz i przypominam sobie lata wojny, mogę powiedzieć, że morale załogi było bardzo dobre.

J.K.Z.: — *Zmieńmy temat. W roku 1943 byłeś zaokrętowany na Morzu Śródziemnym. Na jakim okręcie?*

W.K.P.: — Na tym samym „Ślązaku”. Byłem wtedy już zastępcą dowódcy. Cały '43 rok byliśmy na Morzu Śródziemnym. Wspomnę krótko „historię” jednego z licznych patrołów. Przeprowadzaliśmy konwój z Gibraltaru do Algieru. Statki handlowe i transportowce wojenne były pełne oddziałów wojska. Dawaliśmy jak zwykle przy wejściu do portu ochronę od ewentualnego nalotu samolotów nieprzyjacielskich i przeciw okrętom podwodnym. Kiedy te statki weszły do portu, otrzymaliśmy rozkaz wyjścia z powrotem na otwarte morze. Wyznaczyli nam sektor, w którym mieliśmy patrolować do końca dnia i całą noc, bo był sygnał, że w tym sektorze jest niemiecki okręt podwodny. Mamy więc go wysledzić i zatopić. Nad ranem byłem na pomoście, miałem

wachtę bojową od 4-tej rano do 8-ej. W dalocelowniku był I-szy oficer artylerii porucznik Zbyszek Plezia. Na pomoście podporucznik Suliga, oficer sygnałowy, był oficerem wachtowym, a ja byłem odpowiedzialny za całość wachty bojowej.

J.K.Z.: — *Jaka jest różnica między wachtą bojową, a alarmem bojowym?*

W.K.P.: — Wachta bojowa zmienia się co 4 godziny, pół załogi śpi, pół stoi na stanowiskach bojowych. Alarm bojowy — cała załoga jest na stanowiskach.

Tym razem mgła była przelotna, ale gęsta i w pewnym momencie zostaliśmy zaskoczeni, bo właśnie z tej mgły wylatuje (rozpoznaliśmy go od razu) „Junkers 88”. On był też zaskoczony, kiedy nas zobaczył.

J.K.Z.: — *Na jakiej był wysokości?*

W.K.P.: — Nisko. Leciał chyba na wysokości poniżej 300 metrów, więc od razu stwierdziłem, że to jest samolot rozpoznawczy, nie bombowiec.

Zbyszek Plezia otworzył ogień na mój rozkaz. Zarządziłem alarm bojowy. Dowódca wbiega na pomost. Wskazuje ręką — niemiecki samolot „JU 88”! A on jeszcze bardziej zniżył się nad wodę, nad samą powierzchnię wody, pewnie robił uniki przed naszymi pociskami. Już go prawie tracę w lornetce z widoku. Zbyszek krzyczy przez telefon: „Trafiliśmy!!! Trafiliśmy, wybuchł, widzę ślup wody!!!”. Ale mnie się wydawało, że on trochę przesadza. Podporucznik Suliga też mówi: „Ja śłupa wody nie widziałem”, a dowódca mówi: „No i co, jak Pan myśli?” — Ja mówię: „Wierzyłbym może Zbyszkowi Plezi, bo przecież on tam wyżej w dalocelowniku rzeczywiście więcej widzi”. Odwołaliśmy alarm i kontynuowaliśmy patrol przeciwko ewentualnym okrętom podwodnym. Po południu obserwatorzy na pomoście meldują coś pływającego na wodzie. Dowódca zmienił kurs w tym kierunku. Ja w tym czasie odpoczywałem w swojej kabinie, ale słysząc głosy i ruch na dziobowym pokładzie wyszedłem z kabiny, aby zorientować się, o co chodzi. Pogoda była dobra i stan morza spokojny. Okręt powoli i ostrożnie podchodził do małej *dinghy*. Wyszedłem na dziób okrętu. W *dinghy* było czterech ludzi. Mieli na sobie jakieś mundury. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy *dinghy* przesuwawała się wzdłuż burty w kierunku śródokręcia, zauważyłem na naramiennikach niemieckie odznaki stopni wojskowych. Wołam z pokładu na pomost do dowódcy: „To Niemcy, Niemcy!” — Wzięliśmy ich na pokład. Po raz

drugi na „Ślązaku” bierzemy Niemców do niewoli. To była załoga tego „JU 88”, którego straciliśmy kilka godzin przedtem. Dowódca polecił mi przesłuchanie „na gorąco” Niemców. Kazałem podoficerowi ewidencyjnemu, aby przyprowadził ich pojedynczo do kancelarii okrętowej, gdzie wspólnie będziemy ich przesłuchiwać. St. bosman Weber mówił płynnie po niemiecku. Pilot, porucznik Luftwaffe i radiooperator byli ranni. Zastępca pilota, młody podporucznik i strzelec płatowcowy byli tylko kontuzjowani. Przesłuchałem najpierw pilota, przynieśli go z Izby Chorych na noszach. Na moje pytania odpowiedział tylko, że był dowódcą zestrzelonego samolotu, podał nazwisko i stopień. Na dalsze pytania, które bosman Weber świetnie tłumaczył na niemiecki, powiedział, że jest oficerem rezerwy, pochodzi z Nadrenii (Strasburga) i że w cywilu był sprzedawcą win i przedstawicielem dużej firmy. Powiedział też, że mówi po francusku. Mogłem więc teraz rozmawiać z nim bez tłumacza. Wyraźnie złagodniał, przyznał się, że to był samolot rozpoznawczy i „JU 88”. Pokazałem mu „czarną książeczkę” przestępstw niemieckich z okupacji Polski i o obozach koncentracyjnych, wydaną przez nasz Rząd w Londynie. Mówił, że to wszystko propaganda brytyjska. Owszem, sprowadza się ludzi z krajów okupowanych, ale są oni zatrudniani w przemyśle wojennym lub fabrykach. Pokazałem mu fotografie i powiedziałem, że po wojnie będą za to odpowiadać przed całym światem. Po tej rozmowie pilot zaczął tracić przytomność, zwołałem doktora, aby go zabrał do Izby Chorych.

Ko-pilotem był młody podporucznik lotnictwa, typowy wychowanek szkół wojskowych. Wchodząc do kancelarii trzasnął obcasami, podniósł rękę i powiedział: „Heil Hitler!”. St. bosman Weber podskoczył i rąbnął go w wyciągniętą rękę i w głowę. Przetłumaczył natychmiast moje słowa, że jest na pokładzie polskiego okrętu wojennego i żeby się zachowywał odpowiednio. Kazałem go zamknąć osobno w małym schowku sprzętu pokładowego na głównym pokładzie.

Przyprowadzono teraz do kancelarii strzelca płatowcowego, młodego chłopaka, który sprawiał wrażenie, że jest zupełnie stracony i niepewny siebie. Na pierwsze pytanie stanął na baczność i powiedział: „Panie kapitanie, ja mówię po polsku”. — Zaskoczył mnie zupełnie. Mówił, że jest Ślązakiem (z niemieckiej strony), ale czuje się Polakiem i u niego w domu wszyscy mówią po polsku. Dał nam wszystkie dane o samolocie, o jego załodze, o bazie lotniczej w południowej Francji, koło Marsylii i o poprzednich lotach rozpoznawczych w zachodniej części Morza Śródziemnego. Wywiad udał się niespodziewanie, dostałem cenne wiadomości, które przekazaliśmy Brytyjczykom po powrocie do bazy.

Prosiłem oficerów dowództwa flotylli niszczycieli i oficera wywiadu, aby zaopiekowali się tym młodym Ślązakiem i aby przekazali go polskim władzom wojskowym w Wielkiej Brytanii lub na Bliskim Wschodzie.

J.K.Z.: — *Bądź tak dobry i powiedz mi teraz, to już jest ostatnie pytanie, jakie było Twoje najpiękniejsze przeżycie bojowe?*

W.K.P.: — Byłem wciąż na tym swoim O.R.P. „Ślązak” jako zastępca dowódcy, ale dowódcą był wtenczas kapitan Bohdan Wroński. Było to jego pierwsze dowództwo. Wydawało mi się, że jako zastępca dowódcy muszę go umiejętnie wprowadzić na okręt, przedstawić załogę i charakterystykę tego okrętu. Byliśmy z konwojem koło brzegów Kornwalii i niespodziewanie otrzymaliśmy rozkaz, aby pójść daleko, może 250 mil w kierunku na zachód, na otwarty ocean, żeby znaleźć i ratować rozbitków samolotu brytyjskiego który spadł do wody.

J.K.Z.: — *Który to był rok?*

W.K.P.: — Było to zimą 1942 roku. Dali nam pozycję niepewną i bardzo przybliżoną. Powiedziałem dowódcy, że mamy opinię bardzo szczęśliwego okrętu, jeśli chodzi o ratowanie rozbitków. Mamy tytuł *Shepherd of the Dinghies*, to taki „pasterz tratw ratunkowych”. Pozycja była daleko na oceanie, pogoda była zła, wiatr o sile sztormowej. Mała *dinghy* na otwartym oceanie, fala, ciemno, deszcz pada, wiatr. Znalezienie rozbitków w takich warunkach jest bardzo trudne. Kapitan Wroński doskonale to rozumiał, ale ja chciałem go „podtrzymać na duchu”. Przyszliśmy na pozycję, zdaje się, że sziłśmy cały dzień, zaczęło się robić ciemno, jeszcze gorzej. Oni niby tam mają rakiety, my mamy oświetlające pociski. To wszystko pięknie, ale na morzu prawie burza, fala i zła widoczność.

J.K.Z.: — *Jak wysokie były fale?*

W.K.P.: — Dochodziły do 15 stóp, dla *dinghy* bardzo niebezpieczne. Przyszliśmy na pozycję, zaczęliśmy tak zwany *square search* (poszukiwanie „szachownicą”). Krążyliśmy, może 6 godzin bez przerwy, strzelaliśmy pociski oświetlające. Nic nie było widać. Na ranem byliśmy bardzo zmęczeni, obaj w kabinie nawigacyjnej. Widzę, że dowódca powoli traci wiarę, że znajdziemy tych rozbitków. Ja też. Zdecydowaliśmy rozpatrzyć jeszcze raz wspólnie z oficerem nawigacyjnym całą sytuację na mapie. Uzgodniliśmy, że raz jeszcze przejdziemy w kierunku z wiatrem, czyli

dalej na wschód od tej pozycji i zrobimy raz jeszcze *square search*. Wróciliśmy obydwaj na pomost i daliśmy rozkaz zmiany kursu. Cała wachta obserwuje przez lornetki z pomostu bojowego, nawet na maszcie, na rufowych działach. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, mamy tego trochę dosyć. Dowódca mówi: „Chodźmy jeszcze raz do kabiny nawigacyjnej”. Postanowiliśmy spróbować jeszcze raz, bo może przeszliśmy za bardzo na południe od tej pozycji: „Pójdźmy troszeczkę wyżej na północ — mówi Wroński. — Niech pan idzie teraz na pomost i zmieni kurs, a jeśli i to nie wyjdzie, no to wracamy do portu”. — Wychodzę powoli z kabiny, niechętnie spojrzawszy do tyłu, patrzę na Wrońskiego i widzę, ku memu zdumieniu, że Wroński modli się. Wchodząc powoli na pomost słyszę nagle krzyk oficera wachtowego: „Światło... kąt kursowy lewo 120 melduje obserwacja z rufy”. — Z kabiny nawigacyjnej wybiega Wroński, mówiąc: „Słyszał pan?” — „Tak, tak... meldują wystrzał raketowy — odpowiadam i jednocześnie przez tubę głosową rozkazuję: — Lewo na burt”. — Zmieniamy kurs. Pomału podchodzimy, zaczynamy strzelać pociski oświetlające, jeden za drugim. Jest *dinghy!* Podnieśliśmy trzech rozbitków, czwarty już nie żył. Brytyjska załoga starego nieudanego bombowca typu „Whitney”.

„Wellingtony” były dobre. „Whitney” nie używali już do działań bojowych, widocznie byli w locie rozpoznawczym. Że my znaleźliśmy ich w taką pogodę, nocą, w prawie sztormowej pogodzie, to był naprawdę cud Boski.

J.K.Z.: — *Jaka była reakcja Anglików?*

W.K.P.: — Zameldowaliśmy od razu przez radio, że znaleźliśmy rozbitków. Otrzymaliśmy odpowiedź: „*Well done, return to harbour Shepherd of the Dinghies*”.

WYWIAD Z KAPITANEM JERZYM TUMANISZWILI

JANUSZ K. ZAWODNY: — *Jakie masz kryteria do analizy działań polskiej Marynarki Wojennej, które robisz teraz po czterdziestu czterech latach? To pytanie jest szczególnie ważne wobec Twojego wkładu do polskich publikacji o Marynarce Wojennej.*

JERZY P. TUMANISZWILI: — Teraz, z perspektywy starszego pana po siedemdziesiątce, oceniam okres drugiej wojny światowej i moją służbę na okrętach polskich jako wyżyny całego mego życia. Złożyło się na to wiele: młodość (rozpocząłem wojnę mając dwadzieścia trzy lata), podniecenie ciągłym niebezpieczeństwem, akcją bojową, która groziła śmiercią albo kalectwem, spotkanie i miłość Janeczki, mojej żony (prześlicznej Angielki), ideowy nacjonalizm, lojalność wobec kolegów pływających marynarzy, jak również ambicja zdobycia sławy. Sądzę, że większość moich kolegów, ulepionych z podobnej gliny, wychowanych w „szkole charakterów”, jaką była Podchorążówka Polskiej Marynarki Wojennej, ma podobne uczucia. Dlatego trudno mi, mimo upływu niemal pół wieku, zwierzać się w tym wywiadzie obiektywnie. Bo dla nas, dla mnie — te nasze okręty, nasza flota, nasze działania, nasze straty i zwycięstwa — „WIELKA RZECZ” (powołując się na słowa wieszcza) — to działania NADZWY- CZAJNE. Dlaczego nadzwyczajne? — Po pierwsze dlatego, że Marynarka Wojenna nie tylko powstała z niczego, ale rozwinęła się dynamicznie w tak ubogim kraju, jakim była Polska po 1918 roku. Stworzono nie wiadomo z jakich środków, na pewno ponad ekonomiczne możliwości skarbu narodowego — Marynarkę Wo- jenną, która w dniu wybuchu wojny 1 września 1939 roku szczy- ciła się czterema nowoczesnymi niszczycielami — nazywaliśmy je wtedy kontrtorpedowcami, dużym nowoczesnym stawiaczem min, sześcioma okrętami podwodnymi, flotyllą poławiaczy min plus szeregiem innych okrętów szkolnych i pomocniczych. Flota taka nie miała szans obronić wybrzeża, ale z punktu widzenia strategii politycznej, uznania Polski jako mocarstwa morskiego, należy tak dalekowzroczne przewidywania podziwiać. Specjalnie inicjatywę admirała Jerzego Świrskiego, głównego architekta roz- budowy Marynarki Wojennej — połączenie części floty z flotą Aliantów w wypadku rozpoczęcia działań wojennych z Niemcami. Kto mógł się w latach dwudziestych spodziewać, czy też przewi- dzieć, że część tej floty przedostanie się do Wielkiej Brytanii, będzie walczyć u boku najpotężniejszej wtedy w Europie floty, rozbuduje się wielokrotnie i będzie brać udział we wszystkich ważniejszych akcjach toczących się na rozmaitych teatrach wojny w Europie?

J.K.Z.: — *Czy według Twojej opinii Marynarka Wojenna zdała egzamin w drugiej wojnie światowej? Jeśli tak lub nie, poprzyj to dowodami.*

J.P.T.: — Sam fakt, że Marynarka Wojenna brała udział w dru-

giej wojnie światowej będąc operacyjną częścią składową brytyjskiej Royal Navy od pierwszych dni września '39 roku do zakończenia wojny w Europie świadczy o tym, że zdała. Jeżeli chodzi o uznanie świata, to epopeja okrętu podwodnego „Orzeł” — ucieczka z Tallina, storpedowanie niemieckiego transportowca „Rio de Janeiro” wypełnionego wojskiem przeznaczonym do inwazji Norwegii, a później spotkanie naszego niszczyciela „Piorun” z superpancernikiem „Bismarck”, udział niszczyciela „Słazak” w akcji pod Dieppe, jak również działania naszych okrętów podwodnych „Sokół” i „Dzik” na Morzu Śródziemnym, gdzie przezwano ich mianem *Terrible Twins* (Straszne bliźniaki), jak również udział niemal całej polskiej floty w inwazji Normandii — zapisały się w dziejach drugiej wojny światowej złotymi zgłoskami.

J.K.Z.: — *Jak spisali się dowódcy polskiej Marynarki Wojennej?*

J.P.T.: — W pierwszym roku wojny niewątpliwie obserwowano i analizowano zachowanie się i fachowość morsko-bojową naszych dowódców. Admiralicja brytyjska doszła dość szybko do wniosku, że dowódcy nasi są na poziomie wychowanków Dartmouth Naval College. Wyrazem tej opinii było zaszerogowanie rang i starszeństwa naszych dowódców na równi z brytyjskimi. A więc w wypadku utworzenia mieszanej grupy okrętów alianckich, które miały działać jako wydzielona grupa dla specjalnych celów — zwykle najstarszy rangą albo starszeństwem promocji stawał się automatycznie głównodowodzącym. Niejednokrotnie wyznaczano na takie stanowisko polskiego dowódcę. Sam ten fakt świadczy o tym, że zdali egzamin morsko-bojowy.

J.K.Z.: — *Jak widzisz rolę naszych marynarzy i podoficerów?*

J.P.T.: — W artykułach, które zostały opublikowane w czasopiśmie emigracyjnych, podkreślałem ogromną wartość i zasługi podoficerów Marynarki Wojennej, zdając sobie sprawę z faktu, że byli oni głównym motorem wychowania kadry marynarzy, rekrutującej się z mieszanych poborów. Najpierw, pod koniec 1939 roku, rekrutów z Francji i Belgii, a później z całego świata: Brazylii, Argentyny, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Dołączyli również uciekinierzy z okupowanej Polski, z obozów węgierskich i później z Francji i Hiszpanii, a następnie grupa ludzi ocalałych z Rosji Sowieckiej. Była to mieszanka narodowościowa, część z nich słabo mówiła po polsku, ogromna większość nie знаła morza. Trzeba było wychować ich na fachowców, zrobić z nich marynarzy. Nigdy nie zapomnę przeżycia na niszczycielu „Oura-

gan”, który przyjeśliśmy od Francuzów jesienią 1940 roku. Wyszliśmy z Plymouth kierując się do Scapa Flow na przeszkolenie, z załogą, której 60 % nigdy nie było na morzu. Rekruci z rocznika francuskiego. Trudno opisać, co się działo w przeciągu tych dwóch dni podróży do Scapa Flow. Morze było burzliwe... większa część załogi chorowała na chorobę morską... Oczywiście w takich warunkach spotkanie z nieprzyjacielem nie byłoby przyjemne. Ale już po trzech tygodniach zaprawy i przeszkolenia w Scapa Flow, za które zresztą dostaliśmy pochwałę za dobrze wykonane zadanie, nasi młodzi rekruci poczuli się doświadczonymi wilkami morskimi.

J.K.Z.: — *Patrząc wstecz na swoją działalność i służbę, jakie były wyżyny i doliny życia na niszczycielach?*

J.P.T.: — Życie na okrętach nawodnych biorących udział w osłonie konwojów, czyli nasze codzienne życie na Północnym Atlantyku, było nużące i potwornie nudne. Atlantyk Północny to jeden z najbardziej burzliwych oceanów świata. Jeden sztorm podązał za drugim, ogromne fale z białymi grzywami przewalały się, rzucając nasze okręty z burty na burtę, kołysząc i bujając bez przerwy. Szare niebo, szare morze, szare statki kiwające się jak wańka-wstańka, codzienne deszcze albo śnieżyce przemacały nas do suchej nitki; przejmujący chłód, strawa przyrządzona na bakier (kuchnie często były nie do użytku), sen przerywany wypadnięciem z koi, brak możliwości umycia się w świeżej wodzie, to były doliny naszego życia. Nawet akcje bojowe związane z poszukiwaniem nieprzyjaciela, okrętów podwodnych, nie przynosiły większych emocji. Konwoje w Kanale Angielskim odbywały się w tak zwanej wachcie bojowej, ze względu na możliwość zaskoczenia z powietrza albo poprzez wrogie ścigacze. Wachta bojowa polegała na obsadzie większej części uzbrojenia. Połowa załogi stała na stanowiskach bojowych przez cztery godziny, połowa odpoczywała. Ten czterogodzinny odpoczynek zwykle przerywały alarmy bojowe, wzywające wszystkich na stanowiska bojowe. Na „Krakowiaku” w 1941-1942 roku spędzaliśmy miesięcznie średnio 27 dni na morzu. Taki tryb życia na dwie zmiany odbijał się negatywnie na wytrzymałości fizycznej i psychicznej oficerów i marynarzy. To, co się po angielsku nazywa *battle fatigue*, było nam dobrze znane. Słynny komandor Walker — najwybitniejszy w Bitwie o Atlantyk, nieustający w poszukiwaniu i niszczeniu niemieckich *U-Boot’ów* — umarł z wycieńczenia.

Jeżeli dodasz do tego trybu życia tęsknotę za krajem, który dyszał pod butem okupanta, tęsknotę za najbliższymi pozostałymi

w kraju, tęsknotę za ukochaną dziewczyną czy też ukochaną żoną, to możesz sobie wyobrazić niziny naszej egzystencji. W służbie na morzu wyżyną jest poczta. Listy... listy... listy i czasopisma, nawet rozporządzenia władz wyższych czytało się z wielkim zaciekawieniem. Na listy wyczekiwali wszyscy bez wyjątku. Bez listów nie było sensu życia. Muszę tu podkreślić, że doręczanie poczty na okręty bojowe było najwyższym priorytetem administracji brytyjskiej Marynarki Wojennej. Poczta dosięgała nas wszędzie, i na Północnych wybrzeżach Szkocji, i w Północnej Irlandii, i w Scapa Flow, i na Gibraltarze i Malcie. Pierwszym obowiązkiem okrętu wchodzącego na redę portu było podejście do ropowca i pobranie paliwa. Niemalże w tym samym czasie, w chwili zarzucenia lin i przycumowania, przybywała motorówka z rozkazami i pocztą. Jeśli jej nie było, humory były żałobne, ledwie natomiast rozchodziła się wiadomość, że listy nadeszły — robiło się wesoło w pomieszczeniach całej załogi.

Ukoronowaniem był oczywiście urlop, zwykle jednotygodniowy, w czasie czyszczenia kotłów. Odbywało się to zwykle co dziewięć miesięcy. Każdy starał się wyjechać, czy to do rodziny, czy do przyjaciół, czy do ukochanej dziewczyny, albo po prostu daleko od okrętu.

J.K.Z.: — *A jakie były źródła satysfakcji na okręcie? Jakie były źródła zadowolenia?*

J.P.T.: — Na okręcie, bez wyjścia na ląd, największym szczęściem, jak już zaznaczyłem, była poczta. Poza tym załoga grała w karty. Oficerowie mieli przywilej konsumpcji alkoholu — urządzali więc przyjęcia dla bratnich okrętów albo byli zapraszani na okręty stojące blisko. Te tak zwane *parties* były zwykle miłą popijawą. Graliśmy również często w brydża z prawdziwym zacięciem.

Wchodząc do portu, załoga była podzielona na dwie burty — służbową i wolną. Ci na wolnej burcie dostawali pozwolenie wyjścia na ląd. Wtedy większość zatrzymywała się w jakimś miłym pobliskim barze, niektórzy szukali rozrywki w pobliskim kinie, inni zaś, jak to w młodości, *cherchaient la femme*.

J.K.Z.: — *Jakie były Twoje funkcje bojowe na okrętach?*

J.P.T.: — Zacząłem służbę oficerską jako oficer wachtowy na O.R.P. „Burza”, wczesną wiosną 1939 roku. Zostałem przydzielony do I oficera broni podwodnej — zwykle zwanego „torpedystą” — na przeszkolenie, a jednocześnie spełniałem funkcję

II oficera broni podwodnej, specjalnie zajmując się bombami głębinowymi — główną bronią w walce z okrętami podwodnymi. W tej funkcji przeszedłem całą kampanię norweską i bitwy u wybrzeży Francji. Później, jesienią 1940 roku, awansowano mnie na I oficera broni podwodnej z przydziałem na francuski niszczyciel „Ouragan”, który przejeżdżaliśmy od Francuzów po klęsce lata 1940. Przydział ten na stanowisko torpedysty był dla mnie wielkim wyróżnieniem. Sześć miesięcy później przydzielono mnie z całą niemal załogą „Ouragana” na nowy niszczyciel angielski klasy „Hunt” — O.R.P. „Krakowiak”, na stanowisko oficera artylerii. Na tym okręcie spędziłem najprzyjemniejszy okres służby na morzu, aż do lutego 1943 roku. Musiałem wtedy zejść na ląd ze względów zdrowotnych. W 1944 roku dostałem przydział na I oficera artylerii niszczyciela O.R.P. „Piorun”, na którym przeżyłem wyżyny naszej działalności w czasie inwazji Normandii.

J.K.Z.: — *Jakie było najbardziej wzruszające wydarzenie w Twojej służbie w polskiej Marynarce Wojennej?*

J.P.T.: — Z tego co zapamiętałem najbardziej wzruszający moment dotyczy niszczyciela „Grom”, który zginął 4 maja 1940 roku od bomby nieprzyjacielskiej niedaleko Narviku. Po zatopieniu załogę ratowały okręty brytyjskie znajdujące się w pobliżu. Uratowanych przewieziono na pokład pancernika H.M.S. „Resolution”. Ja byłem wtedy na „Burzy”, która stała w porcie Harstad. Dostaliśmy rozkaz natychmiastowego wyjścia z portu i udania się do fjordu, w którym stał zakotwiczony pancernik. Wiadomość o zatopieniu „Groma” wstrząsnęła nami wszystkimi ze względu na to, że znaleźmy ich wszystkich tak dobrze, wielu członków załogi „Groma” to byli najbliżsi przyjaciele. Nie wiedzieliśmy, ilu z nich zginęło, a ilu udało się uratować. Po pewnym czasie na tle stromych gór ukazał się pancernik. Zaczęliśmy podchodzić do jego burty. Przez lornetkę zobaczyliśmy grupkę rozbitków stojącą na rufie. Poubierani dziwacznie, w podarowanych cywilnych ubraniach oficerów i podoficerów załogi pancernika. Po rzuceniu lin i przycumowaniu położyliśmy trap, po którym wkrótce zaczęto przenosić rannych na noszach, a później rozbitkowie zaczęli przechodzić jeden za drugim. Następnie zrzuciliśmy liny i zaczęliśmy się oddalać od pancernika, na którym załoga była ustawiona wzdłuż całej burty, salutując nam. I wtedy... rozległ się polski hymn narodowy. „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Staaliśmy na baczność, łzy spływały nam po policzkach, nie wstydziliśmy się. Później, po zakończeniu — cała załoga pancernika

wzniosła trzykrotnie okrzyk „Hip — hip — hurra!” na cześć naszej marynarki. Niezapomniana chwila. Jeszcze dzisiaj chwytam mnie za gardło.

J.K.Z.: — *A czy mógłbyś teraz opisać najprzyjemniejsze przeżycie ze swojej służby na morzu?*

J.P.T.: — Najprzyjemniejszym przeżyciem był chrzest naszej córki Elżbiety na „Krakowiaku”, naszej tj. mojej i mojej żony Jean, którą nazwałem Janeczką, młodzianką, śliczną Angielką, którą poznałem w Plymouth. Pracowała wtedy w głównej kwaterze firmy Shell (Oil), którą ewakuowano z Londynu do Plymouth. Po stosunkowo krótkim narzeczeństwie pobraliśmy się 3 maja 1941 roku. Było to pierwsze mieszane małżeństwo wśród polskich oficerów marynarki wojennej. Oboje projektowaliśmy chrzest na pokładzie „Krakowiaka”, który był mi bardzo bliski, chyba najbliższy ze wszystkich okrętów, na których pływałem. Dowódca Jan Tchorznicki zgodził się entuzjastycznie, a zastępca dowódcy Michał Różański (który zginął później na O.R.P. „Orkan”) dostał polecenie zorganizowania ceremonii. Sytuacja była jednak nieco skomplikowana ze względu na to, że dwóch księży rościło prawa do tego obrządku. Jednym był Father Dalaney — Irlandczyk, kapelan Royal Navy, który od samego początku przybycia naszych okrętów do Plymouth opiekował się nami, katolikami, prawdziwie po ojcowsku. Natomiast świeżo przydzielony kapelan Polak, który urzędował w Oakhampton — obozie Marynarki Wojennej położonym niedaleko Plymouth, uważał to za swój obowiązek. Skończyło się tym, że Elżbieta została ochrzczona przez dwóch księży. Ceremonia odbyła się w mesie oficerskiej, wypełnionej naszymi przyjaciółmi i kolegami. Elżbieta potraktowała uroczystość na wesoło, uśmiechając się i machając rączkami w ramionach ojca chrzestnego, Michała Różańskiego. Matką chrzestną była Lucia Tchorznicka, żona dowódcy.

J.K.Z.: — *A co było najsmutniejszym przeżyciem?*

J.P.T.: — Wiadomość o kapitulacji Warszawy w 1939 roku.

J.K.Z.: — *Gdzie wtedy byłeś?*

J.P.T.: — Na „Burzy”. O ile mnie pamięć nie myli, staliśmy w porcie Plymouth. Było to dla nas wszystkich okropnie smutnym przeżyciem.

J.K.Z.: — *A jakie przeżycia możesz zaliczyć do przygniatających, bolesnych?*

J.P.T.: — Delegacja na pogrzeb generała Władysława Sikorskiego.

J.K.Z.: — *Jak to się odbyło?*

J.P.T.: — Jak wiesz, Generał zginął w katastrofie lotniczej startując z Gibraltaru w dniu 8 lipca 1943 roku. Razem z nim straciłem przyjaciela por. mar. Józefa Ponikiewskiego, który był adiutantem Generała, a moim kolegą z tego samego rocznika promocji 1938 roku, *nota bene* ostatniej promocji w Polsce.

Nasz niszczyciel „Orkan” przewiózł zwłoki Generała z Gibraltaru do Plymouth. Zostałem wydelegowany z oddziałem marynarzy do przejęcia trumny ze zwłokami Sikorskiego, przewiezienia jej z należnymi Mu honorami specjalnym wagonem do Londynu, a z Londynu do Norfolk na cmentarz polskich lotników. Tam gromadziły się delegacje polskich oddziałów wojska, lotnictwa i marynarki. Bardzo to było smutne.

J.K.Z.: — *Jaka była reakcja marynarzy na wiadomość o Jego śmierci? Podobna do oficerów?*

J.P.T.: — Myślę że podobna. Sikorski nie cieszył się wprawdzie nigdy szeroką popularnością, ale był uważany za żywy symbol walki o niepodległość. Był to silny, mocny charakter, dążący do swego, nie liczący się z opozycją i jej politycznymi posunięciami.

J.K.Z.: — *Co masz na myśli, mówiąc o politycznych posunięciach?*

J.P.T.: — Wiedzieliśmy o rozłamie politycznym w Rządzie. Wielu nie zgadzało się z poglądami Generała, który dążył do ugodowego załatwienia sprawy z byłym najeźdźcą. Sikorski szedł po linii porozumienia. Kiedy Hitler rozpoczął wojnę przeciw ZSSR, zdawał sobie sprawę z tego, że Sowieci stali się bardzo ważnym aliantem w walce z Hitlerem.

J.K.Z.: — *Mówiąc o generale Sikorskim, który był jednocześnie Premierem i Wodzem Naczelnym — chciałbym zadać takie pytanie: czy jako pływający oficer Marynarki Wojennej, który spędził*

większość wojny na okrętach bojowych w akcji, kiedykolwiek odwiedziłeś centrum Rządu polskiego w Londynie — Hotel Rubens? Jeśli tak, to jakie były Twoje wrażenia?

J.P.T.: — Niestety odwiedziłem Rubens kilkakrotnie, ze względu na to, że jeden z moich bliskich kuzynów pracował tam w sztabie Naczelnego Wodza. Nie lubiłem tam chodzić, bo wstydziłem się Polaków tam zatrudnionych. Była to masa próżniaków, pobierających wysokie uposażenia, a nic, dosłownie nic nie robiących dla ogólnej sprawy prowadzenia wojny.

J.K.Z.: — Jakie odznaczenia, które otrzymałeś w swoim życiu, uważasz za najważniejsze?

J.P.T.: — Miałem to szczęście albo nieszczęście, że okręty na których służyłem brały udział w wielu akcjach bojowych, które przysporzyły mi pewną liczbę odznaczeń, ale za najważniejsze odznaczenie osobiste uważam srebrną papierośnicę, którą dostałem od załogi pokładowej O.R.P. „Krakowiak” w końcu lutego 1943 roku, kiedy odchodziłem na inny przydział. Była to dla mnie największa przyjemność i największe odznaczenie.

J.K.Z.: — Czy możesz opisać, jak ci ją wręczono?

J.P.T.: — W dniu, w którym miałem odejść, przyszedł podoficer do mojej kabiny i powiedział: „Panie poruczniku, czekają na pana”. — „Kto na mnie czeka?” — „Załoga pokładowa, panie poruczniku — odpowiedział podoficer. — Chcą się z panem zobaczyć przed pana odjazdem”.

Włożyłem czapkę, poszliśmy razem. Schodząc do pomieszczenia położonego na dziobie zauważyłem załogę ustawioną w dwuszeregu. Starszy podoficer zakomenderował: „Baczność!”, po czym zameldował zbiórkę załogi. Jeden z marynarzy podszedł do mnie i wręczając paczuszkę powiedział: „To w dowód szczerzej przyjaźni, panie poruczniku”.

J.K.Z.: — Masz tę papierośnicę?

J.P.T.: — Tak, mam ją, nigdy się z nią nie rozstałem. Kiedyś, kiedy brałem udział w wielkim balu, gdzie mężczyźni byli przy orderach, a panie w wieczorowych sukniach, jeden z moich kolegów spytał, dlaczego na fraku moim nie widać miniaturki odznaczeń bojowych? — Odpowiedziałem, że nie ma miejsca na srebrną papierośnicę.

J.K.Z.: — *Wiem z Twego wykazu służby, że masz również Virtuti Militari. Papirośnica jest emocjonalnie ważniejsza od V.M.?*

J.P.T.: — Widzisz, papirośnica była bezpośrednim, osobistym wyrazem uznania marynarzy dla swego oficera. V.M. uważam za odznaczenie przyznane mi nie za indywidualne męstwo, a jako odznaczenie dla oficera artylerii, którego załoga artyleryjska wywiązała się chwalebnie z zadań bojowych.

J.K.Z.: — *Chciałbym, abyś opisał trzy akcje polskich niszczycieli, w których osobiście brałeś udział. Jedna to była akcja niszczyciela broniącego się przed lotnictwem, druga z nawodnym przeciwnikiem, a trzecia w walce z okrętami podwodnymi.*

J.P.T.: — Chyba najbardziej klasyczną bitwę z wrogiem lotnictwem stoczyłem na „Burzy” 23 maja 1940 roku w okolicy francuskiego portu Calais, położonego na wschód od Le Havre. Podkład historyczny: zmotoryzowane dywizje armii niemieckiej skierowały się na północ w kierunku Kanału Angielskiego w celu złapania brytyjskiej armii ekspedycyjnej w pułapkę, okrążając ją ze wszystkich stron. 23 maja Admiralicja została zaalarmowana, że grozi atak na port Calais przez szybko posuwającą się kolumnę nieprzyjaciela. *Ad hoc* zorganizowano dywizjon niszczycieli, składający się z trzech jednostek, dwóch brytyjskich i polskiej „Burzy”. Dostaliśmy rozkaz dołączenia do Brytyjczyków, którzy już byli w pobliżu brzegów francuskich. „Burza” pobierała ropę i prowiant w porcie Dover. Po rzuceniu cum ruszyliśmy dużą szybkością w kierunku na Calais. Podchodząc do wybrzeży dołączyliśmy do H.M.S. „Wessex” i H.M.S. „Vimiera”. Dowódca „Wessexu”, będąc głównodowodzącym, polecił nam baczną uwagę na szosę położoną na wysokim wybrzeżu. Wkrótce zauważyliśmy posuwające się czołgi i samochody opancerzone ze złowrogą swastyką, świadczącą o nieprzyjacielu. Dowódca nasz, komandor Wojciech Francki, rozkazał otwarcie ognia artylerii głównej. Byłem wtedy II oficerem broni podwodnej z przydziałem przy bombach głębinowych znajdujących się na rufie, ale dowódca polecił mi pozostanie na pomoście.

J.K.Z.: — *Jaka była donośność dział, ile ich było na „Burzy” i ile ważył jeden pocisk?*

J.P.T.: — „Burza” miała 4 działa 130 mm, donośności chyba ponad 25.000 m. Nie pamiętam ile ważyły pociski, jak na niszczyciela były potężne. Zaczęliśmy się wstrzeliwać pierwszymi sal-

wami z odległości nie większej jak 10.000 m. W krótkim czasie uzyskaliśmy trafienia. Widać było rozrywające się pociski wśród posuwającej się kolumny wojsk niemieckich. Radość była wielka. Psubraty dostawały lanie. Na skutek naszego celnego ognia Niemcy widocznie zażądali natychmiastowej pomocy i nie upłynęło więcej jak 10 minut, kiedy zauważyliśmy eskadry samolotów podążające w naszą stronę. Były to sławne „Stukasy” — naliczyliśmy 27 — trzy eskadry, każda składająca się z dziewięciu nurkowców. Leciały na wysokości 2.000 m. Pierwsze trzy zaatakowały okręt dowodzący „Wessex” i uzyskały trafienia. Jedna bomba wpadła przez komin do wnętrza maszynowni, tam eksplodowała, co z kolei spowodowało wybuch kotłów i raptem na naszych oczach „Wessex” wyleciał w powietrze. Zupełnie nie do wiary, że taki okręt-niszczyciel, z załogą ponad 200 osób, mógł zginąć w ciągu kilkunastu sekund. Nie miałem czasu na analizowanie tej tragedii, bo reszta pozostałych nurkowców nadleciała na nas. Czy to dlatego, że „Burza” z trzema kominami była większa i wyglądała z powietrza zapewne jak mały krążownik, czy może dlatego, że Niemcy dostrzegli naszą bojową banderę (ogromną) powiewającą na rufie, faktem jest, że skupili się na „Burzy”. Wycie nurkujących samolotów połączyło się z wyciem spadających bomb, ujadaniem naszych ciężkich karabinów maszynowych i hukami działek artylerii przeciwlotniczej. Rwetes był straszny. Francki kierował okrętem zmieniając szybkość i unikając spadających bomb w podobny sposób, jak bokser porusza się na ringu unikając ciosów przeciwnika. Jak zwykle stał przy tubie głosowej, trzymając zapalonego papierosa w prawej dłoni, a lewą wygrażał nurkującym Niemcom, siarczyście ich przeklinając czystą polską mową: „Wy skurwysyny, dostaniecie od nas po dupie”. Bomby padały dookoła okrętu wznosząc fontanny, które zalewały pokład. W którymś to ataku raptem okrętem tak potężnie wstrząsnęło, że wszystkich na pomoście skosiło; upadłem będąc pewien, że okręt został trafiony. W tym samym czasie ogłuszył nas wszystkich niehumaniczny ryk. Francki podskoczył do mnie, wrzeszcząc do mego ucha: „Leć na pokład i dowiedz się, co się stało!”.

Zeskoczyłem z jednego pomostu na drugi, a później na głównym pokładzie zobaczyłem Ludwika Szmida — oficera mechanika, stojącego przy luku do maszynowni. Dopadłem go. „Co się stało?” — krzychałem. — „Co się stało, co się stało? — odpowiedział Lutek. — Nic się nie stało, tylko cholera, cała para uciekła, zawory bezpieczeństwa puściły pod wpływem wstrząsu i, kochany Jureczku, stoimy jak panna młoda na weselu — nie ma pary... nie ma pary, teraz to tylko modlić się”. — „Jak długo

to potrwa?" — „A skąd ja mogę wiedzieć? Może z pół godziny, może dłużej — powiedz Franckiemu, wszystko zrobimy, aby uruchomić kotły i maszyny". — Twarz miał umorusaną, pot mu spływał spod czapki, którą jak zawsze miał na bakier.

Ryk uciekającej pary zagłuszył kanonadę dział i wycie padających bomb, a więc tylko wstrząsy, znacznie mniejsze zresztą, powiadomiły nas o bombach, które trafiły w pokład na dziobie. Biegając z powrotem na pomost widziałem wrogi samolot dymiący czarnym pióropuszem. Wkrótce wpadł do wody. Był to jeden z trzech samolotów zestrzelonych przez naszych artylerzystów. Jedna z bomb rozerwała się zaraz pod pokładem w pomieszczeniu podoficerskim, na szczęście nikogo tam nie było, a druga przeszła przez wszystkie pokłady i wybuchła pod stępką, rozbijając płyty burt okrętowych i zalewając pierwsze pomieszczenia na dziobie. Ponieważ okręt stał w miejscu i nie poruszał się do przodu, ciśnienie wody nie przełamało gród wodoszczelnych. Kiedy znalazłem się tam, pomagając zastępcy dowódcy i jego ekipie awaryjnej w umocnieniu tych zagród wodoszczelnych dodatkowymi belami, okręt miał już możliwość poruszania się, ale nie płynięcia w przód. Poruszaliśmy się idąc wstecz.

Dziś myślę, że ta uciekająca para stworzyła naturalną zasłonę dymną, która utrudniła wykonywanie prawidłowego pikowania. Poza tym Niemcy na pewno doszli do wniosku, że okręt jest śmiertelnie uszkodzony, dlatego też ich końcowe ataki nie miały początkowej furii, a ponieważ stracili już trzy samoloty, a inne zapewne też coś oberwały, atak ich skończył się tak samo nagle, jak początkowa faza bitwy. Wróciliśmy do Dover po kilku godzinach podróży, idąc wstecz. Nikt nie został zabity, kilku było lekko rannych.

J.K.Z.: — *A teraz może coś o spotkaniu z jednostkami nawodnymi?*

J.P.T.: — Prawie wszystkie moje osobiste doświadczenia dotyczyły akcji nocnych. Brałem udział tylko w jednej dziennej. Nocne spotkania mają swój specyficzny, dramatyczny charakter. To nieco tak jak spotkanie dwóch amerykańskich kowbojów: kto wyciągnie pistolet pierwszy? Który z okrętów zacznie pierwszy strzelać? Dlatego wynalazek radaru był dla nas tak ważny. Przy pomocy radaru widzieliśmy nieprzyjaciela, raczej wiedzieliśmy o nieprzyjacielu wcześniej. Miałem już za sobą szereg spotkań nocnych w akcjach zaczepnych pod brzegami Francji, kiedy doszło do bitwy, o której opowiem. Było to w kilka dni po lądowaniu

wojsk Sprzymierzonych na plażach Normandii. Flotylla niszczycieli, do której były przydzielone nasze dwa najpotężniejsze okręty, „Błyskawica” i „Piorun”, miała za zadanie zniszczenie jednostek niemieckich stacjonowanych na zachodnim wybrzeżu Francji. W dniu 13 czerwca 1944 roku dowódca „Pioruna” dostał zadanie przeprowadzenia patrolu zaczepnego w rejonie wyspy Jersey. Zespół pod jego dowództwem składał się z dwóch okrętów: O.R.P. „Piorun” i H.M.S. „Ashanti” (klasy *Tribble*, największe niszczyciele floty). Widocznie Admiralicja dostała od patrolującego samolotu wiadomość o ruchach okrętów nieprzyjaciela w pobliżu tych wysp. Do wyznaczonego nam sektora doszliśmy przed północą. Noc była ciemna, morze spokojne. Patrolowaliśmy będąc już w alarmie bojowym, a więc przygotowani do natychmiastowej akcji. Według ostatnich otrzymanych wiadomości, zespół dużych i nowoczesnych trałowców niemieckich, których używano zwykle do eskorty konwojów posuwających się na Wschód. W pół godziny po północy radarowiec zameldował kontakt. Skierowałem działa w kierunku kontaktu i zacząłem wypatrywać i wydawać rozkazy do dział i do centrali, w której dane o nieprzyjacielu nastawiane były na konjugatorze. Odległość początkowa 11.000 m zaczęła się szybko zmniejszać. Dowódca położył nas na kurs spotkania i zwiększył szybkość do 25 węzłów. „Ashanti” potwierdził kontakt, meldując gotowość bojową. Kiedy odległość zmniejszyła się do 5.000 m, spytałem dowódcę o pozwolenie strzelania pociskami oświetlającymi. Widziałem go stojącego przy kompasie i tubie głosowej. Palił papierosa i przestępował z nogi na nogę. Odpowiedział, abym jeszcze czekał. Kiedy podeszliśmy bliżej, z otaczających nas ciemności wyłoniły się sylwetki. Zacząłem krzyczeć: „Widzę!!! Widzę!!!”. Odległość zmniejszyła się do 3.500 m. Dla działa okrętowego 120 mm, które mieliśmy na „Piorunie” (3 działa podwójne, a więc 6 luf) to tyle co 20 metrów dla pistoletu. Podałem nowe dane i wrzasnąłem: „Ognia!”. — Podchodząc do nieprzyjaciela Gorazdowski położył się na kurs równoległy, tak że wszystkie działa miały idealny cel, jak również przygotowywał okręt do strzału torpedowego. Nieprzyjaciel był całkowicie zaskoczony. Ale po pewnym czasie zaczęły sunąć w naszym kierunku kolorowe kule. Znaleźliśmy się pod ich obstrzałem. Początkowo widziałem tylko trzy okręty nieprzyjaciela, a było ich w sumie siedem. Ponieważ zaangażowaliśmy w walce pierwszego w ich linii torowej, przypuszczalnie dowódcę zespołu, a „Ashanti” koncentrował ogień na drugim, inne, nie będąc pod obstrzałem, waliły w nas bezkarnie. Na szczęście atak torpedowy był skuteczny;

nasza torpeda wybuchła zatapiając lidera, wtedy skierowałem ogień na inny z kolei, nie dymiący, bo „Ashanti” rozprawił się z drugim, zostawiając go w płomieniach i bez obrony. Jeden z pocisków wroga trafił w poblizze komory amunicyjnej, grożąc pożarem i wybuchem kilkudziesięciu ulokowanych tam pocisków. Z narażeniem własnego życia działonowy mat Wojciechowski rzucał do wody palące się pociski. Na szczęście nie meldowano zabitych, rannych było kilku. Bitwa, którą Gorazdowski określił w sprawozdaniu słowami „piękna nocna walka”, trwała całą noc. Zatopiliśmy na pewno trzy okręty, a pozostałe pozostawiliśmy dymiące i palące się. Później nad rankiem dostaliśmy się pod ogień artylerii dział nabrzeżnych i z nastaniem świtu wróciliśmy do Plymouth. Moim zdaniem Gorazdowski wspomniał przeprowadził tę bitwę, przeszła ona zresztą do historii jako „bitwa pod Jersey”.

Jeżeli chodzi o spotkanie dzienne, to było to również na „Piorunie”, tym razem w Zatoce Biskajskiej. Dnia 14 sierpnia 1944 roku przyłapałiliśmy niemiecki krążownik pomocniczy załadowany wojskiem, przypuszczalnie uchodzący do Hiszpanii.

Byliśmy w towarzystwie krążownika H.M.S. „Diadem” i niszczyciela „Onslow”. Zobaczyłem niemiecki okręt i zacząłem strzelać z odległości 12.000 m. Przy trzeciej salwie zauważyłem obramowanie, a po czwartej widziałem trafienia, które wznęciły pożar. Krążownik „Sauederland” miał pięć dział, przypuszczalnie 150 mm, i cały szereg działek przeciwlotniczych. Widocznie zaskoczyliśmy ich całkowicie, bo nie widziałem wybuchów salw dział nieprzyjaciela. Palił się mocno, bo salwy krążownika, jak również „Onslow” musiały również trafić do celu. Podeszliśmy blisko i strzeliliśmy torpedę, która trafiła w śródokręcie. „Sauederland” zaczął tonąć. W wodzie pływały setki rozbitków. Nie ratowaliśmy ich, bo wiedzieliśmy, że w pobliżu znajdują się kutry rybackie, które zawiadomią pomoc.

Spotkanie z okrętami podwodnymi to właściwie saga atlantyckich konwojów. Na „Burzy” i „Piorunie” niejednokrotnie wykrywaliśmy je przy pomocy asdyku (aparatusłuchowy wykrywający okręt podwodny) i atakowaliśmy rzucając bomby głębinowe, ratowaliśmy również rozbitków zatopionych statków. Najbliżej zatopienia niemieckiego okrętu podwodnego byłem na „Krakowiaku”, kiedy w końcu 1942 roku konwojowaliśmy transportowce wypełnione wojskiem i sprzętem przeznaczonym do inwazji Afryki Północnej. Przechodząc przez Zatokę Biskajską w drodze do Gibraltaru, asdykowiec nasz, starszy marynarz Mordzelewski, wykrył jakieś podejrzane szmery w śladzie torowym naszego okrętu. Było po północy, stałem sam na wachtce, dowód-

ca spał w swojej kabinie. Konwój jak zwykle zygakował, „Kra-kowiak” zajmował pozycję w tyle całej kolumny. Zarządziłem pilną obserwację za rufą i śladu torowego. Księżyc świecił, było jasno, jego promyk połączył się z naszym fluoryzowanym śladem torowym. Modzelewski nadal nalegał i meldował: „Panie poruczniku, coś tam jest, to tak jakby wibracje obcych śrub w naszych śrubach... ja naprawdę słyszę”. — Postanowiłem zobaczyć, co się tam za nami kryje, pamiętając o ostrzeżeniu, które otrzymaliśmy drogą radiową poprzedniego dnia, że koncentrują się stada *U-Boot*ów w celu ataku na nasz konwój. Podałem komendę lewo na burtę i zwiększyłem szybkość do 20 węzłów. Okręt zaczął wykręcać się w kierunku srebrnego gościńca, wytyczonego naszym śladem. Wchodząc z powrotem na ten gościńiec, jeden z obserwatorów zawołał: „Okręt podwodny, przed samym dziobem, okręt podwodny!!!”. W tej samej chwili zobaczyłem kiosk okrętu podwodnego, zarządziłem alarm bojowy i szedłem na zderzenie i atak bombami głębinowymi. Modzelewski, który już przełączył asdyk z podsłuchu akustycznego na normalny, wkrótce meldował kontakt w namiarze 0 stopni. Zbliżaliśmy się szybko. Widziałem, że *U-Boot* zanurza się, starając się schować pod wodą. Kiedy Modzelewski zameldował ostry kontakt w namiarze 10, skierowałem okręt w tym kierunku i kazałem rzucić wiązkę bomb głębinowych. W tym czasie dowódca już był na pomoście i dał mi do poznania, abym nadal kierował okrętem w czasie wykonania tego ataku. Wiedział, że szkoliłem się w ataku na okręty podwodne w szkole specjalistów dla oficerów broni podwodnej Royal Navy w Szkocji, niedaleko Glasgow. Bomby wyrzuciły jak zwykle fontanny wody, wyglądające w promieniach księżyca jak jakieś cudne fajerwerki. Modzelewski nie stracił kontaktu, który teraz znalazł się poza rufą, skierowałem się na ponowny atak, tym razem zmniejszając szybkość, aby dokładnie zorientować się w zamiarach nieprzyjaciela. Idąc do ataku, zwiększyłem szybkość i rozkazałem rzucenie ponownej wiązki. Po tym ataku zaobserwowaliśmy duże plamy ropy, świadczące o skuteczności naszego ataku. Dowódca uważał akcję za udaną, objął dowodzenie kierując się w stronę oddalającego się konwoju. Jeszcze raz tej samej nocy dostrzegliśmy innego *U-Boot*'a, też przygotowującego się do ataku, idącego na powierzchni morza. I znowu atakowaliśmy trzykrotnie, obserwując plamy ropy świadczące o uszkodzeniu, a może nawet o zatopieniu *U-Boot*'a. Jeden z podległych nam niszczycieli, którego Tchórznicki wyznaczył do eskorty na prawym skrzydle konwoju, przesłał nam lampką sygnał tej treści: „*Please leave some fun for us*” (Zostawcie trochę zabawy dla nas).

WYWIAD Z PORUCZNIKIEM MICHAŁEM BIAŁOWSKIM

JANUSZ K. ZAWODNY: — *Służyłeś także na okrętach brytyjskich. Czy możesz powiedzieć, jakie były okoliczności Twojego przydziału do okrętów brytyjskich, jaki był Twój status i na jakich okrętach służyłeś?*

MICHAŁ BIAŁOWSKI: — Na okrętach brytyjskich służyłem kilkakrotnie w czasie drugiej wojny światowej — w rozmaitych stopniach i w różnych okresach czasu. Po raz pierwszy jako podchorąży. Na zakończenie przeszkolenia teoretycznego Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej cały nasz rocznik został podzielony na małe grupy i przydzielony do dużych jednostek (pancerniki i krążowniki) Królewskiej Marynarki Wojennej, na tak zwane praktyczne przeszkolenie.

J.K.Z.: — *Który to był rok?*

M.B.: — 1941, od marca do września. Czterech nas zostało zaokrętowanych na H.M.S. „Exeter”. Był to ośmiocalowy krążownik, znany ze zwycięskiej bitwy z niemieckim pancernikiem kieszonkowym „Admirał Graf von Spee” w ujściu rzeki Rio de la Plata na południe od Urugwaju. W tej bitwie brały udział dwa inne krążowniki brytyjskie, H.M.S. „Ajax” i H.M.S. „Achilles”. Te dwa okręty miały sześciocalowe działa. Pancernik niemiecki był poważnie uszkodzony i schronił się w porcie Montevideo w Urugwaju. Po naprawie musiał wyjść z portu, aby uniknąć internowania. W międzyczasie dodatkowe jednostki floty brytyjskiej przyszły na pomoc i czekały na „Grafa von Spee” poza wodami terytorialnymi Urugwaju i Argentyny. Wiedząc, że nie ma szans wygrania walki, dowódca pancernika rozkazał otworzyć zawory i zatopić okręt u wyjścia do kanału wyjściowego portu Montevideo. Po wykonaniu tego rozkazu popełnił samobójstwo. To działo się w grudniu 1939 roku, kiedy wiadomości o losach wojny nie były specjalnie przychylnie dla Aliantów. Wiadomość o zatopieniu niemieckiego pancernika podniosła wszystkich Brytyjczyków na duchu. H.M.S. „Exeter” został również poważnie uszkodzony w tej bitwie, wrócił do Anglii na gruntowny remont

do stoczni w Davenport. Miał duże straty w załodze i kiedy myśmy się zaokrętowali, było tylko kilku członków, którzy brali udział w tej słynnej bitwie. Byliśmy dumni z tego, że dostaliśmy się na tak sławną jednostkę. Przydział tuż przed zakończeniem remontu pozwolił nam na dokładne poznanie okrętu.

J.K.Z.: — *Ile było na nim ludzi?*

M.B.: — Dokładnie już nie pamiętam, ale przypuszczam, że około 800. Tak jak prawie wszystkie większe jednostki floty brytyjskiej (od krążowników w górę), „Exeter” był przysposobiony do szkolenia podchorążych. To znaczy miał osobną mesę dla nich, zwaną po polsku *Gunroom*, oraz oficerów korpusu szkolnictwa.

J.K.Z.: — *Ilu było brytyjskich podchorążych?*

M.B.: — Ośmiu Brytyjczyków i czterech Polaków, czyli w sumie 12-stu.

J.K.Z.: — *Jaki był Twój pierwszy dzień?*

M.B.: — Zaczę od tego, że w przeddzień zaokrętowania zostaliśmy zaproszeni do prywatnej rezydencji dowódcy okrętu na kolację. Obecna była jego żona, przemiła córeczka i także komendant S.P.M.W., komandor Kodrębski. Celem tego obiadu było bliższe poznanie nas w warunkach innych niż na pokładzie okrętu. Wieczór był miły i bardzo nam się dowódca spodobał, a ja zakochałem się w jego czteroletniej córeczce, z którą później przez kilka lat korespondowałem.

Pierwsze tygodnie zaokrętowania nie były łatwe. Najbardziej przeszkadzał mi brak znajomości języka angielskiego używanego na okrętach i akcenty oficerów pochodzących z różnych stron Brytanii. Do tego należałoby dodać zupełnie inny i nieznamy nam regulamin Służby Okrętowej, podobną, ale trochę inną musztrę, inne zwyczaje i jedzenie. Wszystkiego można było się nauczyć, ale na to trzeba było czasu. A myśmy byli dumni i chcieliśmy pokazać, co Polacy potrafią, a zwłaszcza, że nie jesteśmy gorsi od podchorążych brytyjskich. Zaczęła się rywalizacja. Byliśmy mile zaskoczeni, że od samego początku traktowano nas na równi z kolegami Anglikami. Podchorąży wachtowy w porcie lub na morzu miał być pomocnikiem oficera wachtowego. To był doskonały sposób poznania życia okrętowego i zwyczajów. Przez dłuższy czas zrozumienie i dokładne przekazanie rozkazów i meldunków było problemem. Ale muszę powiedzieć, że chyba nie ma lepszego ani szybszego sposobu nauczania się obcego języka.

J.K.Z.: — *A jak przystosowałeś się do zwyczajów i żywności?*

M.B.: — Jeżeli chodzi o jedzenie, nie było kłopotów. Kuchnia była doskonała, może trochę inna jak na okrętach polskich, ale dużo smaczniejsza. Należy pamiętać, że byliśmy na krążowniku, czyli na dużej jednostce bojowej z odpowiednio zaopatrzonymi magazynami i dobrze wyszkoloną obsługą.

Zdziwiło mnie, że większość obsługi w mesach oficerskich, chorążych i starszych podoficerów to byli podoficerowie różnych stopni oraz specjaliści wyszkoleni w rzemiośle kuchenno-hotelowym. Na przykład podawanie potraw do stołu, zbieranie pustych naczyń, podawanie napojów itp. było na poziomie obsługi dobrego hotelu lub dobrej restauracji — nawet w mesie podchorążych i młodszych oficerów. Jeżeli chodzi o zwyczaje, było dużo niespodzianek, przeważnie przyjemnych. Przede wszystkim zdziwiło nas, że byliśmy traktowani jako młodzi oficerowie. To było dla nas coś nowego. Na polskich okrętach byliśmy traktowani jak zwykli marynarze, a przez niektórych oficerów jako kandydaci na marynarza. Muszę tu zaznaczyć, że wyszliśmy z Polski na początku wojny, będąc na pierwszym roczniku w stopniu starszego marynarza. U nas starsze roczniki przechodziły przez wszystkie stopnie podoficerskie i prawdopodobnie były traktowane trochę inaczej. Zdziwiło nas również, że tak jak oficerowie, musieliśmy chodzić w mundurach, a nie w kombinezonach, jak było przyjęte na polskich okrętach. Przed kolacją o godz. 18-tej większość podchorążych brała kąpiel, wszyscy przebierali się w świeże koszule i zakładali muszki zamiast krawatów. Ta procedura początkowo była uciążliwa, ale szybko doszliśmy do przekonania, że dodaje posiłkom pewnego uroku. Szczególnie pomagało to w przerwaniu monotonnego życia na morzu. Muszę znowu podkreślić, że opisuję życie na dużej jednostce. Na niszczycielu na przykład zabrakłoby świeżej wody w drugim dniu, gdyby cała załoga kąpała się dwa razy dziennie.

Jeszcze kilka słów o nowych dla nas zwyczajach. Od czasu do czasu podchorążowie byli zapraszani do ogólnej mesy oficerskiej (*Ward Room*) na drinka i obiad, do którego przygrywała orkiestra *Royal Marines*. Jednym ze zwyczajów, który nam się nie podobał, było robienie kakao dla oficerów wachtowych w czasie nocnych zmian. Myśleliśmy, że Anglicy piją zawsze herbatę z mlekiem. Nieprawda. Przynajmniej nie oficerowie marynarki wojennej. Herbata z mlekiem była rano, przed śniadaniem, i naturalnie po południu (*tea time*). W czasie śniadania, po lunchu i po kolacji podawano kawę z tym, że po kolacji często było jeszcze porto (uroczyście podawane), a potem, po wyjściu z *Ward*

Room i przejściu do *Ante Room*, palenie cygar. Natomiast w czasie nocnej wachty oficerowie i marynarze popijali gorące kakao. Podobno pomagało to nie zasnąć i dodawało ciepła. A dlaczego nie podobał nam się zwyczaj przyrządzania kakao? Otóż niektórzy oficerowie, zwłaszcza starsi, byli bardzo wymagający i narzekali, jeśli kakao nie było przyrządzone smacznie, albo jeśli podano je ciepłe, zamiast gorące. Kakao było fasowane w prasowanych tabliczkach z mlekiem i cukrem (podobnie jak kawa w polskiej marynarce i bodajże wojsku). Niektórzy podchorążowie brytyjscy, aby przypodobać się oficerom i dostać lepszą opinię, kupowali w kantynie okrętowej kakao w puszkach i skondensowane słodkie mleko, które dodawali do fasowanej mazi kakaowej. Naturalnie tak przyrządzone kakao było smaczniejsze. Myśmy o tym zwyczaju nie wiedzieli, a poza tym nie mieliśmy pieniędzy na kupno tych smakołyków. Zostawiliśmy po sobie opinie ludzi nie znających się na kakao.

J.K.Z.: — *Czy życie na krążowniku było lepsze niż na niszczytelach?*

M.B.: — I tak, i nie. Z jednej strony było lepsze, a z drugiej gorsze. W każdym razie było inne. Ogólnie mówiąc życie na większych jednostkach było wygodniejsze — więcej miejsca i bardziej towarzyskie — więcej ludzi. Ale było bardziej monotonne — więcej postojów w porcie, przeważnie na kotwicy. Obowiązywała też większa dyscyplina i większy nacisk na przestrzeganie regulaminów. Na niszczytelach natomiast było dużo niewygód. Okręty prawie cały czas były na morzu i życie, zwłaszcza w czasie sztormów, było niewygodne i męczące. Za to nie było potrzeby na ścisłą dyscyplinę. Załoga była znacznie mniejsza, zwykle bardziej zgrana (około 200 ludzi).

J.K.Z.: — *Patrzę na dwie fotografie, na których figurujesz. Na pierwszej jakiś oficer przypina ci odznaczenie.*

M.B.: — To jest, o ile sobie przypominam, dowódca naszego pierwszego krążownika O.R.P. „Dragon”, który został później zatopiony we Francji w czasie lądowania w Normandii, słynny komandor Pławski, który będąc dowódcą O.R.P. „Piorun” pierwszy odkrył „Bismarcka”. Właściwie napatoczył się na niego w nocy podczas okropnego sztormu. „Bismarck” w tym czasie zgiął jak igła w stogu siana i mimo że był poszukiwany przez całą flotę angielską, nie mogli go znaleźć. Znalazł go jednak O.R.P. „Piorun”.

J.K.Z.: — *Przepraszam, że Ci przerwę na chwilę. Wróćmy do odznaczenia.*

M.B.: — To było na krążowniku „Dragon”. Koło dowódcy Pławskiego stoi zastępca dowódcy, komandor por. Hulewicz. Dostałem wtedy Krzyż Walecznych po raz wtóry, za akcje w czasie lądowania w Normandii.

J.K.Z.: — *To był który rok?*

M.B.: — 1944 w czasie inwazji — lądowanie w Normandii.

J.K.Z.: — *Z Twojej praktyki i obserwacji, jakie były różnice w szkoleniu podchorążych między metodami polskimi a angielskimi?*

M.B.: — W części teoretycznej niewielkie. Były pewne różnice w programach. Polska S.P.M.W. kładła większy nacisk na znajomość języków, a angielski N.C. (*Naval College*) na przewodnictwo (*leadership*, dyplomacja), przemawianie publiczne i przedmioty ogólnokształcące. Jeżeli natomiast chodzi o szkolenie praktyczne, różnice były większe. Angolicy starali się wyrabiać samodzielność. Młodzi oficerowie uczyli się na własnych błędach, które były krytykowane i omawiane, ale nigdy nie publicznie, a szczególnie nie wobec podwładnych. Polski sposób szkolenia praktycznego polegał na często krzykliwej i publicznej krytyce. Wiara w „zdrowy rozum” młodsze go oficera lub podchorążego i zakładanie, że on też coś wie, były raczej rzadkością.

J.K.Z.: — *Na jakim okręcie byłeś podczas operacji „Torch”, czyli lądowania w Afryce?*

M.B.: — Na „Błyskawicy”. Należała ona w tym czasie do *Force H*, bazowanej w Gibraltarze. W okresie przygotowawczym do desantu w Afryce Północnej *Force H* dostarczała samoloty myśliwskie na Maltę. „Błyskawica” była jedną z jednostek w osłonie lotniskowców, a czasami pancerników. To była wyjątkowo dobra nauka manewrów taktycznych floty, odbywających się według ścisłych regulaminów, C.O.F. (*Conduct of the Fleet*). Był to gruby tom używany razem z F.S.B. (*Fleet Signal Book*), których zawartość oficerowie i podoficerowie specjalności sygnałowej musieli znać na pamięć. Na „Błyskawicy” byłem w tym czasie oficerem wachtowym i adiutantem dowódcy. W ciągu lądowania wojsk alianckich w Południowej Afryce (*Operation Torch*)

i po lądowaniu „Błyskawica” była ciągle w akcji, zwalczając nieustannie naloty niemieckich bombowców nurkowych typu „JU 88” i „JU 87”. Obrona przeciwlotnicza spoczywała prawie wyłącznie na barkach jednostek floty, bo przyjacielskie lotnictwo myśliwskie czy to z lądu, czy też z lotniskowców było rzadkim gościem. Wynik był taki, że okręty poniosły duże straty. „Błyskawica” była w nieco lepszej sytuacji, bo miała podwójne sprzężone działka Boforsa (40 mm), które były najlepszą bronią przeciwlotniczą krótkiego zasięgu, jak na owe czasy. Okręty angielskie dopiero po kilku latach zostały wyposażone w takie działa. Rezultat był taki, że lotnicy niemieccy nabrali respektu atakując „Błyskawicę”, rzucali bomby z dużej wysokości i szybko uciekali „w krzaki”. Nie pamiętam, ile zestrzeleń przyznano oficjalnie „Błyskawicy”, ale na własne oczy widziałem dwa samoloty stracone i szereg uszkodzonych. Te walki naturalnie nie obyły się bez ofiar na „Błyskawicy”. W czasie krótkiego postoju w porcie Bougie, położonym na wschód od Algieru, „Błyskawica” została zaatakowana przez eskadrę „JU 88”. W tej akcji Niemcy użyli bomb przeciwko ludziom, które wybuchły tuż nad wodą raniąc załogę pokładową, a szczególnie obsługę dział. Straty były duże, kilku zabitych i kilkudziesięciu rannych. Okręt również był podziurawiony i musiał wrócić do Gibraltaru na tymczasowe załatwienie dziur, a potem do Anglii na ogólny remont. W drodze powrotnej do Gibraltaru „Błyskawica” uratowała załogę bombowca angielskiego typu „Whitley”. Został on zestrzelony kilka dni przedtem, załoga pływała na tratwie ratowniczej. Na szczęście znaleźli się na głównym szlaku okrętów idących w kierunku Gibraltaru. Niestety żaden z okrętów ich nie zauważył, oni natomiast widzieli kilkanaście okrętów i statków przechodzących niedaleko. Uratowanie tych lotników było dla mnie osobiście wielką satysfakcją, bo byłem oficerem wachtowym, który zauważył ich daleko na horyzoncie; tratwa wyglądała jak maleńki punkt, nie większy od główki od szpilki. Zaobserwowałem ich na odległości 7-8 mil morskich. Kiedy podchodziliśmy do tratwy po pół godzinie, to jeszcze machali i kiwali czym mogli, aby ich znowu nie ominąć.

J.K.Z.: — *Czy miałeś jakieś osobiste przeżycie, które graniczyło z tragedią osobistą?*

M.B.: — Nie. Tak jak wszyscy marynarze, miałem dużo okazji do tego, aby zginąć. Niektóre przeszły blisko, niektóre dalej, niektórych prawdopodobnie nawet nie zauważyłem. Muszę powiedzieć, że miałem niesamowite szczęście. Bywając przez całą

wojnę przeważnie na małych niszczycielach, które ciągle były w akcji, nie zostałem nawet draśnięty kulą lub odłamkiem pocisku. Nie wiem, jak to wytłumaczyć inaczej jak opieką Boską. Wystarczy, jeżeli wspomnę dwa momenty, choć pamiętam szereg innych, kiedy uciekłem rzeźnikowi spod noża.

Pływając jako podchorąży na krążowniku „Exeter” na Oceanie Indyjskim miałem polecieć na patrol jako obserwator na małym wodnopłatawcu typu „Walrus”. Samolot był wystrzelony z katapulty, oblatywał horyzont i wracał na okręt wodując przy burcie, po czym kran podnosił go na pokład. Kiedy przyszła kolejka na mnie, aby polecieć, nie mogli mnie nigdzie znaleźć. Podobno ogłaszali przez megafony: *midshipman Beer and Whiskey* (tak przerobiono Białowski) *report to the Flight Deck*. O ile pamiętam, miałem duże zaległości z moim „dziennikiem podchorążego”, który był co tydzień sprawdzany przez pierwszego oficera (*First Lieutenant*), opiekuna podchorążych. Schowałem się w kabinie meteorologicznej, żeby nadrobić zaległości. Samolot wracając z patrolu na okręt naśladował atakującego myśliwca niemieckiego, a obsługa broni przeciwlotniczej ćwiczyła celowanie i prowadzenie celu. Tym razem pilot widocznie za dużo przypikował; w rezultacie skrzydła złożyły się jak nożyczki, samolot zapalił się i spadł do oceanu. Pilot i członek obsługi katapulty, który poleciał na moim miejscu, zostali zabici. Koledzy, którzy myśleli, że to ja zginąłem, byli bardzo zdziwieni, kiedy mnie spotkali później spacerującego po pokładzie. Jak powiedział Mark Twain: „Wiadomość o moim odejściu na wieczną wachtę była nieco przedwczesna”.

Drugie podobne zdarzenie miało miejsce w czasie lądowania we Francji. Byłem wówczas oficerem radarowym na krążowniku polskim O.R.P. „Dragon”. Tuż przed wyjściem do miejsca postoju, z którego wyruszyła armada inwazyjna, został zamontowany na okręcie nowy aparat radarowy, który miał za zadanie tłumienie fal radiowych i radarowych. W pierwszym dniu akcji (D + 1) „Dragon” znalazł się pod ostrzałem lądowych dział niemieckich w okolicy Le Havre. W czasie tej akcji włączyłem aparat i stałem oparty o nadbudówkę, czytając instrukcje. Po pewnym czasie zmęczony stanem usiadłem na pokładzie. Ledwie usiadłem, usłyszałem stuk. Spojrzałem do góry i zauważyłem dziurę w nadbudówce dokładnie w tym miejscu, gdzie była moja głowa. Pomyślałem sobie: „Jak to dobrze, że usiadłem”.

Dziura w nadbudówce była zrobiona odłamkiem pocisku z baterii niemieckiej, ostrzeliwującej nas z ukrycia gdzieś pod Le Havre.

J.K.Z.: — *A jakie pamiętasz najbardziej wzniosłe wrażenia wojenne?*

M.B.: — Trudne pytanie. Wzniosłych momentów musiało być wiele. Każde wyjście w morze, kiedy patrzyłem na białą czerwoną banderę powiewającą na rufie lub gaflu, było dla mnie wzniosłym momentem. Tak jak zresztą każde wspomnienie w gazetach lub radio w czasie wojny o wyczynach polskich sił zbrojnych. O ile pamiętam, na krążowniku angielskim „Exeter” w niedzielę odbywało się uroczyste podniesienie bandery. Cała załoga (800 osób) stała na baczność na rufie, a orkiestra *Royal Marines* grała hymn polski i angielski. Było nas czterech podchorążych Polaków, salutujących z wielką dumą na dźwięk naszego hymnu narodowego. To był jeden z momentów wzniosłych.

ROZMOWA OGÓLNA

J. K. ZAWODNY: — *Jakie były stosunki między oficerami a polskim dowództwem? Czy byliście zadowoleni z admirała Świrskiego?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Na ogół tak. Wiele zarzutów było, moim zdaniem, nieuzasadnionych. Znałem Świrskiego w miarę dobrze. Miałem z nim nawet pewną kontrowersję, ale zawsze uważałem go za doskonałego organizatora. Zawdzięczamy mu rozbudowę marynarki. Miał wielkie trudności ze zdobyciem funduszków na to. Przecież mówiło się: „Na flotę nie ma floty”. I rzeczywiście nie było „floty”, bo przecież biedna Polska bokami robiła po odzyskaniu niepodległości. On jednak mimo wszystko zdołał wydobyc trochę pieniędzy. Bądź co bądź mieliśmy nowoczesne niszczyciele jak „Grom” i „Błyskawica”. To były jedyne okręty w całej flocie alianckiej, które miały Boforsy. Konsekwentnie wiedział, co trzeba zrobić, doskonale plany przeprowadzał, nie wszystkie mógł wykonać, bo nie miał możliwości.

J. K. ZAWODNY: — *Czy Świrski miał dobre stosunki z Anglikami? Szanowano go?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — *Może go szanowano, ale nie bardzo*

lubiano. Tak słyszałem, ale szczegółów nie znam, bo byłem na morzu. Może dlatego, że był suchy, bez humoru, o zawsze poważnej twarzy. Ale był doskonałym szefem kierownictwa, utrzymał się przez tyle lat, potrafił pozostać na swoim stanowisku przy różnych zmianach politycznych. Więc był inteligentny, był mądry i był zdecydowany i uparty. Dążył do swego celu.

J. K. ZAWODNY: — *Jakie były stosunki między oficerami a podoficerami i marynarzami? Mam nadzieję, że będziecie mówili nie tak, żeby to ładnie wyglądało, tylko tak jak rzeczywiście było.*

M. BIAŁOWSKI: — Ja mam trochę doświadczenia z marynarki brytyjskiej, jeśli chodzi o stosunki między oficerami a podoficerami. Mimo, że zróżnicowanie społeczne było dużo większe aniżeli w polskiej marynarce, regulaminowo każdy oficer musiał spotykać się ze swoimi marynarzami, rozmawiać z nimi prywatnie, wysłuchiwać ich problemów. To było tradycyjnie ustalone. Dowódcy oddziałów i ich zastępcy musieli co jakiś czas zasiąść z marynarzami w ich pomieszczeniach, aby wysłuchać ich problemów i poznać ich bliżej. Przed wojną marynarze i podoficerowie mieli swoje mesy, ale w czasie wojny ten przywilej został zniesiony, bo za dużo było z tym kłopotu. Oficer oddziałowy musiał dopatrzeć i dopilnować, aby jego marynarze dostali porządną strawę.

J. P. TUMANISZWILI: — Jeżeli chodzi o nasze stosunki, to pomimo barier społecznych, które dzisiaj nazwalibyśmy dyskryminacją, stosunki na okrętach bojowych były na ogół bardzo dobre. Wiele oczywiście zależało od dowódcy i jego podejścia do załogi. Oficerowie żyli w lepszych warunkach w porównaniu z podoficerami i znacznie lepszych w porównaniu z marynarzami. Oficerowie mieli własne jedno- albo dwuosobowe kabiny. Podoficerowie starsi też mieli małe kabinki na kilku, jak również własne mesy. Marynarze gnieździli się w ciasnych pomieszczeniach, w których nie było żadnych wygod oprócz szafek na własną bieliznę, ubranie i osobiste rzeczy. Oficerowie mieli prawo do picia alkoholu w mesie oficerskiej, tego przywileju nie mieli podoficerowie i marynarze.

W. K. PACEWICZ: — W Royal Navy oficerowie mieli w mesie różne trunki, a marynarze otrzymywali codziennie rum.

J. K. ZAWODNY: — *Czy polska marynarka otrzymywała jakiś alkohol?*

M. BIAŁOWSKI: — Nie. Rum przydzielano jako środek leczni-

czy, albo na wydanie przy specjalnej okazji, ale nie było dziennego wydawania rumu, jak w marynarce brytyjskiej. Natomiast w Stanach Zjednoczonych, kraju o bardzo zrównanej demokracji, na okrętach nie wolno pić alkoholu ani oficerom, ani podoficerom i szeregowym. Do dnia dzisiejszego okręty amerykańskie są „suche”.

W. K. PACEWICZ: — Kwestia morale całej załogi na okręcie to bardzo ważna sprawa. Długie konwoje, patrole na oceanach, zawsze zła pogoda, sztormy, nuda, znużenie — to jest olbrzymi wysiłek. Wszyscy byli zmęczeni po dwu-trzytygodniowym pobytku na morzu.

J. P. TUMANISZWILI: — Każdy dostawał ciągi, najmłodszy marynarz i najstarszy oficer. W pomieszczeniach marynarskich, gdzie niektórzy spali w hamakach w trzech kondygnacjach, smród był okropny, bo nie wolno było otwierać iluminatorów dla przewietrzenia. Smród i zaduch, wszystko mokre, ubranie i pościel, wszystko się stale przewracało ze względu na nieustające przechyły i huśtanie. Podziwiałem wtedy, a teraz jeszcze bardziej podziwiam tych, którzy to przetrwali bez skarg. Morale było wysokie i na ogół wszyscy oficerowie to rozumieli.

W. K. PACEWICZ: — To przecież trwało lata. Od 1 września 1939 roku do ostatniego dnia wojny był jeden nieustający wysiłek. Regularne wojsko siedziało przez trzy lata w Szkocji i czekało na akcje. Nawet lotnicy, pomimo olbrzymich wysiłków, mieli spokojne okresy. Natomiast marynarka bez przerwy miała trudne życie. I chociaż nie było u nas tak wielkich bitew czy wyczynów jak Falaise, Monte Cassino czy battle of Britain, to wysiłek był nieustanny, nieprzerwany, na oceanach i na morzach — od Spitzbergen w północnej Norwegii do Dakaru, od Halifaxu w Kanadzie do Turcji na Morzu Śródziemnym. Nasze okręty prawie nieustannie były w stanie bojowym i gotowe do wyjścia na morze.

J. K. ZAWODNY: — *Czy byli Brytyjczycy zaokrętowani na naszych okrętach i jaki był stosunek załogi do nich?*

J. P. TUMANISZWILI: — Od chwili przybycia naszych trzech niszczycieli do Wielkiej Brytanii zostali zaokrętowani oficerowie łącznikowi, każdy z małym zespołem sygnalistów i specjalistami od szyfrowania. Zajmowali się sygnałami wymagającymi odszyfrowania. Pamiętam doskonale pierwszego oficera łącznikowego, *lieut.-cmdr.* Dennisa, który w krótkim czasie stał się naszym wielkim przyjacielem.

J. K. ZAWODNY: — *Jak odnosiły się do nich załogi?*

J. P. TUMANISZWILI: — Zupełnie dobrze. Nie było antagonizmów. Brytyjczycy mieli zawsze swoje własne pomieszczenie, trzymali się razem, przyrządzali własne jedzenie. Osobiście miałem z podoficerami brytyjskimi bardzo dobre stosunki. Pamiętasz, Wilusiu, *Petty Officer'a* Landa z „Krkowiaka”?

W. K. PACEWICZ: — Pamiętam bardzo dobrze. Dostał później Krzyż Walecznych od admirała Świrskiego. W albumie jest jego fotografia.

J. K. ZAWODNY: — *Panie komandorze, w związku z dyscypliną na okrętach — proszę opisać okręt „Gdynia”.*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — O.R.P. „Gdynia” był oryginalnym starym statkiem pasażerskim. Jako SS „Kościuszko” został przez polskie Ministerstwo Przemysłu i Handlu przekazany Marynarce Wojennej na okręt-bazę. Stał w Davenport. Na tej bazie skupiali się wszyscy niezaokrętowani na niszczycielach i okrętach podwodnych, kórzy byli w Wielkiej Brytanii. Szkoła Podchorążych też tam była. Przywiozłem sam z Francji 96-ciu ludzi, bardzo mizernie umundurowanych, ale w niezwykle dobrym nastroju, każdy nastawiony do sprawy patriotycznie. Pierwsze wrażenie z O.R.P. „Gdynia” nie było pozytywne. Było na tym okręcie kilku wyrzutków z marynarki handlowej. Możliwe, że byli w kontakcie z jakimiś wywrotowymi elementami brytyjskimi, bo wychodzili często na ląd, wracali pijani i mieli na to pieniądze. Natychmiast powstawały awantury, łącznie z wykroczeniami dyscyplinarnymi.

J. K. ZAWODNY: — *Czy były dezercje?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Na O.R.P. „Błyskawica” był zaokrętowany marynarz ochotnik ze Stanów Zjednoczonych — anglosaskiego pochodzenia William Martin. Pewnego dnia w styczniu 1942 roku w Liverpoolu nie powrócił z lądu. Jak się okazało, zdezerterował. Złapany, tłumaczył się, że nie mógł znieść złego traktowania na okręcie, co oczywiście nie było zgodne z prawdą. Widocznie zgłaszał się do polskiej marynarki wojennej, wyobrażał sobie, że czeka go wielka przygoda. Twarda rzeczywistość zawiadła jego oczekiwania. Druga dezercja, o której słyszałem, zdarzyła się na Morzu Śródziemnym w 1943 roku. O.R.P. „Krkowiak” wszedł do Hajfy. Wśród załogi było trzech Żydów i z tych trzech dwóch zdezerterowało. Były inne wypadki

gdzieś indziej, ale w sumie wypadki dezercji z Marynarki Wojennej można policzyć na palcach jednej ręki.

W wojsku były również kłopoty. Prasa w Wielkiej Brytanii rozpisywała się o tym, że Żydów traktuje się źle w polskich siłach zbrojnych. Marynarz Żyd, który pozostał na „Krakowiaku”, napisał artykuł do *Polski Zbrojnej*, że jest to nieprawda. Napisał mniej więcej tak: „Jestem Żydem na polskim okręcie. Jestem biednym Żydem. Ojciec był krawcem, a mimo to ja z bratem mieliśmy tylko jedno spodnie. Jak on wychodził, to ja nie mogłem nigdzie wyjść. Tutaj czuję się jak jeden z załogi i nikt nigdy nie robi mi przykrości, że jestem Żydem”.

Na „Ślązaku” mieliśmy jednego marynarza Żyda z Krakowa, nazywał się Jan Frydrieh. Był doskonałym operatorem radia podsłuchowego. Mówił dobrze po niemiecku. Przedstawiłem go do Krzyża Walecznych, który otrzymał.

M. BIAŁOWSKI: — Wracając do dyscypliny, mam jeden dobry przykład do opowiedzenia. Dowódcy dwóch niszczycieli, brytyjskiego i polskiego, postanowili wymienić się w przeglądzie okrętów. Brytyjczyk miał przeprowadzić przegląd polskiego okrętu, a Polak brytyjskiego. Żebyście widzieli, jak nasi marynarze zabrali się do czyszczenia! Sam pomysł był doskonałym pociągnięciem, ta rywalizacja zbliżyła do siebie te dwa niszczyciele.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Jeszcze słów parę na temat morale: nadszedł najsmutniejszy okres w naszej marynarce, kiedy mieliśmy zdawać okręty. Ja na O.R.P. „Conrad” miałem już tylko pół załogi, połowa została odesłana do Szkocji do opieki nad barkami inwazyjnymi, które konserwowali. „Conrad” stał w Plymouth, przygotowując się do zdania. Mimo przybicia, dyscyplina i porządek były wzorowe i okręt wyglądał czystutko. Kiedy zaprosiłem brytyjskiego komandora z żoną na lunch, powiedział żonie: „Molly, zobaczysz najlepiej i najczyściej utrzymany okręt w całej flocie obszaru Plymouth”. Rzeczywiście tak było, bo każdy usiłował nawet w najgorszych warunkach wykonać jak najlepiej swoją pracę. Morale było naprawdę bardzo wysokie.

J. K. ZAWODNY: — *Jakiego rodzaju przestępstwa zdarzały się na okrętach bojowych?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Przeważnie pijackie wybryki po powrocie z lądu.

J. K. ZAWODNY: — *Co jedliście na okrętach? Czy były różnice pomiędzy polskim i angielskim zaprowiantowaniem?*

J. P. TUMANISZWILI: — Na ogół prowiant dostarczano z apro wizacji brytyjskiej. Nie było dużego wyboru. Śniadania to gorąca kawa z pajdą chleba, kostka masła, może jakiś serek albo dżem. Na drugie śniadanie, które było według tradycji polskiej głównym posiłkiem dnia, pomiędzy 11.30 a 12.30, dostawaliśmy zawsze zupę, chleb, jakieś mięso, kartofle, kapustę, czasami świeże jarzyny, czasami rybę. Na morzu niektóre posiłki były z puszek. Oficerowie mieli własną kuchnię z własnym kucharzem. Dopłacaliśmy trochę z własnej kieszeni, na ogół jedzenie było znośne, w każdym razie żywił się lepiej od ludności cywilnej.

J. K. ZAWODNY: — *Jakie było typowe śniadanie, obiad i kolacja na angielskich okrętach?*

M. BIAŁOWSKI: — Mówiliśmy już o tym, że w polskiej marynarce kucharzem był marynarz bez żadnego wykształcenia kucharskiego. W brytyjskiej marynarce główny kucharz był jednym z najstarszych podoficerów w randze co najmniej starszego bosmana. Stopień był bardzo ważny, bo był wykształconym kucharzem i należało mu się odpowiednie wynagrodzenie. W obsłudze kuchni byli również pomocnicy, np. zawodowy piekarz. Piekł codziennie świeży chleb. Taka była zasadnicza różnica.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Kucharze w naszej marynarce byli szkoleni na kursach kucharskich. Oczywiście byli więcej albo mniej doświadczeni, ale na ogół byli niezli.

W. K. PACEWICZ: — Mówiąc o wyżywieniu, znowu wracam myślą na O.R.P. „Ślązak”. Tym razem dowódcą był kmdr ppor. Bohdan Wroński. Przez kilka miesięcy eskortowaliśmy konwoje na trasie Londonderry (Północna Irlandia) — Gibraltar. Załogi szybciej się orientują w sprawach życia na lądzie niż mesa oficerska. Załoga kupowała w Gibraltarze zielone, niedojrzałe banany. W jednym z tych krótkich rejsów, właśnie z Gibraltaru do Irlandii, okręt był do tego stopnia zapchany bananami, że aż mi było nieprzyjemnie. Myślę sobie: jak dowódca zobaczy, że w pomieszczeniach przejść nie można, wszędzie porozwieszane kiście bananów, to nie będzie dobrze! Więc powiedziałem oficerom odpowiedzialnym za porządek w pomieszczeniach załogi, że to ostatni raz i że więcej już nie będziemy zaopatrywać Wielkiej Brytanii w świeże owoce.

Okazuje się, że po zakotwiczeniu w zatoce Londonderry, która graniczy z „wolną” Irlandią, ni stąd ni zowąd na łodziach i motorówkach przyjeżdżali skądś ludzie, którzy szybko kupowali

te banany. Właściwie nie kupowali, tylko wymieniali na jajka, bo w naszej bazie w Plymouth nie było jajek, a cywile dostawali na kartki jedno jajko na tydzień. Więc wymiana była doskonała. Tak jak przewidywaliśmy, okręt otrzymał rozkaz powrotu do bazy w Plymouth i zapowiadało się, że będzie dłuższe wyjście na ląd, a może nawet krótkie urlopy. W Plymouth jajka były ważne, jeśli chodzi o kontakty z ludnością brytyjską i z dziewczynkami, które załoga znała na lądzie. Witali ich jak wybawicieli. Tylko, że Bohdan Wroński był zawsze szybki i zdecydowany, już z zatoki Londonderry „grzaliśmy” do Plymouth pełną parą. Na Morzu Irlandzkim była dosyć duża dziobowa fala. Okrętem niesamowicie trzęsło i rzucało. Przyszła do mnie delegacja załogi. Pytam o co chodzi? Mówią: — „Panie kapitanie... jajka! Jajka nam dowódca rozbija! Nasz 'Ślązak' jest pełen jajek... tłuką się... tak przecież nie można, co one powiedzą, jak przyjedziemy bez jajek...”. — Teraz ja musiałem przyznać się dowódcy, który nie wiedział, że były banany, a teraz są jajka. — „Wili, co ty opowiadasz!? Uprawiamy handel, czy co?” — patrzył się na mnie z niedowierzaniem. Odpowiedziałem: — „No, były banany... teraz są jajka, jedziemy na urlop, oni muszą zobaczyć swoje ukochane, a poza tym dogodzić sobie w kuchni okrętowej”. — „No dobrze, zwolnię nieco” — zgodził się dowódca. Jajka zostały uratowane, ale musiałem tłumaczyć się ze swojej „liberalnej” polityki w stosunku do załogi.

J. K. ZAWODNY: — *W jaki sposób nasi marynarze spędzali urlopy w Wielkiej Brytanii?*

J. P. TUMANISZWILI: — Pierwsze nasze urlopy nie były specjalnie udane, bo wszyscy byliśmy pod strasznym wrażeniem klęski w Polsce, podczas gdy nam tu w Anglii powodziło się zupełnie dobrze. To było moralnie trudne do zniesienia. Na przykład pierwsze Boże Narodzenie 1939 roku spędziliśmy w Chatham. Część załogi pozostała tam, bardzo przychylnie witana przez miejscową ludność, część wyjechała do Londynu. Nie było jeszcze takiej więzi i takiej bliskości, jakie się później zawiązały. Niektórzy marynarze wyjeżdżali do swoich przyjaciół, a niektórzy spędzali święta na okręcie i w pobliskich barach. Ale w miarę upływu czasu prawie każdy znalazł czy to polską, czy też brytyjską rodzinę, do której się starał przytulić.

J. K. ZAWODNY: — *Humor w polskiej kulturze odgrywa bardzo ważną rolę. Pamiętacie może jakieś anegdoty z tamtego czasu?*

J. P. TUMANISZWILI: — Wracaliśmy razem z krążownikiem H.M.S. „Diadem” z bitwy z bateriami nabrzeżnymi (walili w nas jak w kaczy kuper, na szczęście nie trafili) do bazy w Plymouth. Był rok 1944. Dowódca zespołu zarządził szybkość 15 węzłów. Kalkulowaliśmy w kabinie nawigacyjnej, że idąc tą szybkością przyjdziemy do Plymouth gdzieś koło północy. Stałem wtedy na pomoście jako oficer wachtowy, zdecydowaliśmy się z kolegami wysłać sygnał do admirała takiej treści: „*Request permission to increase speed. I have a date tonight*”. (Proszę o pozwolenie zwiększenia szybkości. Mam randkę dzisiaj wieczorem). Po jakimś czasie przyszła odpowiedź: „*Increase speed to 20 knots. What is her telephone number?*” (Podwyższyć szybkość do 20 węzłów. Jaki jest jej numer telefonu?).

M. BIAŁOWSKI: — Ja pamiętam zdarzenie z „Błyskawicy” w Gibraltarze. Koło nas stał brytyjski niszczyciel, burta w burłę, tak że otwarte iluminatory pasowały do siebie. Mieliśmy na okręcie małą Betty. Była złośliwa, ale bardzo inteligentna, uwiązana na długim sznurku, żeby sobie mogła skakać. Zanim skoczyła z jednego miejsca na drugie, to najpierw patrzyła, czy ma wystarczająco luźny sznurek, żeby nie zawisnąć. Takie to mądre było stworzonko. I raptem zrobił się prawie międzynarodowy incydent, bo dowódca brytyjskiego niszczyciela przyszedł z zażaleniem do naszego dowódcy, że polski marynarz zdemolował jego łazienkę. Co za cholera? Okazuje się, że Betty na tym długim sznurku poprzez otwarty iluminator wlaźła do jego łazienki i wszystko rozrzuciła po podłodze! Co najgorsze, zniszczyła wszystkie żyletki które jest tak trudno dostać — skarżył się Anglik — a w dodatku powyciskała pastę do zębów.

J. P. TUMANISZWILI: — Rzecz się dzieje w tym czasie, kiedy Amerykanie oddali Brytyjczykom swoje czterokominowe stare niszczyciele z pierwszej wojny światowej. Byliśmy wtedy w Scapa Flow na przeszkoleniu, było to na „Krakowiaku”. Jeden z tych niszczycieli, obsadzony przez Kanadyjczyków, został do nas przyłączony. Też był na przeszkoleniu. Nazywał się H.M.S.C. „Broadway”. Staliśmy na kotwicy, burta w burłę. Zastępca dowódcy, Kanadyjczyk, wysoki, młody mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, z dwoma pistoletami wiszącymi na biodrach, z dymiącym cygarem, robił na nas ogromne wrażenie. „Ten to dopiero musi być chojrak!” — Wyszliśmy razem na ćwiczenia artyleryjskie. Trzeba było strzelać do tarczy, którą ciągnął holownik. Pogoda była marna, duża fala, zła widoczność, chmury nisko leżały, zimno i nieprzyjemnie. Dowódca nasz, komandor ppor. Gorazdowski, prowadził cały zespół. „Broadway” siedł w szyku torowym za

nami. Podeszliśmy do tarczy w ten sposób, żeby można było strzelać z lewej burty. Oddałem swoje salwy, uzyskując obramowanie, a teraz czekamy na salwy „Broadway’a”. Upływa pewien czas. Nie strzela. Sygnalizujemy do niego, że najwyższy czas na jego strzelanie. Po pewnym czasie przychodzi odpowiedź: „Przepraszam, nasze działa nie obracają się na lewą burtę”.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Na O.R.P. „Ślązak” prowadzimy konwój idąc na wschód, mijamy Bizertę, otrzymujemy sygnał, że z Bizerty dołączy do nas francuski okręt podwodny. A mieliśmy sygnalistę, który był ochotnikiem z Francji, biegle mówił po francusku, więc go zawołałem: „Napisz sygnał po francusku, że miło nam jest was powitać”. Coś w tym rodzaju, aby to był uprzejmy sygnał. Mój sygnalista, ochotnik z Francji, wysłał to powitanie w języku francuskim. Potem jest jakaś przerwa i za chwilę wzywa nas ten okręt francuski sygnałem: „Repeat in English, please”.

J. K. ZAWODNY: — *Dlaczego dowódca „Pioruna” nie otrzymał tego samego odznaczenia co inni dowódcy niszczycieli, które były w tym samym dywizjonie w ataku na „Bismarcka”?*

W. K. PACEWICZ: — Dodam do tego pytanie, dlaczego nie otrzymał żadnego polskiego odznaczenia?

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Wiem, że były pod jego adresem krytyki, moim zdaniem nieuzasadnione. Zawsze łatwo jest krytykować od biurka w Londynie, inna sprawa, jak się stoi na pomoście okrętu w sztormowej pogodzie.

J. P. TUMANISZWILI: — Zarzucano dowódcy „Pioruna”, że nie wykorzystał okazji strzelania torped. Ale komandor Pławski (dowódca) pisał o tym zupełnie otwarcie w *Naszycy Sygnałach* (czasopismo Stowarzyszenia Polskiej Marynarki na Uchodźstwie). Pisał, że za jego plecami przeprowadzono śledztwo, wypyując oficerów i podoficerów. Moim zdaniem tego rodzaju dochodzenie było zupełnie nie na miejscu. Pławski tłumaczył się, że nie było możliwości strzelenia torped ze względu na straszne przechyły, fala była wysoka z rufy i okręt nie słuchał steru. Poza tym był za daleko od pancernika, który prażył ze wszystkich swoich dział.

J. K. ZAWODNY: — *Czy nie odwołano go już w tym czasie?*

W. K. PACEWICZ: — Miał okazję podejść raz jeszcze, ale nie

mógł znaleźć „Bismarcka”, bo był sztorm i bardzo zła widoczność. Jak strzelać torpedy, kiedy nie ma w co?

J. P. TUMANISZWILI: — Ale z drugiej strony, jeśli spytać na przykład Kazika Hessa, który był oficerem artylerii i strzelał do „Bismarcka”, to on w dalszym ciągu mówi: „Mój Boże, mieliśmy cholerną okazję...”.

W. K. PACEWICZ: — Moim zdaniem Pławski na tle historii przedstawia się znacznie lepiej aniżeli jego brytyjscy koledzy, którzy wprawdzie wykonali atak torpedowy, ale z daleka i ostrożnie, tak że nie uzyskali ani jednego trafnego strzału. A Pławski, angażując uwagę „Bismarcka” w pojedynku artyleryjskim, pozwolił flotylli niszczycieli ustawić się i wykonać atak, który powinien był zakończyć się ich zwycięstwem.

J. K. ZAWODNY: — *Mówimy teraz o pięciu polskich okrętach podwodnych. Dwa z nich dotarły do Wielkiej Brytanii. „Wilk” pierwszy, po 20-tu dniach, a „Orzeł” drugi, po 43-ech dniach. Trzy dały się internować w Szwecji. Dlaczego?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Bo były uszkodzone i brakowało im paliwa. „Wilk” zdołał dojść na ostatnich dosłownie kropkach paliwa do Wielkiej Brytanii. „Orzeł”, jak było wiadomo w owym czasie wszystkim, został pod presją niemiecką i sowiecką internowany w Estonii, zdołał wyrwać się i uciec z internowania. Miał on większy zapas paliwa, więc został jeszcze na patrolu, usiłując prowadzić wojnę aż do momentu, kiedy mu pozostało dostatecznie ropy, ażeby dotrzeć do Wielkiej Brytanii

J. K. ZAWODNY: — *Mówiąc o ludziach walczących o naszą wolność w ramach Marynarki Wojennej, chciałbym podkreślić fakt, że polskie kobiety brały w niej udział w różnych funkcjach. Co każdy z Panów może o tym powiedzieć?*

M. BIAŁOWSKI: — W pierwszym okresie polskiej marynarki w Wielkiej Brytanii nie mieliśmy kobiet w służbie morskiej, mieliśmy tylko personel urzędniczy, sekretarki, stenotypistki.

J. K. ZAWODNY: — *W mundurach?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Nie, to były cywilne urzędniczki. Natomiast pod koniec wojny, kiedy właściwie było już po lądowaniu w Normandii, dostaliśmy szereg kobiet w Europie, które albo zwolniono z obozów koncentracyjnych, albo z obozów pracy, albo z Armii Krajowej. I wtedy została zorganizowana służba

kobiet w wojsku, lotnictwie i marynarce. Te panie oddawały wielkie usługi przez stosunkowo krótki okres ich służby, już pod koniec wojny.

W końcu wojny, w roku 1945, pracowałem jako oficer sztabowy w Kierownictwie Marynarki Wojennej i obserwowałem prace kierowniczkich służby kobiet, Ewy Miszewskiej. Była zdaje się kapitanem, a może porucznikiem. Obserwowałem, jak energicznie i z jakim talentem organizowała tę służbę i służba zaczęła przynosić rezultaty. W końcu wojny potrzeba było uzupełnienia naszego wysiłku zbrojnego ze strony kobiet.

J. P. TUMANISZWILI: — Ewa Miszewska była ładną i atrakcyjną kobietą, ale miała silnego zęza. Jest na ten temat anegdotka. Ewa przeglądała swoje wojsko pań stojących w dwuszeregu. Podchodzi do pierwszej i patrząc się na nią zapytuje: „Jak ochotniczce na imię?” — Druga z rzędu odpowiada: „Melduję posłusznie moje...” — Ewa zwraca się do tej drugiej i mówi: „Ja ochotniczki nie pytałam” — a trzecia odpowiada: „Ja nic nie mówiłam”.

J. K. ZAWODNY: — *Specjalnie poruszam sprawę kobiet, gdyż tradycyjnie polskie kobiety miały wspaniałą kartę patriotyczną w drugiej wojnie światowej, a szczególnie w Armii Krajowej, gdzie były tysiące kobiet w służbie bojowej.*

Jak się przedstawiała sprawa powrotu po wojnie do Polski? Który z Panów chce zacząć?

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Gdy sprawa ta narastała, byłem dowódcą O.R.P. „Conrad”. To był największy z naszych okrętów, miał największą załogę i była kwestia utrzymania ducha wśród ludzi. Skończyliśmy wojnę właściwie zwycięsko, oczekiwaliśmy, że po wojnie wrócimy do kraju, a sytuacja polityczna stała się taka, że wielu ludzi uznało, że Polska nie będzie miała ani wolnych wyborów, ani wolności działania. Nie będzie polskim państwem niepodległym. Wezwał mnie przed wyznaczeniem na dowódcę szef kierownictwa, admirał Świrski, i powiedział: „Panie komandorze, ja pana chcę wyznaczyć na dowódcę „Conrada”, bo obecny dowódca jest chory, a morale załogi mizerne ze względu na istniejącą sytuację. Niech pan robi co może, pan jest sportowiec”. — Pierwszy raz przyznał, że jako sportowiec mam pewne możliwości. Do tej pory byłem „zwariowanym sportowcem”. Oczywiście rozpoczęliśmy pracę nad morale. Dostawaliśmy informacje z biura informacyjnego naszego kierownictwa Marynarki, poza tym miałem dużo własnych wiadomości, nie mó-

więc już o tym, że znałem dobrze sowieckie metody, bo spędziłem 5 lat po rewolucji w Sowietach, zanim zdołałem przedostać się do Polski. Więc miałem osobistą ocenę, którą uważałem za słuszną. Raz na tydzień wygłaszałem pogadanki, przygotowywałem ludzi czego mogą oczekiwać w Polsce. Przykro mi, ale wszystko się sprawdziło. Po pogadankach przychodziły do mnie całe grupy podoficerów: — „Panie Komandorze, co Pan radzi? Wracać czy zostać w Anglii?”. Na to im odpowiadałem (zresztą była to oficjalna nasza instrukcja), że nie mogę nic radzić, moim zadaniem jest przedstawić sytuację, ale decyzja jest indywidualna i nikt nie będzie potępiał, jeżeli postanowicie wracać. — „Niedużo wam będziemy mogli dopomóc, jeżeli pozostaniecie. Jeżeli ktoś ma rodzinę albo uważa, że musi wracać, nikt go za to nie potępi”.

W tym okresie przybył do Londynu komandor Jerzy Kłosowski jako *attaché* morski PRL-owskiej ambasady i usiłował ze wszystkimi spotykać się i namawiać na powrót do Polski. Przyjechał do Edynburga, ja byłem w Rosyth na „Conradzie”. W hotelu Caledonian spotkał mego sekretarza Kostka Rejnert-Śmigalskiego, podporucznika. — „Niech pan powie dowódcy, że chcę się z nim zobaczyć, niech przyjdzie jutro na 6-tą godzinę”. — Oczywiście nie miałem ani chęci, ani zamiaru przychodzić. Znałem Kłosowskiego doskonale przed wojny. Był dyrektorem w szkole podchorążych, starszym oficerem. Nie spotkałem się z nim. Po powrocie do Polski widocznie musiał się jakoś tłumaczyć, dlaczego spotkał się z tym i tamtym, a nie spotkał się z Tymińskim. Kłosowski ponoć opowiadał, że nie było sensu spotykać się z Tymińskim, bo on był tak wrogo nastawiony do Polski Ludowej, że „boksował marynarzy, którzy zgłaszali się na powrót do Polski”.

M. BIAŁOWSKI: — Mnie w ogóle do głowy nie przyszło, żeby wrócić do Polski w takiej sytuacji. Nie pamiętam żebym potrzebował myśleć na ten temat: to było wykluczone! Ale byłem narażony na porady pewnych kolegów, którzy namawiali do powrotu.

J. P. TUMANISZWILI: — Opowiem ciekawą sprawę. Kolega mój z podchorążówki, prymus naszego rocznika Józef Bartosik, ożenił się z córką brytyjskiego admirała. Przez pewien czas był również adiutantem naszego admirała Jerzego Świrskiego. Te dwie pozycje dały mu możliwość obracania się w sferach dyplomatycznych i ustawiły go na dość wysokiej platformie. Tak się złożyło, że jeden z kuzynów jego żony został wydelegowany z

misją brytyjską na placówkę dyplomatyczną do Warszawy, może Lublina. Będąc tam na miejscu napisał do Bartosika długi list, którego oryginał czytałem osobiście.

J. K. ZAWODNY: — *Który to był rok?*

J. P. TUMANISZWILI: — Październik 1945. Leżałem wtedy w szpitalu Royal Navy w Bristolu, a obok mnie leżał komandor Borys Karnicki, sławny nasz dowódca podwodnik, bohater „Sokoła”. Pewnego dnia zjawił się niespodziewanie porucznik Lipiński (przyjaciel Bartosika) z odręcznym listem od Bartosika do Karnickiego. Ponieważ leżeliśmy obok, słyszałem ich rozmowy i sam brałem w nich udział.

J. K. ZAWODNY: — *To ty byłeś w szpitalu?*

J. P. TUMANISZWILI: — Tak, leczyłem wrzód dwunastnicy, Karnicki tak samo. Ten list od kuzyna był napisany po angielsku, niby to prywatny, ale niewątpliwie scenariusz był z Foreign Office.

J. K. ZAWODNY: — *Pisany przez Anglika z Warszawy?*

J. P. TUMANISZWILI: — Tak, pisany po angielsku i wysłany z Polski. Nicią przewodnią była koncepcja powrotu całej naszej floty wraz z okrętami, które przyjęliśmy od Brytyjczyków, pod warunkiem, że Polska Ludowa zgodzi się na to, aby bazy zaopatrzeniowe i reperacje były w Wielkiej Brytanii. To znaczy: my wszyscy wracamy na okrętach i stajemy się flotą Polski Ludowej z bazami w Wielkiej Brytanii. Ponieważ koncepcja ta jest wroga zamiarom naszych obecnych przywódców, należałoby wyłamać się z obowiązujących ram, wzniesając bunt, najpierw wśród oficerów. Trzeba by znaleźć szanowanego, uznanego i cieszącego się popularnością dowódcę, który by to poprowadził. Na szefa kierownictwa, który powróciłby do Polski z tą całą flotą, „list” typował komandora Dzienisiewicza.

W. K. PACEWICZ: — *Dzienisiewicza? I on się na to zgodził?*

J. P. TUMANISZWILI: — Podobno tak, ale później się wycofał. Karnicki musiał natychmiast odpowiedzieć. Poprosił Lipińskiego, aby opuścił nas na kilka minut, abyśmy mogli ze sobą podyskutować. Co z tym fantem robić? — Ja powiedziałem, że się zupełnie na to nie zgadzam. Do komunistycznego kraju nie wrócę. Zostanę na Zachodzie. Bardzo to smutna decyzja, ale tak się stało. Karnicki też zdaje się odpowiedział odmownie.

Co się stało później z tą koncepcją, nie wiem. Bartosik pozostał w Wielkiej Brytanii, został przyjęty do Royal Navy, w której zrobił błyskotliwą karierę, zostając admirałem. Lipiński wrócił do Polski.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Przed objęciem „Conrada” admirał Świrski wezwał mnie na rozmowę. Przedstawił upadek ducha na „Conradzie” i powiada: „Ma Pan tam pierwszego oficera artylerii, kapitana Bartosika, który ma bardzo oryginalne nastawienie i gdyby się zachował w sposób nie odpowiadający Panu, niech Pan do mnie dzwoni natychmiast i ja go od Pana zabiorę”. — To był czerwiec 1945. Na „Conradzie” ustosunkowałem się do każdego jednakowo, również do Bartosika, lubiłem go i wysoce ceniłem. Znałem go poprzednio, byliśmy razem na „Iskrze” i na „Błyskawicy”. Podczas jednej z pogadank przedstawiłem, jak sytuacja może się ułożyć w Polsce. Przemówienie nadawano przez mikrofon, załoga słuchała w swoich pomieszczeniach wraz ze swoimi dowódcami oddziałów. Po pogadance przyszedł do mnie kapelan okrętowy, do którego zgłosił się jeden z podporuczników z następującym raportem. Kiedy skończyłem pogadankę, Bartosik zerwał się ze swego siedzenia, zwracając się do swego oddziału słowami: „Wcale nie jest tak źle, jak dowódca powiedział!” — Natychmiast poszedłem do telefonu, zadzwoniłem do admirała i następnego dnia przyszedł sygnał, że kapitan mar. Józef Bartosik odchodzi do specjalnych poruczeń w kierownictwie Marynarki Wojennej. Na jego miejsce przyszedł kpt. mar. Józef Anczykowski.

W. K. PACEWICZ: — Będąc wnukiem zesłańca na Sybir, orientowałem się od dziecka, w jakich warunkach może się znaleźć człowiek wracający do Polski komunistycznej. Dziadek mój był wywieziony z całą rodziną do kopalni srebra na Uralu. Po pięciu latach ciężkiej pracy całej rodziny w kopalniach rodzina została zwolniona i mogła poruszać się po Rosji, ale nie mogła wrócić do kraju rodzinnego, do Wileńszczyzny. Urodziłem się w Archangielsku. Rodzice ciężkie lata rewolucji przeżyli, dużo członków rodziny zginęło. Powrót do Polski po wielkim zwycięstwie w wojnie polsko-bolszewickiej był dla nas wyzwoleniem. Do warunków mojego dzieciństwa wracać nie chciałem.

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — Miałem na „Conradzie” 500 ludzi załogi, a wśród nich 30 oficerów. Pewien procent, od oficerów do najmłodszego marynarza, przechodził wielkie, ciężkie problemy emocjonalne. Wracać? Nie wracać? Tam rodzina, rodzice, co robić? Nawet poważni, starsi oficerowie łamali się, ale więk-

zość, znając warunki — szczególnie ci, którzy pochodzili ze wschodnich ziem Polski — nie miała żadnych wątpliwości. Wiadomo było, że tam wracać nie można.

J. K. ZAWODNY: — *Pozwolę sobie włączyć się z osobistym spostrzeżeniem. W tym samym okresie, kiedy Panowie podejmowali te decyzje, ja miałem zaszczyt służyć w 12 Pułku Ułanów Podolskich, w Pancernym Pułku w 2-gim Korpusie w Italii. Psychologicznie mieliśmy te same problemy, co i Panowie w Marynarce z tym, że większość żołnierzy tego pułku przeszła przez Rosję i wyszła z generałem Andersem. Dla nich decyzja nie podlegała dyskusji. Ja jako akowiec wychodziłem z założenia, że Polska nie jest wolna. To nie Polska, o którą walczyłem i nie było sensu wracać.*

Ponieważ większość z nas ma tży w oczach, chciałbym na tym zakończyć ten wywiad.

Ostatnie pytanie. Co możecie Panowie powiedzieć o polskiej marynarce handlowej, która miała bardzo poważny wkład do zwycięstwa aliantów?

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — *My w marynarce wojennej zawsze docenialiśmy pracę, którą wykonywała marynarka handlowa w czasie wojny. Była ona narażona na znacznie większe niebezpieczeństwo niż my, bo my na naszych okrętach mieliśmy szybkość i uzbrojenie, podczas kiedy oni nie mieli szybkości i byli prawie bez uzbrojenia. Przedstawiali łatwe cele dla ataków nieprzyjaciela. Marynarka handlowa to była nasza siostrzyca, która razem z nami orała wody oceanu i która w większym niebezpieczeństwie niż my wykonywała swe zadania, ponosząc ciężkie straty w okrętach i ludziach.*

W. K. PACEWICZ: — *Nasza admiralicja, to znaczy kierownictwo Marynarki Wojennej, doceniała rolę marynarki handlowej, ale nie potrafiliśmy zorganizować dobrze kontaktu z Ministerstwem Przemysłu i Handlu. Wydaje mi się, że Rząd polski w Londynie nie był dostatecznie poinformowany przez kierownictwo Marynarki Wojennej o wybitnej roli naszej marynarki handlowej.*

J. K. ZAWODNY: — *Zbliżamy się do końca wywiadu. Panie Komandorze Nałęcz-Tymiński, czy chciałby Pan coś dodać?*

R. NAŁĘCZ-TYMIŃSKI: — *Mogę tylko powiedzieć, że omówiliśmy tylko część naszego udziału w wojnie.*

W. K. PACEWICZ: — Podpisuję się pod tym, co powiedział komandor Nałęcz-Tymiński. Mówiliśmy tylko o kilku okrętach i niszczycielach, tymczasem rola okrętów podwodnych jest niesłychanie ważna. Mieliśmy też inne okręty, jak ścigacze, a niszczyciel „Garland” nie został w ogóle wymieniony. O.R.P. „Garland” miał też wybitne zasługi wojenne.

J. K. ZAWODNY: — *Bardzo żałuję, że nie mamy tutaj przedstawiciela służby na polskich okrętach podwodnych. Wiele spraw wymagałoby omówienia, na przykład okoliczności zatopienia „Orła” i „Jastrzębia”, rola „Sokoła” na Morzu Śródziemnym, rola „Dzika”. To samo dotyczy roli ścigaczy i kobiet. Dziękuję Panom.*

Rozmawiał Janusz K. ZAWODNY

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Rocznica 70-ciolecia odzyskania niepodległości odbiła się szerokim echem w Kraju i za granicami. Pomijając imprezy o wyraźnie propagandowo-politycznym wydźwięku, odbyło się wiele konferencji naukowych — ja sam uczestniczyłem w dwóch, w Chicago i Londynie — i wydano szereg prac; niektóre z nich są cenne i pożyteczne. Młody historyk warszawski Piotr Wróbel wydał tom pt. *Listopadowe dni 1918: Kalendarium narodzin II Rzeczypospolitej* (Inst. Wyd. Pax, 1988) stanowiący dobry przegląd wydarzeń, głównie wewnętrznych, wraz z interesującym posłowiem, szkicem bibliograficznym i wybranymi ośmiu dokumentami. Są to: Manifest Rady Regencyjnej z 7 października i Dekret o przejęciu władzy nad wojskiem z 12 października i o formowaniu armii z 27-go; Manifest rządu lubelskiego i odezwa tegoż rządu do Warszawy; Odezwa rządu Moraczewskiego do narodu; Dekret o ośmiogodzinnym dniu pracy i początkowe przepisy dekretu o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. Nakładem MON-u ukazał się *Listopad 1918 we wspomnieniach i relacjach* (Warszawa 1988) w opracowaniu Piotra Łossowskiego i Piotra Staweckiego. Pierwszy z nich jest jednym z wybitniejszych historyków polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej i specjalistą od tematyki litewskiej (dwie jego prace nagrodził Instytut J. Piłsudskiego w Nowym Jorku), drugi zajmuje się historią wojskowości tegoż okresu i ma spory dorobek w tej dziedzinie.

Książką miesiąca w grudniu ub. roku była biografia Piłsudskiego pióra Andrzeja Garlickiego. Przyznaję, że książki nie miałem w ręce, ale sądząc z wywiadu udzielonego przez autora jest to skrócona i nieco zmodyfikowana — z naciskiem na osobę samego Marszałka — wersja czterech tomów, obejmujących życie Piłsudskiego na tle rozwoju sytuacji politycznej: *U źródeł obozu belwederskiego*, *Przewrót majowy*, *Od maja do Brześcia* i *Od Brześcia do maja*. Dzieło erudycyjne, które wzbudziło szereg kontrowersji. Z ważnych pozycji dawniejszych „Znak” wznowił *Polskę odrodzoną 1914-1939* Stanisława Kutrzeby; przejrzał ją, uzupełnił i do druku przygotował krakowski historyk Stanisław Grodziski. Nakładem Pax-u z kolei ukazały się dwa tomy Romana Dmowskiego, *Polityka polska i odbudowanie państwa* (1988). Przedmowę napisał i opatrzył komentarzami nieznanymi mi bliżej Tomasz Wituch. Przedmowa, napisana w życzliwym, choć nie całkiem bezkrytycznym tonie, jest rzeczowa i przydatna. Szkoda tylko, że w wyniku dodania przedmowy i wstępu zmieniła się paginacja i ktoś kto korzystał z wcześniejszych wydań będzie musiał mozolnie porównywać strony. Papier jest zły, choć książka jak na polskie warunki nie jest tania (2.250 zł). Oczywiście dla „walutowców” jest to niedużo w porównaniu z wydanym niedawno na Zachodzie (przez Instytut Dmowskiego) czterotomowym wyborem jego pism, zawierającym również *Politykę polską*.

Z pozycji, które ukazały się ostatnio na Zachodzie, odnotować można *Niezapomniane lata: dzieje wywiadu więziennego i wydziału bezpieczeństwa Komendy Głównej Armii Krajowej* (Odnowa, 1987) pióra Józefa Garlińskiego, znanego specjalisty od tematyki polskiej w drugiej wojnie światowej. Z tej dziedziny otrzymaliśmy, też w 1987 roku, Tadeusza Wyrwy *L'Idée européenne dans la résistance à travers la presse clandestine en France et en Pologne 1939-1945* (Nouvelles Editions Latines, Paryż). W roku ubiegłym wśród szeregu wydawnictw o tematyce historycznej, że wspomnę tylko Jana Brzozy *Polski Rok 1919 i Katyń: Wybór publicystyki 1943-1988* i „Lista katyńska”, Polonia opublikowała również wybór moich artykułów (w większości pisanych po angielsku czy francusku) w polskim przekładzie pt. *Z Dziejów dyplomacji*. Również w zeszłym roku ukazał się, w rozszerzonej formie, z załączonym esejem bibliograficznym po angielsku i po polsku, trzeci wykład im. Fundacji M. B. Grabowskiego wygłoszony przeze mnie w School of Slavonic Studies. Tytuł: *Polish Diplomacy 1914-1945, Aims and Achievements*. Warto może przypomnieć, że poprzednie dwa wykłady, opublikowane w tej samej formie (jedynie szata graficzna zmienia się na lepsze) były Normana Daviesa i Jerzego Zubrzyckiego. Następnym powinna być prelekcja Jacka Woźniakowskiego.

Warta wzmianki jest pionierska praca Józefa Łaptosa, *Pakt Brianda-Kellogga* (Wyd. Naukowe, WSP, Kraków 1988), pionierska choćby w tym sensie, że pierwsza w Polsce traktująca ten temat

tak wszechstronnie i wyczerpująco. Nakład 300 egzemplarzy sprawia, że będzie to biały kruk. Autor napisał poprzednio bardzo interesującą rozprawę na temat *Francuska opinia publiczna wobec spraw polskich w latach 1919-1925*; w obecnej książce rozszerza tematykę i zagłębia się w późniejsze dwudzieste lata.

Nawet w tak krótkim przeglądzie trudno pominąć książkę, której sam tytuł przyciąga uwagę czytelnika. Mam na myśli nieduży tom Jerzego Wiatra, *The Soldier and the Nation. The Role of the Military in Polish Politics 1918-1985* (Westview Press, Boulder, Colo., 1988). Autor, politolog krajowy, odwiedzający często różne uczelnie amerykańskie z wykładami, stoi blisko Rakowskiego w sensie politycznym, natomiast we wstępie podkreśla zbieżności w podejściu do nauk politycznych z Adamem Bromke i Andrzejem Korbońskim. Pełniejsze omówienie tej pracy ukaże się w *Polish Review*, tutaj chciałbym jedynie pokrótce ją scharakteryzować. Temat „żołnierz i naród” jest oczywiście bardzo interesujący, zwłaszcza gdy autor skupia uwagę na Piłsudskim, Sikorskim i Jaruzelskim. Uwagi dotyczące Marszałka są na ogół dość trafne, choć przewrót majowy autor uzasadnia w sposób, który nasuwa skojarzenia polityczne raczej niż historyczne. Oczywiście posługuje się również modelem Bromkego „idealizmu i realizmu”. Wydaje mi się, że część tę można by pogłębić i potraktować w bardziej wnikliwy sposób. Ustęp o Sikorskim nie wnosi właściwie niczego i chyba wynikną z tego, że autor nie chciał napisać studium porównawczego Piłsudski-Jaruzelski. Dość ciekawa natomiast i oparta na głębszej znajomości rzeczy jest część ostatnia, dotycząca zmiennych relacji między partią a Armią Ludową.

Zupełnie inny charakter ma nieduża książeczka autorstwa Jerzego W. Borejszy, *Antyślawizm Adolfa Hitlera* (Czytelnik, 1988). Autor, którego prace o Mussolinim i faszystach włoskim zasługują na uwagę, szuka odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu poglądy Hitlera różniły się od poglądów jego otoczenia, „wyrastały z tradycji bądź przeczyły jej” (str. 12). Książka powstała w wyniku konfrontacji tez autora przedstawionych gronu historyków zachodniemieckich w Berlinie — rozdziały drugi i trzeci obecnej książki — i odpowiedzi na polemiczne głosy niemieckie — rozdziały pierwszy i czwarty. Autor uważa i przedstawia w sposób przekonujący, iż nie ma zasadniczych różnic pomiędzy nastawieniem Hitlera do Słowian, z wszystkimi niekonsekwencjami które w nim występują, a tradycyjnymi poglądami niemieckimi. Jest to może uproszczona i splotona wersja tez Borejszy, ale wydaje mi się, że o to głównie chodzi. Całość czyta się świetnie. Autor poza walorami uczonego ma też łatwość pisania, która wciąga czytelnika.

Wreszcie ostatnia pozycja, którą chciałbym tu zaprezentować w wielkim skrócie. Jest to szósty tom wydawnictwa wrocławskiego wychodzącego pod auspicjami Komitetu Nauk Historycz-

nych PAN pt. *Polska myśl polityczna XIX i XX wieku* (1988). Wydawnictwo to ukazywało się pod redakcją Henryka Zielińskiego, historyka z Wrocławia, którego tragiczna śmierć miała miejsce w dotąd niewyjaśnionych okolicznościach. Obecny tom redagował Wojciech Wrzesiński. Każdy z tomów składa się z rozpraw poświęconych określonej tematyce; tom szósty nosi tytuł *Między Polską etniczną a historyczną*. Wchodzą doń różnego typu artykuły, ale większość z nich jest, przynajmniej dla mnie, bardzo ciekawa i pobudzająca do refleksji. A oto autorzy i tytuły: R. Wapiński, „Kresy: alternatywa czy zależność?”, J. Kolbuszewski, „Legenda Kresów w literaturze polskiej XIX i XX wieku”, W. Wrzesiński, „Kresy czy pogranicze? Problem ziem zachodnich i północnych w polskiej myśli politycznej XIX i XX wieku”, W. Suleja, „Kresy Wschodnie w myśli politycznej polskiej irredenty w okresie powojennym (1864-1914)”, T. Kulak, „Kresy w myśli politycznej Jana Ludwika Popławskiego”, Z. Hemmerling, A. Łuczak, „Miejsce Kresów i słowiańskich mniejszości narodowych w koncepcjach ruchu ludowego” i wreszcie J. Bardach, „O świadomości narodowej Polaków na Litwie i Białorusi w XIX i XX wieku”.

Abstrahując od tego, czy czytelnik zgadza się z autorami, czy nie, jest to lektura ważna i potrzebna. Z jednej strony konieczne są dalsze prace na temat myśli politycznej, które pozwoliłyby na syntezę, zastępującą już bardzo w wielu wypadkach przedawnionego Feldmana. Z kolei pogłębianie naszej wiedzy dotyczącej mniejszości narodowych i stosunków polsko-narodowościowych w Drugiej Rzeczypospolitej, „ojczyźnie nie tylko Polaków” (jak brzmi tytuł niedawnej książki J. Tomaszewskiego) jest ze wszech miar pożądane i na czasie.

Piotr WANDYCZ

Tadeusz WYRWA

WYWIAD WIĘZIENNY NA PAWIAKU

Straty poniesione w Powstaniu Warszawskim są na ogół znane. Mniej pamięta się o kilkudziesięciu tysiącach więźniów na Pawiaku, męczonych i mordowanych przez hitlerowców. Kompleks budynków, wzniesiony w Warszawie w latach 1829-1835 między ul. Dzielną i Pawią — stąd nazwa Pawiak — mieścił około 1.000

więźniów. Podczas drugiej wojny światowej Pawiak był jednym z głównych więzień śledczych policji hitlerowskiej w tzw. Generalnej Guberni. Przebywało tam stale do 3.000 więźniów stłoczonych w celach i maltretowanych w nieludzki sposób.

W ciągu pięciu lat okupacji niemieckiej przez Pawiak przewinęło się prawie sto tysięcy więźniów, z których jedną trzecią zamordowano, a resztę wywieziono do obozów koncentracyjnych, przeważnie do Oświęcimia. Na Pawiaku zostali osadzeni: prezydent Warszawy Stefan Starzyński, Mieczysław Niedziałkowski i Maciej Rataj — dwaj ostatni rozstrzelani podczas masowej egzekucji w Palmirach, w czerwcu 1940. Tam też zmarł w czerwcu 1943 skatowany przez Niemców prof. Jan Piekąkiewicz, Delegat Rządu RP na Kraj. Stamtąd wywieziono do Oświęcimia Maksymiliana Kolbe oraz Zofię Kossak. Oto kilka znanych nazwisk wśród wielu bezimiennych męczenników, ofiar totalnego terroru, którego świadkiem były mury Pawiaka.

Ostatnia książka dr. Józefa Garlińskiego ma na celu utrwalenie tego, co jest jeszcze możliwe do ocalenia, żeby nie wszystko poszło w zapomnienie¹. Oparta na własnych wspomnieniach, zebranych materiale dokumentacyjnym oraz różnych publikacjach, stanowi cenny przyczynek, gdzie Autor — historyk i jednocześnie uczestnik opisywanych wydarzeń — opracował jeden ze stosunkowo mało znanych odcinków działalności AK. Przeważająca większość rozdziałów książki poświęcona jest kontaktom z więźniami Pawiaka, organizowanym w ramach wywiadu Komendy Głównej ZWZ/AK. Garliński ma wszelkie dane po temu, żeby opracować ten temat: kierował wywiadem więziennym i Wydziałem Bezpieczeństwa Komendy Głównej AK w chwili aresztowania go przez Gestapo w kwietniu 1943. Osadzony na Pawiaku, został następnie wywieziony do Oświęcimia; wyniósł przeto z własnego doświadczenia znajomość wywiadu więziennego z czasów, gdy go organizował na wolności, oraz jego funkcjonowanie w praktyce, kiedy sam znajdował się za kratami.

Jak pisze Garliński we wstępie, okres kilkunastu miesięcy, w którym budował wywiad więzienny, wyrzył w jego pamięci ślad mocniejszy, niż późniejszy pobyt w Oświęcimiu. W obozie koncentracyjnym „była walka o przetrwanie, o zachowanie godności ludzkiej, nawiązywało się trwałe przyjaźnie, ale jednocześnie było to dno ówczesnego świata. Praca podziemna w okupowanej Warszawie, prowadzona w latach nadziei, była walką pierwszej linii frontu, przyniosła wiele sukcesów, wiele zwycięstw, prowadziło się ją w atmosferze całkowitego zaangażowania i pełnego oddania”.

Wywiad więzienny miał na celu pomoc aresztowanym i uchro-

1. Józef Garliński, *Niezapomniane lata. Dzieje wywiadu więziennego i Wydziału Bezpieczeństwa Komendy Głównej Armii Krajowej*, Odnowa, Londyn 1987, str. 146.

nienie od aresztowania tych, którzy byli na wolności. Okrutne metody śledztwa nie wszyscy mogli znieść i Niemcom udawało się niekiedy wydobyć informacje o ludziach i pracy konspiracyjnej. Od sprawności wywiadu, polegającej na dotarciu do aresztowanej osoby i dowiedzeniu się o przebiegu śledztwa, zależało bezpieczeństwo innych, których należało ostrzec, zmienić adresy placówek, żeby działalność podziemna mogła bez uszczerbku dalej się rozwijać. Kontakty z aresztowanymi utrzymywano za pośrednictwem polskiej służby pomocniczej, zwłaszcza sanitarnej, jaką Niemcy zatrudniali w więzieniu. W normalnych warunkach praca w wywiadzie ma specyficzny charakter, a coś dopiero w kraju, gdzie okupant był panem życia i śmierci. Trzeba było tworzyć cały aparat od podstaw i robili to przeważnie ludzie młodzi, bez fachowego przygotowania, co uwidacznia książka Garlińskiego.

Autor daje zwięzły opis warunków panujących na Pawiaku i następnie pisze o technice tajnej łączności z uwięzionymi, mechanizmach jakie musiano uruchomić, aby sprostać zadaniu, od którego zależała sprawność pracy konspiracyjnej. Mechanizmy te tworzono i udoskonalano stopniowo; tak też przedstawia je Garliński, zaczynając od najwcześniejszych kontaktów z więźniami Pawiaka jesienią 1939, gdy powstawała pierwsza oficjalna podziemna organizacja wojskowa pod nazwą „Służba Zwycięstwu Polski” (SZP). Później aparat się rozwijał i udoskalał, a po mianowaniu Garlińskiego kierownikiem Wydziału Więziennego Komendy Głównej ZWZ/AK w grudniu 1941 aparat został przebudowany, w czym pomogła Garlińskiemu jego wcześniejsza dwuletnia praca w kontrwywiadzie organizacji konspiracyjnej „Muszkieterów”.

W maju 1943 roku Garliński został wywieziony do Oświęcimia, co oczywiście ujemnie odbiło się również na powierzonym mu wydziale wywiadu, tym bardziej, że zbiegło się to z aresztowaniem przez Gestapo innych osób, zaangażowanych w utrzymanie konspiracyjnych kontaktów więziennych. Temu okresowi poświęcone są dalsze rozdziały książki. W jednym z nich mowa jest o aresztowaniu generała „Grota”-Roweckiego, zdradzonego przez rodaków, o czym ze smutkiem przypomina Garliński: „świadomość, że sami Polacy w ręce wroga wydali przywódcę walczącego o życie kraju, była niezwykle bolesna”.

Ostatni rozdział książki poświęcony jest nieudanej masowej ucieczce z Pawiaka oraz ewakuacji więzienia i wywiezieniu do obozów koncentracyjnych około 400 kobiet i 1.400 mężczyzn. W czasie Powstania Pawiak pozostał w rękach Niemców, którzy rozstrzelali pozostałych tam 80 mężczyzn i 18 kobiet. Dnia 20 sierpnia cały kompleks budynków został wysadzony w powietrze. Dzisiaj na miejscu Pawiaka znajduje się pomnik, symbol okrucieństwa epoki, której końca jeszcze nie widać.

Książka dr. Garlińskiego, z licznymi zdjęciami i nazwiskami,

świadczy nie tylko o okrucieństwach, ale — i to przede wszystkim — o poświęceniu ludzi, którzy się okrucieństwu przeciwstawiali. O nich pisze Autor, że byli to przeważnie mężczyźni i kobiety z pierwszego pokolenia, „które po tylu latach niewoli wychowało się w wolnym kraju”. W innym miejscu Garliński dodaje: „Były to wspaniałe lata, miało się do czynienia ze wspaniałymi ludźmi. Pokolenie wychowane w wolnej Polsce stało wysoko”. Wspaniałe i — jak brzmi tytuł tej książki — „niezapomniane lata”. Otwarte pozostaje pytanie, co nam zostało z tych lat, nam, a zwłaszcza następnym pokoleniom?

Tadeusz WYRWA

Jan CIECHANOWSKI

CHURCHILL Z TYŁU I Z PRZODU

(Komentarze i uwagi do „Churchill's War”

Davidą Irvinga¹)

Churchill jest dla Anglików wielkim wodzem narodu i ojcem ich zwycięstwa nad III Rzeszą, wielkim mężem stanu, który uratował Anglię od klęski w okresie jej największego zagrożenia w czasie ostatniej wojny i największym Anglikiem naszych czasów, który dał Anglii „najwspanialszą godzinę” w jej długich i burzliwych dziejach. To nieustrudzony i nieustraszony obrońca brytyjskiego imperium i jego żywotnych interesów. To symbol i uosobienie najlepszych cech i charakteru narodowego Anglików. To dalekowzroczny polityk, którego wojenna polityka i strategia do niedawna jeszcze wolna była od wszelkiej prawie krytyki i dyskusji, szczególnie, że potrafił narzucić większości swych rodaków własną wersję dziejów ostatniej wojny w sugestywnych i po mistrzowsku napisanych pamiętnikach, opartych na jego archiwach.

Dla nas Polaków obraz Churchilla jest bardziej złożony i o wiele mniej atrakcyjny i różowy. Z jednej strony to również wielki wódz i pogromca Hitlera, który podał nam rękę, gdy pałała Francja, przyrzekając nam, że łzami w oczach, że będzie

1. David Irving, *Churchill's War*, Vol. I, *The Struggle for Power*, Veritas Publishing, 1987.

z nami do końca na „śmierć i życie”, że nigdy nas nie opuści, że zawsze będzie walczył o „życie polskiego narodu” i „dom dla Polaków”.

Z drugiej strony, Churchill dla większości Polaków od Teheranu, a w istocie już od wejścia ZSSR do wojny, to wielki gracz i cynik, gotowy poświęcić nas na ołtarzu brytyjsko-amerykańsko-sowieckiej współpracy. To nie tylko lew, ale i przebiegły lis, który po Jałcie nie potrzebował już Polaków i ich dywizji, chociaż kiedyś tak usilnie zabiegał o ich uzyskanie i wysłanie na front.

„Mamy dzisiaj dosyć wojska — oświadczył bardzo gwałtownie gen. Andersowi w lutym 1945 roku — i waszej pomocy nie potrzebujemy. Może pan swoje dywizje zabrać. Obejdziemy się bez nich”.

Murzyn zrobił swoje. Murzyn może odejść.

Jego podejście do katyńskiej tragedii, z naszego punktu widzenia, było dalekie od budującego. W sprawie Katynia Churchill zalecał, zgodnie z zasadą że pomordowanych nic już nie wróci do życia, jak największą powściągliwość i milczenie. Radził, aby wszyscy przestali się melancholijnie kręcić wokół tego porośniętego trzyletnimi sosenkami lasku. Zapominał, że w tym lasku leżeli pokotem nasi oficerowie, którzy w 1939 roku walczyli z Niemcami, nadaremnie upatrując pomocy z Zachodu².

Nie odmawiamy mu jednak wielkości i ogromnego wkładu do naszego wspólnego zwycięstwa nad Niemcami. Bolejemy tylko nad tym, że Churchill, wielki wyznawca i mistrz *Realpolitik*, na sprawy polskie patrzył przez pryzmat swej polityki wobec Niemiec lub Rosji, co zresztą było zrozumiałe, chociaż dla nas bolesne, zważywszy znaczenie i wagę tych państw w stosunkach międzynarodowych.

Ostatnio angielscy historycy też zaczęli bardziej krytycznie podchodzić do Churchilla i jego wojennej działalności, w dużej mierze pod wpływem lektury i analizy świeżo udostępnionych oficjalnych dokumentów brytyjskich z lat 1939-1945. Niemniej wytykają mu głównie jego chorobliwą wręcz ambicję, egoizm i egocentryzm, brak poczucia samokrytycyzmu i litości, nieumiejętność zdobywania szczerych przyjaciół i popleczników oraz cięgle przerzucanie się z jednego pomysłu na drugi. Wypominają mu też błędy strategiczne, jak kampanię norweską, ekspedycję dakarską lub wysłanie dwóch pancerników brytyjskich na Malaje bez odpowiedniej osłony lotniczej etc.

Ich krytyka nie dotyczy natomiast spraw zasadniczej wagi, jak na przykład stosunku Churchilla do Niemiec lub Rosji.

Dopiero ostatnio David Irving, znany brytyjski historyk i po-

2. W sprawie stosunku Churchilla do Powstania Warszawskiego patrz: Jan Ciechanowski, „Stosunek rządu brytyjskiego do Powstania Warszawskiego”, *Zeszyty Historyczne* nr 42/1977, str. 26 i dalsze.

pularyzator o ultraprawicowych poglądach i proniemieckim nastawieniu, poszedł w krytyce Churchilla o wiele dalej i bardzo ostro zaatakował jego całą wojenną politykę i strategię, ku wielkiemu zgrozzeniu większości historyków zajmujących się dziejami ostatniej wojny.

Główna teza Irvinga jest prosta, ale fałszywa. Jego zdaniem wojna pomiędzy Wielką Brytanią a III Rzeszą była prawie całkowicie spowodowana przez popędliwego germanofoba Churchilla, gdyż Hitler jej w gruncie rzeczy nie chciał i robił co mógł, aby jej uniknąć lub ją zakończyć po upadku Polski, a następnie Francji.

Zdaniem Irvinga Hitler chciał jak najlepszych stosunków z Londynem w zamian za zwrot dawnych kolonii niemieckich w Afryce i wolną rękę na Wschodzie. Te wspaniałomyślne plany Hitlera, który z imperium brytyjskiego chciał uczynić jeden z głównych filarów nowego światowego porządku, pokrzyżował Churchill poprzez swoją zawziętą, ślepą antyniemiecką działalność, krzykliwą i nieustającą antynazistowską propagandę i całkowicie błędne rozeznanie międzynarodowej sytuacji.

W oczach Irvinga Churchill w latach 1936-1939 to niebezpieczny, zżerany żądzą władzy opozycyjny polityk, gotowy uczynić wszystko, nawet wystawić na szwank brytyjskie interesy, byle tylko ponownie znaleźć się w rządzie i w końcu zostać premierem. Irving utrzymuje, że Churchill — kierujący się głównie prywatą i dobrze zdający sobie sprawę, że jego kariera zależy od wybuchu wojny lub nader ostrego brytyjsko-niemieckiego kryzysu — często rozmyślnie wyolbrzymiał „niemieckie niebezpieczeństwo” i podsycił antyniemieckie nastroje. Czynił to zaś, idąc, wciąż zdaniem Irvinga, na pasku syjonistów, rozmyślnie dążących do zniszczenia III Rzeszy.

Irving nie pozostawia też suchej nitki na bardziej prywatnych aspektach życia Churchilla, którego przedstawia czytelnikom jako nałogowego pijaka, często działającego pod wpływem alkoholu, straszliwego żarłoka i utracjusza, który stale żył ponad stan i któremu ciągle brakowało pieniędzy, chociaż dużo zarabiał jako pisarz i dziennikarz, oraz był, zdaniem autora, „subsydiowany” przez wielkie brytyjskie i amerykańskie koncerny prasowe i syjonistów.

W opinii Irvinga nieszczęścia, które spotkały Anglię, wybuch wojny, norweskie fiasko oraz upadek Francji utorowały Churchillowi drogę do władzy, zaszczytów i sławy. Umożliwiły mu „wydanie” i prowadzenie bezkompromisowej wojny przeciwko III Rzeszy, chociaż istniały w Anglii siły, gotowe zawrzeć z nią pokój, na czym również zależało Hitlerowi, który po upadku Francji w czerwcu 1940 roku znowu planował ekspansję na Wschód, a nie na Zachód. Do dalszej zaś wojny z Anglią zmusił go po prostu Churchill swą bezkompromisową postawą i uporem, z jakim zdecydowanie odrzucał wszelkie pokojowe oferty Berlina.

Tak więc wojna brytyjsko-niemiecka była, zdaniem Irvinga, dziełem, które zrujnowało Anglię finansowo, pozbawiło ją imperium i czołowej roli w świecie oraz w ostateczności doprowadziło Armię Czerwoną do Łaby, ze wszystkimi tego późniejszymi konsekwencjami.

Tego rodzaju wypowiedzi świadczą niezbicie, że albo ich autor jest bardzo naiwny, lub też przewrotny. Churchilla można obwiniać o różne rzeczy, ale nie sposób go winić za to, że chciał i wielce się przyczynił do zniszczenia III Rzeszy, która na nic lepszego nie zasługiwała.

W tym tomie, obejmującym lata 1936-1941, Irving niewiele uwagi poświęca sprawom polskim, a ataku niemieckiego na Polskę, który ostatnią wojnę rozpętał, wręcz nie zauważa i przedstawia go jako odpowiedź Hitlera na brytyjskie gwarancje dla nas. Biedny Hitler jest stale w defensywie.

Zobaczmy, co Irving napisze o polityce Churchilla wobec Polski w następnym tomie swej pracy.

W tym tomie autor wiele miejsca poświęca roli Enigmy w planach i posunięciach Churchilla, nie wspominając jednak o tym, że do rozwiązania jej tajemnic walnie przyczynili się Polacy.

W jednym tylko punkcie zgadzam się z Irvingiem całkowicie, mianowicie, że prawie cała uwaga Churchilla była skupiona w latach 1940-1941 na wprowadzeniu Rosji i Ameryki do wojny, jedynej rękojmi pełnego zwycięstwa nad Niemcami. Oczywiście musiało to doprowadzić do wzrostu znaczenia ZSSR i USA w światowej polityce i spadku w niej roli Wielkiej Brytanii.

Niemniej główna odpowiedzialność za to spada na Hitlera, który wojnę rozpętał, a nie na Churchilla, który po prostu podjął rzuconą mu przez *Führera* rękawicę.

To Hitler, a nie kto inny, przez swą polityczną głupotę zniszczył historyczne dzieło Bismarcka i doprowadził do usadowienia się Armii Czerwonej nad Łabą i nowego podziału Niemiec, który będzie trwać jeszcze długo.

„Jeśli Hitler oszaleje i zacznie wojnę — mówił Józef Beck w kwietniu 1939 roku — to zniszczy nie tylko Niemcy, ale o wiele więcej krajów niż swój własny. Hitler to zemsta Austrii za Sadową. On nigdy tej wojny nie wygra”.

Wielka szkoda, że p. Irving z tego wszystkiego nie zdaje sobie sprawy i znowu pasuje *Führera* na obrońcę Europy przed bolszewickim zalewem, a z Churchilla robi po prostu usłużnego popelnika Stalina oraz niszczyciela brytyjskiego imperium.

Jan CIECHANOWSKI

PERFIDNY ALBION

(Komentarze i uwagi do ostatniej pracy
Stanisława Żochowskiego¹)

Ostatnia książka płk. Żochowskiego to skrócona wersja jego *Brytyjskiej polityki wobec Polski 1916-1948*, wydanej w Londynie w 1979 roku, przeznaczona dla anglojęzycznego czytelnika. To jeszcze jedna próba ukazania *urbi et orbi*, że Wielka Brytania była „zawsze przeciwko nam” i że niewiele możemy się po niej spodziewać w przyszłości. To ostry, zacięty atak na politykę Zachodu wobec Polski w czasie ostatniej wojny. Atak w dużej mierze uzasadniony, ale nie przeanalizowany i przemyślany do końca oraz przypuszczony z czysto polskiego punktu widzenia, który wyolbrzymia rolę i znaczenie Polski w czasie ostatniej wojny. Konflikt nie toczył się o Polskę, lecz w istocie o kontrolę nad Niemcami i Japonią. Co więcej, od wejścia do wojny Rosji i Ameryki było już jasne, że po jej zakończeniu Europa będzie żyć w cieniu tych dwóch potężnych supermocarstw. Wybuch drugiej wojny światowej oznaczał zmierzch Europy jako centrum światowej polityki, które już w jej toku przeniosło się siłą rzeczy do Waszyngtonu i Moskwy.

Płk Żochowski z wielką dokładnością wylicza zachodnim aliantom błędy, które jego zdaniem popełnili podczas ostatniej wojny.

Słusznie wytyka im brak pomocy dla nas w czasie kampanii wrześniowej, natomiast twierdzenie, że gdyby nam jej udzielili, to zakończyłaby się ona zwycięsko, jest już nader problematyczne. Już 2 września na skutek załamania się Armii „Kraków” doszło do podjęcia strategicznego całego naszego frontu od południa. W tym dniu, w opinii płk. J. Jaklicza, zastępcy szefa sztabu głównego, przegraliśmy możliwość prowadzenia dalszej wojny; co więcej, już 6 września uważał on, iż jest za późno na udzielenie nam wojskowej pomocy przez aliantów zachodnich, bo „Polska się kończy”. — „Utrzyma się może jeszcze kilka tygodni, lecz nie widzę już dla nas dzisiaj ratunku. Walczyć będziemy już tylko o honor żołnierski”.

Niestety płk Żochowski zapomina o tej smutnej prawdzie i przedstawia kampanię wrześniową w bardziej różowym świetle.

Po drugie, wyrzuca Churchillowi udzielenie bezwarunkowej pomocy ZSSR w czerwcu 1941 roku, miast przyglądać się z zało-

1. Stanisław Żochowski, *British Policy in Relation to Poland in the Second World War*, Vantage Press, New York 1988.

żonymi rękami jak Niemcy i Rosjanie wzajemnie się wyrzynali. W opinii autora świadczy to, że Churchillowi brakowało politycznej roztropności, że kierował się raczej impulsywnymi odruchami, niż zimnym rozumem oraz że cierpiał na przerost energii, co nie pozwalało mu na spokojne, planowe działanie.

Autor znowu nie zdaje sobie sprawy, że dla Churchilla utrzymanie Rosji w wojnie w 1941 roku było jeszcze sprawą ogromnej wagi, oraz że pomoc, którą Stalinowi obiecywał, miała w tym czasie raczej psychologiczne, niż militarne znaczenie.

Zochowski słusznie ma pretensje do Churchilla, że był gotów płacić Stalinowi za udział w wojnie cudzym, szczególnie naszym kosztem, ale pomija fakt, że dla większości zachodnich polityków Polska od rozbiorów kończyła się na tzw. linii Curzona. W polsko-rosyjskim sporze terytorialnym Churchill chciał po prostu odgrywać rolę arbitra, nie strony.

Ponadto należy pamiętać, że ziemie, którymi Churchill tak szczerze obdarowywał Stalina w latach 1943-1945, i tak były już w jego zasięgu i posiadaniu, a więc dawał Moskwie to, co już posiadała i nie zamierzała nikomu oddawać.

Zochowski dziwi się, że Churchill i Roosevelt byli gotowi współpracować ze Stalinem w czasie wojny, chociaż było to nieodzowną koniecznością. Oczywiście można mieć do nich uzasadnione pretensje, że Stalina za bardzo chwalili, hołubili i robili z niego wielkiego, szczerego demokratę, ale leży to w stylu zachodnich polityków, lubiących tego rodzaju chwytły i zabiegi.

Autor krytykuje również Churchilla za niedopuszczenie do otwarcia drugiego frontu w 1943 roku, czego życzyli sobie Amerykanie i Stalin, co mogło skrócić wojnę, ocalić życie milionów ludzi i zatrzymać pochód Armii Czerwonej do serca Europy. Może w tym wypadku płk Zochowski ma rację, chociaż nie ulega kwestii, że inwazja Europy w 1943 roku byłaby operacją wielce ryzykowną i mogłaby się załamać, szczególnie jeśli zważywszy na wielkie trudności, jakie alianci zachodni mieli z usadowieniem się na kontynencie i wdarciem się do Niemiec w 1944 roku.

Wreszcie Zochowski poddaje ostrej krytyce układ jałtański, który oddał naszą część Europy pod kuratelę Moskwy i w ostateczności doprowadził do podziału Europy.

Jałta nigdy nie była i nie jest wielkim osiągnięciem i chlubą Zachodu. Niemniej porządek jałtański co innego oznacza dla nas Polaków, a zupełnie co innego dla obywateli państw zachodnich. Dla nas Jałta to przede wszystkim stalinizm i sowietyzacja, dla Zachodu to ponad czterdzieści lat pokoju, chociaż zbrojnego, i niespotykany dotychczas dobrobyt, o czym też nie należy zapominać.

Pomimo tych różnych usterek praca Zochowskiego jest pozycją pożyteczną i na czasie, gdyż jeszcze raz przypomina ona obcemu czytelnikowi nasze wojenne koleje i losy. Mówi też wiele o naszym wkładzie do wspólnego zwycięstwa nad Niemcami.

Niemniej wydaje się, że racje i argumenty wytaczane przez płk. Żochowskiego przeciwko polskiej polityce Churchilla i Roosevelta byłyby bardziej przekonujące i strawne dla cudzoziemców, gdyby były utrzymane mniej w „żołnierskim”, a bardziej w „naukowym” i umiarkowanym tonie.

Szkoda też wielka, że angielszczyzna, którą książka jest napisana, miejscami pozostawia wiele do życzenia.

Jan CIECHANOWSKI

OKRUCHY HISTORII

Maria JANUSZKIEWICZ

REPATRIACJA LUDNOŚCI POLSKIEJ Z ZSSR W 1946 ROKU

W numerze 8/14 *Historii i Życia* z dnia 22 kwietnia 1988 roku, dodatku historycznego do warszawskiego dziennika *Życie Warszawy*, ukazał się artykuł pt. „Przebieg repatriacji z ZSRR w 1946 roku, Sprawozdanie polskiej delegacji w Komisji Mieszanej”, wraz z krótkim komentarzem autorstwa Grażyny Kubickiej.

Ponieważ byłam jedną z osób, wywiezionych do północnego Kazachstanu w dniu 13 kwietnia 1940 roku i powróciłam do Polski w ramach tzw. „repatriacji” w 1946 roku, przeczytałam ten artykuł z dużym zainteresowaniem — zwłaszcza, że jest to cytowany *in extenso* oficjalny dokument, podpisany w Moskwie 23 sierpnia 1946 roku przez dr. Henryka Wolpe, przewodniczącego polskiej delegacji w ramach polsko-sowieckiej Komisji Mieszanej. Dokument podsumowuje przebieg repatriacji.

Po zapoznaniu się z jego treścią, uważam za swój obowiązek dodać do niego pewne uwagi i sprostowania.

1. Dziwi mnie określenie „uchodźstwo polskie w ZSRR”. Na jakiej podstawie określa się tak obywatele polskich, wywiezionych przymocą w trybie nagłym ze swoich domów z miast i wsi na terenie wschodnich kresów Rzeczypospolitej Polskiej, zajętych, jak wiadomo, bez wypowiedzenia wojny przez Armię Czerwoną

we wrześniu 1939 roku? Ludzie ci byli *zesańcami*, o czym świadczą zachowane jeszcze dokumenty, jak chociażby „wyrok”, skazujący na dziesięć lat więzienia osoby, które usiłowały uciec z zesłania do Lwowa, a o których w tymże „wyroku” wyraźnie jest napisane: „13 kwietnia 1940 roku przez organa NKWD w trybie administracyjnym zostały *zestane* z miasta Lwowa [...] i osiedlone w Kazachskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republice w obłasti Semipałatyńskiej”.

Zesańców, jak wiadomo, wywożono w czterech transportach:

Pierwszy — 10 lutego 1940 roku (w czasie 40-stopniowych mrozów) obejmował służbę leśną (leśniczych i gajowych), bogatych gospodarzy i rodziny przedwojennych policjantów.

Drugi — 13 kwietnia 1940 roku, obejmował również rodziny „wykrytych” oficerów Wojska Polskiego, rodziny aresztowanych nauczycieli i urzędników państwowych, działaczy społecznych (np. wójtów, sołtysów, pisarzy gminnych), osób wyróżniających się w swym środowisku, bogatych gospodarzy, kupców.

Trzeci — w czerwcu 1940 roku, obejmował głównie ludzi, którzy znaleźli się na wschodnich kresach Rzeczypospolitej jako uchodźcy przed działaniami wojennymi we wrześniu 1939 roku i zapisywali się na ogłoszone przez sowiecką administrację „listy repatriacyjne” do swych siedzib w zachodniej i centralnej Polsce — i w związku z tym NKWD dysponowało gotowymi wykazami i spisami ludzi, wraz ze wszystkimi danymi personalnymi.

Czwarty — który wyjechał z terenów polskich 21 czerwca 1941 roku, tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, obejmował „resztki” i „niedobitki”, pominięte w trzech poprzednich transportach.

1. Z punktu widzenia Sowietów wywiezieni obywatele polscy nie mieli przed czym „uchodzić” — były to lata dużej przyjaźni pomiędzy hitlerowską Trzecią Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Określenie „uchodźcy” lub „ewakuowani” w żadnym przypadku nie dotyczy tych setek tysięcy ludności polskiej, które znalazły się na terenach dalekowschodnich republik ZSSR.

2. Według bardzo ostrożnych szacunków we wszystkich czterech transportach wywiezionych zostało około *półtora miliona obywateli polskich*. Obliczyć to można również, stosując wskaźniki ze statystyk demograficznych, na podstawie procentu młodzieży, powołanej spośród zesańców do obu armii polskich, zorganizowanych na terenie Związku Sowieckiego: Armii generała Andersa i Armii Kościuszkowskiej. Na jakiej więc podstawie w „Sprawozdaniu” znalazły się tak *dokładne* liczby (229.193 osoby, a *nawet* około 240.000), dotyczące repatriowanej do Polski ludności polskiej? Czyżby reszta zesańców dotychczas nadaremnie oczekiwała w dalekich krajach na „dokument ewakuacyjny”?

Można by również obecnie, w okresie wyjaśniania „białych plam”, postarać się o dokładniejsze dane, dotyczące ludności polskiej, pozostającej na terenie Związku Sowieckiego po zakończeniu „oficjalnej repatriacji”. Co zaś dotyczy liczby tych, którzy powrócili w 1946 roku: moja rodzina powróciła w końcu marca 1946 roku, jechaliśmy transportem nr 1032, pociąg składał się z 52 wagonów, ludzie powracający zajmowali około 45 wagonów, w każdym znajdowało się około 30 osób...

3. Najbardziej zdumiała mnie ta część „Sprawozdania”, która dotyczy zaopatrzenia w żywność repatriowanych ludzi oraz pomocy, okazanej im przez władze sowieckie, ambasadę PRL i specjalny fundusz pomocy. W czasie powrotu do kraju naszego transportu sprawy te przedstawiały się następująco: wyjechaliśmy z kołchozu w północnym Kazachstanie saniami do stacji kolejowej w Tajency 2 marca 1946 roku. Ostatniego dnia marca tegoż roku przyjechaliśmy (przez Brześć Litewski) na stację pod Warszawą. Przez wszystkie 30 dni podróży *nie otrzymaliśmy ani grama chleba, mąki bądź jakiegokolwiek żywności*. Dwukrotnie zostaliśmy wysłani do łaźni i do odwzalnii. Wiosną 1940 roku, w czasie wywożenia nas w głąb Związku Sowieckiego, od momentu przekroczenia stacji kolejowej w Baranowiczach i załadowania nas do szerokotorowych wagonów do chwili zakończenia podróży, tj. do dnia 28 kwietnia 1940 roku, dostarczano nam jeden raz dziennie gorący posiłek: miszkę zupy, porcję kaszy jęczmiennej z olejem i kawałek chleba — „na oko” wagi około 300 gramów. *W czasie drogi powrotnej nie otrzymywaliśmy niczego*. Jedliśmy to, co pozabieraliśmy ze sobą z kołchozów na drogę — nie mając pojęcia, jak długo ten powrót będzie trwał. Byli też wśród pasażerów naszego transportu ludzie, którym w kołchozach nie płacono za pracę i oni nie mieli nawet produktów na zrobienie jakichś minimalnych zapasów żywności. Należało więc i z nimi się podzielić tym, co kto miał. W „naszym” wagonie jechała np. żydowska rodzina, wywieziona z Nieświeża — matka z sześciorgiem dzieci, ostatnie — 6-letnie — urodzone w Kazachstanie latem 1940 roku. Byli okropnie nędzni, zawszeni i wygłodzeni — a przecież musieli żywi dojechać. W Brześciu Litewskim nie mieliśmy już zupełnie niczego do jedzenia, a ponieważ czekaliśmy kilka godzin na dworcu na podstawienie wagonów o normalnym rozstawie osi — gotowaliśmy sobie „zupę” na zaimprovizowanych ogniskach z resztek okruszyn spleśniałego chleba, wygrzebywanych z dna worków. Nie jest więc jasne, na kogo zostały wydane te nader skrupulatnie wyliczone w „Sprawozdaniu” 96 rub. 75 kop. na osobę ze strony polskiej i 34 rub. 20 kop. ze strony sowieckiej. Może być, że nasz transport był „transportem dzikim”, który wypadł ze statystyk i do Polski przyjechał jakoś nieoficjalnie. Faktem jest, że do stacji pod Warszawą dojechał transport skrajnie wygłodzonych ludzi, którym na Punkcie Repatriacyjnym — po interwencji kobiet z transportu, m.in.

członkin Związku Patriotów Polskich — dano kocioł czarnej, niesłodzonej kawy zbożowej i *ani kawałka chleba*. Kierownictwo tego punktu wypłaciło też kwotę 250 zł dla głowy rodziny i po 130 zł na każde dziecko, co skrupulatnie odnotowano na odwrocie dokumentu repatriacyjnego. Na tych dokumentach odnotowano również wydanie odzieży z punktu rozdzielczego UNRRA, ale to już po upływie kilku dni, dla tych pasażerów transportu, którzy pozostali w Warszawie.

4. Ostatnia uwaga dotyczy repatriacji dzieci polskich z ZSSR. Znałam kilka osób dorosłych, zatrudnionych jako personel we wspomnianym w „Sprawozdaniu” Polskim Domu Dziecka w Zagorsku pod Moskwą. Ludzie ci wrócili do Polski rzeczywiście w doskonałym stanie zdrowia i nieźle zaopatrzeni. To samo również mówili o dzieciach, pozostających pod ich opieką. Ale — to był *jeden* dom dziecka w Zagorsku. Natomiast jak wyglądała „druga strona medalu”, tzn. repatriacja dzieci polskich z rosyjskich domów dziecka, w których przebywały osierocone już na terenie Sowietów polskie dzieci — niech zilustruje przytoczony przykład. (Niestety — nazwiska dzieci podać nie mogę, gdyż osoby te żyją i pracują i nie upoważniły mnie do ujawnienia danych personalnych. Są jednak świadkowie opisanych faktów).

Dwoje dzieci, 11-letnia dziewczynka i 6-letni chłopiec, wraz z matką, żoną oficera Wojska Polskiego z pułku stacjonującego w Łucku — 13 kwietnia 1940 roku zostało wywiezionych do kołchozu w północnym Kazachstanie. (Ojciec, uczestnik bitwy pod Lwowem, dostał się do niewoli bolszewickiej we wrześniu 1939 roku i zginął w Katyniu). Matka zmarła latem 1940 roku w kołchozie. Dzieci pochowały ją same i zostały zabrane do dwóch oddzielnych rosyjskich domów dziecka. Dziewczynka stale utrzymywała kontakt z bratem, aby go nie stracić z oczu. To, co przeżyły w tych „Gościennych Domach Opiekuńczych” z racji swojej „inności” od reszty wychowanków — nie da się opisać. Kiedy dziewczynka ukończyła 13 lat, została sprzedana przez wychowawczynię do rodziny kołchoźnika w charakterze niańki do dziecka, a następnie — za wódkę — miała zostać „żoną” sąsiada swoich opiekunów. Korzystając z zamroczenia alkoholowego, w jakim znajdowali się gospodarze i ich sąsiad — dziewczynka uciekła w nocy do domu dziecka, w którym przebywał jej brat. Znalazła go tu z *wypalonym* na czole słowem „CHUJ” (po rosyjsku „ХУЕИ”). Brat jej miał wtedy 12 lat. Był już rok 1946 i dzieci dowiedziały się o repatriacji Polaków. Uciekły więc do najbliższego miasta do NKWD i na podstawie przechowanych i ocalonych przez dziewczynkę dokumentów zostały odesłane do punktu repatriacyjnego. Którymś z transportów przyjechały do Warszawy. Dziewczynka odnalazła krewnych, zamieszkała w internacie, skończyła liceum i studia — obecnie jest cenionym profesorem biologii na którymś z uniwersytetów w Kanadzie. Chłopiec jako syn oficera (było to jeszcze, na szczęście, przed rokiem 1949, a

więc przed okresem najgorszych represji) — trafił do szkoły kadetów, dokonano mu transplantacji skóry na czole, ukończył potem studia na politechnice i jest inżynierem.

Tak wyglądały „najwyższego gatunku chleb biały, miód, czekolada, ciastka” i inne „wzruszające dowody przyjaźni społeczeństwa radzieckiego dla naszych dzieci”.

Na zakończenie chciałam jeszcze przytoczyć fakt, znamienity dla całości omawianej sprawy. W czasie pobytu Michaiła Gorbaczowa w Warszawie w październiku 1988 roku ciekawi byliśmy, czy sowiecki mąż stanu skorzysta z szansy zdobycia sobie popularności wśród społeczeństwa *priwislanskiego kraja* i przemawiając w Sejmie powie coś konkretnego o Katyniu lub o innych faktach, objętych wyjaśnianiem „białych plam” we wspólnej historii PRL i ZSSR”. Niestety — o Katyniu nie wspomniał słowem. O innych sprawach powiedział mniej więcej tak: „... były fakty w przeszłości, wymagające wyjaśnienia, jak np. masowe wysiedlanie ludności z zachodnich terenów ZSRR”.

Dzięki temu nareszcie dowiedziałam się, gdzie się urodziłam i mieszkałam przez osiemnaście lat swego życia, tj. do 13 kwietnia 1940 roku: pochodzę z jednego z miast województwa białostockiego i z niego zostałam wywieziona wraz z setkami tysięcy obywateli polskich — mieszkańców wschodnich kresów Rzeczypospolitej Polskiej.

Maria JANUSZKIEWICZ

INICJATYWY GEN. MODELSKIEGO

Odpis z fotografii

Wiceminister
Spraw Wojskowych

SCISLE TAJNE

BRITISH SECURITY SERVICE

L.dz. 369/WM/42
Londyn 10. III. 1942

Londyn

Powołując się na nasze rozmowy w sprawie ścisłej współpracy oraz wynikającej stąd współodpowiedzialności w dziedzinie bezpieczeństwa, przedstawiam poniżej nazwiska osób, których natchmiastowe usunięcie z terenu Wielkiej Brytanii uważam za konieczne.

Decyzja usunięcia tych osób z terenu Anglii powzięta została

po dokładnym zbadaniu sprawy z osobna i po stwierdzeniu, że osoby te:

1) działają czynnie przy pomocy tajnej propagandy na niekorzystnie stosunków polsko-angielskich,

2) dążą do wywołania konfliktu z ambasadą sowiecką przez rozsiewanie fałszywych pogłosek drukiem i słowem na temat paktu sowiecko-polskiego i rzekomego szafowania polską krwią przez rzucenie nieuzbrojonej armii polskiej do walk z Niemcami,

3) tworzą tajne organizacje polityczne na terenie Wielkiej Brytanii także w szeregach armii,

4) przy pomocy tej organizacji i kolportażu starają się wywołać ferment i demoralizację armii,

5) szerzą przy pomocy tajnych ulotek defetyzm w wojsku i niewiarę w zwycięstwo aliantów.

Wobec tego, że działalność tych osób wykorzystywana być może przez niemiecką V-tą kolumnę i niemiecki wywiad, doszedłem do przekonania, że ze względu na bezpieczeństwo, należy te osoby wysłać poza granice Anglii, np. do Afryki, do takiej miejscowości, skąd nie mogłyby kontynuować swej działalności.

Dla przykładu, że niemieckiemu wywiadowi działalność tych osób na tutejszym terenie jest na rękę, podaje, że zarówno broszury rzekomo tylko polityczne a godzące w działalność tutejszego Rządu jak i *tajne ulotki*, rozrzucone wśród wojska ukazują się po jakimś czasie także i w Polsce pod okupacją niemiecką.

Jest to dowodem, że akcja ta, gdyby nawet nieświadoma, jest na rękę Niemcom w walce przeciwko naszym wspólnym interesom.

Jakkolwiek działalność ta nie znalazła dotąd oddźwięku w szeregach armii, to przecież tolerowana nadal, może być powodem niepokoju i dlatego uważam za konieczne *natychmiastowe* usunięcie wymienionych osób z terenu ich działalności.

Rząd polski w tym stanie rzeczy nie dysponuje odpowiednimi środkami prawnymi, którymi by mógł zapobiec dalszej ich działalności. Nadmieniam, że rząd mój jest gotów ponieść koszt utrzymania tych osób za granicą według normy, przewidzianej przez polskie Ministerstwo Opieki Społecznej dla wszystkich obywateli polskich, znajdujących się obecnie poza granicami państwa polskiego.

Powołując się przy tym na obowiązujący tutaj *Aliens Order* z roku 1920 art. 12/6 c i art. 12/5 a, stwierdzam, że rząd polski, *ponosząc odpowiedzialność za swoich obywateli* w stosunku do Wielkiej Brytanii, *ma prawo żądać usunięcia obywateli własnych, których działalność tutaj uważa za szkodliwą* i że w niczym przez to nie narusza swobód obywatelskich Wielkiej Brytanii.

Ponosząc więc wspólnie z Panami odpowiedzialność za bezpieczeństwo, proszę o natychmiastowe usunięcie następujących osób:

1) Dąb-Biernacki Stefan,

- 2) Zyndram-Kościałkowski Marian,
- 3) Cat-Mackiewicz Stanisław,
- 4) Łukasiewicz Julian,
- 5) Wyżeł-Scieżyński Mieczysław,
- 6) Libicki Konrad,
- 7) Umiastowski Roman,
- 8) Junosza-Gałęcki Aleksander.

Zaznaczam, że wymieniony pod 1) jest znany ze swej działalności we Francji i po przybyciu do Anglii został wyrokiem sądu polowego osadzony w więzieniu i zdegradowany. Był i jest nadal ośrodkiem działalności, o której powyżej mówię. Ponadto wymieniony pod 8) uchyla się dotąd od spełnienia obowiązku służby wojskowej.

Wiceminister Spraw Wojskowych
Dr I. MODELSKI, gen. bryg.

W ostatniej chwili poinformowano mnie, że sprawa Dęba-Biernackiego została już załatwiona i że z więzienia ma być wprost skierowany do jednej z miejscowości w Północnej Irlandii.

W związku z tym prosiłbym Panów o wydanie zarządzenia rozmundurowania go i zakupienia dla niego na nasz rachunek ubrania cywilnego.

(—) *I. MODELSKI*

Wiceminister
Spraw Wojskowych
Dnia 17 mies. 3. 1942
Załączników
L. 369/42
S.F. 85/1/8/1/E.2/M.I.5

*Room OSS
War Office
Whitehall
S.S.W.1
16 March, 1942*

*Major General I. Modelski,
Under Secretary of State for War,
Rubens Hotel,
Buckingham Palace Road, S.W.1.*

Sir,

I am instructed to acknowledge your letter 369/WM/42 of 10. 3. 42 and to inform you that we have received a communication simultaneously from our Home Office, enclosing certain letters from our Foreign Office which relate to conversation which general Sikorski had with them on the subject of your letter under reply.

The correspondence before me indicates that the Secretary of State for Foreign Affairs informed General Sikorski that the

Home Office had considered the question of what action could be taken to put stop to the activities of persons indicated by you, and had come to take conclusion that there was nothing they could do at the moment unless they can be furnished with proofs that these people are guilty of having committed an offence against law.

In view of foregoing, you will realize that as this department is anxious to help you, the fullest documentation must be produced regarding all the people accused by you of activities prejudiced to your Government and to Allied cause.

When the necessary documents are available, our legal officers will be pleased to discuss with you each case, with a view to taking suitable action. I am, Sir yours very truly

S. ALLEY, Major.

GOMUŁKA A „ZESZYTY HISTORYCZNE”

Z książki Marii Turlejskiej (Łukasz Socha) pt. „Te pokolenia żałobami czarne”, str. 446. Wyd. Aneks, Londyn 1988. Cena £ 9, \$ US 20.

„Nie omawiam tutaj trzeciego dokumentu — sprawozdania komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy — który ukazał się również w tym samym numerze *Zeszytów Historycznych* (Paryż 1984, nr 67, str. 70-93).

Wszystkie trzy dokumenty wręczył mi (w odpisie) Władysław Gomułka wiosną 1980 roku z prośbą o zamieszczenie ich w *Zeszytach Historycznych* wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu. Życzenie to udało mi się spełnić, niestety, już po jego śmierci.

Władysław Gomułka przekazując mi dokumenty zaznaczył, by nie wydawać ich w kraju w wydawnictwach poza zasięgiem cenzury”.

Warszawa, czerwiec 1988 r.

Maria TURLEJSKA

LISTY DO REDAKCJI

23 grudnia 1988.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Obawiam się, iż do moich komentarzy do wspomnień Anatola Wertheima wkraść się poważny błąd, który należałoby skorygować. Mianowicie pierwszych kilka wierszy u góry str. 164 (*Zeszyty Historyczne* nr 86) powinno brzmieć następująco:

Nie odpowiada to prawdzie, bo pierwsza wywózka, która miała miejsce w lutym 1940, obejmowała osadników i leśników (Żydów w niej nie było). Druga wywózka miała miejsce w kwietniu 1940 i obejmowała rodziny ziemian, oficerów, podoficerów, policjantów, nauczycieli, zamożnych Żydów, bogatszych chłopów, byłych komunistów, działaczy społecznych itd. Dopiero trzecia wywózka, z czerwca 1940, objęła uciekinierów, wśród których znalazły się duże ilości Żydów, o których pisze Wertheim.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO



Szanowny Panie Redaktorze,

Przeglądając *Zeszyty Historyczne* z ubiegłych lat znalazłem we „Wspomnieniach” gen. Jaklicza w 82-gim *Zeszytcie* pomyłkę w nazwisku jemu podkomendnego oficera sztabu.

Gen. Jaklicz podaje, że będąc w dniach 16 i 17 września 1939 roku w Kołomyi, wysłał samochodami oficerów Oddziału III nad Dniestr (odległy 40-50 km) i że od jednego z nich, „dzielnego” jak podaje generał, oficera kpt. dypl. Ciechanowicza otrzymywał dokładne wiadomości o ruchach oddziałów bolszewickich.

Gen. Jaklicz niewątpliwie pomylił się w nazwisku. Nie był to kpt. dypl. Ciechanowicz, tylko kpt. dypl. CHOCIANOWICZ. Choć jest to mała różnica, ale wydaje mi się, że w *Zeszytach Historycznych* takiej pomyłki nie powinno być.

Kpt. Ciechanowicza jako dyplomowanego w W.P. w ogóle nie było. Natomiast kpt. dypl. W. CHOCIANOWICZA, mego kolegę z 14-tej promocji W.S.Woj., osobiście spotykałem i odwiedzałem we wrześniu 1939 roku jako oficera III Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza.

Z poważaniem

A. SZENDRYK, ppłk dypl.

Paryż, 31 marca 1989.

Drogi Panie Redaktorze!

Chochlik drukarski wziął się ostatnio na mnie i znowu prosiłbym Pana Redaktora o zamieszczenie sprostowania błędów, jakie wkradły się do mojego opracowania o Prymasie Hlondzie w *Zeszytach Historycznych* nr 87:

Na str. 17 i w spisie treści str. 239, tytuł winien brzmieć: „Prymas Hlond we Francji 1940-1944”, a nie 1941.

Prymas Hlond podpisywał swoje artykuły w czasopiśmie *Służba* pseudonimem *Śmieć*, a nie *Śmierć*, jak jest na str. 21, wiersz 14 od góry.

W tytule książki W. Zyndrama-Kościałkowskiego, cytat 13 na str. 20, winno być „Poloneza czas skończyć”, a nie kończyć.

Łączę najlepsze pozdrowienia

T. WYRWA

SPIS TREŚCI

Jerzy Jastrzębowski: <i>Rozmowy o braciach</i> (z prof. Romanem Szporlukiem, prof. Piotrem Wandyczem i prof. Frankiem Sysynem)	3
Karol Podgórski: <i>Drang nach Szczecin</i>	34
Jan Nowak: <i>O proces Bolesława Bieruta i współników</i> ..	62
Kajetan Bieniecki: <i>Wildhorn</i>	81
Jerzy Korczak: <i>Konspiracja poznańska</i>	101
Michał Heller: <i>Kim był Stalin?</i>	108

WSPOMNIENIA

A. L. Miasnikow: <i>Agonia Stalina</i>	116
--	-----

DOKUMENTY

Paweł Lida: <i>Parafie rzymskokatolickie na Białorusi i Ukrainie w 1988 roku — obsada personalna</i>	123
--	-----

WYWIADY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Janusz K. Zawodny: <i>Wywiady z oficerami kontrtorpedowców Polskiej Marynarki Wojennej w drugiej wojnie światowej</i> (Romuald Nałęcz-Tymiński, Wilhelm K. Pacewicz, Jerzy P. Tumaniszwili i Michał Białowski)	145
--	-----

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	216
Tadeusz Wyrwa: <i>Wywiad więzienny na Pawiaku</i>	219
Jan Ciechanowski: <i>Churchill z tyłu i z przodu</i>	222
Jan Ciechanowski: <i>Perfidny Albion</i>	226

OKRUCHY HISTORII

Maria Januskiewicz: <i>Repatriacja ludności polskiej z ZSSR w 1946 roku</i>	229
<i>Inicjatywy gen. Modelskiego</i>	233
<i>Gomułka a „Zeszyty Historyczne”</i>	236

LISTY DO REDAKCJI

Z. S. Siemaszko: <i>Sprostowanie do jego komentarza do wspomnień Anatola Wertheima (Zeszyty Historyczne nr 86)</i>	237
A. Szendryk, ppłk dypl.: <i>Sprostowanie do wspomnień gen. Jaklicza (Zeszyty Historyczne nr 82)</i>	237
Tadeusz Wyrwa: <i>Sprostowanie do jego opracowania o Prymasie Hlondzie (Zeszyty Historyczne nr 87)</i>	238

Achévé d'imprimer le 31 mai 1989
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 2^e trimestre 1989.
N° d'imprimeur 9604.

